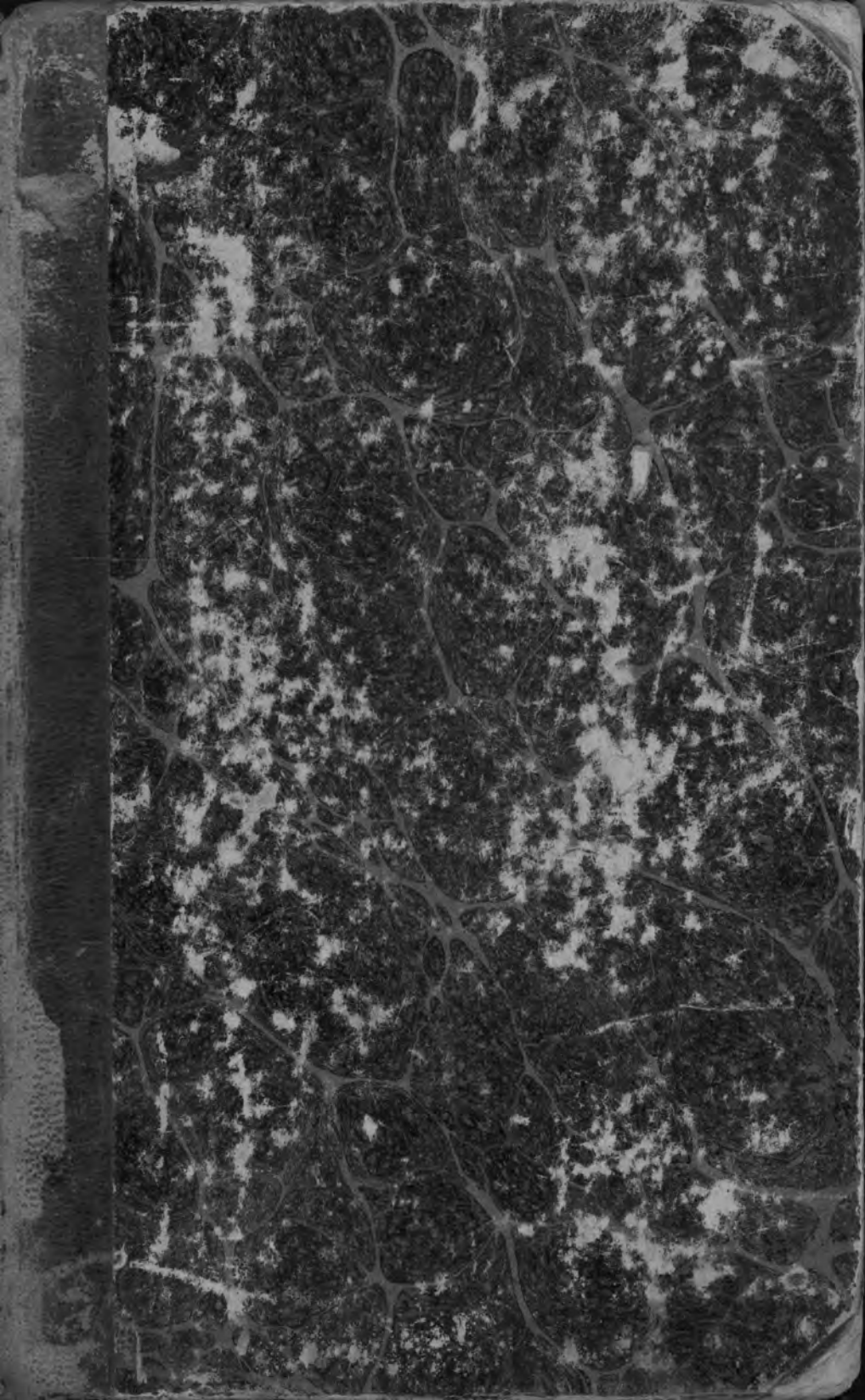




WSPOMNIENIA

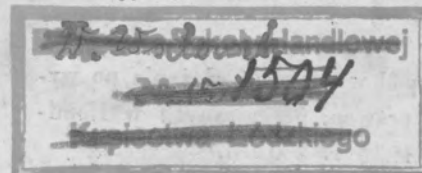
**WOŁYNIA, POLESIA
I LITWY.**

I

WSPOMNIENIA
WOŁYNIA, POLESIA
I LITWY

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.



Nulla dies absque, quin linea
ducta supersit.

TOM PIERWSZY.



W I L N O

NAKLAD I DRUK T. GLÜCKSBERGA.

KSIĘGARZA I TYPOGRAFA WILEŃ. CESARSKIEJ MED. CHIRURG.
AKADEMII I SZKÓŁ BIAŁORUSKIEGO NAUKOWEGO WYDZIAŁU.

1840.



Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1839 r. 8 Julii.

Cenzor, *Sowietnik Rządu Wileń. Medyko-Chir. Akademii, Radzca Kolegiálny*
JAN WASZKIEWICZ.



821.162.1-92 : [913(438) + 913(445)] '18'

72

JASNIE WIELMOŻNEMU

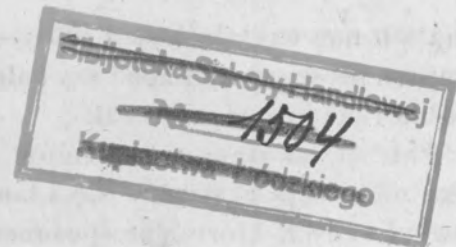
ANTONIEMU

URBANOWSKIEMU

NA PAMIĄTKĘ CHWIL W DOMU JEGO SPĘDZONYCH

OFIARUJE

Autor.



W S T U P.

Cóż począć z sobą powiedzcie mi, gdy przyjdą długie, posępne wieczory zimowe? — Kto nie może ciągnąć kabaly ani plotek słuchać, ani polować, a niema co czytać; kto jeszcze nie ze wszystkiém wyrzekł się słodkiego powierzania swych myśli papierowi; — ten musi jeśli nie z przekonania potrzeby i obowiązku (bo z tego świat prędko wyprowadzi) to przynajmniej dla tego pisać, żeby nie próżnować.

Pozwolicie czy nie, mówić z sobą szczerze, moi nielaskawi czytelnicy?? — Sto razy dawałem już sobie słowo, nie pisać dla was więcej, widząc tak obojętne przyjęcie piszących, tak

ma'ą u nas czytelników liczbę; — lecz sto razy znowu nieszczęsny popęd czy nałóg wtrącał pióro do ręki i pisać mi kazał.

Patrząc na stosy rękopismów, które księgarnie odrzucają grzecznie się kłaniając, patrząc na tyle chwil które tym sposobem wyjęte z życia zostały i leżą bezużytku; nie raz myślałem — Na cóż pisać? I na pierwszej karcie myśl ta zabijała popęd i ochotę. Dziś, obojętniejszy na los tego pisma, czy go kto czytać będzie czy nie, biorę pióro jako lekarstwo od długich wieczorów pustych, które moje nowe życie całkiem prawie próżnemi zostawia. Do wszystkiego przywyknąć można, lecz nałóg ciągłego zatrudnienia nie da się przezwyciężyć. Kto raz czas cenić umiał, nałogowie potem, próżno ulatujące chwile, widzi z niepokonaną boleścią. Okolicznościami zamknięty na wsi w miejscu mało znajomém, bez stosunków prawie, dlatysiąca drobnych zatrudnień gospodarskich zmuszony siedzieć i siedzieć *doma*, pozbawiony książek, muszę pisać. — Wybaczcież mi ten wielki grzech. A że poetyczne myśli zabiły gospodarskie kłopoty, że historia potrzebuje materiałów które trudno mieć zawsze pod ręką, muszę przedmiotu do obrazów szukać koło siebie, przed sobą; — przekonany że niema rzeczy na świecie niegodnej uwagi i opisu, że przesąd dawny ograniczający tak ściśle przedmioty bę-

dące materialem do pisania, jest niesprawiedliwy. Wszystko w swoim sposobie użytecznem być może, gdy się tylko zastanowić zechcemy. Każdy kraj, każdy kątek, każdy człowiek, może być ludzom nauką, artyście wzorem lub pomysłem. Dzikie lasy Ameryki Coopera, stare zamczyska Szkocyi Walter-Scotta, czémże są niższe od obrazów, jakie nastroczyć może nasz kraj słowiański? A historie naszych zamków, miast i horodyszcz ileż to poezyj ukrywają w sobie. Niestety! zawsze szukamy obrazów daleko za sobą, przed sobą, nigdy koło siebie. Jest urok w obcej stronie, a swoje tak się osłuchi, a, opatrzy, spospolituje, że wreszcie stracim dla niego uczucie podziwienia, jakieśmy mu winni; a nawet poznać się z niem bliżej zaniedbujemy jedynie dla tego, że machinalnie, materialnie znamy je aż do znużenia. Dla tego też cudzoziemiec nowoprzybyły, żywić wszystko uczuje, więcej u nas zobaczy, lepiej opisze.

Tę skorupę zwyczajnie otaczających nas przedmiotów, małe usiłowanie postrzegania łatwo rozbije. Chciéjmy się tylko zastanowić nad swoim krajem, a znajdziemy w nim, tysiąc wdzięków, tysiąc pamiątek, tysiąc godnych zastanowienia przedmiotów.

Prawda że pierwsze próby poufatych tegoczesnych opisów, nieoswojonym z niemi czytelnikom, dziko w uchu zabrzmia; prawda że

nie jeden swoich stron opis, znajomych osób wzmiankę z oburzeniem przyjmie, jak odsłonięcie niedostępnego przybytku, w którego się lęka wpuścić oko profanów. Lecz wszędzie początek trudny a wszystko jednakże zacząć trzeba.

Dawno nawykły niezważać co ludzie mówią, byleby sam sobie nic do wyrzucenia nie miał i teraz przyjmę wrzawę, krzyki, urazę, jak przyjmowałem najczęściej—milczeniem. Wolno je sobie jak chcąc tłómaczyć. Tak samo przyjmę krytyki nawet najniesprawiedliwsze, tak samo jeszcze przyjmę pochwały, których się nie spodziewam i nie żądam.

Zamawiam sobie tylko, aby nikt nie chciał kilka karykatur jakie się tu znaleźć mogą, brać do siebie. Byłoby to albowiem śmiesznością nieprzebaczoną już dzisiaj, ludziom ostrzelanym tyłą obrazami fantazyjnemi, że gdyby się w każdym z nich szukać chcieli, całe życie strawiliby na tém dręczącym zatrudnieniu.

Sceny historyczne, wspomnienia i opisy miejsc są najściślej jak być mogło prawdziwe, a nigdy się ich sobie nie pozwalał domyślać. Wszystko można sprawdzić na miejscu i w książkach.

Nakoniec, ponieważ u nas jeszcze pisarze z czytelnikami w takich są stosunkach, w jakich byli w literaturze reszty Europy, przed stem

laty i więcej; — potrzeba żebym do powszechnego stosując się zwyczaju, przepraszał ich za to, że się pisać odważył, prosząc o łaskawe względy, pobłażanie i t. d. Pozwalam sobie jednak nieco starą formę odmienić i proszę ich tylko— żeby mnie czytali—nie więcej. Zgadzam się, proszę nawet krzyczeć, hałasować, krytykować, gniewać się, lajać; słowem daję wszelką a nieograniczoną wolność moim nielaskawym czytelnikom; lecz na miłość Boga! — chciejcież czytać przynajmniej.

JARMARK W JANÓWCE.

Zacznijmy po jarmarku, téj gminnej uroczystości tak wesołej, tak charakterystycznej u nas. Na co mamy cyrklować tę książkę wspomnień? idźmy gdzie nas oczy poniosą.

Oto jesteśmy w małej mieścinie Polesia wołyńskiego Janówce. Mało kto zapewne zna ją, prócz sąsiadów, bo bardzo maleńka, zasuniona w lasy i ustronie, siedzi na piasku cały rok spokojna, a ożywia się dopiero na wielki jarmark w dzień SS. Szymona i Judy w październiku. Należała ona niegdyś podobno do możnej a dziś upadłej prawie rodziny Sapiehów. Sławny jęj jarmark przynajmniej promieniem sześciu mil

do koła ściąga żydów, wieśniaków, ekonomów i drobnych właścicieli, z wołami, końmi lub po woły, konie i t. d. Woły jednakże zowiące się tu wszędzie *towarem* per excellentiam, w istocie najważniejszą część targu stanowią.

Nie zachwyca wcale położenie zupełnie poleśskie Janówki; trudno aby w nięm najbardziej uprzedzone oko znalazło piękność jaką; (jakkolwiek piękność w stosunku do smaku jest *względna*). To pewna że trzebaby się urodzić w Janówce, żeby się piękną wydała. Kilkanaście chat na piaszczystęm polu rozłożonych, jedna karczma pusta, pusty także a dość obszerny kościół z klasztorem Bernardynów, rynek szeroki który rok cały trawą zarasta, nim go w październiku wydepczą, kramiki drewniane raz w rok tylko zajęte, młynek mały nareście; — wszystko to nie jest malownicze na równinie i piasku wśród bajrakowatych i pokrzywionych sosen; lecz dzień jarmarku, dzień wielki i uroczysty dla arendarza, nadaje téj pustyni poleśkiej pozór ożywiony i charakterystyczny.

Po wszystkich drogach wiodących do miasteczka, ciągną się furmanki liczne, wozy, bryczki kryte i niekryte, jeźdźcy, pieszaki, budy płócienne nadziewane żydami i rodziny poleśników, w których twarzy próżno szukasz śladów pomieszanych plemion jakie dawniej zajmowały polésie.

Rynek cały napelnia się aż pod kościół i wylewa aż za ploty. Liczne wozy ściskają się jedne koło drugich, a te, jak łatwo się domysłuć, stają się ogniskiem jarmarku, mianowicie przy karczmie gdzie pożądanym spija się *mohorycz*. Mohorycz jest to gdzieindziej zwany *borysz*, dodatek do ceny towaru, *poczastka* bez której wieśniak nie przeda nigdy, a gdy go kupujący odmówi targ nawet zrywa.

Ku południowi coraz zgłęb się powiększa, ze wszystkich stron słychać żywe rozmowy i najrozmaitsze odgłosy. Tam wół ryczy, tu koń rży i wierzga w bok przechodzącym, piszczą wieprze poprzywiązywane na wozach rzucając się, a wielka liczba kóz, które się tu dobrze płacą łączy swój głos z tysiącem innych, w których jednak głos pana świata — człowieka, zawsze prawie górę trzyma. Trudno jest odmalować rozmaitość, postaci, głosów, rozmów, charakterów, fizjonomij, ubiorów, jaka się tu ściska i kręci. Żydzi z bezmianami na plecach, jak z bronią swoją, włóczą się za lnem, grzybami i woskiem; poleszacy w białych sukmanach z pasami czerwonymi lub z czarnej skóry, z kalitką, krzesiwem, papużką tytoniu i nieodstępną fajką w zębach, kopczącą im nieustannie pod nos i gasnącą co chwila i piliponi w wysokich kapeluszach i ogromnych butach, wzrostem i strojem w tłumie widoczni; żydówki brudne, odar-

te i chciwe, kobiety poleskie w chustkach z uśmiechem na ustach a kurami na rękę, hollenderki w dziwacznych płaszczkach z paskowatych kolorowych spodnic; hollendrzy ze swoją rodzimą fizjonomią; cyganie z czarnymi rozczochranymi włosami i t. d. i t. d. Nareście nieocenione figury panów ekonomów w czapkach uszaty, w surdutach szarych, z kijami w rękę, z pogardliwą miną. — A wszystko to w niepojętym ruchu i ożywieniu wszystkich części ciała; zaczawszy od pierników i obwarzanków, aż do wołów i koni wszystko się porusza i żyje. Wszędzie brzęczą pieniądze, na twarzach pali się chęć zysku, nadzieja, lub zaspokojona radość.

Pod namiotem nad powózkami zaimprowowanym wśród rynku, ruski kupiec z Łucka, rozwiesza swoje kolorowe towary, z daleka mile jaśniejące oczom poleszanek. Tu ciśnie się ciekawie i chciwie pozerając oczyma chustki i perkale, żeńska połowa jarmarku, rozwiązuje starannie węzłki dla kupienia niedrogiego stroju ceną kilku kur, lub starą faworytę kozy, którą już żydek przemysłny zarzął wśród rynku.

Obok przemysłne żydki w kramikach siedząc nie odurzeni natłokiem osób, wrzawą i krzykiem, wszystkich wołają, nęcą, proszą, ciągną do siebie, klócą się, targują, biją nawet

i razem zdają jeszcze resztę, uważając żeby jak najgladsze oddawać złotówki — z zadziwiającą przytomnością wszechstronną i talentem nieocenionym. Między wielomównym żydem a cichym kupcem ruskim, waha się żeńska polowa; bo żyd ma swoje przyciągnięcia sposoby, zna serce ludzkie tradycyjalnie, uczył się go razem z Talmudem od ojca, wie szerokie drogi i kręte ścieżki którymi do niego wejść można, ma tysiąc środków na pokonanie ludzi tak bezbronnych, gdy im chodzi o zrobienie przyjemności sobie. Przyciągając do kupna lechce próżność, wabi oczy, pociąga serce i durerzy głowę nieboraka. Nie jeden sam nie wie dla czego i na co kupuje, a nie umie się oprzeć urokowi żydowskich zachęceń.

— Nu! czy to ty zginiesz jak kupisz! aj wej! tak mała rzecz! Tu wasza ekonomowa kupowała ten sam cec i drożej zapłaciła, a ja wam taniej oddam po znajomości. Bodajbym zginął kiedy nie na stratę. Ale to reszta. Albo to ty nie możesz tego mieć co ekonomowa? a wej! a ty siebie nie poznasz jak się ubierzesz? Nu! nu, bierz, już ja odmierzył, na masz! —

— Kiedy nie ma pieniędzy.

— Jak to nie ma? to może ty co masz na sprzedaż, czy to ty nic nie przedał? i t. d. A podusznego przysięgli poczekają, ty jeszcze zbierzesz, a wej!

Nieco dalej kupa sukman, switek, burek, płaszczów, przy wielkiej skrzyni leżąca otoczona jest gromadą kupujących, którzy się dziwią sobie ubrawszy się, i uśmiechają na zwodnicze pochwały sprzedającego.

— A! a! ty inszy człowiek! to ty dom kupujesz nie suknią, a jaka ciepłość, a jaka to noc, a wój! Nu, co ty targujesz, ja tylko dla ciebie za tę cenę sprzedaje. Ty stary znajomy! nu, nu bierz a płac!

Trochę dalej znowu, stoi wóz z kożuchami, gdzie podobna powtarza się scena. Za nim drugi, nad którym wytknięto wysoką tyczkę z parą bótów; ten jest sklepem na przedce urządzonego rozmaitego obuwia, gdzie bogatsi poleszucy długie czarne, za kolana zachodzące boty kupują.

Tuż druga tyczka nad wozem wywieszona wysoko z rostrzepaną papużą tytuniu, wabi wieśniaków do ulubionego im przysmaku.

Wielki sklep czapek rozmaitych rozwieszony na ścianie karezmy, zachwyca chłopów, otwierających przed nim gęby. Stoją przed nim w swoich obdartych białych czapczkach sukiennych lub wyszarzanych barankowych, pretendenci do nowych probują, patrzą, zaglądają, uśmiechają się, naradzają, a kupiwszy wreszcie odchodzą, ciesząc się, poprawując i oglądając się

czy cały jarmark patrzy na ich nową czapkę. To tak samo jak w Warszawie.

Daléj jeszcze w szynku dymią się ogniska, koło których jesienném zimnem skośniałe ręce grzeją poleszuki i fajeczki swoje zapalają i garnki przystawują śpiewając wesoło. Poleszuk bowiem gdziekolwiek stanie, cokolwiek robi, tak lubi ogień i dym, że w lipcu nawet zapala ognisko przez nalóg, a razem dla ulubionej swojej fajki, która mu ciągle gaśnie. Pod ścisnionemi w rynku wozami, leżą długie trąby drewniane osikowe, których przeznaczenia trudno obcemu na piérwszy rzut oka odgadnąć. Są to dymniki czyli kominy chat poleskich które pijani śmiejąc się *armatami* nazywają. W wozach same gospodynie na workach siedząc czekają kupców, a gospodarze najczęściej w karczynie siedzą lub za pokupką się włóczą. Nie małym towarem są tu koła obodne; łyka na postoly, łapcie czyli kurpie, które pękami powiązane wiszą na wozach.

U plotów stoi większa część wołów przeznaczonych na sprzedaż żując chciwie zarzuconą im garść słomy; koło nich kręcą się żydki i panowie wolarze. Droga idąca od młynku do klasztoru zowie się uliczką końską, przez nią nieustannie chłopie ze swojemi chmyzami, ekonomowie z odpasionemi kalekami, żydzi z wypracowanemi szkapami przejeżdżają się kla-

skając z bicia. Kiedy niekiedy targ ich zatrzymuje, znawca opatruje, maca gruczołków pod gardłem, ogląda nogi, zęby, uśmiecha się i targuje.

A w targu jest sztuka i wielka sztuka. Kto nie umie kupować ten i przeplaciwszy nie kupi, trzeba mieć doświadczenie i zimną krew kupca z professyi, żeby dobrze kupić, a nade wszystko potrzeba cierpliwości. Nawet strój właściwy przykładą się do dobrego kupna, bo kupiec powinien być dosyć obszarpany, w baraniéj czapce, z kijem w ręku i minę mieć zbiędnioną. Zwyczajny targ od trzeciej części ceny się zaczyna i zarywa na kłótnią, która powoli potém się uśmierza, aż do ugody przyjdzie.

Ku południu zwiększa się liczba Jchmościów, którzy z fajkami w ustach, z laskami w ręku, najpoważniejszą część jarmarku stanowią, pań także i panienek kapeluszowoszlafrokowych, które się niespokojnie oglądają, czy kto młody przystojny na nie, nie patrzy. Niektóre fizionomie dobrze dokonana sprzedaż ożywia, inne dobre kupno, inne jeszcze dobry trunek, smutnie tylko ziewają ci, którym na wyjezdném z domu stara baba z próżném wiadrem przeszła drogę, i którzy dla tego nie zrobić na jarmarku nie mogli.

Na końskiej uliczce koło wołów, ku wiecz-

rowi dopiero brzęczą pieniądze, bo każdy kupujący w nadziei że sprzedający spuści z ceny, czeka z kupnem do wieczora. Wieczorem obraz jarmarku całkiem się odменя.

Jak wszystko co się kończy, jak bal gdy świece gasną, jak gra gdy stolik odstawują, jak wszelki szal gdy po nim tylko usta spalone zostaną, tak i jarmark smutny jest przy końcu. Niestety! wszystko się kończyć musi.

Tam pijani pokrwawieni trochę, lub tylko pobłoceni taczają się z babami za ręce trzymając i śpiewając chrypliwie, powoli i cicho. Żydzi śpiesznie pakują resztę towarów, zmierzch pada. W karczmie rozbite kieliszki i szklanki, pobluzgane stoły, błota pełno, pijacy śpią pod ławami. Na rynku drzemią przygasłe ogniska, walają się szczątki jadła, stare łapcie i szmaty, tam i ówdzie krew zabitych baranów psy liżą spokojnie. Koło płotów znać po śladach woły, których już nie ma, kolki z nich powyrywane, gdzieś wytrącony ziemia, tam coś rozsypanego, tam rozlanego. Po drodze wozy różnie sprzężone końmi, wołami, wracają. Wszyscy weseli, bo wszyscy prawie pijani prócz Żydów. Cygan z żoną i synową, czarny, zasmalony, odarty, któremu koszula przez kożuch z boku wygląda, gada jeszcze w kącie z chłopem, tajemnie i po cichu. Ten czapkę nową nasunawszy na uszy, z fajką zagasłą

w zębach, z krzesiwem w ręku które z kalitki dobył, krzesze ogień po palcach i skrzesać nie może. Dwie cyganki z czarnymi włosami, a białymi zębami otaczają go ze dwóch stron i gładząc pod brodę starają się przekonać.

Wszystko się pakuje, wyjeżdża i śpieszy do domu, przed chatami mieszczan żegnają się z niemi ich krewni, powinowaci, kumy, swaty i znajomi, ze wsi sąsiednich, całują się i rochożdzą. Ta scena jest najczystsza i najczulsza ze wszystkich obrazów jarmarkowych.

— Dziękuję za wszystko, wołają odchodząc.

— Wybaczajcie, odpowiadają gospodarze.

— *Dobrze wybaczyć najadtszy się.* Jest to dosłowna forma dowcipnej odpowiedzi, którą stórazy śmiechem naiwnym i prostym przyjmują i zawsze jak gdyby nową. Po czém gospodarze ukłony jeszcze z daleka przesyłając, wracają do chaty. A może ciekawi jesteście jak siedziba poleszuka zamożnego wygląda?

Podwórko otoczone jest chléwkami różnego kształtu i wielkości, błotniste, ścieżką wydeptaną przedzielone, prowadzącą do sieni w których duży wieprz karmny poufale chodzi i mruczy znając że jest faworytem domu. Kilka kur sadowi się na belce do snu i trzepiocze układając skrzydła.

Przez wysoki próg wchodzi się do białej izby, izby paradnej gdzie jest piec, na którego przodzie palą się skałki smolne, koło pieca ława, w głębi poczęte krośna, kołyska dziecka i stół także otoczony ławami. Ściany do koła opasują ławy. Ku drzwiom stoi ceber, różka, garnki na półkach i kwarta stara. W głębi, w kątku pod obrazem dzieża chlebna szanowna, poważne zajmuje miejsce pod opieką błyszczącej N. Panny rostaczającej nad nią swój płaszcz gwiaździsty.

Nade drzwiami i oknami krzyże i symboliczne słowiańskie charaktery wejścia wszelkiemu złemu bronią, wycięte pobożną ręką dziaka, który dla wiecznej pamiątki dodał na średniej belce rok 1790.

Próżnoby tu kto szukał śladu podłogi, nie ma jej, tylko ubita ziemia. Okna maleńkie, w części z okrągłych szybek złożone, a prze-myślny gospodarz ściany swoje czysto wybie-lone, glinką żółtą do połowy od spodu żeby mu nowój swity nie bielily, pociągnął.

Na ławie pod piecem siedzi stara kobiéta z fajeczką w zębach, z oczyma wlepionemi w garnki, koło drzwi szczepie dREWKA, wyso-ki parobek z fajką także, młoda kobiéta koly-sze dziecko, drzymie i śpiewa.

Takie jest wnętrze chaty Janowskiój.

Tym czasem na drodze wiodącej ku młyn-kowi, rozmijają się bryczki, wózki, konni i wszystko opuszcza miejsce jarmarku, na cały rok puste znowu jak przedtém, aż do SS. Szy-mona i Judy.



STYR I HORYŃ.

Jedną z rzek Polesia najznacniejszych po Styrze, jest Horyń, którego brzegi nie bezprzy-
czyny z piękności są sławne. Nad Styrem
równie jak nad Horyniem wiele jest osad i
śladów bardzo wielu zamczysk obronnych,
dawniej zawsze prawie u zbiegu rzek, lub przy-
najmniej nad ich brzegami stawianych.

Styr rzeka splawna, wypływa z góry nie da-
leko sławnego w historii Wołynia zamku Ole-
ska, a wpada w Prypeć na Polesiu. Wylewy
jego zapewniają zbiory obfite siana lub jarzy-
ny na łęgach nadstyrowych, byleby tylko zbyt
długo nie trwały i powtórzyły się poźną wios-

ną; a wody ułatwiają handel drzewny, wiele
dawniej znaczący dla Polesia bogatego w lasy
towarne.

Tutejszym mieszkańcom Styr jest tém, czém
Nil dla Egiptu. Bogaty w ryby jako: Bieluszę
czasem trzyłokciową, Głowacza (Holowel),
Plocice, Marenny, Kielby, Wierozuby i t. d. 1),
pływie ciągle prawie lasami i łęgami, rzadko
bardzo brzegi ma dostępne i suche. Nad nim,
prócz bardzo wielu innych, stoją zamki Łucki i
Czartoryjski.

Horyń poczyną się koło Usteczka na Woły-
niu, obfity w ryby, brak mu tylko niezdrowych
a tak smacznych węgorzy. Znaczniejsze
stawy na téj rzece które jeszcze nasz Rzeczyń-
ski wspomina 2) są w Butynie, Młynowie,
Muszkowicach, Wiśniowcu, Łozach, Predmir-
kach, Pańkowcach, Jampolu, Lachowcach, Za-
sławiu.

Oprócz połowu Wierozuba 3) wspólnego Ho-
ryniowi ze Styrem, Słuczą i Strumieniem, o-
prócz Czeczugi (Sturio minor vel oxyrinchos)
bają nam nasi dawni naturaliści o perłach na-
wet w Horyniu pod Ostrogiem, które raz na

1) *Rzeczyński Auct.* 200.

2) *Auctuarium.* 197.

3) *Historia naturalis curiosa.* 136.

wiarę obcych wzmiankuje Rzączyński 1), drugi raz już jako naocznie widziane, nie wielkie 2). Lecz to najmniejsza dziś osobliwość Horynia. Tenże naturalista wspomina róg jednorożca jakiś wykopany pod Bahurynem, pod Zalinem i gajem Chodaki 3) nad Horyniem, któremu osobliwsze własności lekarskie przypisywali empirycy 4).

Jadąc brzegami Horynia od wsi Cepcewicz nie daleko miasteczka Bereżnicy, odkrywają się piękne łęgi, wśród których ta rzeka wstęgą płynie. Cepcewicze wielka osada, dziś na wielu drobnych podzielona właścicieli, ma jeszcze ruiny wielkiego i pięknego pałacu i pusty ogród. Żaden z tych którzy po części rozerwali za długi tę piękną osadę, nie chciał wziąć na siebie ciężaru jakiby na niego spadł z objęcia ruin pałacu, i tak budowa ta jeszcze nie stara, opuszczeniem niszczała. Stare drzewa, widok na łęgi dalekie, ruiny pałacu na wzgórzu, zdobią bardzo Cepcewicze. Od tej wsi jadący brzegiem Horynia zaczyna spotykać Kurhany czyli

1) *H. N. curiosa*. 32.

2) *Auct.* 67.

3) *Auct.* 14. 15.

4) *vires praecipitantes, diaphoretices et alexi pharmacas id. ib.*

mogily, zabytki wojny jakiejs i rzezi, skupione koło osad po kilka i kilkanaście. Miejscowe podania, nie o nich stanowczego nie mówią, wiek ich jednak pokazują jawnie poroście na nich ogromne już sosny. Koło samych Cepcewicz a wjazdu od strony Bereżnicy jest gromada takich kurhanów, wśród której wywrócony krzyż leży, a dalej jadąc spotyka się ich, rozsypanych mnóstwo.

Mimo sprzecznych podań o Szwedach i Tatarach, zdaje się być niewątpliwem, że to są zabytki rzezi kozackich za Jana Kazimierza. Wiemy że w jednym zawieszeniu broni kozacy po Horyń rzekę obowiązani byli trzymać się spokojnie; to więc być muszą mogily zrzezi pierwszych po przejściu nieprzyjacielskiem Horynia. Wszystkie kurhany w tej części kraju do tej epoki zdaje się, odnieść należy. W różnych stronach Połesia wołyńskiego z tejże epoki znajdują się mogily niedaleko osad, zamczysk i horodyszcz starych. Inne, po których rozkopywaniu nic się nie pokazało, mogą być kopcami, któremi Tatarzy pędząc w głąb kraju zagony, znaczyli drogę którą szli, aby naład, splądrowawszy kraj, po nich z łupami na stopy trafili. Gdzie ich jest kilka lub więcej, kurhany tutejsze są zabytkiem wojny a może śladem dawnego smętarza, pojedyncze zaś po lasach, jeśli się jakim podaniem miejscowem

nie tłumaczą i nazwisk osobnych nie mają, mogą być wspomnionemi kopcami drożnemi Tatarów. W ogólności Polesie wołyńskie nosi w gruzach zamczysk starych, w mogiłach i walach, ślady wielu wojen i klęsk przeszłych, które przeżyło. Na wielkiej liczbie trafiających się Horodyszcz często, bardzo od terazniejszych siedzib oddalonych, odkopują kamienne siekierki i inne pamiątki.

Jadąc dalej brzegami Horynia, który się często z głębokich parowów okazuje i chowa, na jeźdźamy na uroczysko zwane Skoczyszczem. Prześliczne miejsce do malowania, do dumania. Horyń ściśniony płynie w dole, a nad nim wiszą poplecione drzewa sosny, dęby, brzozy i gęsta leszczyna; wody jego otaczają do koła wyspę zieloną w dole, u stóp patrzące go położoną, dębami staremi okrytą, na której jeśli się jeszcze bydło pasie — prawdziwa siełanka! Na dobitkę wiąże się jeszcze z tém miejscem podanie, jedno z tych jakie tylko na Wołyniu lud umie tworzyć i opowiadać wśród długich wieczorów zimowych.

Kozak który mnie wiózł wielkim galopem, kiedym go naumyślnie o to miejsce spytał, kiwnął głową i z poetyczną prostotą właściwą Ukraińcom (był bowiem z Ukrainy rodem) zaczął mi opowiadać.

— O Panie, mówił mi swoim językiem, albowiem nie wiecie czemu się to Skoczyszczem nazywa?

— Nie wiem.

— Ja wam powiem. Straszna tu się dawniej rzecz stała. Bo była jedna dziewczyna bardzo piękna (harna) a dwóch parobków w nią się kochało; i chodzili za nią i dawali jęj dary i posyłali do niej w swaty. Ale jęj czy zły duch serce zaklął, czy złe oczy zamówiły, nie mogła kochać żadnego — a obu obronić się nie mogła. Rodzice codziennie mówili trzeba pójść za mąż. Jęj się nie chciało. Bo w chacie ciężkie życie młodycy, pańszczyzna, dom, a jak Bóg da dzieci, to nie ma czasu i głowy przyłożyć. Jeszcze to kiedy dusza do duszy przystanie, a ludzie się pokochają, mogą znieść takie życie; a ta dziewczyna nie kochała z nich żadnego i niktogo jeszcze. Oddalała więc ich różnemi sposobami, to aż skończy krośna, to jak pas wytęcze, to jak siostra dorosnie; aż się w końcu przebrało wszystkiego i rodzice naglili — trzeba było kończyć z niemi. Wzięła się więc biedna na zły sposób. I jak szli z prazniku koło tego miejsca, gdzie rzeka między parowami jak widzicie płynie szeroko na staje; — powiedziała im pół żartem, pół doprawdy: — Który z was rzekę przeskoczy, za tego pójdę. Bo myślała może, że oni ją porzucą gdy im tak powie. Ale oni szli do cerkwi i wzięli błogosławieństwo

nic niemówiąc od popa, i całowali krzyż i ewangelią, a potem szli nad brzeg rzeki, a przeżegnawszy się skakali jeden po drugim, i oba potonęli dla dziewczyny. Co zobaczywszy ona — sumienie ją ruszyło, i żał wziął za niemi.

— *Dwi duszy zhubita, nechaj i ja hynu!* zawołała i trzecia skoczyła w Horyń, a odtąd to miejsce Skoczyszczem się zowie.

Już mnie konie daleko odniosły od Skoczyszcz, a jeszcze myślałem o tém osobliwszém podaniu, tak poetyczném, tak smutném, tak narodowém. Uważcie że dwaj parobcy szli do cerkwi przed fatalnym skokiem, że się żegnali i ufali w Boga, że biedna dziewczyna nie zniosła ich śmierci i poszła za niemi. Cały poemat a przynajmniej piękny śpiew by uszyć można z tego podania; — lecz żeby był zupełnie pięknym, trzebaby go pisać językiem tutejszym, gminnym.

Podjechawszy dalej ukazał mi się krzyżyk nad drogą na mogile. A mogiła zarzucona była gałęzmi; — poznałem że to było miejsce pogrzebu samobójcy, lub przypadkiem zabitego człowieka. Zwykle takich nagle zmarłych chowają na rozstajach lub przy drogach, a każdy przechodzień rzuca tu modlitwę za jego duszę i gałąź na grób. Ztąd formują się stosy gałęzi nad drogami, które są oznaką mogił nagle zmarłych ludzi. Krzyżyk któryśmy mijali nad samym

brzegiem Horynia postawiony był biédnemu flisakowi, który w rzece utonął, i tu został pochowany. Wieczny spoczynek biédnemu! Pewnie płynął najęty za pieniądze, które jego panu zapłacono za niego jak za konia najętego do pracy; — a płynąc oglądał się na rodzinną chatę, na żonę, dzieci stojące u brzegu — płynął posłuszny i utonął. A pan żałował pańszczyzny i chaty nie człowieka, schował pieniądze, wdowę puścił o żebranym chlebie.

Cóż to za poetyczny kraj! myślałem, jadąc dalej, ile tu myśli można po drodze zebrać — ile przedmiotów do dumania. Ruiny pałaców, mogiły, podania! obrazy tak piękne.

Im bliżej Horodźca tém weseliej było, bo lud zamożniejszy, lasy calsze i powietrze nawet milsze; a choć Horyń zdala na lewo się został, nie żał mi go było wcale, bo widziałem już przed sobą Horodeckie topole, bielejący pałac i zabudowania, długą wieś na prawo; powitałem krzyż znajomy nad drogą, znajome ścieżki przechadzek, — tyle pamiątek drogich, choć nie historycznych.

OSSOWA FELIŃSKIEGO.

parva, sed apta mihi, sed nulli obnoxia.

Ariosto.

1) Przebywszy długie i szerokie lasy, trochę piasku, trochę błota, napatrzywszy się sosen, któremi się tak brzydzę jak czere-tem i piaskiem, zbliżałem się wreszcie do Ossowej. Po drodze mijałem Stepanhorod osadę wśród najdzikszego Polesia leżącą, prawdziwie nie piękną, lub tak przynajmniej dziwnie piękną, że jej wdzięku dopatrzeć się trudno, cały

1) Czytelnicy zechcą uważać, że rozdziały pojedyncze nie mają między sobą koniecznego związku podróży jednym ciągiem odbytej.

bowiem ten obraz składa się tylko z głównych pierwiastków piasku, błota i sosen. Z tego materiału żaden jeniusz w świecie, nie prócz pustyni nie utworzy. Ożyw ją czem chcesz, budowami, ludźmi, zwierzęty, będzie to zawsze smutna tylko pustynia. Ale daj mi brzozy, dęby, doliny, wzgórza, staw lub rzeczulkę czystą, choćby tam ludzi, choćby tam muchy nie było, już to pustynia nie będzie. Na nieszczęście w głuchym Polesiu rzadko ujrzeć innego składu obraz, wszędzie piasek, błoto i sosny, zajmują na przemian przestrzenie i szpecą.

Często dzień cały, podróżny nie ma gdzie ekiem spocząć na czem weselszém. To czyni podróż niektórymi stronami Polesia bardzo nudną. Spojrzysz w dół, pod twemi nogami obsuwa się piasek żółty, nagi, niepokryty żadną roślinką, posypyany tylko zwierzchu żółtemi igłami i szyszkami sosen. Przed tobą wyciągają się długie groble i tak zwane nakoty, a po obu ich stronach kępiaste puste błoto, na którym stożyska lub stogi pojedynczo stoją i trawa gruba, szorstka kołysze się powoli od wiatru. Gdzie niegdzie przez rów pluszcze się wąż lub piskorz, a nad nim ulatuje sroka, wrona, krzykliwy bekas lub żałobliwie piszcząca czajka. Sosny które otaczają błoto, nie są to owe piękne drzewa proste, bez gałęzi od spodu, z wierzchu uwieńczone koroną gęsto sple-

cionych gałęzi; lecz krzywe, chore, mdłe, najczęściej podsmalone pożarem od spodu, pół czarne, pół blado zielone, wynędzniałe jak ludzie na złym karmie i w złej doli. Zważcie tedy czy te strony Polesia, w których pejzaż składa się z tych tylko jednostajnych pierwiastków, mogą być piękne? Lecz razem nie myślcie żeby całe Polesie takim było. Są w niem i bardzo piękne miejsca, pierwsza Ossowa do której już jedziem, wcale jest niepodobna do poprzedzającego opisu okolic Stepanhoroda.

Dla profanów którzy lubej Ossowej znać wewnątrz i kochać nie mogą jak ja ją kocham dla jej mieszkańców; muszę powiedzieć aby wzbudzić zajęcie, że była dawniej własnością Aloiego Felińskiego autora Barbary. Stoi tu jeszcze jego domek i jest jego pokoik, w którym swoje arcydzieło urodził.

Ossowa położona jest piękniej nad inne okolice poleskie, dwór stoi na wzgórku nad przepływającą w dolinie rzeczką Bereżanką, nad którą rozrzucone są stare olchy. Na lewo gaj z dębów, klonów i lip starych cudnie zasłania nie miły widok na sosnowe lasy. Na prawo wieś się długo rozciąga aż do młyna i stawu, wśród której stara cerkiewka ocieniona drzewami się wychyla. Wszystko to opiera się na tle oddalonym lasów. W tyle domu widać tak-

że wśród trzebieży wieś Kidry, wzgórze, lasy, pola, a wreszcie las opasujący każdy widok poleski.

Któż nie słyszał o Felińskim, kto nie czytał jego patetycznej Barbary, jego gładkich, bo niestety, gładkich tylko gładkiego Delila przekładów? Ale mało kto zna jego życie i jego Ossowę. Wybór Delila i Alfieriego dość charakterystycznie pokazuje smak jego i teorią literacką. Feliński nie był to jeniusz, ani nawet wielki poeta, ale w wysokim stopniu odgadł i wyuczył się mechanizmu języka, miał wielką wprawę we władaniu nim i wiele cierpliwości w obrabianiu i szlifowaniu swoich robót. Zbyt zimny na poetę, nawet w swojej oryginalnej Barbarze, jakże jest przejęty manierą Alfieriego, jak mało dał jej ruchu, a jak wiele słów!

W jego gabinecie, nad kominem jest jakby wydarty ze stereotypowej edycji Didota portret czyli biust uwieńczony, a raczej tłusta Karykatura Wirgiliusza. Pokój ten w którym pracował, ma jedno okno, drzwi szklane na ogród, jest zimny, długi i smutny, trochę go tylko ożywia kominek.

Feliński dostał Ossowę w spadku, miał na niej nadzieję wielkich spekulacji. Położona w ogromnych lasach, naówczas jeszcze nie tkniętych, które większą część dwóchset kil-

kudziesiąt włók obszerności majątku tego zajmowały; — zdawała mu się nie bez przyczyny zdatną do zasilenia długiego handlu drzewnego, który w owym czasie właśnie się ożywiał. Jakoż zaniedbawszy zwyczajne gospodarstwo, wziął się Feliński szczerze do wyrabiania lasu, balów, klepki, potaszu, najmował ludzi, kupował charcz, zaciągnął długi, a że wszystkiemu chciał sam podolać razem, i pisał Barbarę, ciął las, robił klepkę i tłómaczył Delila, nie bardzo dobrze poszły spekulacye. Dodajmy do tego że zły obrót użytych do przedaży kommissantów, złe lata, słowem fatum zrządziło, że kilkakrotne, kilkoletnie próby, nie mu prócz coraz rzeczywistszych strat nie przyniosły. Zrażony naówczas, porzuciwszy spekulatorstwo, przyjąć musiał posadę naukową w Liceum Krzemienieckim, daleko dla niego korzystniejszą od wyrabiania lasu. Feliński miał syna, ale ten kąpiąc się w rzece utonął, miał dwóch braci i familia jego żyje jeszcze.

Dowiedziawszy się niektórych szczegółów jego życia, ze smutkiem myślałem o nim. Był on lubiony w sąsiedztwie, które bardzo umiało cenić jego talenta, litując się jak nad słabością, nad szczególną manią spekulacyi, której złe skutki przewidywali wszyscy. Nieszczęściem, jeden talent zawsze prawie daje człowiekowi nmiemanie, że może być zdatnym do

wszystkiego, gdy tym czasem nie prawdziwszego nad to, że podział talentów prowadzi za sobą podział pracy. Niezmiernie mało jest ludzi, których można uważać za zdatnych do wszystkiego; — a i ci albo w czémś jednym są najznamienitsi, albo we wszystkiem co czynią znośnie tylko mierni. Nie pojmuję jak Feliński spodziewał się pogodzić skutecznie zatrudnienia spekulatora i poety; — te dwa stany umysłu tak sobie przeciwne jak dwa bieguny. Spekulacye zostawione są tym ludziom z niskim czołem, o świecących oczach, o chudej twarzy i skrzywionem ciele, którzy do niczego więcej za to nie są zdadni, prócz do robienia pieniędzy. Tacy ludzie są czasem potrzebni raz w kilkaset lat na podkrzepienie upadającej fortuny lub wzniesienie jakiej nieznannej familij, mającej zająć miejsce innej znikłej. Lecz poeta mógłby kiedy zniżyć się aż do spekulacyi, aż do drobnostkowych rachub zysku, którym poddać się tylko może, głowa, rozum i oczy takie, dla których świat cały i niebo zakryte są holenderskim dukatem.

Spójrzcie na tych co się dorobili lub dorabiają majątku — któż oni są? pewnie nie poeci. W ich żyłach płynie krew zimna, skrzepla, gęsta, serce bije powoli, oczy się tylko i to czasem iskrzą. W ich przodkach naliczysz dawnych przerodzonych wychodźców Judei, szcząt-

ki krwi germańskiej, kroplę wędrowną z żył John Bulla, lub gałąź szczepu włoskiego skarlalego od lat kilkuset. Speculator żyje w pieńdzu, jego oko widzi grosz pod ziemią, w wodzie, w drzewie, w niebie i na każdym miejscu, widzi go we krwi własnych dzieci, w uśmiechu własnej żony; gdyby mógł go z siebie wyciągnąć *dla siebie*, samby wlaźł w alembik. I takim to się udaje, przytomność umysłu zwróconego przez całe życie w jeden punkt, wprawa, szalbierstwo, instynkt, wszystko im pomaga. Ale człowiek prosty, poczciwy, człowiek poeta jeszcze! bardziej niż kto inny nie wyjdzie na spekulacyach, chyba osobliwszym przypadkiem. Jeśli sobie przyswoi za prawą rękę spekulatora jakiego, spekulator go odrze, oszuka, ukłoni się i pójdzie. Biedny Feliński!

Jeśli w jego dziełach niezbyt popularnych, nie ma on dość upowszechnionej pamięci u świata, została przynajmniej po nim językowi w puściźnie jota, którą on wskrzesił, za którą krzyczano na niego w niebo głosy, którą naręście przyjęto powszechnie. Zdaje mi się że pierwszy Tygodnik Warszawski ośmielił się jęć użyć; — a z jakąż zgrozą patrzyła Warszawa, sarkano Wilno, na ten ogon! Wydobyto zapyłone. Biblie XVI wieku szukając tam joty, zapisa-

no tyle papieru; zmarnowano tyle czasu, a na koniec przyjęto. Czy nie lepiej było zacząć od tego, na czém miano skończyć? Prawda że wszystko na świecie nim wejdzie w upowszechnienie musi przychodzić krwawo jak ta jota, bo człek jest schylony pod panowaniem nalogu, pod ciężarem przesądu, pod brzemieniem uporu; a to wszystko czas tylko leczy.

Kilka listów Felińskiego które mi się zdarzyło czytać, okazywać się zdają wielką żywość charakteru, pisane prędko, wprawnie, niedbale; płynęły jak myśl. Znać w nich człowieka który się śpieszy i ceni swój czas. Wielkie litery, ręka wprawna, frazesa pospolite ale żywe. Jest w nich wesołość i życie, — łatwo uwierzyć tym którzy powiadają znając go, iż był żywy, wesół, poruszający łatwo towarzystwo, czuły i dość wielomówny.

W listach, których wyjątki dała nam P. Tańska, często o swojej Ossowie wspomina i o projektach jakie miał na nią, wynurza się nawet z upodobaniem jakie miał dla niej 1).

W r. 1796 tak pisze o niej: „Oprócz tego wypuszcza mi matka i nieintratną wioseczkę w Po-

1) *Rozrywki* T. VI. R. 1826. N. XXXV. p. 233 i dalsze.

lesiu Ossowę z której ja jednak bardzo kontent jestem. Będę w niej gospodarował à la dzie-dzie, to jest mając wzgląd nadal i spodziewam się znaleźć tam dość zatrudnienia przyjemnego i nieprzyjemnego, dosyć wygody i zupełną spoko-jność. Tak dzieląc mój czas na mieszkanie w Klepaczach, w Ossowie i w Wojutynie, na przejeżdżki czasem do Lwowa, do Zaslavia, nie rozumiem żebym się nudził, a jeśli się to zdarzy, to będzie moja wina."

Tegoż roku w Grudniu tak swoją Ossowę opisywał: „Postawiłem tego lata domek tu w Os-sowie, i mam już jeden pokoić skończony, w którym mieszkam. Domek nie tak wielki jak w Wojutynie, ale zdaje mi się że wygod-niejszy, może dla tego, że go sam stawiałem. Chcę na nim napisać co Ariost napisał na swo-im: *Parva, sed apta mihi, sed nulli obnoxia, sed non sordida* ale nie śmiem dodawać *parva meo sit tamen sera domus*; bo mi matka na niego da-je pieniędzy.

Z Klepacz nie wiele jeszcze uzbierałem, bo choć mam dosyć zboża, ale teraz nie płaci, a Ossowa wiesz że nie bardzo intratna. Pisząc ci tak wiele o téj Ossowie, która podobno ma od-tąd zostać moją wsią rezydencyonalną, kiedy mam w niej domek, ogródek i xiążki, muszę ci dać o niej jakiegokolwiek wyobrażenie. Jest

to wioseczka mająca tylko 8 dusz męzkich 1), marzczki, gaiki i wiele położeń romansowych, ale chleba dosyć mało, leży o dwie mile od Dą-browicy miasteczka położonego nad Hory-niem."

W r. 1800 już zakończył był ulepszenia w Os-sowie i tak o niej pisał: „Wioseczkę dziedzicz-ną Ossowę na którą mam dymissyą od matki, oporządzam jak mogę. Skończyłem domek, założyłem ogródek, poprzyrabiałem łąków, po-biłem rowy w miejscach mokrych, poprosto-wałem drogi i w przeszłym roku odgraniczy-łem się i okopczyłem, skończywszy szczęśliwie sprawę w Trybunale graniczną, przez lat kil-kanaście od mego ojca popieraną. To jest wszy-stko dobrze."

Prawda że dobrze, bo Feliński na wioseczkę która w r. 1796 miała 8 dusz męzkich, dostał powierzchni ziemi 200 kilkadziesiąt włók, w większej części pod najpiękniejszym lasem towarowym. W roku 1805 otworzyły się pro-jekta handlowe — „Téj jesieni, pisze, skończy-łem dział z bracią (miał ich dwóch). Na mnie wypadła Ossowa. Mam tedy teraz dwa dzie-dzictwa o 30 mil od siebie odległe i Ossowę i

1) Dziś ma ich półtorasta; co za różnica lud-ności!

część Wołosowa (po żonie) wypada więc jedno sprzedać albo puścić dzierżawą. Tak wypadnie zapewne, że będziemy mieszkać w Ossowie, gdzie już przywykłem i trochę udoskonaliłem. Potém że lepsza wioska odrębna i spokojna, niż część we wsi z sąsiadami. Będę też miał fabryczkę balów i klepek które tam popłacają. Może dla ich przedania pojedę do Gdańska i wstąpię do was."

W r. 1809 w Marcu przyjmował w Ossowie Feliński, autora *Ludgardy*, *X. Antonowicza* i *Hrabiego Tarnowskiego*. Tak czas jego w pracy podwójnej, korespondencyi i zajęciu ciąglem upływał. W roku 1811 posłał Feliński Barbarę napisaną w Ossowie, w pokoiku swoim, przyjaciółom i wyprawił ją ztąd na świat.

W r. 1814 puścił Ossowę Józefowi Stachowskiemu, późniejszemu jęj nabywcy, w posesyą; — lecz nie bez żalu, który w liście jego w Grudniu z Ossowój jeszcze pisany wy-daje się. — „Interessa po śmierci stryja i brata mojęj żony na mnie spadłe, przymuszają mnie opuścić na czas jakiś Ossowę. Zadzierzawilem ją na trzy lata, a sam z familią przenoszę się do drugiego małego dziedzictwa o dwie mile od Żytomiérza. Żegnając te lube

miejsce, ten ogród który sam zaszczerpiłem, ten dom który zbudowałem i gdzie lat 18 przyjemnie spędził, żegnając moich szczęśliwych sąsiadów, żegnam i ciebie. —"

W r. 1817 już Ossowa była sprzedana: „Przedalem, pisze, Ossowę dla spłacenia posagu siostrze i dla uniknienia szkód nieuchronnych jakich przez zadzierżawienie albo przez odległe gospodarstwo ciągle doznawałem." Niestety! straty te winien był Feliński swoim nie-szczęsnym widokom handlowym, które go w długi wpędziły. Otóż i cała historia Ossowój Felińskiego.

Znajomi Felińskiego, żyją tu jeszcze i mile go wspominają. Powiadają że miał coś w sobie okazującego wyższość umysłową, jaka tylko ludziom niepospolitym jest dana. Swoje poezye niegodziwie czytał. Mówią, że gdy swoją Barbarę przed starą matką deklamował, téj ku końcowi tak się żał losu młodéj królowéj zrobiło, że zaczęła go najmocniéj prosić, aby inny, szczęśliwszy jęj dał koniec. „Wszak to od ciebie zależy, rzekła, zróbże ją szczęśliwą!"

Co za naiwny dowód uczucia i przejęcia się stworzonym przez poetę światem! Feliński czytywał zwykle wieczorami swojęj staréj matce, książki pospolicie francuzkie, a

że staruszka nie umiała tego języka, z największą cierpliwością czytając tłumaczył. To dowodzi jak patryarchalnie był do niej przywiązany.

STEPAŃ.

Stepań jest to małe lecz starożytne bardzo miasteczko nad Horyniem w dość pięknym położeniu u samego brzegu rzeki, otoczone wielkimi ciągami lasów do koła, w których niegdyś, jak wspomina Rzeczyński 1) znajdowało się mnóstwo łosiów. Należało ono do niezmiernych dóbr XXżąt Ostrogskich, potem do Ordynacyi tegoż imienia. W XIV już wieku jako znaczniejsze miasto wspomina je jeograf ruski 2). Był to klucz potem który dostarczał

1) *Auct.* 305.

2) U Schlözera.

63 konnych żołnierzy na potrzeby wojenne, wedle wyznaczenia. Z podziału ordynacyi dostał się ów Xciu Józefowi Lubomirskiemu Podstolemu Lit. a później przeszedł w ręce Hra-biów Worcellów.

Świadczą u brzegu rzeki położone starożytne wały zamczyska i reszta gruzów, a mogiły w okolicy, że ten zakąt poleski, był także niegdys wojny teatrem. W r. 1649 Czarniecki ze Smoguleckim upędzając tłuszcę kozacką płądrującą te kraje, pobił ich pod Stepaniem, jak wzmiankuje prócz innych Twardowski Samuel 1).

Jako niemniej Czarniecki, znamienitą drugą Swoją się pod Stepaniem zalecił przysługą, Z Smoguleckim pospołu i lekeżejszych kilka Kornetów Dragoniej. Lubo to nie tylko Jakić się spodziewali, korzyść ztąd odnieśli. Gdy po błotach, po lasach chlopi się roześli.

Dziś Stepań więcćj dla żyjących swoich mieszkańców, niż dla szczupłych pamiątek historycznych, godzien jest tutaj wspomnienia. Starodawna Synagoga murowana w stylu gotyckim, kilka cerkwi, jeden kościół parafialny katolicki, smętarz z grobem Worcellów na-

1) *Wojna Domowa* 49. C. II.

kształt pyramidy; oto wszystkie nieżywe Stepania osobliwości. Struktura Synagogi po nad samym brzegiem Horynia postawionój, zdaje się wielką dawność okazywać. Żydzi tutejsi mają tu swego Magida, Rabina Rabinów, który się bialo ubiera, który ma być arcy-mądrym i którego oni wielce szanują. Z daleka nawet, jak wieść niesie, cięższe do rozstrzygnięcia sprawy do jego sądu aż tu przynoszą. Magid nie umie po polsku, ani po rusku, tylko po hebrajsku i zepsutym językiem niemieckim, jeździ koczem i musi siebie liczyć do siedmiudzięściu dwóch mędrców na których świat żydowski stoi.

Dzisiejszy stan żydów ujętych po większćj części w prawa ogólne, znajomy jest dobrze. Dawniej juryzdykcyą zwierzchnia nad niemi, do zarządu duchownego, nie wiem dla czego, należała. Synody Dyoecezalne stanowiły przepisy zachowania się, życia i zewnętrznych stosunków z otaczającymi ich ludźmi innych wyznań, mianowicie katolickiego. Nadzwyczajna nietolerancja, okazuje się w tych wszystkich ustawach. Tak naprzykład Synod Łucki 1726 roku 1) zaledwie im dozwala stare Synagogi naprawiać, a nowych wznosić mianowicie mu-

1) *Cap. V. de Judaeis.*

rowanych, wyższych i obszerniejszych surowie zabrania. W jedném mieście jedną tylko Bożnicę przepisuje, nakazuje dla rozróżnienia odrębny ubiór od Chrześcian (żółte czapki i strój ogolony z ozdób i klejnotów), zabrania pokazywać się na ulicach w czasie Wielkiego Tygodnia, processyi, drzwi i okna domów gdy katolicy uroczyscie z Najświętszym Sakramentem przechodzą, przykazuje zamykać; na odgłos dzwonka do domów uciekać i kryć się. Zabrania wręście żydów poborcami stanowić, jak się często zdarzało do czynszów i danin które dzierżawili od panów na Wołyniu; — a w tém daje za przyczynę ich nieprzyjaźń i nienawiść dla chrześcian 1), zabrania dzierżawić ceł, poborów, majątków i te ostatnie na dziedzictwo nabywać. Co dziwniej, postanawia tenże Synod Łucki, aby żydzi, za to, iż zajmują miejsca na których chrześcianie mieszkacby mogli, płacili na lampy do kościołów jaki podatek. Przykład tego rodzaju zapisu znalazłem w nadaniach kościoła Sapieżyńskiego w Kodniu, gdzie jeden z fundatorów sumnę pewną na żydach na utrzymanie lampy w kościele prze-

1) *indignum et juri divino contrarium censes ejus generis homines aliquibus honoribus et officiis inter christianos fungi posse (id. ib.).*

znaczył i do tego ich zobowiązał. Tenże jeszcze Synod o którymśmy mówili, zabrania obcować i mieszkać chrześcianom z żydami, jeść z niemi, najmować się im za stróżów do mogilek, w święta jak jest zwyczaj świece im ucierać i zapalać, za Hamana im służyć, jeść ich Azyma, do łaźni z niemi uczęszczać i t. d. Tenże Synod nadał karczem, w bliskości kościołów, stawić zakazał, a w pozostałych w czasie nabożeństwa, pić, śpiewać i tym podobnie znieważać chwilę uroczystą modlitwy.

Tak srogie były ustawy na papierze, czytamy je nie tylko tu lecz wszędzie, jednakże nie wszystkie one przychodziły do skutku i choć gdzie niegdzie uciskano żydów, nigdzie się oni uskarżać nie mogli na zupełnie ściśle wykonanie urzędzeń dla nich postanowionych. Przecież ten kraj zwano ich rajem i ziemią obiecaną, a gdyby kiedykolwiek na nich cała srogość praw się zlała, byłiby zabrawszy kości ojców z okopisk swoich, poszli otrząsając pył z nóg, do przyjaźniejszego kraju. Jednakże musiało im być tu najlepiej, kiedy tu najdłużej, najliczniej, najmniej zdenaturalizowani od przyjscia swego pozostali. Drukarnie, synagogi, szkoły, sądy, wszystko mieli, a pieniądź wydarty chłopu opłacał panów i możnych, i kupował im swobody, których prawo dać nie mogło. Tylko za Jana Kazimierza i buntów kozackich

wielka ich liczba poległa po miasteczkach. Mogiły nie dalekie okopisk po większej części są pamiątką tych okropnych rzezi kozackich.

Nad jeden kościół parafialny katolicki 1) nigdy w Stepaniu więcej nie było. Cerkwi jest kilka. Znać po szczątkach budowli że nie dawno jeszcze możni właściciele, dokładali starania aby miasteczko podnieść.

Tu w domku małym żyje teraz familia, która niegdyś posiadała ogromne dobra okoliczne i sam Stepań, z których ją okoliczności ciężkie wyzwały. Ta ruina smutna dla patrzących, więcej interessu wzbudza w sercu, niż gruzy zamczyska. Starzec któremu los odebrał majątek i dzieci 2), żona jego wychowana na wielkim świecie, w wyższych towarzystwach, która przeżyła wszystkich swoich, prócz męża, która nie ruszając się z kanapy chwili nie próżnuje, której humor nie ucierpiał od straty tylu najdroższych przedmiotów, dzieci, majątku, znaczenia, której dowcipu i wesołości wiek nie przytłumił, kobieta, która oderwana od świata żywego, stworzyła sobie sama życie w pracy

1) Synod Łucki 1726.

2) Od czasu kiedy to było pisaném, zaszły odmiany smutne, które nie wszystko co tu napisano czynią stosowném, lecz zostawiłem dla pamiątki, jak było.

ręcznej i xiążkach; — druga jeszcze kobieta, która nie będąc ani krewną, ani obowiązana tej familij, poświęciła jej życie, swoją swobodę, wszystkie godziny, która się stała dobrowolną ofiarą litości i podjęła się słodzić tak gorzkie ostatki dni tej nieszczęśliwej rodziny; — oto najsmutniejsza i najpiękniejsza pamiątka, najinteressowniejszy dziś obraz w Stepaniu.

W środku tego małego domku, w którym się mieszczą same pamiątki ich przeszłości; wszystko w nim pokazuje, że tu tylko wczorajszym dniem żyją, bez dzisiaj i bez jutra. Na ścianach portrety dzieci, przyjaciół niegdyś, znajomych — jedyne szczątki dawnych bogactw, stare meble, stare wspomnieniami drobnostki, zbyt mało warte dla ludzi, aby je przedawać, zbyt wiele dla nich, aby się odważyli ich pozbyć. Dawny pan, a dziś tylko mieszkaniec Stepania, do swoich smutków nie ma przynajmniej najboleśniejszego — opuszczenia od dawnych przyjaciół. Przed jego skromnym domkiem często się zatrzymują, karéty, kocz, powozy, posłańcy przyjaciół, których nie oddaliła przeciwność. Szczęśliwy kto ich jeszcze w takim położeniu mieć może! Książki i desenie które stanowią życie gospodyni domu, przychodzą jej jeszcze z rąk dawno znajomych i przypominają zapewne ten czas, kiedy ona sama podobne przysługi przyjaciołom robiła. Dla tych, któ-

rzy z sobą i wewnątrz siebie, żyć umieją — nie wiele do materialnego życia potrzeba, i gdyby nie straty daleko bolesniejsze od majątku, uśmiech jój byłby ten sam co dawniej, a rozmowa i dowcip jeszcze interessowniejsze. Mimo siebie bowiem człowiek kształci się i hartuje przeciwnościami.

Nie daleko tego domku drugi domek — Izdebka ciasna, zimna, nie porządna, a w niej drugi starzec, druga ruina dogorywająca jasnym i wesołym płomieniem. Widzisz tego człowieka, któremu z pod zapadłych powiek błyszczą czarne oczy, ogniste jeszcze, którego usta ściśnięte, nos burboński, wielkie czoło i większa jeszcze łysina, oryginalną całkiem składają fizjognomią? — Patrząc na uśmiech sarkastyczny, na jego obojętność, z trudnością uwierzysz ubóstwu. Słyszysz jak się szczerze, jak długo śmieje, jak rozmawia poufale? Uwierzyszże potem, iż jego frak, jego bielizna, jego kątek zimny, kilka książek, dużo rękopismów, stara lornetka na żelaznym łańcuzku, stanowią cały a cały majątek! Ten człowiek z drugiej połowy Europy rodem, niegdyś krewny Montmorency, sam dobry, jak powiada szlachcic, de Gall, de Courbon, de Courtenay — przyjaciel Ducisa, współczesny i znajomy Napoleona, który zwiedził Egipt jako Inżynier za Imperium, który latał balonem, który znał Cagliostro i wi-

dział go robiącego złoto z merkurjuszu w tyglu o dwóch dnach u Denona w Neapolu; — ten człowiek przebiegłszy Europę, Afrykę i nadpowietrzne kraje, tyle ludzi, tyle wypadków przeżywszy — siadł w Stepaniu umierać??

Życie jego, jak on sam opowiada, dziwnem jest połączeniem zdarzeń osobliwych. Dobry lecz zapewne nie majątny szlachcic, sposobił się na Inżyniera, i w tej, iakęśmy powiedzieli, funkcji jeździł do Egiptu. Po powrocie swoim do kraju, zastawszy żonę kochanką Lucyana Bonaparte, zgryziony rozwiódł się z nią szlachetnie, ofiary jój odrzucił i wyjechał z kraju z Xięciem de Nassau, swoim, jak powiada, krewnym. Gdyż, potrzeba wiedzieć, że z całym światem ma pokrewieństwa, z Burbonami nawet. Tu w Rosyi przez jakiś czas protegowany przez P. Markowa, rwał się na różne sposoby życia, lecz zawsze nieugięty jego charakter, nie dozwolił mu długo wytrzymać. Nareszcie zostawał przy dzieciach Hrabów Worcellów i tu osiadł, nie chcąc się już nigdzie dalej posuwać.

Z prawdziwą filozofią, w zimnej izdebce, bez grosza, bez rodziny, bez sławy nawet, której jako pisarz ma prawo pożądać, wśród kraju którego języka nie umie, ten starzec w wytartym fraku, żyje ze swoim psem i kotem, robi sobie rum do czarnej kawy, pigułki z ziarenek

akacyi, panaceum misyjonarzy Japońskich — i pisze — Satyry!! Tak Satyry! Zawsze z uśmiechem, zawsze z żartem na ustach, prawdziwy francuz XVIII, wieku polihystor w dawnym sposobie, alchemik, religiant, monarchista, śmiejąc się kończy życie na obcej ziemi nieznany; nie tęskni jak szwajcar, nie spekuluje jak Niemiec, nie żebrze jak Włoch, lecz śmieje się jak kosmopolita i francuz — a z resztą pisze i pisze Satyry!

Nowa literatura, nowi pisarze są jego osobistymi nieprzyjaciółmi, — on co wyssał życie swoje duchowne z Rasyna, Cornela, Delilla, i t. p. miałaby ścierpieć Hugo, Dumas, Delavigne nawet i Lamartina? nienawidzi więc ich pisze na nich satyry i zdaje mu się że jego dzieła są daleko, daleko od ich sławnych, wyższe — Dzieła, które niestety, zaginą pewnie z nim razem. Jego wiersze, jak są pisane, można miarkować ze zwyczajnego mu aksjomatu — że się szyją jak bóty, a każdy się ich robić nauczy!

Z całego języka polskiego, jako istny francuz nic więc nie umie; prócz charakterystycznego: *Kokam ciebie*. Osobliwszy filozof!

Prócz tych wszystkich osób, których tu przełotne rysy skreśliłem, jest jeszcze jedna, najmocniej zasługująca na uwagę, na wzmiankę, na uwielbienie ludzi, którego okolica szanuje i kocha — ojciec ubogich, chorych i biednych,

sługa Chrystusa, prawdziwy ewangeliczny kapłan, który życie na nauce dzieci, u łóża chorych i konających, po chatach mieszczańskich, po budach biednych lasa wyrobników, trawi —; proboszcz tutejszy, X. Ch. Ten zacny, świętobliwy i niespracowany w winnicy bożej robotnik, godzien jest stanąć na świeczniku i przykładem świecić swoim współbraciom duchownym. Kto swoje życie dobru bliźnich poświęcił, kto z nauką, z wyższem usposobieniem, z całemi siłami fizycznymi, oddał się na ofiarę ludziom, w imię miłości Chrystusowej, nie szukając z tego, ani pożytku, ani sławy, — ten wart jest pochwał i pamięci. Im trudniej, im rzadziej widzieć podobne przykłady, tém wyżej się one cenia.

X. Ch. równie przebywa w pałacach i chatkach, tu i tam wnosi pociechę, a częściej obcuje z ubogimi, bo ci więcej pociechy potrzebują. Widziałem go zmęczonego bezsennością, kiedy mu jego prace nie dały czasu odmówić pacierzy, widziałem go i wszyscy widzieli liczącego chwile drogie, które nie za swoje, lecz za biednych braci własność uważa — i mamże zamilczeć? — To co piszę nie jest pochlebstwem, jest to odbicie powszechnego głosu — gdyby się znalazł zły człowiek co by mu chciał uwłoczyć, nie wiem nawet z którejby go strony zaczepił.

Dom jego przytułek biednych — skromny i czysty, on sam pokorny, cichy, milczący jak gdyby był ostatnim, lecz słowa ewangelii brzmią nad jego głową — „Kto się poniżej podwyższon będzie, błogosławieni ciszy i pokornego serca, albowiem ich jest królestwo niebieskie.“

Tacy to są mieszkańcy Stepania. Któżby się po tej mieścinie spodział, znaleźć w niej tyle osób zasługujących na podziwienie, politowanie, pochwały? Tę familią patrzącą przez okna małego domku, na swoją niegdyś posiadłość, tego przybylca z Francji w chłodnej izbie ze psem, kotem, pigułkami i satyrami, tego kapłana nareście? A jednak w Stepaniu wszystko się to znajduje. Te wszystkie osoby połączone przyjaźnią, współczuciem, żyją razem, wzajemnie się pocieszają; wspólnym życiem oddychają i gdyby tylko jedno ogniwo tego łańcucha rozerwało się, wszystkieby się rozsypały. Dodać jeszcze potrzeba do całości obrazu postać suchą, bladą, na której ustach krąży uśmiech szyderski, która śmieje się sucho i zimno, a patrzy na świat jak na owoc zakazany. Ten człowiek jakby skończył życie, chociaż nie jest jeszcze w jego połowie, bez nadziei, bez przyszłości, wszystko widzi czarno i smutno. Czemuż nikt z przyjaciół nie powie mu, że najmocniej odczarowane życie, jeszcze znajduje w ciągłej

pracy i nieustannym zajęciu, lekarstwa, pociechę, nadzieję?

Co tu uwag nastreczyćby się jeszcze mogło? Jaki obraz dla malarza charakterów w życiu spokojnym, dogorywającym, skończonym tych istot, które stanęły i nie idą dalej, patrzą w grób i stoją nad nim spokojnie, czekając aż wien wpadną. Człowiek póki ma przed sobą świat i nadzieję, póki jeszcze nie wie czym jest i czym być może, jest ciekawą zagadką sobie i braciom, lecz gdy się ta zagadka ze wszystkiem rozwiąże zawczasie, jakże smutna reszta życia; gdyż przeżył siebie, nie mu już nie przybędzie, a całą odmianą spodziewaną jest ubytek tylko. Dni unoszą z sobą przyjaciół, resztę wspomnień, żyjących towarzyszy, wesołość, grób się coraz szerzej otwiera, coraz czarniej, coraz tam za nim czeka więcej swoich — ale na dnie jego widać enotliwym — niebo i aniołów! Szczęśliwi co tę pociechę czują przynajmniej!

OSADA SÉRNICKA.

..... Ku wieczorowi się miało, gdy przybył do miejsca osobliwego, które wam tu opisywać będę; a wieczór dnia siódmego kwietnia, był już niby wiosennym. Niby; bo jeszcze ledwie niektóre wierzb gatunki puściły kotki, na polach ledwie gdzie niegdzie drobne listki zielenieć zaczynały, trawa brzegiem wód puszczą, a bydło wyzwolone na paszę, szukało z trudnością większych nieco liści, aby je warzami zająć mogło. Kozy ogryzały gałązki, muflony wszelakiej barwy białe, srokaty, rude, czarne, plamiste, po kolana w wodzie zajaśniały smaczno paszę, któraby nasze drogie merynosy

potrula. Dojeżdżaliśmy groblą, potem częścią wsi P. Skirmunta do osady sérnickiej szlachty, którą chociaż już przedtém widziałem, nigdy mi się jednak tak dziwnie oryginalną nie wydała jak teraz. Leży ona wśród błot pińskich nad rzeczką Stubłem, latem tak wysychającą że ją kury przejść mogą, lecz na wiosnę niosącą obijaniki, a nawet barki na sobie.

Osada ta licząca do 240 dymów szlachty zatrudniającej się rolnictwem, najmem do robót gospodarskich i t. d. siedzi u samego brzegu rzeczki. Wioska P. Skirmunta za mostem, przedzielona od niej rzeką, jest porządnie pod sznur zbudowana, a nawet nieco wykwintnie;— osada zaś szlachecka nie ma prawie ulic, każdy w niej mieszka i buduje się gdzie chce na swoim zagonie, każda obórka w inną się stronę obraca, każdy dom gdzieindziej patrzy, każdy dziedziniec w inny bok się otwiera, prawdziwy obraz nieładu i swobody szlacheckiej. Wśród tego Kafarnaum budowli, włączają się postaci podobne wieśniakom z ubioru a czasem i twarzy, kobiety białe, żółte, chude, dzieci pół nagie — to są wszystko panowie szlachta!

Tam i sam wyglądają z pomiędzy chat karczmy, a naprzód dwie najsławniejsze: Łachmana i Chiela, inne walą się ze starości lub ciężko na podporach jak na kulach stoją. Te karczmy są tu dla szlachty, czém dawniej były w mia-

stach Ratusze i Rady, a arędarze mogą się nazywać wielkorządzcami téj osady, bo bez nich nic się nie dzieje.

Kiedyśmy przybywszy potrzebowali nająć czółno, żeby nas ztąd dalej przeniosło na Styr, radziłem śpiesznie z tém żądaniem udać się do szlachty, ale mój towarzysz podróży, znający miejscowość odpowiedział mi.

— Szlachta sama nie najmuje czółen swoich i siebie bez arędarza wszechwładnego Łachmana. On ich godzi, klóci, najmuje i połowę najmu sobie bierze. Żaden szlachcie nie ma obijania, a gdyby go miał, żydzi którzy przy sobie utrzymują monopolium żeglugi, zarazby go odkupili. Żyd tutaj jest to osoba wszystko mogąca, wszystko znacząca, a panowie szlachta mimo całej swéj dumy, słuchają go jak pana. Łachman każe iść, idą, każe nie iść, nie pójdą, swata ich, żeni — godzi, klóci, bogaci i obdzierni — słowem jego to kraj i zawojowana prowincya, on z téj strony Stubla, z drugiej P. Skirmunt jednakowo panują.

Ruszyłem ramionami, myśląc o władzy, jaką oni ruchliwym umysłem, kwaterką i pochlebstwem wyrobić sobie umieją. Tym czasem z łaski i namowy P. Łachmana, ruszyła szlachta napiwszy się wódki, gotować nam czółno z którego wylewano wodę, zaścielano słomą i wiszarem we środku. Reszta próżnujących a

ciekawych otaczała nas prowadząc żywą rozmowę.

Na samym przedzie kolumny, stał P. Hor.... mający jak było widać reputacją dowcipu i rozumu; nieco podpity i bardzo wesół. Jego oczki świecące i zęby ciągle wystawione na jaw, dowodziły że humoru nie brak mu było. Cały w conceptach, śpieszył się z gadaniem, chcąc jak widać wysypać przed nami wszystko co miał w głowie.

— Wszystko prędko będzie — niech się panowie obywatele nie turbuja. Szlachta sérnicka nie odmówi przysługi dla swojego sąsiada. Żwawo chłopcze, zawołał na wylewającego wodę z czółna. To dobry chłopiec — obrócił się do nas — o będziecie z niego PP. obywatele kontenci — to krew moja! to krew moja, a familia Hor... nie zawodzi.

Uśmiechnąłem się na te słowa, które mi przypomniały słyszane nie dawno od jednego wołyńskiego magnata, z równą dumą jak z ust sérnickiego szlachcica wyszłe — podobne wyrazy zupełnie jednéj myśli z temi.

Potém P. Hor.... ciekawy o mnie, kto jestem, bo mnie nigdy nie widział, póty chodził, póki się nie dowiedział nazwiska i znajomości nie zabrał. Nareszcie przymówił się niezgrabnie do garstki tureckiego tytoniu i zaczął narzekać na zerwaną groblę na części gościńca

pocztowego należącój do Sernik pod Lubiaziem.

— Ach panie co za czasy! co za czasy! kiedyś to i ja tamtędy wodziłem P. Generała Beningsena, a nie kazali grobli reperować choć dla tak wielkiój figury; tylko kolkami wytknięta była droga. Między niemi trzeba było jechać, a krok w bok to i zginiesz. No — a ja przeprowadził.

Potém poprawiwszy pasa, utarłszy nosa po szlachecku, tak dalej prowadził, nie mogąc zamilknąć.

— Nie ma czém PP. obywateli przyjąć szlachta sérnicka, dla PP. obywateli to wiele potrzeba.

— Ot, odezwaliliśmy się, dobrem sercem i gawędką przyjinujesz.

— A może, odezwał się drugi z tyłu, panów to gadanie napilych obraża.

— Bynajmniej, owszem bawi.

— Nie — nie może obrażać!

— I pewno nie, zawołał Hor.... czemuby obrażać miało. Szlachcie na zagrodzie, równy wojewodzie Mosanie. *Szlachcie w tapciach a cztowiek!* (co do słowa).

Mój towarzysz chcąc zażartować odezwał się.

— Ależ żartujesz P. Hor.... że nie masz czém przyjąć, macie takie piękne szlachcianki.

— O! o! o! co tego to nie ma! dalbóg nie ma;

o nie! rzekł nadstawując się dumnie, a reszta szlachty potakując rozśmiała się.

— Wać się śmiesz, odparł Hor.... do jednego który miał dwie łysiny z dwóch stron nie ogolonój brody, aleć to wiadomo, choćby WPana żonka była jak ładna!... kiedy Sampana, to jój nie ma dla nikogo.

— Wszyscy kiwnęli głowami, P. Hor. się uśmiechnął i napędzał do gotowania czółna.

Gdyśmy tak rosprawiali, przyrządzono do drogi obijanik i żegnając szlachtę siedliśmy do niego.

Powoli odbito od brzegu. Mijając chaty szlacheckie i karczmy nadbrzeżne, płynęliśmy Stubłem ku Styrowi, a na brzegu widzieliśmy jeszcze stojącą szlachtę nad wielką barką nalożoną garnkami.

Myślałem wtedy o téj dziwnój osadzie, o jój obyczajach i życiu tak nędzném, które łatwo poznać z samego ich ubrania. Najbogatsi Machnowicze z których jeden piastował dostojny urząd kluczwójta, a spadek po nim nie dawno żwawe obudził spory, reszta, mnogie rodziny Sérnickich, Poluchowiczów, Dubinów, Szolomyckich, Szuszków, Boryczewskich, Kudernickich i t. d. żyją ze swoich zagonów, z najmu na czółna, do košby i żniwa w okolicy. Przy całém tém ubóstwie jest w nich jednakże rodzaj dumy, który ich od chłopów odróżnia.

Krój nawet ubioru mają odmienny. Wprawdzie siermięgi Sérnickich są białe jak u chłopów, ale mają niby kształt kapot, kołnierze małe innym krojem, pasy nie czerwone ale czarne, na nogach łapcie także jak noszą wieśniacy, lecz przy nich często rzemyki zastępują sznury. Szlachcianki chyba w wielkie święta, gorset i trzewiki kładną, i to nie wszystkie, zresztą ich ubior niczem od chłopianek się nie różni.

Charakter płci obojęd, a nawet rysy twarzy znamionują ich i oddzielają, niektórych miny poważne, włosy siwe i bez koltuna, prześliczne łysiny, z pod których wygląda guz dumy bardzo wyraźny, jakem to miał zręczność na głowie jednego z Machnowiczów opatrzyć.

Wszyscy są dziś wyznania greckiego, zabobony ich wspólne z chłopami, o których ocierając się, mimo dumy wrodzonej, przejąć musieli od nich wiele mniemań i zwyczajów. Słyszałem jak jeden z wiozących nas Hor.... rozpowiadał o młodym chłopcu po którym właśnie dzwoniło w Cerkwi, a dźwięk ten towarzyszący powieści, miał w sobie coś nadzwyczaj poetycznego — bo i księżyc świecił i wody szumiały i dzwon pogrzebny zwolna się odzywał — Ten chłopiec, mówił, swatał się do jednej szlachcianki i jakoś się sobie nie podobali, on wkrótce potem zachorzał i zaraz umarł z tego.

Stary, łysy Machnowicz rozśmiał się i rzekł.

— Zabobony!

Szlachta mówi językiem ruskim chłopów wołyńskich, mieszając weń słowa polskie, a czasem i przysłowie stare, zabytek ich pochodzenia i ślad cywilizacyi. Ich spory i kłótnie żarte, są także piętnem właściwem dowodzącem pochodzenia, zachowali w nich upor i zajadłość taką, że czasem zabicie kaczki lub kury bywa przyczyną nie wygasłej kłótni między familiami całemi.

Gdyśmy się coraz, płynąc, oddalali od Sérnik, prowadził nas bieg wody między rzadka stojące po brzegach krzaki karłowate olszyny. Jedni z drugich śmieli się przewoźnicy że to ich puszcza, a wskazując na pniaki stare, od których chude puszczały lato-rośle, wmawiali sobie dumnie.

— I to olcha Sampanie.

— A cóż panie Antoni, alboż nie puszcza, wszak tędy nie dawno szedł łoś od Mikolajewa.

— A tak panie Janie — łoś!

Widok tych ludzi zajął mię i zasmucił razem. Stan ich barbarzyńskiej ciemnoty, a przytém pomieszane jakieś wspomnienia arystokratyczne lepszego rodu; duma w każdym ruszeniu i słowie, smutno od siebie i od ubóstwa ich

odbijały. Przez jakież to koleje ci ludzie doszli do takiego stanu, takiej ślepoty!

Powieść miejscowa, nie wiem o ile prawdziwa, niesie: że sérnicy szlachta noszą jeden herb i mają go nadanym od królowej Bony. O co chcesz spytaj u nas, o zamek, o nadanie, kościół, lud ci zawsze tę Bonę przypomni. Smutny to dowód jak sławę często niesłusznie świat daje, jak imiona często najmniej pamięci godne, wyżej siedzą od najgodniejszych wspomnienia.

Wszystko jój teraz przyznają, czego ona nie zrobiła, królowa Bona z całego szeregu królów Polski, jest niezawodnie najpopularniejszą, a tę sławę pozyskała jój kilku zamków i kościołów budowa, i nadania prawa Magdeburgskiego miasteczkom, które do niej docześnie należały.

Herbu Sérnickich nie znajdziesz w Niesieckim. Pomiedzy szlachtą mieści się i nieszlachta, wyzwolenicy, którzy od panów uwolnieni tu zagony kupują — i takich liberowanych jest kilka rodzin. W okolicach Sérnika kilka jest jeszcze podobnych osad szlacheckich, że innych nie wspomnę. Dzikowicka wśród niedostępnych błot bliżej Pińska położona, ale zdaje się że szlachta tamtejsza straciła więcej charakterystycznej dumy. Kto wie jaki jest ich ród i

pochodzenie? Jestli to tylko rozrodzona familia szlachecka, czy resztki jakiego ludu rozsypanego, przychodniego, któremu nadano swobody, jak się to często zdarzało. Zostawiamy to dalszym badaniom.

CZARTORYSK, OKOŃSK i t. d.

Historii starodawnego Czartoryska trudno się teraz dobadać, ginie ona w odległej, a nie rozświetlonej pomnikami starożytności naszej. Około 1458 r. imie Książów od Czartoryska wzięte pospolitszym się staje, z kąd wnosić wypada, że już naówczas miasteczko a nade wszystko zamczysko exystować musiało, od znacznego przeciągu czasu. Cytuje Niesiecki 1) dokument jeden dany w Czartorysku r. 1537. W podziale majątków w r. 1547 d. 19 Lip. Iwan

1) T. I. f. 368.

Xże, Klewań i Bilhorod, a Alexander, Czartorysk wziął i Litowież.

Zamek z którego dziś zostały tylko gołe mury z orłami na szczytach, wał wysoki i głębokie fossy — zbudowany był wedle zwyczaju u samego Styru na wysokości górze, którą o milę blisko ze wszystkich stron widać. Architektura ruin zamkowych dzisiejszych, wiek XVII pokazywać się zdaje. Toż i niesmaczna budowa blisko stojącego byłego klasztoru i kościoła Dominikanów, daleko widnego w okolicy, bo jeszcze wyżej od zamku wznoszącego się. Mieścina otaczająca to jądro, jest mała i nikczemna, lecz zachwycające jej położenie. Wśród pagórków po których wielka liczba grusz rozsypana do koła, parowy, mogiły, Styr płynący w dole przez zielone łągi, oddalone lasy czerniejące w dali, — wszystko to piękny obraz składa uwieniczony kościołem i zamczyskiem na górze.

Góra na której się miasteczko wznosi, nie jest przykra, nieznacznie wjeżdża się na nią, i dziwić się prawie potrzeba wjechawszy, dla czego z tak daleka widać ją było. Zważmy jak to położenie nad okolicą panujące, rzeka u stóp góry i łągi często zalane, bronić musiały przystępu i umacniać zamek.

Dawny kościół czartoryski tym był osobliwy że go stawiał i nadał akatolik, a to przez

miłość dla zmarłej żony. Taka jest bowiem fundacya Jędrzeja Leszczyńskiego Wojewody derpskiego, Starosty dubińskiego, który po śmierci żony Anny Xźniczki Koreckiej Samueli sławnego córki, około 1630 r. wystawił ten kościół i nadał mu 10,000 zł. funduszu 1). Ar-

1) Okolski T. I. 550. Niesiecki T. III. 93. Starowski w Monumentach f. 325 taki cytuję nagrobek na blasze srebrnej téj Annie Xźnicze Koreckiej położony przez męża.

D. O. M. S.

Adsta viator et dole

Dilapsam in cineres facem.

Magnorum Lithuaniae Ducum.

De paterna stirpe

de materna

Principum Moldaviae

prolis

Samuelis Korecij

Turcarum terroris

filiae

Andreae Comitissae de Leszno

Palatinidae Belzensis

Coniugis

Annae

Quicquid mortale fuit

Hoc clauditur Mausoleo.

Unico relicto filio cum altero post partum XXX Maij

Anno Domini MDCXXXIX.

chitektura kościelna i fronton wklęsły wcale nie piękne.

Jako osobliwość, cytuję nasz Rzączyński 1) urodzonych razem w Czartorysku dwóch sy-

Cum vixisset annos XXI heu duos et trimestre tantum
cum marito

olim felicissimo, nunc moestissimo.

Fatis concessit.

Abiit tamen illa non obiit.

Quicquid enim decoris, quicquid miri, quicquid
fausti coelum

naturaque habuere, in hanc contulere omnia
hoc

Aeterna memoria mori non sinet

Uno verbo

non

Tumulum

sed

Virtutum cumulum

vides

Vale viator

nec dole

Dilapsam in cineres facem,

felicissimae uxori

infelix maritus

posuit.

Tristis ut fleret, tantum ipsi Parca dolorum

Ostendit potius perfida, quam tribuit.

Obiit Czartorysci, ibidemque sepulta. Anno MDCXL
mense Febr.

1) Hist. Nat. p. 309.

nów i córkę, dowód anormalnej płodności. Tenże w Xięstwie Czartoryskim wspomina jezioro jakieś okrągłe wyrzucające z siebie wszystko co weń wrzucą 1) ale teraz trudno dobiec o jakimś chciał mówić.

Dzisiejsze opuszczenie miasteczka boleśnóm jest dla podróżnego, im bardziej bowiem przez swoją starożytność i położenie zasługuje na uwagę, tém dziwniej patrzeć na teraźniejszą jego nędzę.

Przebywszy trochę lasów i piasku dostaliśmy się do Kołków miasteczka dóbr XXżąt Radziwillów, nad Styrem leżącego. Ta familia rozległe majątki posiadała w okolicy, z których wiele już przeszło w obce ręce. Miejscowe przysłowie tłumaczy pocieszenie nadanie trzech wsi, które także podobno wyszły z rąk Radziwillowskich. Powiada ono, że dano:

Jaroml

Darom

Łyczki,

Na czerewyczki,

Trosteniec

Na taniec.

Tenże sam Trosteniec, wedle drugiego przysłowia zowie się końcem Polesia.

Trosteniec

Polisia koniec;

1) *ib. p. 225.*

aczkolwiek jeszcze się w koło dalej Polesie rozciąga.

Kołki zwały się dawniej Romanowem, dopiero po jakimś pożarze w XVIII podobno wieku Kołkami się zwać poczęły, bo kołki tylko wówczas zostały. Koło cerkwi murowanej zastanowił mię na słupie posąg rycerza z kamienia, w całej zbroi z chorągwią, uszkodzony nieco, ale nikt nie mógł mi wytłumaczyć co znaczy. Zdaje się że to jest S. Floryan patron od ognia, postawiony po pożarach którym to miasteczko uległo kilkakrotnie. Kołki miały dawniej dosyć jarmarków, a mianowicie na S. Piotr. Ten ostatni za dobrych czasów trwał aż do dwóch tygodni, i tu z Litwy przyjeżdżano w sół się zasposabiać, którą Wołyn przywoził. Kupey z towarami ciągnęli się aż z Berdyczewa. Lecz teraz ustał ten handel, i jarmark na Petra podobny jest innym małym miasteczkom.

Za napadów kozackich, żydów tu taką ilość wyrznęli, że dziś jeszcze trwa pamięć grobli którą ich trupem usłano. Jest także podanie o dawniej posadzie miasteczka i cerkwi, które się w ziemię zapaść miały; — nie wiem za co ta kara. Mieszczanom zdaje się, że jeszcze dziś słyszą dzwonienie w zapadłej cerkwi i śpiewy obchodzonego tam nabożeństwa, gdyż u nich zawsze co zapadnie, składa drugi świat

podziemny. Było tu zamczysko jak w wielu innych miejscach, którego dziś ani śladu.

Z Kolków dażyłem do sławnego Okońska, sławnego ze źródła swego. Położenie jego zupełnie poleskie, w lesie, piasku i błocie. Nie daleko pocztowego gościńca w ocembrowaniu nie wielkiem znajduje się tu niezgłębione okno, z którego wychodząca woda młyn przez cały rok obraca i zawsze na jednej utrzymuje się wysokości. W lecie zimna, w zimie ciepła, co głębią jej pochodzenia dowodzi. Okno to wśród błota, na dnie piaszczystem nie wielkiej średnicy, wedle wieści i próby dna nie ma. Boki jego spuściście lejkowate, okrywa rodzaj porostu, algi, która przy świetle dziwnie się mieni jak opal lub piersi modre gołębia, z niebieskiego w zielonawy papuzi kolor. To okońskie źródło jest osobliwością w okolicy, a wielkim skarbem dla właściciela majątku. Ciągłe i nieustanne dostarczanie wody, której siłę przez podniesienie jeszczeby powiększyć można, dałoby tu nie jedną fabrykę pożyteczniejszą od młynu zastosować. Na rzeczulce która się zaraz z tego źródła osobliwego formuje, stoi w niewielkiej odległości, znaczna ilość młynów wodnych. Siła wody z tego okna płynącej jest tak wielka, że kiedy młyn nie miele, wodę spuszcza ją, boby jej dla ciągłego przybywania, zatrzymać nie można. Gdyśmy cie-

kawie opatrując źródło pili wodę, wyszedł młynarz i zaczął z nami rozmowę. Pytaliśmy go, czyli w bliskości nie ma więcej źródeł podobnych.

— Było wprzód okno takie gdzieindziej, odpowiedział, ale już temu dawno. Po tamtej stronie drogi o kilka staj jest jama głęboka lecz sucha; a powiadają że dawniej ztamtąd szła woda. I raz podobno biegały krowy z buhajami, przyszły się napić wody z okna, popadały, a buhaje za niemi. I odtąd zaraz sprzeciwiła się woda, wyschła jama, a tu otworzyło się okno.

Bardzo byłem rad temu doskonałemu tłumaczeniu i tradycyi, chciałem nawet oglądać tamto miejsce wyschłe, gdzie miało być wprzód okno, ale czas mi nie dozwolił — Nie wiem czy nie o Okońsku to wspomina Rzączyński, gdy pisze że w Xstwie Czartoryjskim jest jezioro małe, które wszystko coby weń wpadło, z siebie wyrzuca. Inna jeszcze popularna wieść, iż woda tak silnie się dobywa, że na środku wypukła się zdaje; nie jest prawdziwa.

Szukałem w Rzączyńskim wzmianki o Okońsku, na którą to źródło przed innemi zasługiwać się zdaje; i nie wiem czy nie o niem to mówi, zowiąc go Bezodnia 1) *Oknicensis*. Nie

1) *Auctuarium* p. 225. *Lacus ad Ecclesiam Ruthe-*

zgadza się tylko opis Rzączyńskiego z rzeczywistością w tém, iż dziś tu ryb nie ma.

nicam Oknicensem spectatur parvus, rotundus, profundissimus, ideoque vulgo Bezodnia vocatus, id est fundum non habens, ex illo profluit, rivus lapidem molarem circumagens, stagnum intrans, saepe tam copiosam aquam effundens, ut molendinum tollat. In eo lacu piscosissimo Carpione allectus captus est hamo lucius trium cubitorum et medii missusque Cremenecum.

LASY POLESKIE.

Stosunek ziemi zarosłej lasem, chróstami, łożami i t. d. do oromiej w Polesiu, jest taki, że ledwie trzecia część jej, dotąd wyrobioną została. Wprawdzie dla małej ilości rąk trudno by pola rozprostrzeć, gdy nic jeszcze nie znamięnuje, ażeby je machinami gospodarskimi zastąpić miano; przytém rodzaj ziemi piaskowej i nieurodzajnej, nie wiele obiecuje.

Większa część lasów poleskich składają sosny, i choiny bajrakowate; jedne proste, wysmukłe, i zdadne do wyrobu i handlu, drugie pochyle, skrzywione, skurczone i na nic prócz

opalu nie zdatne. Puszcze poleskie w których głębinach kryje się jeszcze wiele zwierza, są już jednak dziś z lepszego drzewa wyniszczone prawie zupełnie, przez ciągle wyrabianie balów i potaszu. Oprócz sosen, rośnie tu jodła i świrk nad wodami, brzozy w wielkiej ilości osina, dąb po lepszych gruntach i t. d. Ku Wołyniowi tarnina i szypszyna lasy podszyna.

Po nad drogami smutny jest pozór lasów gdyż bliżej ludzi są zniszczone i niegodziwie popsute, większa część sosen popodcinana, inne powalone przez podpalenie, pokaleczone niemilosierdzie.

Smutno jest patrzeć na mnóstwo niezliczone leżących i gnijących kłoców, których nikt nie bierze na opał nawet, bo wieśniacy zawsze z pnia rąbią. Często spotkasz wielkie przestrzenie lasu przez niedozór i niedbalstwo wygorzałe i żółte; bo podłożony w suchej porze przez pastuchów ogień, straszliwie się roznosi i niczem potem ugasić nie daje. Ta jedna klęska wiele lasów poniszczyła.

W głębi, gdzie lasy lepiej są podszyte, piękniejsza ich fiziognomia, wznoszące się po nad gęstemi zaroślami drzewa żywszy pozór mają otoczone krzakami i kwiaty dzikimi. Czasem zdarzające się łąki wśród lasów, przypominają kawałek parku. Lecz wśród sosnowych za-

rośli, gdy napadniesz na kępiaste błoto, trzeba oczy zamykać!

Pomyślawszy jak dawno zaczęto już tu bez ładu lasy niszczyć, gdy się Jan Kochanowski na to w Satyrze skarżał, dziwno że dotąd tyle ich zostało. Rzeczyński wspomina o wyrobie klepki (*segmenta querculum*). Wańczosów (*assamenta*, *Gichenebolen*, *planken*.) i potaszu (*Cineris clavellati*); nie jednak o sosnowych balach, dziś tu najwięcej wyrabianych nie pisze.

Zwierza wielka się tu ilość znajduje, nawet łosie, niedźwiedzie, dziki, bobry i rysie spotkać można, lecz coraz rzadziej, bo liczba myśliwych się powiększa, a lasy przetrzebują. Z chartami trudno a prawie nie podobna w kraju tak błotami i lasami poprzęznanym polować. Za to gończe i obławy czyli huczki dopomagają strzelcom. Ten rodzaj polowania najużywaniszy na zwierza grubego. W zimie na sarny polują z sankami objeżdżając, z wyżłem szlachetne polowanie na ptastwo, tu mało znajome.

Polowanie z obławą czyli huczkami jakiego tu używają, jest dość nudne dla tych, którzy albo myśleć nie umieją, albo nie dość są myśliwi, żeby dzień cały trudu i oczekiwania, jednej przyjemności wystrzelenia poświęcić.

Od rana zaraz budzi śpiącego gwar schodzących się ludzi, strzelców, budników, mazurów,

i psów które się gryzą włączając ze sforami po dziedzińcu. Zbierają się myśliwi w borsucznych torbach, w nowych łapciach, z fuziami osobliwszych kalibrów, których panewki zajęczkami ogonami formalnie są pozatykane. Naturalnie o czém rozmowa między niemi, jeśli nie o myślistwie. Tu pole dla zręcznych łgarzy.

— O mosanie! (Anegdota historyczna) jak to ja przeszłego roku polowałem na sarny. Tam, w lasku nad rzeczką, na przesmyku stałem sam jeden. Słyszę, psy gonią, szeleszczą liście i gałęzie, idzie kozioł! ja do fuzij, mierzę się, przypuszczam, mierzę jeszcze, strzelam nareście. Buch!! pada. — Ja do niego i z radości panie moją czapkę kładnę mu na rogi. Schodzą się myśliwcy pogrzebowego zapieć — aż tu mój kozioł, djabli nadali, nie wiedzieć zkąd zrywa się na nogi, prostuje i bieży w las z moją czapką. Wszak prawda panie Janie —

— A prawda panie! odpowiada z zimną krwią zapytany. Jeszcze odbiegłszy na staję, zdiął czapkę, uklonił się i rzekł — adje — do zobaczyska!!

Takie to są rozmowy przed polowaniem. Tym czasem strzelcy piją wódkę, panowie jedzą śniadanie, psy chodząc wachają, wozy zaprzęgają, huczków wyprawują, rozdzielają proch, szrot, łóftki czyli pieńki. Nadzieja ożywia wszystkie twarze, konie rżą — jedziemy.

Z nami wszyscy się zbierają w lesie — konie zostawują, roskładają ogniska i radzą długo, radzą poważnie, gdzie waga lasu, zkąd psy zapuścić, jak huczków postawić. Sprzeczki żwawe między promotorami i znawcami, ten ztąd, ten z owąd chce zachodzić, ten od wiatru, ten za wagą kniei, ten tam to widział, ten nie zobaczył.

Kończy się na zwycięztwie jednego, na nieukontentowaniu drugich i w cichości psy i huczki się rozchodzą, a tym czasem stary strzelec rozstawia myśliwych.

Jak się tu ubijają o miejsca — jak strzegą żeby nie stanąć przy strzelcu, któryby mógł postrzelić myśliwego zamiast zwierza! Nareście w cichości wszyscy stają, ten na kłodzie spiera fuziją, nabija, czyści, ów obiiera miejsce ukryte między gałęziami, żeby go nie widać było, inny po prostu do spoczynku się zabiiera, inny jeszcze brusznice, czernice i inne jagódki zbiiera nim psy gonić zaczęły; jeśli nie na ostrowęczego zwierza polują, a wiatery od kniei na strzelców, zapalają się fajki.

Cicho! wszyscy stoją w milczeniu. Ta chwila oczekiwania często bardzo długa, jeśli daleko psami zakładać trzeba, najnudniejszą jest z całego polowania. Nie jeden w braku sąsiadów do gawędy, usypia na pieńku nie troszcząc się o zwierza, wypiwszy zawczasu pogrzebowe

przed pogrzebem. Nareście z daleka odzywają się huczki, każdy bieży na miejsce, opatruje strzelbę, staje. Cicho! cicho! tylko czasem pies się zławia, ptak przeleci nad głową, lub dzieciół przerwie ciszę pukając do drzewa. Kogo los pod barcią lub na mrowisku postawił, ten się opędza pszczołom i mrówkom jak może, nie śmiejąc zejść z miejsca, aby go nie postrzelono.

Inni gorliwsi zapomniawszy o wszystkiém, z okiem wlepioném w oddalone knieje, stoją i czekają gonu psów.

Otoż już gonią! jak ten dźwięk różnogłosny mile brzmi w uchu myśliwych — niepamiętni na nic, na przyrzeczenia, na niebezpieczeństwo, na znój, niektórzy wylatują przed psy. Oto już jeden strzał, drugi, trzeci, zwierz idzie — przeszedł, poległ. Rozpytuja się kto zabił? kto chybił, — śmieją się — schodzą.

Tu dopiero kto chybił zrzuca winę na strzelbę, na daleką metę, na tysiąc okoliczności, wmawia że postrzelił, że zwierz po strzale farbował, że kulał, że się przewracał i t. p. Tryumfujący zabiérają się do pogrzebowego nim do drugiej kniei pójdą, siadają na trawie, dobywają flaszki, zaczyna się pogrzebowe! Rozmowy coraz żywsze, anegdoty coraz śmielsze, nareście wyzywanie, strzelanie do nieszczęśliwych czapek, czasem kłótnie.

Czasem jaki traiczny wypadek przerywa wesołość, temu rozerwała fuzia, ten został postrzelony, czasem pan lasów wmięsza się nieprzyzwyczajcie, psy połowi, fuzie zagrabi i smutne myślistwo wraca do domu z nosem spuszczone. Ale gdy się polowanie dobrze uda, gdy się dobrze napiją, dobrze najedzą — o, jakże na długo zostaje pamiątka wesołej chwili. Jak się to smaczno zajada i zasypia po polowaniu!

Na cietrzewie w jesieni polują z cieniakiem; to znaczy że na uludzenie biednego ptaka sadzą mu wypchanego niby — ptaka, lub prosto kawał sukna, koło którego on siada w dobrej wierze i zabijać się daje. Mnóstwo także jarząbków i innego ptastwa, łowią na sidła przynętą z kaliny lub jarzębiny.

Na zakończenie przytoczę tu jeszcze jedną anegdotę myśliwską, która mi się zdała charakterystyczną. W jednym miejscu Polesia, graniczył pan ze szlachcicem. Oba byli myśliwi, oba lasów swoich zazdrośni; lecz pan nie polował w lasach szlachcica, a szlachcic często w pańskie zaglądał knieje. Gdy zaś nie mógł ich spoliwać, to przynajmniej wypląsał z nich umyślnie wysłanymi ludźmi po nocy, z latarniami zwierzynę do swego lasu. Znudziło się to panu, i złapawszy raz parę ogarów szlachcica w swoim lesie zagonionych, kazał je powiesić na drzewie.

Co to tam był za gniew! jakie odgróзки! tego nie opowiem. Najulubieńsze dwa ogary na sośnie! Tak haniebna śmierć, tyle zasłużonym stworzeniom! Przysiągł szlachcic zemścić się i czekał tylko pory.

Jedzie raz, spotyka chłopą który drwa rąbie w jego lesie.

— Zkąd ty?

— Z D.... Właśnie ze wsi pana grafa.

Szlachcic podskoczył.

— I ty śmiesz w moim lesie drwa rąbać! a wiesz ty jak twój pan z mojemi psami postąpił.

— Ach Dobrodzieju! zawołał chłop padając na kolana. I zaczął prosić, zaklinać.

Szlachcic z zimną krwią zwołał swoich ludzi i odprzągłszy parę wołów z wozu, powiesił woły na drzewie.

— Idź powiedz panu swemu o tém, a on ci zapłaci. I tak zemścił się szlachcic, a pan pewnie nigdy więcej psów wieszać nie miał ochoty — bo za woły zapłacił.

Jest jeszcze jedno polowanie na wilki, kiedy one stadami się włączają w zimie. Do wozu uzbrojonego w około w kosy, siadają myśliwi ze strzelbami, biorąc między siebie — prosię; a na sznurze fac-simile prosięcia, z grochowin wiązkę wloką za sobą. Gdy wjadą w miejsca

gdzie się wilcy zwyczajnie pokazują, zaczynają prosię męczyć ażeby krzyczało; jego głos zwabia stado głodnych wilków, które gdy się zbliża, strzelają. Takie polowanie odbywa się w czasie widnych nocy, a do wozu zaprzęgają jak najgorsze konie, bo żwawsze na głos i widok wilków ponosiłyby, a wówczas i od kos kalectwo i od wilczych zębów — wara! gdyby kto spadł z wozu. Często wystrzelawszy próżno naboje, uciekać muszą, a wilcy rozjuszeni gonią ich aż pod wieś, a czasem aż na podwórzec. Jest to dość niebezpieczne polowanie i rzadko się udaje. Bezpieczniejsza zasadzka i przynęta, do której zwierz w zimie głodny, zwabiony wonią z daleka, przychodzi. Tak wilcy do padła, zające do owsa często się dają sprowadzić. Słyszałem o dziwnym wypadku.

Przy ścierwie konia zasiadł strzelec — było to nie daleko miasteczka. Długo czekał a nie przychodziło, nareście znudził się i usnął. Budzi się na szelest jakiś, pogląda i widzi że się coś rusza na padle. Wymierza, strzela i słyszy krzyk.

— Jezus Marya!!

Przestraszony leci ku ścierwu, i widzi babę starą z nożem w ręku, która w chwili gdy okraślała piękne mięsko końskie, padła postrzelona.

na. Dowiedziano się później z prawnego scrutiny sprawy, że utrzymująca garkuchnię w miasteczku, stara jójmość tym sposobem tanio mięsa się sobie starać była zwykła, aż nareszcie ciężko za to ukarana została przypadkiem.

Wielki dochód dla wieśniaków w Polesiu stanowią barcie rozsypane po lasach, z których dań lub oczkowe płacą dziedzicom.

Godna uwagi, że podebrawszy miód, częstują nim wszystkich kogo spotkają, niosą go do dworu, do karczmy i t. d. uważając że ten udział daru bożego na dobre im wychodzi. W opisie Litwy Aeneasza Sylviusa już o podobnym zwyczaju jest wzmianka. Wieśniacy którzy z bydła skóry zdejmują, nigdy już pszczoł się nie tkną, boby się im jak mówią nie wiodły. Mierzą miód szczególną miarą pięciokwartową, zwaną wiazowica, ale to nie wszędzie. Składają się z barci do cerkwi, a ten miód przerabia się na pitny i w dzień prazniku cerkwi, szynkuje na korzyść skarbony, co się zowie *Kanonem*. Wosk idzie na świece. Zwyczaj ten powszechny jest na Polesiu wołyńskiem. Starosta cerkiewny z przybranymi pomocnikami szynkuje, a arendarz ten swój ubytek kilkodniowy cierpliwie znosić musi.

Mnóstwo wszelkiego rodzaju jagód i grzybów zbiera się po lasach poleskich. Z pierwszych żórawiny, czernice, maliny, łochacze, brusznicę, ożyny wreszcie jesienne, są najpospolitsze. Gdzie niegdzie są nawet daniny jagód i orzechów. Ku Wołyniowi zbierają mało użyteczną tarninę, której owoc cierpki jest i nieśmaczny.

Czém dla mężczyzn jest polowanie na zwierza, tém dla kobiet jagody i grzyby. Całe lato zmieniają się cele tej przechadzki, lecz ona zawsze trwa dla amatorów. O ileż to pocieszonych przygód, na tych poobiednich ekskursiach, na których często wcale się co innego zbiera, nie grzyby i jagody!

Na Polesiu w lasach są osady, tak zwane majdany biednych mazurów, rozrzucone tam i sam. Ci budnicy trudnią się wyrobkiem lasów i niszczą je niezmiernie. Stan tej klasy jest bardzo nędzny; sama wędrówka tak daleka okazuje jak są biedni. I tu nie wiele zyskują. Muszą sobie trzebić pola i całe lata często mieszkać w szałasach ledwie od słoty ulewniej zasłaniających, razem z nie wielkim swoim dobytkiem, który zimą i latem włóczy się szukając paszy po lesie. Ubiór ich z grubego sukna kapota, czapka barania, pas czer-

wony, budniczki noszą coś naksztalt szlafroczków, lecz twarze ich żółtkle, nawet przy świątecznym stroju źle odbijają. Gdzie niegdzie są podobne osady hollendrów.

G O S P O D A R S T W O.

W całej przestrzeni Polesia, gospodarstwo wiejskie jest zaniedbane — wielka ilość ziemi, łatwy przychód z lasu, po części lenistwo i rzadkie z cywilizowańszym światem stosunki są temu przyczyną. Ku Pińskowi nieco się podniosło teraz dzisiejsze spekulacyjne gospodarstwo, zaprowadzono fabryki sukna, cukru z buraków, poprawę owiec. Dalej ku Wołyniowi cała spekulacya zależy na wyrobie lasów, klepek, balów i potaszu; a uprawa roli, chów bydła przynajmniej po większej części zaniedbany.

Wszakże więcej jest miłośników koni i bydła, niż owiec; z których korzyści ledwie zaczynają tchórzliwie przewidywać. Płodozmienne gospodarstwo jeszcze tu jest nieznajome — owce lepsze bardzo rzadkie, gorzelnie ulepszone popolitsze.

Najprostszy sposób gospodarowania, jest w trzypolowym zasiewie, w wydarciu niekiedy nowin, aby na zgliszczu posiać proso a potem niwkę wyrobioną zapuścić, w oczyszczaniu sianożęci, ubiciu rowów dla osuszenia, zasianiu w porze i przepędzeniu nareście ziarna na wódkę, która już nie płaci.

Oprócz korzyści jakie tu zamiana ziarna na wódkę, w dłuższem przetrzymaniu produktu i cenie przynosi, braha jeszcze którą się karmią woły lub stado, bardzo jest użyteczną gospodarzowi. Kartofli, lnu, roślin olejnych, mało tu bardzo sieją, pszenicę rzadko. Jako osobliwość ujrzysz tu młócznie drewniane. Przeciwnie wprowadzeniu gospodarstwa płodozmiennego dają tu za przyczynę proporcją rąk zbyt małą na przestrzeń pól, gdzie z lasami czasem na 100 dusz mężczyzn, bywa 200 włók obwołu majątku. Próznobyś wmawiał że maszyny gospodarskie rąk oszczędzają, mało kto pewny jest i potrafi wyrachować ich oczewiste korzyści. Pożytki tego pilniejszego, rozumownego gospodarstwa nadto są oczewiste, żeby

wkrótce z sąsiednich stron przez przykład bijący w oczy i tu nie wpływały. Jest nadzieja, bo kiedy niekiedy mówią już o tém.

W wielu miejscach osiedli ubodzy Hollendrzy prowadzą małe fabryki sukien, lecz z prostych tylko owiec wełnę przerabiają, mało bardzo większych fabryk lepszą spożywa w kraju, większa jej część surowa za granicę wychodzi. Codzień bowiem korzyści chowu hiszpańskich owiec stają się oczewistsze i bardziej zachęcające, codzień w około mnożą się stada zapowiadające że kiedyś tannością wełny zabijem niemiecką, jeśli z czasem i u nas koszta utrzymania nie podniosą się z wartością innych płodów, handlem i przemysłem.

Nic tak widocznie nie wyniszcza Polesia jak wyrob lasów, oprócz szkody wyrządzonej przez to samymże lasom, oprócz rąk które się do tego w wielkiej ilości od roli odwracają, dodajmy jeszcze że cena materiałów drzewnych jest w proporcją kosztów ściśle obliczonych, bardzo mała. Ten handel prowadzący żydzi, zyskują jak chcą i wiele chcą. Obywatele zajmują jeszcze na frocht to jest pod transport drzewa, swoich parobków, czasem na pół drogi, czasem aż do portów.

Ten najem którego korzyści wpływają do kieszeni właściciela, jest ze szkodą włościan którzy na tém tracą czas, bo jeśli za nich z te-

go podatek opłaca, to dobrze, a najęty parobek nie uwalnia chaty od pańszczyzny, danin i t. p. usług.

Wprawdzie dobrze utrzymani parobcy wracają do domu rumiani i zdrowi, ale ta podróż ich demoralizuje, często nędza w drodze nauczy występku, lub podłej żebraniny — tymczasem w chacie mniej jednym człowiekiem do pracy, a pan dziedzic nie wiezieć za co bierze pieniądze. Są wprawdzie sprawiedliwsi, którzy najmując ludzi, nic sobie nie biorą, lecz wszystko chłopu oddają — ale mówiąc szczerze — to bardzo a bardzo rzadko. Jednakże trzeba być sprawiedliwym, we wszystkiém i ze wszystkiemi.

Kupno wołów na stajnię, które potem na brazie i osypce ukarmione na mięso się sprzedają, najczęściej ma miejsce w Berdyczowie, gdzie są sławne wołowe jarmarki. Tam kupują się tak zwane górne woły, bojki, ukraińskie, siwe, wielkie, na których spekulatorowie największy zarobek miewają. Inni stawiają na stajni pospolite poleskie mniejsze, które się w kraju konsumują. Tamte zaś górne idą do Warszawy, a nawet czasem aż do Wiednia. Wolarz zna doskonale kupując jak się prędko ukarmia i jak ich sprzedaje; ten handel dawniej żydowski wyłącznie, dziś objęli obywatele, którzy nawet często sami idą z wołami za granicę.

Małe woły mniejszej ceny, których wartość powiększona cłem na granicy, przenosiłaby istotną ich cenę, muszą się w kraju zbywać, najdalej w Wilnie.

W ogólności chociaż wiele rzek splawnych ułatwia transporta, mało tutejszych produktów wychodzi za granicę — to tylko chyba co na frocht dla utrzymania ludzi pędzących drzewo potrzebują.

W wielu miejscach obfitych w lasy stanowi także dochód przez najem żydom, pędzenie dziegiu i smoly, które równie jak potasz wiele lasu psują, bo drzewo odarte z kory, oczywiście marnieje. Równie niszczącym jest darcie łąbu z lip, którego używają na wyszywanie wozów, na okrycie jarzma wołów, na robienie króbek i t. d. Z kory brzoźowej robią kobiałki zwane *nawiski*; prócz tego odarte łyka służą na rodzaj obóvia łapciami zwanego. Są to gdzie indziej znajome *kurpie* i *postoly*. Nie żartujmy z łyka, bo choć mała ich wartość poszła w przysłowie, jednakże na wielu jarmarkach poleskich stanowią ważny artykuł. Jest nawet przysłowie o tém na Polesiu które powiada, że: *Derażna na garnki, Klewan na działy, Otyka na tyka*. I prawda bo do Olyki z Polesia stosy łyk i łapciów zwożą i kupują na Wołyni gdzie o nie trudno, a zawsze to obówie mniej od skórzanego kosztuje.

Lecz wróćmy do gospodarstwa i dochodów gospodarzy. — Stan włościan o jakim Twardowski w Wojnie Domowej, jako o jednej z przyczyn buntu wspomina, trwa tu jeszcze prawie takim jak był. Oprócz trzech dni pańszczyzny na tydzień dają oni czynsz w pieniądzech, daninę z grzybów, orzechów, jagód, chmielu, jaj, kur, osyp owsa i żyta. Przędą motki, wybija ją darmo len, konopie i t. d. i wiele innych robót obowiązani są robić bez wynagrodzenia, co się zowie daremszczyzną. Trudno aby wieśniak przy tylu ciężarach miał się dobrze; jednakże baczniejsi właściciele, zmniejszyli sami opłaty i powinności. Lecz o tém szerzej jeszcze mówić będziemy, a teraz wróćmy jeszcze do gospodarzy i rozgatunkujmy ich na następne klasy.

1. Na Polesiu i wszędzie u nas, tak się oni dadzą rozdzielić. Pierwszy jest gospodarz starozakonny. Ten trzyma się rutyny stariej ślepo i powtarza jak jego przodkowie i jego poddani — Tak dziad robił a dobrze mu z tém było, na co mam robić inaczej. Nie przyjmuje on żadnych ulepszeń, żadnych nowości, żadnej ryzyki, żadnego wykładu kapitałów, najwięcej jeśli się waży wybić gdzie rów i pomorgować łąn. Przedaje po staremu, gorzelnię ma prostą, starą, koszlawą, woły rzadko stawione trzy razy, łakomi się na drobne zyski, śmieje się

z tych, co lepsze owce trzymają, w szarej chodzi kapocie, pije wódkę kotłówkę z pod trąby, barszcz i kapustę zajada, rujnuje się rad sobie i swemu rozumowi. Jego dom jest taki jak on sam. Piekarnia vis à vis salonu, a w salonie ławka okryta kilimkiem, klucze od stodoły na kołku, na stoliku kalendarz berdyczewski, kałamarz i talia kart brudna, bizun u drzwi, skrzypce nad łóżkiem, szkatułka dębowa pod głowami i t. d. Do tego zawsze gorejący kominek z suchymi olchowemi drewkami. Tu *per occasionem* dodajmy, że w każdym domu na Polesiu, jest jeden Znicz, to jest nigdy nie gasnący komin, na którym pali się wielka kłoda sucha, jak owa na Boże Narodzenie w starych domach angielskich. Bo ogień lubią wszystkie klasy na Polesiu od chłopca aż do pana — i trudno im się bez niego obejść.

Starozakonny gospodarz śmieje się z nowych, wierzy we dni, w które siał koniecznie potrzeba i wszystkie zabobony gospodarskie, zna pogodę po znakach i cały rok certuje z kalendarzem berdyczewskim, którego wyrocznie tak go zajmują, że o nich ciągle mówi. Tu zgadł, tu nie, i t. d. i t. d. Kalendarz berdyczewski jest dla niego całą literaturą, całą encyklopedyą! Samo z siebie, że starozakonny gospodarz, chodzi całe życie w starym fraku, bo i nowy na nim się jak stary wydaje, nie umie się znaleźć

w towarzystwie do którego musi się ubierać, a dzieci swoje uczy tylko tego, co sam umie, i strzeże się żeby broń Boże od niego rozumniejsze nie były!! bo o sobie i zasadach swoich ma wyobrażenie, że nad nie, *nec plus ultra!* a ile razy syn się z czém przeciwném zdaniu jego odezwie; przypomina i powtarza: — Nie będzie mędrsze jaje od kury!

2. Gospodarz na dwóch krzesłach. Tak zowie tego, który przeczuciem więcej niż rozumem dzisiejsze ulepszenia przyjmuje, choć nie spełna je rozumie i waha się z zupełnem nachyleniem na tę lub drugą stronę. Ze starymi gospodarzami udaje starego, z nowymi przysłuchuje się i potakuje nowościom. Dom jego jak głowa pół stary, pół nowy. Są tam nowe niesmaczne meble i stare po ś. p. ojcu kantorki, fortepian warszawski i teorban kozacki i t. p. Między *kopersztychami* na ścianie wiszą Święci Pańscy, historia Wilhelma Tella i różne jaskrawe wizerunki, które on pozawieszał widząc że wieszają coś podobnego gdzie-indziej.

W tym sposobie jak z obrazkami, postępuje on sobie ze wszystkiém, naśladuje nie śmiało, małpowato, waha się i nie wie co czyni. Świat też powinien mu przebaczyć, pamiętając że *nie wiedzą co czynią!* całe swoje życie. Najczęściej taki człowiek żeni się nie bogato, a z wyższą

nieco łącząc się klasą dla odznaczenia. Żony ich doskonale za nos wodzą.

3. Neo-gospodarz. Przysięga na Thaera i Kurowskiego, uwielbia Oczapowskiego, wierzy w płodozmian jak w Credo, w merynosy jak w Ewangelię, w paszę sztuczną, jak wzbawienie. Sieje koniczynę, wykę, sporek i t. d. i czy się uda czy nie, powtarza nie zrażony. Na piérwszém zejściu się ze starozakonnym gospodarzem, klóci się, pluje, dąsa i łaje, lituje się i rusza ramionami. Nie jego to rzecz zastoso-
wać się do kraju w którym żyje, pomyśleć, porozumować, on słucha ojców płodozmianu, patriarchów nowego gospodarstwa, jakby na to poprzysiął, resztę zaś, to jest skutek, na ich ręce zwierza.

U neo-gospodarza cały dom nowy — meble z Petersburga, xiażki od Bellizarda i od Gräffa, suknie z Warszawy, wszystko najnowsze ale nie przeto najlepsze, byle tylko najświeższe. Wielu rzeczy nie rozumie i użyć nie potrafi, ale dość że je ma i chwali. Jeśli się co ukaże, nie pyta czy tego potrzebuje, czy nie, czy użyć może, czy mu na to wystarcza, kupuje, chwali się, odurza nazwiskami dzikiemi które przewraca najdziwniej.

Nota bene takiego gospodarza jeszcze w Pole-siu nie widziałem, dodaję go tylko jako *pen-*

dant do poprzedzających. Średnich między niemi odcieni nie opisuję. Smieszności trzeba poprawiać (jeśli można) a tego co jest dobre chwalić nie trzeba — obejdzie się ono bez pochwał.

KAWALEK DROGI PRZEZ POLESIE NA WOŁYŃ ¹⁾.

Ze Stepania do Kazimirki, nudna droga lasem sosnowym, dzikie polesie! smutne! Tyle już razy opisywałem i zmuszony będę opisywać jeszcze sosny, piasek i błoto, że na ten raz pozwolicie mi je ominąć. Widoki z tych trzech pierwiastków złożone, tak są zawsze sobie podobne, że trudno długo się nad niemi zastanawiać.

Kazimirka sama jakkolwiek w położeniu poleskiem, już jest nieco znośniejsza, otaczający

1) Obacz Stepań.

ją las do koła, nie piękny, ale wśród niego ustronny kościółek mile zadziwia podróżnego, po nużącym widoku gołych sosen i błota. Kazimirka dawniej zwana Kazimirowem, była miasteczkiem: 1) dwanaście wsi przed stu laty należało do parafii, a probostwo jak dziś zależy od Infułacyi Olyckiej, z którą razem fundowane było. Przedzielone groblą stoją tu przeciwnie siebie dwie rywalizujące karczmy, jak dwaj rycerze gotowi do boju. Na prawo miły, czysty kościółek, wygląda z za drzew. Jest w nim cudowny obraz Bogarodzicy, uczęszczany przez pobożnych pielgrzymów z daleka. W koło niego i plebanii rozciąga się smętarzyk i ogródek. To wszystko i otaczająca cichość zdaje się wzywać do modlitwy, daleko bardziej niż wiele kościołów szumnych, gdzie za błyskotkami próżnemi pana Boga nie widać. Spokojność, ustron, cichość, oddalenie od świata, tłumaczą bardzo dobrze exaltacyą religijną, rozmowy duszy z Bogiem i przejęcie się duchem niebieskim. Świat tyła i tak mocnemi węzłami do nas się przywiązuje, że chcąc się od niego oderwać, trzeba się ciałem wprzód niż myślą od ludzi, i przedmiotów pokusy myślniej, oddalić. Nabożeństwo więc ciszy i samotno-

1) Synod Lucki r. 1726.

ści, niż wystawy i zgiełku potrzebuje; przynajmniej tak czuje go moja dusza.

Z Kazimirki do Bereźnego, niczem nie zajmująca droga, wolę o niej zupełnie zamilczeć. Nie daleko Bereźnego zaczynają się długie wsi do niego należące, nareście wjeżdza się w miasteczko, które można minąć spojrzawszy tylko na kościół. Ten stanął już po r. 1726, bo w Synodzie Luckim, tegoż roku pisze, że kościół całkiem był zrujnowany, bez probostwa i funduszu. Wznosi się także kosztem dziedzica synagoga nowa. Jest tu mała fabryczka sukienna, kilku garbarzy i apteka. Położenie miasteczka nad Słuczą, handlem drzewnym je ożywia.

Ciągle polesiem i piaskiem ciągnąłem na nocleg do Mokwina, do którego mnie powierzchowność murowanej karczmy wabiła. Ale niestety! o nędzo ludzkich nadziei! i na tém się omyliłem. Było w niej 20 koni pocztowych i kilku pijanych pocztylionów, którzy tu z tryngieltem nocowali odwiózłszy jakąś nową-panią do nowo-kupionej posiadłości. Dodajmy do tego dziurę w oknie, zimną izbę i brak herbaty, a będzie to najokropniejszy nocleg w mojej biografii, po najślawniejszym kaluszyńskim, o którym wam kiedyś powiem. Przecież noc ta straszna przeszła jak wszystko przechodzi, ra-

nek zaświtał, pocztylioni wyruszyli, a ja wyszedłem pobłogosławić ich odjazd na próg karczmy. Tu mała trzynastoletnia dziewczynka z wiadrami na ramionach, bosa i zziębła, spotkała mnie prostym przywitaniem, za które dotąd wdzięczny jej jestem.

— Dobry dzień!

Chociaż owa para próżnych wiader, z którymi drogę mi przeszła, nie bardzo dobrym była znakiem wedle gminnego przesądu, jednak dla milego — *Dobry dzień!* biédnej, bosój dziewczynki — i tego nie uważałem.

Po niej przyszedł mi także oddać dzień dobry, wielki cap, faworyt gospodarza, poważny, żółty, brodaty, śmierzący, a piękny tak; żeby go żywcem na sławny obraz Bacchusa i Sylenów Rubensa włożyć można było. Potem witały mię po jednym przechodząc konie pocztarskie, potem pocztylioni z fajkami i przekleństwem w zębach. Potem pokazało się słońce — i pojechałem.

Po drodze wspomnieć jeszcze potrzeba miasteczko Siedliszcze nad Słuczą w dzikim Polesiu. Jest tu papiernia a raczej bibularnia, młyny i t. d. Nie daleko stąd na górze za Słuczą, znajdują się gruzy starego zamczyska zwanego Hubkowem, w bardzo jak mówią, pięknym

położeniu u samego brzegu rzeki. Była to niegdyś własność i rezydencya Siemaszków. Na jednej górze wedle tradycyi był zamek obronny, na drugiej pałac, łączyły się te dwie góry mostem zwodzonym. W jednej z nich są jeszcze zarzucone podziemia. Dom Siemaszków herbu Łabędź czy Krzyż na trzech górach, dawny jest na Wołyniu i Polesiu wołyńskim. Wspominają ich metryki wołyńskie w r. 1528. Kilku było starostami łuckimi, spokrewnieni z Bohowitynami, Czetwertyńskimi, Puciatami, Ledóchowskiemi, XX. Poryckimi XX. Woronieckimi, Ogińskimi, i t. d. Około 1596 pierwszy z tej rodziny Alexander Podkomorzy włodzimirski z greckiego na katolickie wyznanie przeszedł za sprawą X. Herbasta S. J. Ten to, co Dubna bronił od Tatarów w r. 1577. Nigdzie jednak nie czytamy żeby się pisali z tego Hubkowa.

W wioseczce Rzeczkach kończy się Polesie, a Wołyń zaczyna. Wjeżdżamy w stepy i zdala widzimy koreckich cerkwi zielone dachy i wieże. Tu ziemia czarna tętni pod kopytami, tumany pyłu wzlatują, oko nie spostrzega już nudnych sosen co chwila, i swobodnie pobujać może.

Korzec leży poważnie na wzgórzystym miej-

scu. Od strony Międzyrzecza koreckiego, dostawać się potrzeba do miasta stromą i najęzowaną skałami górą. Brzeg rzeki nad którą stoi, pierwsze w życiu skały mi pokazał. O! jakżem się ucieszył! skały! skały! ten wyraz poetyczny który znaleźć można w każdej elegiji, w każdej tragedyi, w każdym poetycznym romansie, skały, które tak dobrze rymują z tylu wyrazami, o których tylu pisze nie wiedząc co czyni, dla rymu tylko lub brzmienia — Skały szare, sterczące z ziemi jak kości z podartego ciała.

Korzec ostatniemi czasy własność XX. Czartoryskich, dziś podzielony, miał dość dobrą fabrykę porcelany teraz upadłą, którą tu towarzystwo akcyonaryuszów utrzymywało. Na wysokiej górze stoją gruzy pałacu, nie bardzo dawnego, jak łatwo poznać po architekturze.

Za X. Józefa Czartoryskiego ostatniego posiadacza z tego imienia, stolnika W. X. L. i starosty grodzkiego łuckiego, Korzec bardzo się był obudował, miał oprócz fabryki porcelany i fajansu, fabryki sukien, kapeluszków, pasów litych i płócien różnych. Na górze zamkowej (gdzie jak tradycya niesie był klasztor i cerkiew bazylikańska), której góry podnoże pochylało ku stawowi i rzece schodzące pokryte było drzewami, grotami, murami i różnego

rodzaju ozdobami, ogromne gmachy stały z bramą i wieżą nad nią, wedle zwyczaju. Pałac ten spalił się dopiero w r. 1831. Za X. Józefa który Korzec podniósł znacznie dobrze się mieli tutejsi mieszczanie; a z tego co o nim podania mówią, znać dobroczynny i prawy charakter. Toż samo przebija się w jego portrecie zawieszonym w kościele koreckim. Dozwalał się on pozywać mieszczanom przed Magistrat przegrywał z niemi sprawy i dla sprawiedliwości którą kochał, chętnie powagę swoją poświęcał. Cerkiew dziś blisko zamku będąca, początkowo miała wyznaczony fundusz na budowę przez X. Stolnika, na 50,000 złt. Plan jej nawet podpisany przez niego, wyrażał, że frontonem miała być obrócona ku pałacowi. Potoccy, Czartoryskich dziedzice, na jej wystawienie wydali przeszło 100,000 złt.

Rozłożenie miasteczka po górach, ukazujące się na nich dachy cerkiew i kościołów, mury, ruiny wspaniałe pałacu, staw i wody Słuczy, zdobią bardzo to miejsce, które najpiękniej z dołu od wjazdu międzyrzeckiego się wydaje. Na jednej z gór stoi kościół farny. W drugim końcu miasta byli Franciszkanie, których kościół piękny lecz nie dokończony, gdyż jedna nawa jest tylko pokryta, a reszta wali się

w ruinach. Tu były nagrobki przywiedzione w Starowolskim 1).

1) *Starovolski, Monumenta f. 503.*

D. O. M.

Clara ducum soboles Olgerdi sanguine cretus,
Princeps militia et dum vixit gloria gentis
Lecchiacae, Moschi terror terrorque fugacis
Tartariae, aequales tantum virtute feroci
Exuperans, quantum te Cynthia vincit Apollo
Lumine, vel quantum magno concessit Achilli,
Hector Dardanus, vel quis de gente Pelasga.
Praesidium patriae magnum magnum et incrementum
Victor Moldavi, Tomsae, Busiridis atri
Korecki Samuel, quem Turcis jussu Tyranni
Sanguine conspersum inde heu funere mersit acerbo.
Germani Caroli cura astavectus ab oris
Turci, hac exigua exuvias heu ponit in urna.

D. O. M.

Atavis editus regibus.

Clarum Olgerdi a stirpe genus

Clarus Dux in Koree,

Major suis majoribus.

Primum ob susceptam a se orthodoxam religionem
Cujus ubique acerrimus propugnator vindex et parens
Metropoli in suo Ducatu Catholici templi fundator.
Cujus invistissimum herois animum.
Non carcer quinquennalis Suceorum immanium infregit
Non illecebrae exterarum nationum abduxerunt

XXta koreccy 1) których to miejsce było kolébką, nosili w herbie pogoń, a ród swój wiedli od Olgerda jak dowodzi Niesiecki, potem zaś od Dymitra Buttawa Olgerdowicza, który tu wzięwszy działem dobra na Wołyniu, zbudował zamek na skale nad rzeką Korzec, tam gdzie ona do Sluczy wpada, otoczo-

Non charissima patria, civem mortuum expectavit
Profuit egenti sago et toga.

Volhyniae maturo consilio prudentissimus Castellanus

Contra Osmanum terra minitantem

Aluit plurima centena veteranorum militum.

hujus

Illustrissima prosapia Samuel et Enfrosina

ut

Mortalibus immortalibusque sidus Corecianum luceret

Hic trophaeum virtuti et gloriae defixerunt.

Napis na srebrnej blasze złotemi literami.

Carolus Olgerdowicz Korecki

Castellanus Volhyniae

Deposuit hic quod mortalitatis erat. Anna de Potok
Potocka, perpetuum monumentum sibi et posteris. Dux
et maritus reliquit et esse voluit.

Obiit aetat. 30 Christi 1623 4 Maj.

Requiescat in sancta pace.

1) *Niesiecki T. II. 606 i następne.*

ny do koła wodą. Nazwał go Korcem, a od niego wedle zwyczaju poszło potem i xiążęce ich nazwisko. Poległ on w r. 1399. Jego następcy wsławili się prawie wszyscy wojennymi czyny, dla których najlepszym naówczas teatrem był Wołyń, ciągle wystawiony na napady Tatarów, Turków i Rusi. Takimi byli Lew i Alexander XX. koreccy, bezpotomni, których ciała leżą w pieczarach kijewskich; także Iwan ich brat. Bohusz Fiedorowicz wojewoda wołyński starosta łucki, winnicki, bractawski, żytomirski, za zezwoleniem króla fundował zamek w Winnicy 1572 i w Bractawiu 1550 r. i oba umocnił. Przed śmiercią swoją posłał królowi swój łuk i konia których do wojny używał. Nasi kronikarze kilka podobnych darów przedśmiertnych wspominają. Bohusza ciało spoczywa u P. Maryi pieczerskiej w Kijewie.

Joachim syn jego miał za sobą Chodkiewiczównę, pochowany w kaplicy zamkowej koreckiej, której dziś ani śladu.

Ale najslawniejsi pewno z XXżąt koreckich byli Samuel i Karol bracia, oba wojownicy wielcy. Samuel był zięciem Hospodara mullańskiego, co go po części do wojen własnym kosztem z Turkami zmusiło. Piszą że po dziewiętnastu wygranych bitwach, we dwódziestj

dopiero w r. 1617 stoczonej, w niewolę został wzięty. Z największą trudnością przyszło mu się wydobyć z więzienia — W tém niebezpieczeństwie uczynił ślub wystawić w Korcu kościół Franciszkanom, jeśliby mu się z niego wyrwać udało, a nadto odbyć jeszcze pielgrzymkę do Loretu.

W téj niewoli został Samuel katolikiem, prawie jednocześnie z bratem swoim Karolem. Sława jego wojenna sprawiła, że Sułtan chociaż niewolnika ze czcią go przyjął, a nawet wedle zwyczaju próbował namowy, chcąc go nakłonić aby się zbisurmanił. Lecz jakkolwiek nagliło go niebezpieczeństwo, Korecki takiej zmiany wiary, stanu i życia nie mógł wymóżyć na sobie. W owych wiekach było to daleko nie podobniejszém niż dziś, zważywszy jeszcze pochodzenie Samuela. Tym czasem żona jego i Sieniawski Podczaszy koronny myśląc o jego oswobodzeniu nadesłali mu pieniędzy, a Greczyn który mu w niewoli posługiwał, we flaszy wina podniósł ukryty powrót i pilkę.

Miał tedy czém straż przekupić, upoił ją, trzy kraty żelazne w oknie przepiłował, a z wieży po murze się spuścił. Szczęśliwie dostawszy się do Raguzy, z tamtąd popłynął do Sycylii, udając kupca. Lecz w drodze o mało

co ich nie pochwytał okręt korsarzy tureckich, których z trudnością uniknąć potrafili. Z Sycylii wręście dostał się Samuel do Neapolu a ztąd do Rzymu w roku 1618. Dopelniając ślubu uczynionego w niewoli, pielgrzymował do Loretu i dopiero do kraju powrócił.

Los jego nowe mu niebezpieczeństwa gotował. Z Hetmanem Zolkiewskim udał się znów na wyprawę przeciw Turkom i tam drugi raz w niewolę wzięty został. Zaprowadzony do Konstantynopola, już się męczeńskiej nie wywinął śmierci, którą mu nagotowała zemsta Sultana, jako niebezpiecznemu wrogowi. Bity łokciowemi pręty żelaznemi aż do śmierci, zrzucony został z tej wieży, z której wprzód tak cudownie był uciekł. Ciało jego wykupił potem brat Karol i w kościele Franciszkanów w Korcu złożył. Stało się to w r. 1622.

Brat jego Jan Karol Kasztelan wołyński równie z nim nieszczęśliwy był i sławny. Za granicą będąc w Amsterdamie, został pochwycony w niewolę od Szwedów. Jak brat, w niewoli w Sztokolmie uczynił ślub powrotu do religii katolickiej, wymieniony za jeńca szwedzkiego, powróciwszy do kraju kościół Franciszkanów budował i wspomagał — umarł r. 1633.

Samuel Karol syn jego sławny także wojownik, umarł w sam dzień ślubu swego powtórnego, zachorowawszy w r. 1651. Na nim linia męzka XX. Koreckich zgasła.

H O R O D E C.

Nie śmiem szerokim opisem profanować miejsca, tak dla mnie drogiego jak Horodec. Nie wszystkim wolno tam patrzeć z podróży, gdzie go serce nie ciekawość lub chęć nauczania się czegoś prowadzi. Wszakże opisywać Polesie, a nie wspomnieć o Horodcu, byłoby znowu nie darowanym grzechem. Więc nie mówiąc przez samo uszanowanie, o jego mieszkańcach, będę tylko mówił o niektórych ciekawościach.

Położenie Horodca choć na płaszczyźnie i wśród Polesia, jest bardzo piękne. Pałac ob-

szerny stoi prawie nad samym ogromnym stawem, od którego droga go tylko przedziela. W oddaleniu widać z okien, przez całą szerokość stawu rzucony most, wieś po nad jego brzegami daleko rozrzuconą i lasy w głębi, jak wszędzie na Polesiu. Ogród pracowicie wyrobiony na dość niewdzięcznym miejscu, rozciąga się po za domem, z niego widok na płynący w oddaleniu Horyń i łęgi.

Biblioteka, pierwsza rzecz godna uwagi i zastanowienia w Horodcu, wielkim kosztem czasu, pieniędzy i pracy zgromadzona, umieszczona jest w osobnym na to zbudowanym lokalu, smakownie zrysowanym. Prócz wielu rzadkości bibliograficznych drukowanych, znajdują się tu i ciekawe rękopisma, między którymi uderza pięknnością i sztuką Calligrafa rękopism Walerjusza Maxyma po francuzku z XIV wieku, na pergaminie in folio, z minjaturami, złoceniem, ozdobami, niezmiernie kosztowny i ślicznie dochowany. Z tegoż wieku rękopisma matematyczne, dawniejsza jeszcze jedna xięga akt kaplicy arcybiskupiej tuluzkańskiej, jeden rękopism xiążki do nabożeństwa arabskiej, o który starał się Wacław Rzewuski; i wiele innych łacińskich i polskich.

Z rzadkich druków uderzają, prześliczny exemplarz na pergaminie *Horae* 13. *M. V.* z ozdo-

bami xylograficznymi, Biblia norymberska na kształt rękopismu z XV wieku, Catholicon Jana Balbi druku Fausta. Wiele także polskich Inkunabulów, życie S. Stanisława, Długosza, Opuscula Tucholczyka, Statut Łaskiego, Statuta wrocławskie Hallera, Zóltarz Wróbla, i t. d. Z rzadkości *Victoria Deorum* Klonowicza, dzieła Bielskiego, Paprockiego, Reja *Zwierciadło*, i inne a nawet niektóre bibliografom nieznajome. Prócz tego piękne i rzadkie a tak cenione za granicą, druki Elzevirów i Aldów, wielkie edycje klasyków, biblie w wielkim komplecie, mnóstwo podróży. Na niektórych książkach napisy własnoręczne sławnych ludzi, cenę ich wysoko podnoszą, takimi są Grochowskiego Stanisława, Orzechowskiego, Komenjusza i dedykacja Alex. Sanuta Batoremu.

We francuzkim zbiorze jest cała encyklopedia methodyczna, historyków bardzo wielu, piękne wydanie dzieł ornithologicznych Levaillanta monografie niemieckie muszli, roślin; motylów i t. d. Co do sztuk pięknych wspomnieć potrzeba Galerye: orleańską, drezdeńską, luxemburską, düsseldorfską, napoleońską, część wiedeńskiej, Hermitażu, Herkulanum Piranesich i Davida, historia malarstwa włoskiego i t. d. i t. d. Nie mogąc się rozszerzać nad mnóstwem rzadkich i kosztownych dzieł, musimy

się ograniczyć wspomnieniem tych tylko, które nam na pamięć przychodzą.

Zbiór znaczny numizmatów umieszczony jest w sali bibliotecznej we dwóch szafach, kupionych za kilkaset czerwonych złotych z licytacji po Potockich. Te szafy należały niegdyś do króla Leszczyńskiego, a jak medaliony na nich będące, okazują; przeznaczone były także na zbiór numizmatów. Zdaje się że to był dar Ludwika XV teściowi uczyniony, co potwierdzają także medaliony i kosztowna ich robota. Szafy te ozdobione stosownymi bronzami, nakryte marmurem, są razem piękne, szacowne pamiątką, wygodne i tak stosowne; iż nigdzie tak dobrze użytej starożytności widzieć nie można. Robota ich i dziś jeszcze piękną się wydaje, choć tyle już lat i odmian smaku nad niemi przepłynęło.

W zbiorze numizmatów celuje oddział monet — medalów greckich i rzymskich, cesarzów, rodziny i miast; wielki zbiór polski odznacza się panowaniem Zygmunta Augusta. Tu widzieć można jedyny i dotąd nie opisany portugał litewski dziesięcio dukatowy (aureus) bity w r. 1562, prześlicznie dochowany. Z jednej strony popiersie Zygmunta Augusta z drugiej herb Litwy w kwiecistych obwódkach).

Z obrazów, w pięknych salonach Horodca zawieszonych, celuje S. Jan Leonarda da Vinci, niezaprzeczony oryginał, noszący datę 1495 roku, w starożytnych prześlicznych ramach. Wyraz twarzy S. Jana, uśmiech jej, łagodność, są zachwycające. Szkoda że długim czasu przeciągiem farby mocno ściemniały, a przez to cienie zbyt ostre się wydają, co jednak w oczach znawcy najmniej mu wartości nie ujmuje. Dwa obrazy Rubensa, jeden kobietę nagą w futrze wyobrażający, drugi zaślubiny N. Panny. Roelandta Savery obraz z r. 1619 wyobrażający wyjście z arki zwierząt, dziwnie wykończony we wszystkich szczegółach, tém cenniejszy, że sławny ten malarz, bardzo nie wiele obrazów zostawił (Descamp). Van der Wersa S. Cecylia mała, skończona jak miniatura. Z Rafaela obrazek mały na blasze, S. Familia, któremu podobny widzieć można w przerysach galeryi orleańskiej. Tu mianowicie S. Jan i P. Jezus odmiennym charakterem twarzy i ciała zastanawiają, dowodzącym myśl głęboką.

Dominichina Zwiastowanie — w którym nie tak dwie główne figury jako raczej chmura aniołów spuszcza jąca się za zwiastującym zastanowienia godna. Sposób rozrzucenia aniołów w obłoku, śmiało powiedzieć można, jest

nie do naśladowania. Wielki obraz wystawujący familią Daryusza nowej szkoły, jednego z Carachów S. Franciszek seraficki, ulubiony pana domu obraz, Gwido Reniego N. Panna, na której odwrocie następujące wiersze polskie.

Cnego mi Gwido Reni ręka życie dała,
A ciekawość dowcipu w Rzymie wychowała.
Potym ze Włoch do Polski za prezent oddany
Z podłej ręki do znacznej widzę me przemiany.
Oh! dziwne jakieś ze mną fortuny odmiany!
Pierwym był wizerunkiem malarskiej dzielnosci
Potym usług ofiarą, asz celem godności.

Te dwa ostatnie wiersze dla niewiadomych okoliczności, które do nich powód dały, są niezrozumiałe. Nie wspomnieliśmy jeszcze karnawału rzymskiego na Piazza Navonna, Samarytanki, kilku szkoły hollenderskiej oryginałów; i t. d. ale też trudno by wszystko opisać. Zbiór ten obrazów ogólnie wspomniał opisujący galeryą mniszchowską w Wiśniowcu (*w wizerunkach nauk*).

Oto są dla obcych godne widzenia rzeczy w Horodcu, ci zaś, którym los szczęśliwy dozwolił poznać jego mieszkańców, dla nich zapomnieć mogą o wszystkich arcydziełach i osobliwościach.

Uderzony nazwiskiem Horodca, szukałem tu Horodyszcza i znalazłem je nie daleko od dzisiejszej osady, nad Horyniem. Znajdowano tam siekierki kamienne.

PIŃSK I POLESIE PIŃSKIE. 1)

1.

Gdy gdzieindziej potrzeba dla odkrycia nowych i nieopisanych krain, płynąć jak Ross przez lody, lub iść do źródeł Nilu gdzie już tyłu zginęło; kiedy gdzieindziej podróży zmuszeni są bardzo dawno wiadome, widziane,

1) Ten rozdział naprzód drukowany w Tygodniku petersburskim, powtórzyło wiele pism, a mianowicie Muzeum Dmóchowskiego i Przyjaciół Ludu. To ostatnie pismo z rysunkiem Mielcarzewicza.

opisane, oklepiane rzeczy powtarzać coraz na inszy sposób, kiedy już aż do znużenia wymalowane są, objaśnione, upoetyzowane i brzegi Renu i góry Szkocyi i biędne chaty wieśniaków Irlandyi, (gorsze daleko od naszych); kiedy nowych zwierząt naturaliści muszą szukać w głębi ziemi (mammuty) nowych roślin na dnie morza (algi); — u nas w krajach słowiańskich, wszystko jest jeszcze w stanie dziewiczym, do opisu, do wynalezienia, i odkrycia przed światem. Stern czy Pallas, Humboldt czy Miss Trollope, Basil-Hall i Xże Pückler-Muskau, każdyby tu swój rodzaj podróży mógł z korzyścią przedsięwziąć, do każdej z nich znajdują się jeszcze nie tknięte materyały. Proszę naprzykład kto opisał Pińsk i pińszczyznę, choćby tylko pod względem malowniczym? kto ocenił także wartość handlową tego zakątka? Dotąd nikt podobno, a nasz opis, jest tak lekką próbką, że i po nas można będzie odpowiedzieć: *nikt jeszcze*.

Nie mogę opisywać podróży mojej z Prużanęj do Pińska, bo by to była najnudniejsza frazomachia jakąście w życiu czytali, a ja pisałem. Cóż? kraj lasu, piasków, błota, ubogiego ludu, żydzi brudni, odarci i odzierający, karczmy śmierdzące, mosty drzące i pogruchotane, groble po których jadąc trzeba zębami dzwonić ze strachu żeby się wszystkie kości nie potrzaska-

ły — lasy smutne sosnowe, sosny nawet *rachityczne*, garbate, kulawe, pełno korzeni na drodze, czasem krzyż na rozstaju, cerkiewka stara podparta na kulach. — A wsi! chaty do pół w ziemi, psy chude, lud chudy i pół nagi uwędzony w dymie, żółty; dzieci z rozczochranymi włosami, nareście nic doprawdy ciekawego. — W miasteczku tylko Chomsku nowy kościół, podobny zupełnie do rondelka z pokrywą, któremu rękojeści braknie, a mógłby się wybornie przydać do odsmażenia podwieczorka Gargantui. Koło Bezdzieża pomnik zabitemu wojownikowi.

Nareście zbliżamy się do Pińska, gwiazdy swoich okolic, miasta które z białem i czarnem morzem ma związki, siedzącego jak żyd bankier na wielkim gościńcu, po kolana w błocie, na worku soli, z trzosem rubli. Z daleka naprzód pokazuje się wieża ex-jezuickiego kościoła. Jedziesz po piasku, oglądasz się, stérty, karczmy, topole, z daleka nad drogą niby wiatraki uwiązane na pokucie, niby domy z pięćdziesięcią kominami, nakoniec wielki słup w prawo z rzeźbami P. Jezusa, N. Panny i S. Jana. Chcę wyczytać napis chorągiewki, datę pamiątki, napróżno — hieroglify jakieś.

Zbliżamy się do rogatek — Stój. — Przychodzi Izraelita z wielkim rożnem, pakuje go pod brzuch tobie, twojej bryce, tlómokowi, szuka

i wacha wódki. Nie wolno jej bowiem wwieść chyba w żołądku. Obejrzący wjeżdżasz nareszcie w ulicę szeroką, błotnistą, między dwoma rzędami domów. Gdzieniedzie murowany, gdzieniedzie nowy drewniany, reszta schyłone, stare, koszlawe. A w koło idą processye długie czumackich furmanek, furmanek z pod Kobrynia, Prużanów, z całej okolicy na kilkadziesiąt mil w okolo, które tu zboże wiozą, a sól, dziegieć i t. p. ztąd nazad transportują, koło nich, handlu tutejszego przewodnicy żydzi, płaczą się i kręcą w lisach, szopach, popielicach, baranach, z brodami żółtymi, krwawymi, szarými, czarnymi, białymi, bez bród, w czapkach, kapeluszach, pończochach, boso, w butach dziurawych, w trzewikach i całych pantoflach etc. Jedziesz dalej przez rynek ożywiony, a na prawo od ciebie wznosi się facijata ex-jezuickiego kościoła i wały niegdyś zameczyska. To nam przypomina że powinniśmy choć kilka rysów historii miasta i okolicy rzucić tutaj.

2.

Obszerniejsze jest daleko Polesie, niżeli ta część kraju, którą pod jego imieniem opisujemy. Jest raczej kilka jeśli nie więcej Polesiów, a historia śledząc w nich dawniej posady Jaćwieżów, Jazygów, Metanastów, Getów, nie wie

nawet dla rozciągłości kraju zwanego Polesiem, gdzie ich właściwie szukać. Kraj pod imieniem Polesia zwany, rozciągał się od Rusi i Wołynia, ku Prusom, Mazowszu i Litwie, zajmując dawne województwa podlaskie, brzeskie, nowogródzkie i ziemię chełmską. Część województwa brzeskiego zwała się długo Polesiem. 1) Témże imieniem zowie Kromer Podlasie dzisiejsze, a Strykowski miesząc Podlasie i Polesie, wołyńskie już Polesie Podlasiem nazywa.— Ziemia chełmska ma swoje Polesie od Chełma idąc ku Ratnowi. Jest także Polesie nowogródzkie sąsiednie Pińszczyźnie i Mozyrowi. Pińszczyzna, sama zwała się Polesiem litewskim. Naruszewicz wnosi dla tego tylko imienia, że w całej rozciągłości Polesia siedzieli Jaćwieże. Jednakże dla imienia pochodzącego z położenia naturalnego, nie zdaje się być podobna siedziba ich tak daleko rozciągać. Gdy z kądem inąd znajduję na brzegach Polesia wołyńskiego i litewskiego, Krywiczów i Drewlan.

Znaczną jednak część Polesiów zajmowali niechybnie Jaćwieże, później tak zniszczeni, że ich śladu już na tej ziemi nie zostało, ani języka który musiał być całę różny od słowiań-

1) Tractus polesiensis. *Cromer in Polonia.*

skich a więc litewskim podobny, ani obyczajów które całe obce będąc, mogłyby się odznaczać jeszcze.

Jaćwieże poleszuki napastowani od Polaków i Rusi, dwoma wiekami przed Kazimiérzem W. ścieśniać się podbojami sąsiadów zaczęli. Włodzimierz Swentosławowicz w X. wieku wziął od nich część Polesia wołyńskiego i odtąd jak się zdaje poczęło tu wchodzić wyznanie greckie. Bolesław Chrobry szarpnął ich od Pruss; tenże idąc na Kijew i dobywając go, zabrał u Rusi, podbite przez nich Polesie. Jarosław Xże kijewski, który ku Mazowszu ciągnął za Mieczysława II., część podlaskiego Polesia osadził Rusinami. I to ma być początkiem Rusi na Podlasiu.

Kazimiérz I. mnich, zbiwszy Poleszuków z Masławem sprzymierzonych, przywrócił Polsce, dawne polskie Polesie. Poźniej Swentopelk kijewski znowu się przyłożył do zniszczenia Poleszuków. Zajął on Polesie wołyńskie. Nareszcie Polesie przeszło całkiem do Polski. Lecz do roku 1520. 1) Polesie litewskie nie rozdzielone należało do Juryzdykcyi wojewody trockiego. Dopiero o tym czasie Zygmunt I. w Toruniu stworzył województwo podlaskie i

1) Naruszewicz.

w nim część Polesia zamknął. Inne Polesia do Wołynia, a z Wołyniem do Korony należały.

We XII wieku sławna była wyprawa Kazimiérza sprawiedliwego, na Jaćwieżów Poleszuków w r. 1192. Wtargnął on z wojskami w część Polesia podlaskiego, mimo oporu jaki mu stawiały niedostępne błota i puszcze. Wypadek i szczegóły tej wyprawy, ducha i charakter Jaćwieżów pokazują. Gdy mszcząc się pustoszeń na Mazowszu szedł już do Drohiczyna Kazimiérz, zlekli się na pozór Jaćwieże, o swoje głowy i bożnice. Wyszli ofiarując mu pokój, poddaństwo, a dla pewności zakładników.

Uspokojony, przyjął ich Kazimiérz, wojsko się rozłożyło nieostrożnie, a czas upływał. Tym czasem Jaćwieże korzystając z przewłoki porobili w miejscach niektórych zasadzki na jakie zdobyć się mogli, popodcinali drzewa, pozawalali drogi, i lekce ważąc życie zakładników, gdyż wierzyli w nieśmiertelność; 1) wpadli na Polaków. Trzeba się było ratować ucieczką, — a ta ze wszech stron była zamknięta, ze wsząd stali Poleszucy broniąc przejścia, wycinając w pień wojsko. Tém, do ostateczności

1) Herodot. Getae.

przywiedzeni polacy rzucili się na tłumy barbarzyńców co tak dzielnie swego kraju broniły — i pobili ich. Królik ich złożył podarunki i przysiągł na wierność.

Nieustanne wojny, a potem najazdy zniszczyły Jaćwieżów do szczytu i kraj ten wyludniły. Sąsiednia Ruś osiedliła się w nim.

Następnie jednak imie Polesia z wycięciem lasów i większym zaludnieniem kraju, nowemi jego podziały do większej już części ziemi stosować się zaczęło. To Polesie którego tu niektóre rysy skreślamy, przejrzelśmy od Pińska, do Lucka i Olyki.

Nazwisko ogólne kraju, samo w sobie ma łatwą etymologią naturalną, i nie wiem zkąd się mogło wymarzyć cudzoziemcowi Malte-Brun, albo zkąd wziął pomyłkę, którą w swoim obrazie ziem niegdyś polskich 1) popełnił pisząc — „Błota któremi jest zalane, podobne do morza, dały mu imie Polesia” (??) 2).

1) *Tableau etc.* p. 215.

2) Les marais dont elle est inondée, ressemblent à une mer; et c'est ce qui lui a fait donner le nom de Polésie. Cytujc *Olivarîusa*, 2. *Calv.* p. 154.

3.

Otoczające Pińsk, błota nad Piną i Jasioldą, mnóstwo rzek i rzeczulek przerzynających je, daly powód jednej z najosobliwszych bajek, jakie kiedy stworzyć mogły domysłność ludzka i niespokojna ciekawość. Bajka ta urosła z położenia kraju i z pozoru jego w czasie niezmiernych wylewów wiosennych, zatapiających ogromne przestrzenie błót i łęgów. Podanie to głosi, iż kiedyś bardzo dawno, morze czarne (Pontus Euxinus) aż pod Pińsk podchodziło, lecz kiedyś, jakiś potężny monarcha kijewski, rozciął góry, spuścił zatrzymane wody, i zostały się tylko błota. Lepiejże już było morze zostawić niż błota! Na dowód tego cytują kotwice pługiem wyorywane po polach, ale gdzie, kiedy, przez kogo — tego nie piszą. 1)

Pierwsze wspomnienie Pińczuków u Nestora, znajduje się około r. 1097, gdy ich z Brześcianami Mściśław syn Swentopelka, do obrony Włodzimierza od Dawida wezwał i z niemi się złączył. Ktoby zaś był założycielem Pińska, jaka to była pierwotna osada? — nie piszą. Trzeba wyznać, że cudownym instynktem u zbiegu ty-

1) *Rzeczyński*, *H. N.* p. 164.

lu rzek, w miejscu na przyszłość dla handlu tak mogącym być ważnem; położyła się.

W XIII. wieku Pińsk był schronieniem Wolstynika i zabójców Towciwilla, Wolstynika, którego tak okropna śmierć czekała wkrótce we Włodzimierz, z ręki X. Leona (1267). W tym czasie mowa jest u kronikarzy o monasterze greckim pińskim, nie wiadomo czyli tak nazwanym dla tego, że był w samym Pińsku, czy tylko w okolicach. Wnosim że już tu także obrotne być musiało zamczysko, które wtedy więcej od wszystkiego bronić mogły. W połowie blisko XIV wieku, stolica małego księstweczka, składającego się z Mozyra, Pińszczyzny właściwej i Polesia wołyńskiego, dostaje się w działo Narymundowi synowi Gedemina urodzonemu z Widy w r. 1277. Ten Narymund Xże piński, wedle ruskich kronik w bitwie z Tatarami wzięty, wykupiony przez Iwana Xcia moskiewskiego, chrzci się pod imieniem Hleba, zdaje się, że około Nowogrodu przesiaduje i umiera około 1340 r. Synem jego zapewne jest Jerzy Narymundowicz Xże belzki.

Drugi Narymund Xże piński także, pokazuje się synem Olgerda a bratem Jagielly; powieszony pod Wilnem i rozstrzelany przez Krzyżaków. Miał na chrzcie imię Wasil. Tak się podpisał na przysiędze posłuszeństwa i

wierności Władysławowi Jagielle w r. 1386 w Łucku. On też oddawał Halicz królowi Jagielle w r. 1387. Wszędzie pisał się: *Dux de Pińską*. Po nim chociaż z tym tytułem znajdziemy jeszcze kilku książąt; wkrótce księstwo do województwa brzeskiego, z całą niegdyś dzielnicą, a z niem do Wołynia przechodzi.

Pod Pińskiem a przynajmniej w bliskości jego, w r. 1527 Xże Konstanty ostrogski pobił dwadzieścia kilka tysięcy Tatarów, którzy wprzód okolice Pińska i samo podobno miasto splondrowali i zniszczyli.

Za buntów kozackich ciężkiego losu doznało miasto, a mianowicie w r. 1648, za przeniewierstwo i utrzymywanie strony buntowniczej spalone 1).

Późniejsi dają mu 4,000 ludności i wspominają tu o kupcach handel z Moskwą i z Niemcami wiodących, rusinach. Starowolski mianowicie, handel nawet zbożowy dziś tak ważny dla Pińska, wzmiankuje 2).

Starodawna tutejsza katedra grecka, nie dość ma wyjaśnioną historią. Kronika Mitrofanju-sza Czernca pińskiego bardzo dawna, już tu się monasteru domyślać każe, popierając nie-

1) Rudawski.

2) Starowolski, ed. 1652 Dant. p. 108.

jako wspomnienie kronikarzy o nim, za czasów Wolstyńnika.

W r. 1146 już czytamy Episkopem pińskim i turowskim Joachima Władkę 1). Powtórna a raczej nowa biskupstwa ruskiego fundacja przez Witolda uczyniona została, a przez Kazimierza Jagiełłę potwierdzona w roku 1448. 2) Dalej siedzieli na tej katedrze znaczniejsi: Euthimiusz Okuszek. Leontius Pełczycki Jas-trzębiec w r. 1592. Jan Hohol Unita 1596. Grzegorz Lis Michałowicz 1624. 3) Rafał Korsak-Korczak 1632. Marcin Białozor Wieniawa koło 1640. Orański, — Antoni z Łubic Żolkiewski 1700, Ciechanowicz, Teofil Godebski Godziemba 1728. Jerzy Bulhak Archimandryta supraslski i leszczyński. Horbacki 1. i 2, i t. d.

Pińsk miał kilka kościołów i klasztorów jakoto: Franciszkanów bardzo dawniej fundacyi, a podobno katolicki najdawniejszy konwent tutaj, parafialnym kościołem, Bratanków czyli

1) Susza. *O obrazie cudownym Matki Boskiej w Chełmie, Niesiec. T. I. f. 94. T. IV. 770.*

2) O tém wiadomość u Niesieckiego z listu Kniazia Fedora Iwanowicza Jarosławicza ostrońskiego pod r. 1026 danego Bisk. Jonaszowi.

3) Susza.

Kommunistów 1), Dominikanów, których mury dotąd nieskończone stoją, Jezuitów kościół i kaplicę, Bazylianów i t. d.

Z tych Zakonów jak wszędzie tak i tu najpotężniejszy był jezuicki, wielki zakon Lojoli. Ich kościoła mury ogromne i dziś jeszcze panując nad miastem uchodzą w okolicy za cudo architektury, chociaż w istocie jest to tylko massa wielka cegieł w smaku XVIII wieku zrzucona. Ogrom tylko zastanawia. Ale ten zakon wszędzie, nawet w budowach swoich cechę wyższości piętnował. Ujrzysz gdzie, wielce ozdobny, duży, panujący nad wszystkiemi kościoł, postawiony tak; aby uwagę zwracał — nie pytaj czyj jest — pewno był jezuickim. Przytém mieli oni, sobie tylko właściwy rodzaj architektury giętej, floresowanej, wieszającej drobne ozdoby na wielkich murach; po której poznać ich łatwo.

Zastanowił mnie tu jeden rys, malujący także charakter Zakonu. W połowie kościelnego okna zamurowanego od ulicy, wymalowano dwie figury niby rozmawiające. Kogoż myślicie? dwóch xięży? O! nie wcale. — Dwóch Turków w oknie kościoła. Niektórzy mówią że to

1) Clericorum saecularium in commune viventium, ztąd *Kommuniści*.

są dwaj czeladnicy zabici w czasie budowy kościoła, lecz ich ubiór zupełnie się temu sprzeciwia. Była zapewne myśl która do tego rysunku powodowała, był to sposób powiedzenia przechodniom: *My nawracamy Turków*. Wistocie roczniki jezuitów litewskich pełne są podobnych nawróceń. Jeden z tych niewiernych w białym z różowem zawoju, niby świeży jeszcze przybylec, drugi już dawniejszy Katechumen ubogo, szaro, ubrany. Jesta ich pokazują żywą rozmowę, zdają się dziwić potędze zakonu i z uwielbieniem poglądać na mury i błotnistą pod nogami ulicę. Ci dwaj Turcy mocno mnie zastanowili, pomyślałem że kościół musiał pewnie Tercjak lub braciszek Koadjutor malować, bo obcy nie przejąłby się tak duchem familii.

Jezuickie collegium założone tu zostało przez Xięcia Stanisława Radziwiłła Bisk. wil. Kancelrza W. X. L. Tę fundacyą potwierdziła Konstytucya 1635 r. 1). Oni mieli tu drukarnią swoją, lecz jeszcze w XVII wieku wiele dzieł z okoliczności drukowanych, pińskie collegium wydawało w Wilnie, co jak uważa Bandtkie, ztąd zapewne pochodzi, że tu okazalszych typów i wytwornych ozdób drukarskich nie było.

1) f. 27.

W tymże kościele Jezuitów leżało, ciało S. Andrzeja Boboli S. J. które do Polocka za pozwoleniem rządu uwieźli z sobą po kassacie, S. Andrzej Bobola S. Jesu, 1) urodził się w r. 1591, wstąpił do zakonu w r. 1611. Odprawił nowicyat w Wilnie. Teatrem jego prac apostoelskich i śmierci był Janów i cały powiat piński, gdzie przez 26 lat nawracał po wsiach i miasteczkach. W r. 1657, za buntów kozackich w Janowie wszystkich katolików wycięto, w Pińsku i Nieświeżu sześciu Jezuitów zabito. Andrzej Bobola znajdował się podówczas we wsi Mohilnie pod samym Janowem, gdzie go kozactwo odprawującego Mszę świętą zastało i mordersko zamęczyło. Ciało jego długo leżało w grobach i nie myślano o kanonizacyi. X. Godebski rektor w Pińsku, a potem biskup łucki Alexander Wyhowski pierwsi o tém pomyślili. Ostatni ciało Boboli w r. 1712 z grobu pospolitego, do osobnego, mniej wilgotnego przewieść kazał. Synod łucki w r. 1726 wspomina już to ciało S. Andrzeja Boboli w Pińsku, o którego kanonizacyą, starali się Jezuici u Benedykta XIII. Lecz process trwał jeszcze i za Benedykta XIV: dopiero go mę-

1) X. Floryan Jaroszewicz, *Matka Świętych* f. 259 pod dniem XVI maja.

czennikiem i świętym uznano. August II w r. 1726 przyciśniony boleścią w nodze, ofiarował do jego grobu szczérozłotą nogę 1).

Jeszcze jedno podanie z czasów budowy jezuickiego kościoła; bo gdzież, byleby ich szukać, podania się nie znajdują?? Kiedyś jak się jeszcze budowało collegium, był tu laik, braciszek, Jezuita świętobliwy, który wiele cudów robił, aż mu X. Rektor, czy przez zazdrość, czy przez pokorę zakonną nie żądającą sławy, zakazał ich więcej. Posłuszny ustał, lecz gdy raz mija fabrykę, pada z rusztowania robotnik.

— Ratujcie! ratuj! wołają wszyscy do niego, ratuj!

— Nie mam na to pozwolenia, rzekł pokornie laik, ale czekajcie, pójdę o nie poproszę.

W istocie gdy wymówił — *czekajcie* — robotnik zawisł w powietrzu i czekał aż laik powrócił od Rektora z pozwoleniem uratowania go. Naówczas braciszek się pomodlił i mularz został ocalony. Czy zaś do góry powrócił, czy

1) Podanie miejscowe głosi, że S. Andrzeja zaczęto męczyć koło Wyhowa, gdzie jest figura na tę pamiątkę, zamęczono zaś na rynku w Janowie przeciw kościoła.

lekko spuścił się na ziemię, o tém już podanie wcale nie wzmiankuje.

Pozostała Collegium biblioteka i rękopisma dostały się szkołom pińskim. Te ostatnie podobno same ascetyczne traktaty zawierają.

4.

Część miasta przeciwna naszemu wjazdowi zowie się Karolinem, jest to suplement Pińska, tak jak on sam błotnisty. Lecz trzeba się tam dostać, aby widzieć *Brzeg*, najważniejsze w Pińsku miejsce i jedyne w naszym kraju. Tu to przybijają statki z solą, a odbijają z wódką, zbożem, węglami, obręczami i t. d. Spojrzenie nań przypomni każdemu, jeden z tych sławnych widoków chmurnych brzegów Hollandyi, tak znanych wszystkim, przynajmniej z rysunków. Sterczą oschłe i pogruchotane statki z obnażeniami masztami, na suchej ziemi stojące, mnóstwo łodzi, obijaników, czółen, bark, pińczuków w szarych opończach, w czarnych pasach, z krzesiwem w rękę, z lulką w zębach, z kołtunem długim i grubym, opartych na wiosłach. — Żydzi czatują u brzegu na gości wysiadających z obijaników okrytych poklatem i nie krytych, żydówki zapraszają do karczmi pobliskich.

Za tło do tego obrazu błoto, woda, a dalej piaski i chmurne niebo jakby Hollandyi, i powietrze ciężkie a prawie solą przesiąknięte, prawie słone. Życzylbym któremu z naszych malarzy czującemu się na siłach, zamiast kopii nic nie znaczącej flamandzkiej karczemki, zrobić obraz tego miejsca tak oryginalnego — na wiosnę, gdy lody puściły, kry przeszły, handel ożył; kiedy się tłumy zbierają na brzegu, a tratwy i barki płyną witane i błogosławione przez właścicieli; kiedy cała brudna i zabłocona populacja Pińska stoi nad wodą i ożywa ruchem przemysłu i handlu. Do tego dodałby potrzeba otwartą a wielce brudną karczmę, co najwięcej różnych żydów, kowala w czarnym skórzanym fartuchu, stojącego i gawroniącego z obcęgami w ręku; dzieci i bachurów, kilka chudych psów i jednego Izraelitę w koczu, w sobolach, króla tego handlu i ruchu, poglądnącego dumnie, z góry, na płynące nadzieje.

Byłby to obraz godny pędzla, gdyby go zbyt nia jednostajność charakterów fiziognomii nie psuła monotonią. Bo cóż innego wyczytasz na tych twarzach, nad chęć niepokonaną zysku, nad łakomstwo, nad chciwość? Od starego żebraka, którego jedyna barka rozbiła się kiedyś z nadziejami razem i losem, któremu został tylko kij, torba, żal i wspomnienie, aż do dziecka bachura wyglądającego chwili, kiedy z pod

szpektorskiego kulaka, wyjdzie na świat i zacznie handlować, — wszystko oddycha zyskiem, pieniędzmi, solą, wódką, skórą, żytem i nadzieją sprzedaży korzystnej.

Kramy w Pińsku są tak zasobne jak rzadko, galanterijny sklep Nisiela, wiele ma i wielką rozmaitość towarów.

Dawnym zwyczajem wielu obywateli pobliskich ma tu swoje domy w Pińsku. Jeden z nich nawet P. Skirmunta murowany, dość piękny, a może nadto na Pińsk nawet, zdaje się jak elegant na wsi, wstydzicie się swojej zbyt pretensjonalnej architektury, przy innych domkach, które stoją bez ceremonii jak skrzyneczki na półkach. Prócz tego mają tu domy XXta Lubecy i wielu innych.

Ach! — ależ tylko com nie zapomniał o największej w Pińsku osobliwości, o której niezawodnie wspomną każdemu nowo przybyłemu. Jest to palladium Pińska, osobliwość, starożytność, ciekawość, ciekawsza od najciekawszych ciekawości; od paryzkiego Ourang-outanga i słonia-fontanny, od lwów królewskiego ogrodu, od braci siamskich, od psa Munito, od Albinosa, od niedźwiedzi berneńskich — od wszystkiego co jest i będzie ciekawem. Jest to stworzenie tu, dość pospolite, ale tutejsze oryginalne, właściwe, — wiun, wąż — ryba, mieszkawiec błot i rowów nadprypeckich, wiun, król

wiunów, prapradziad wszystkich, sięgający czasów kiedy tu w gościnę morze czarne przechodziło — wiun na łańcuchu, gdzieś, u jakiegoś mostu będący.

Jeżeli w prostocie ducha uwierzysz tej powieści, którą z największą serio będzie ci pińczuk opowiadał; z jakąż to radością, on, co się tej mistyfikacji od prapradziadów nauczył, będzie z tobą brnął po całym mieście, chodził i krążył, niby zawsze szukając tego sławnego wiuna, z jakim nareście śmiechem, umęczycie cię, powie — *prima aprilis!*

Każdego prawie, kto tylko był w Pińsku musiano spróbować, czy się tym sposobem zwiesić nie da, jest to starodawne jak widać miejscowe podanie tej krainy wiunów. I wieluż to już prostodusznych dało się złapać na wędkę; gotując tryumf pińczukom.

Wiun czyli piskorz 1), w wielkiej ilości znajduje się po błotach i rowach pińszczyzny i Polesia. Pisze Rzączyński i potwierdzają naoczni świadkowie, że wysuszony używa się jak pochodnia do oświećania, w niektórych miejscach 2). Z tego powodu wspomnieć muszę, że na bezleśnym Wołyniu i Ukrainie, chłopci u-

1) *Ophidia Plin. Peiskern.*

2) *H. N. p. 151.*

żywają do oświećania łodyg ziela Dziewanny, które moczą jak konopie, suszą i odzierają z kory, a rdzeń zostawiają i palą jak świece. Koło Pińska także stolica żółtów 1).

Chłopi tutejsi szczerze mówiąc, nie mają wysokiej reputacji rozumu, oni swój Pińsk, jak Chińczycy Pekin, za środek świata przywykli uważać, przez pół roku utrudnione mając zalewem związki z resztą świata, w pół dziko żyją. Sławna jest anegdota.

— A s kul czelownik?

— Ja ne czelownik, ja pińczuk. I ztąd zwykle zowią ich nie ludźmi, tylko pińczukami. Ileż to tutaj jeszcze cywilizacya będzie miała do czynienia! Lecz jest nadzieja, że za magazynami i fortepianami wejdzie tu i coś pożądańszego, powszechniejsza oświata. Może przemysł otworzy do tego drogę, przemysł który tu już świta. Fabryki cukru, sukna, płócien, otwierają się. Jest też próba sklepu kompanii akcyonaryuszów, ale ta podobno nie ze wszystkiemi się udała. Wszakże sklep trwa dotąd, że mamy nadzieję iż się nie da zabić żydom, którzy usiłują bez wątpienia tę próbę zniweczyć.

1) *H. N. p. 153.*

5.

Piński powiat dzieli się na dwie części: Zarzecze i Zahorodzie, między którymi w środku Pińsk, Liverpool litewski, który nie długo może zupełnie na to nazwisko będzie mógł zasłużyć, siedzi poważnie z brodą i workiem soli, Zarzecze najpuściejsza i niedostępna często część powiatu, jest tém samém najciekawsza. Dzielą ją rzeki opasujące zewsząd i krzyżujące się wśród niezmiernych błot i zarośli.

Mnóstwo rzek, rzeczulek, odnóg, strumyków, kanałów, przerzyna ten kraik. Naliczysz tu, że inne ominę, Styr, Pinę, Prypeć, Stubło, Słucz, Stochód, Strumień. Do Piny pod Pińsk zbiegają się od wschodu, Jasiolda, Horyń, Wetlica, Turia, od zachodu Styr, Stochód, Łukowicz, Lany, Herodeczka. Te wszystkie połączone razem zowią się Prypecią 1). Prócz żółwi i wiunów, stolica to raków także, dawniej czółen ich cały, kosztował tylko grosz imperjalny, a kopę kupić było można za szeląg 2).

Kamyki w rakach znajdowane, które oczyma rakowemi zowią, pisze Rzączyński, tak tu obficie zbierano, że jeden szlachcie z pod Pińska, zawiózł ich 200 kamieni do Gdańska. Te

1) *Rzączyński. H. N. p. 139.*

2) *Solidus, idem. ibid.*

kamyki dawniej empiryczna medycyna za lekarstwo wielkie uważała, od ukąszeń jadowitych, od moru, od gorączek i w zastępstwie Bezoaru.

Prypeć szeroko, jak Wisła, rozlewająca, wpada do Dniepru 1). Poławiają się w niej je-siotry.

Zalewy wiosenne i jesienne niekiedy, na długo utrudniające komunikacje, czynią ten zakąt dzikszym od sąsiednich, ale czas, ten wielki twórca cudów i tu powoli wniesie oświatę. Dziś jednak jeszcze, dawny opis Starowolskiego przed 200 laty zrobiony, zastosuje się fizycznie i moralnie do tego kraju, mało odmiennego od tamtych czasów 2). Widziałem już

1) *H. N. p. 139.* Prypeć po łacinie zowie się Borysthenes minor, albo Diaborysthenes. *Cellarius.*

2) *Starovolski:* Pincensis amplissimus districtus, proprios tam terrestres quam Castrenses magistratus habens, huic satrapiae adjunctus est, sed sylvis nimium inumbratus et paludibus immersus, piscium, mellis et ferrarum copia percelebris, tametsi et fruges non maligne proferat, et ceram, sebum, supulum, Silesiam atque in Prussiam Dantiscum mittat. Habet Pincum oppidum homines industrios et mercaturae adeo deditos ut et in Moscoviam et Germaniam saepissime cum suis mercibus excurrant. Sed ut plurimum religionis sunt Graecanae. Episcopum suum proprium habent. Ubi et

ten zakąt we wszystkich czterech porach roku, a zawsze mi się dzikie, samotne i ciche zarzecz równie poetycznym wydało. Bez wątpienia gdy przyjdzie pożądaný handel, wypłoszy poezyą, ale ludzie tak się bez niej wygodnie obchodzą!..

I teraz nawet ktoż jęj tu szuka, kto ją widzi w tych łożach, czerotach, w tęg wodzie snującej się po niezmiernych błotach zasianych stogami, ktoż ją odgadnie w śpiewie żalobnym knihi, łożniuchy i baków? w słupach komarów stojących nad błotami na pogodę; — kto ją uczuje płynąc wiosną, w nocy po zalanych do koła i morzem stojących błotach?? O! dla mnie przesuwanie się nocne po tęg wodzie rozlanej, spokojnej, zasianej płowicami i obijanikami ładownymi śpieszącymi na targ, odbijającej się pełny stojący na niebie jak far tego kilko-tygodniowego morza, ta żegluga cicha, w tak nowym kraju, miała nie porównany, nie wypowiedziany powab. A kiedym nocą jeszcze dopływał do brzegu pod starým zamczyskiem tak historycznym, którego tylko wały zostały, kiedym ujrzał olbrzyma jezuickiego o trzech wieżach i stu pierzastych kominach, a

Ignatianis Collegium Dux. Stanisl. Radivillius Cancell.
Lit. erexit. etc.

z dała bark maszty z chorągiewkami, byłem tak uradowany jak inny podróżny, dosięgający oczekiwanych ruin Akropolis.

Gdy zaś weszło słońce, targ się otworzył, a mnóstwo czółen rzędem ustawionych na brzegu, rozpoczęło targ na siano, drwa i inne zapasy, patrzyłem z podziwieniem na ten ruch, to życie, a z większym jeszcze przypatrywałem się tym śmiałkom, którzy wśród wielkiej fali i wiatru na cienkiej i wyszczerbionej pławicze puszczali się na jezioro stojąc i robiąc wiosłem żwawo, a nie zważając choć pod ich nogami uginała się i przechylała jak liść łódka. Tak wodnisty kraj ma też mnóstwo rodzajów czółen do przejeżdżania i przewozu produktów, których grzechem byłoby nie poznać, chcącemu znać pińszczyznę. One razem z wodami należą do jęj składu. Najmniejsza łódź zowie się *ptawiczka*, płaska, z jednego drzewa, w której jeden człowiek stojąc powozi się. Ta nie prawie ciężaru nie bierze. Większa trochę jest *ptawica*, a mianowicie dłuższa od poprzedzającej.

Najpowszechniej używany do małych transportów i podróży, jest średni obijanik, inaczej zwany *szuhaleją*, albo też generycznie czółnem. Robi się on z jednego rosparzonego dębu, z obojnikami czyli obłożynami sosnowymi, a we środku wybija się szkabkami i wylęwa

smołą. Taki obijanik może unieść ciężaru od 100 do 300 pudów. Wielkie obijaniki zwane dębami czarnobyłskimi unoszą do 400 pudów. Gdy takim obijanikiem jedzie pan obywatel do Pińska, natenczas kładną w pośrodku dla ochrony od dżdżu, wilgoci, lub skwaru; budę zwaną *poklat*. Skład jój jest prosty, kilkakzniętych kijów umocowanych w poprzek innemi, na to płótno, skóra, a na sam wierzch rohoże plecione z sitniku. Ta trawa gdy jest jeszcze bardzo młodą, służy także chłopom za rodzaj pokarmu, wysysają z niej słodycz, której koniec młodego wypustka dostarcza.

Czerot — (*trzcina*), który tu tak ogromne błót przestrzenie porasta, ma także swój użytek, daleko bowiem lepiej od słomy dachy pokrywa, a prócz tego daje, ścięty w zimie po lodach, wyborowy opał. Fura jego w Pińsku kosztuje do dwóch złotych.

Po obijaniku następuje barka, daleko od niego większa, mająca wyraźny nos i tył, niosąca od 3,000 do 5,000 pudów ciężaru. Obijanik najszerszy ledwie trzy łokcie w poprzek we środku otrzyma, barka zaś i więcej znacznie bierze wody i szerszą jest bardzo. Służy ona do przewozu garnków, beczek, zboża, a przy bajdakach do lichtunku i holowania to jest ulżenia im ciężaru tam, gdzie dla pływaczności i odmiału (mielizny) iść nie mogą.

Bajdak największy ze wszystkich tutejszych ambarkacyi, niesie ładunku od 9,000 do 13,000 pudów i ma już trzy, a czasem cztery maszty. Takie bajdaki zwykle chodzą do Krzemieńczuka z wódką, zbożem, drwami, węglami, klepką, obręczami nawet, a wracają z solą. Żegluga tutejsza ma swoje właściwe wyrazy, mówi się, czółen pędzić, czółen staje, woda zowie się gołą gdy w niej ryb nie ma, przód czółna zowie się nosem. Ludzie płynący z drzewem towarowym, z balami, belkami, klepką, wańczosami, zowią się flisami, na czółnach i choćby na płytach drzewa do opału, zowią się powoźnikami. Na barkach i bajdakach powoźnicy od miejsc w których stoją, biorą jeszcze inne specjalne nazwiska. Język tutejszy jest mieszaniną polskiego i małoruskiego, niekiedy akcent wołyński się przebiega.

Małe rzeczulki i odnogi, choć nie wszystkie, mają swe nazwiska. Od Sérnik do Pińska płynąc Stubłem i Styrem przepływałem Medweży Bereh, gdzie dawno nie ma niedźwiedzi, Dubieniec, bez jednego dębu, Podmostnik, gdzie ani śladu mostu żadnego, z tych dopiero wybrałem się na Prypeć, Strumień i Pinę.

Na ryby, których tu naturalnie mnóstwo, zastawiają tak zwane tutaj, Węcierze, Żaki, Nerety, Sieżniki, ale ryby tutejsze, wedle znawców, błotem trąca.

Sól ma swoją osobną wagę zwaną *wies*, do rzeczy sypkich używają gdzie indziej miary *czasą* zwaną, 12 garncy trzymającą, i będącą 12 częścią beczki. Do płynnych i sypkich rzeczy jest tu aż trzy rodzaje garnców, ku pożytkowi żydów, — koronny, kazienny i komisyjny, na Iszy żydzi kupują a na ostatni często sprzedają, i tak prócz ceny wielki jeszcze zysk mają na mierze.

Pospolitą chorobą równie jak na Pokuciu, jest w Pińszczyźnie kołtun (*plica polonica*) który się też trafia u Tatarów i w Węgrzech a nawet w Belgium i po nad Renem jeśli mamy wierzyć Bonfigliemu. Szukali w nim starzy medycy jakichś cząstek siarczanych, inni go uznali za prosty skutek nieochędnostwa. Inni jeszcze początek kołtunu odnoszą do napadów tatarskich i zatrutych przez nich wód, a nareszcie przypisują go także użyciu zbytecznemu wódki i dymnym chatom. Na Pokuciu pospolity, kołtun przeniósł się wojną z Rusi do Polski. Zwierzęta nawet tej chorobie objawiającej się na włosach podlegają, co zdaje się okazywać, że jest przywiązana do miejsca i wypływa z przyczyn lokalnych. Wszakże że jest w bliskim obezwaniu zaraźliwa i dziedziczna, a niezmiernie trudna do wykurowania; wątpliwości nie ulega. Jej szkodliwe skutki włosami się nie ograniczają, humory które ją spra-

wują często kaleczą okropnie i niezdolnych bywają przyczyną boleści.

P. Narbutt 1) cytuje piosnkę o bożku Lubiezu Lubczyku, śpiewaną niegdyś w Pińszczyźnie, którą, że się do tych stron stosuje, przywodzę.

O ty Lubiecu
Wwedy w łożnie
Zapaliwszy świecu
Moju hołubicu.

Nie mogę się domyślić, po co tu ta świeca, bez której dość niewdzięczne twarze pińczuków, mogłyby się były obejść wybornie — widać że rym jej koniecznie potrzebował.

Jako *pendant* do niej, mogę tu zacytować drugą złapaną w Pińszczyźnie, z innego wprowadzie całkiem rodzaju, lecz popularną *dykteryjkę* stanowiącą, dość charakterystyczną. Jest to opisanie bankietu, który teraz za panowania dzisiejszego Szyttlera, już się nie praktykuje.

Czapla ryby łowiła, a bocian sprawował,
A dudaszek,
Mały ptaszek,
Do stołu gotował.

1) Dzieje litewskie T. I. 109.

Bądź jak bądź — *à propos* dudka powiedzieć trzeba, że i tu królestwo brzucha się rozciąga, nikt tu po czapli i dudku jeść nie zechce. Gdybyć przynajmniej karmiąc lepiej żołądek chcieli pamiętać o duszy i głowie! Ach! panowie wielbiciele Szyttlera, zlitujcie się i nad niemi!!

6.

O kilka mil od Pińska za Dzikowiczami, osada ubogiej zagonowej szlachty nad Styrem, jest karczma dość na Zarzecze porządna, stojąca u brzegu rzeki, tak właśnie; jak u nas lądowców stoją karczmy nad drogami.

Błota kepiaste i ogromne przestrzenie czérotów otaczają ją do koła, kilka ledwie dójrzaných drożynek prowadzi do niej, żadnej wsi bliżej nad milę — pusto do koła. Cały jej dochód z flisaków którzy płyną rzeką, bo tu kończą się drogi lądowe i dalej w głąb Zarzecza już inaczej jak czólnem się nie dostaniesz. W tej to Horwasie czekać mnie miał obijanik.

Droga do tej karczmy niewypowiedzianie smutna. Od Żytniewicz do Chojna, do przewozu na rzece, piaski i błota jak zajrzysz, monotonia nudna, przypominająca a przynajmniej dająca wyobrażenie tym, którzy nie daleko za dom wyjrżeli, czém to być dopiero muszą owe pustynie, gdzie nawet czérotu i osoki braknie.

Ach! jak długo czekałem w Horwasie na obijanik! Żyd, żydówka, kot, pastuch, kobyła ze zrzebieciem, dwie krowy i chłopiec mały do trzymywali mi jak mogli towarzystwa na przemiany. Musiałem z niemi wszystkiemi w ich języku rozmawiać, a nakoniec do Chojna po ludzi posyłać, aby dalej płynąć nie tracąc czasu. Nareszcie wystarałem się jakoś obijanika i popłynąłem.

Nie wiem kogo mam prosić o pożyczenie pióra na opisanie tej pustyni czérotów i łozy, którą kilka mil płynąłem. Wystawcie sobie las trzciny splecionej, związanej jak włosy w pińskim kołtunie, a ten las bez granic jak morze, przecięty tylko gdzieś niegdyś korytem rzeki, która wążiuchno jakby za wielkiem pozwoleniem przepływa zastępy czérotu. W tych czérotach, że to była jesień, ani nawet komara, ani muchy, ani żywej duszy, ani innego dźwięku nad szelest poschłych łodyg i liści. W lecie, tłumy, wojska, émy komarów nad rzekami i błotami temi się snują. Silvio Pellico gdyby je zobaczył, nie wiem, czyby nie uznał, że są równie dokuczne jak te które go dręczyły pod Piombami Wenecyi. Ale w tej porze w której odbywałem moją podróż, byłbym zapłacił za stworzenie któremu bym się mógł przypatrzeć, któreby brzękiem lub postacią, okropną jednostajnością tej pustyni rozerwało. W niedostatku

przedmiotu musiałem analizować ubiór i fizjonomią wioślarzy, budowę czołna, pochylenie liści na trzcinie, i warkocze poschle czérotu i listki w wodzie pływające i chmury na niebie. Niekiedy przysłuchiwałem się rozmowie i wiecznym na stan swój narzekaniom przewoźników. Oni zachęcali się do popychania czołna na miełiznach i odgłos — *A nu! — a szcze! nu! nu!* — ciszę przynajmniej przerywał. Kolysanie się łodzi kleiło oczy — ale zasnąć nie mogłem. Znużony obróciłem się na bok, żeby z drugiej strony swój nos obejrzeć, gdy — — — o cudo! ujrzałem wśród téj pustyni karczemkę!

Stanęliśmy odpocząć! Karczemka była wcale niepospolita. Stała opasana do koła czérotom, łożą, krzakami które tu już się poczynaly i zwały pompatycznie lasem — mała, garbata, schylona, nogami w wodzie, głową nad krzaki nie sięgająca. Od rzeki do progu jéj prowadziło kilka schodów, a kilka czołen odpoczywało pod brzegiem.

Słyszac przybijających do portu, gospodarz któremu zapewne także towarzystwo czérotów naprzykrzyć się musiało; wyszedł z wódką na schodki. Starzec siwy, garbaty, stary jak chatka, a tak do niéj stosowny, tak w niéj konieczną część składający, że wyglądałem tylko, azali za nim jeszcze jak w bajce dzieciennéj nie pokaże się stara o jednym zębie baba, oparte

na kiju. Na ten raz Baby nie było — wielka szkoda! byłbym ich oboje z tą chatką odrysował za winjetę do téj sławnej klechdy — *Był sobie dziad i baba* — — —

Pożegnawszy staruszką, płynęliśmy dalej. Znowu taż sama monotonja, czéroty, łozy, woda, błoto i żywego ducha. Narescie usłyszałem głos ludzki, obijanik po mnie wysłany spotkał nas, przesiadamy się, pakujem i znowu płyniem, ah! znowu tak samo! Na moją pociechę nie długo spotkaliśmy znowu podróżnego, płynął jak ja obijanikiem, przed nim stał okuty kufer, a że go myśli czy napój rozegrzały, mimo chłodu, w jednéj tylko spał koszuli. — Ludzie przewoźnicy przywitali się, czołna minęły. Znowu płyniem.

A! przecież wieś nad brzegiem! odpoczynek — Cały obraz ten składał się z kilku chat mizernych, (bo chłopci tam się najgorzej budują, gdzie najłatwiej dobrze), z karczmą, żyda arędarza w niebieskich pończochach spacerującego po brzegu, za nim gęsi, kaczki, bachury, chłopcy i z dwóch bab piorących chusty. Ten widok jakkolwiek jeden z najpospolitszych, wydał mi się pełnym życia, po łożach i czérocie, które mi już w gardle stały.

A jednak znowu niemi płynąłem. Tylko w dodatku że to było blisko wsi, miałem kilka srok arcypoufałych. Niektóre z nich jecha-

ły na grzbietach psów i świń chodzących spokojnie. Myślałem sobie, czemu żadna wrona, sroka, przywykła do siadania na karku zwierzęcia, nie spróbuje się na człowieku? Długo bawilem się postrzeganiem poufalości tych zwierząt. Sroka siadała na świni tak poważnie, jak kornak na słoniu, arab na wielbłądzie, elegant na klacze angielskiej, ale wcale nie w celu popisywania się z jazdą. Patrzyła tylko uważnie, czém się rumak jej pasł i chciała mu jego pastwę pochwycić, co się jej nie udawało. To samo zdarzało mi się widzieć ze psem, który kilka razy chciał dociec, co kury jedzą na śmieciisku i widząc je dziobiące podbiegał, patrzył, wąchał, odchodził zasmucony i kilka razy zakradłszy się powracał. I mówię potem, iż zwierzęta nie rezonują, że instynkt jest niechybny.

Prawdziwie, trudno się wstrzymać od śmiechu myśląc, jak historia naturalna jest błędnie co do ducha traktowana, jak mało jeszcze wniknęliśmy w istotę zwierząt, a jak się z tego co nie umiemy chwalim.

W tych i tym podobnych uwagach płynąłem dalej, lecz resztę tej podróży, muszę wam darować — bo była nudna jak ta kraina, posępna jak wieczór jesienny, jednostajna a długa jak godziny próżnowania. Trwało to bez końca — jak stary romans, nareście dał się słyszeć z da-

leka szczek psa, krzyk dzieci, szum młyna, zbliżałem się do noclegu!

Jak Oazis w pustyni, jak karawanserail wśród drogi, jak wszystko, co jest oczekiwane długo i niecierpliwie; smakowały mi te głosy coraz rosnące, wyraźniejsze. Wypłynęliśmy z odnóg na Styr, ujrzałem na jego brzegu wieś, ludzi, świat, życie. Na prawo szumił młyn pływak, w lewo dymił chaty, kilka czółen się mignęło — ładowano cegłę na obijaniek. Tu przecie było życie! Powitałem serdecznie Iwańczyce. Sądzę, że i wam już czytelnicy były one potrzebne? nie prawdaż?

7.

Lecz trzeba mi było widzieć jeszcze pustynie Zarzecza, te błota ogromne — zimą, kiedy je biały śnieg pokryje, kiedy w górze białe śniegi nad nim zawisną, kiedy fale śnieżyste otaczają podróżnego, i człowiek jadący lub idący, według tutejszego wyrażenia, znajduje się wśród tej jednostajnej białości *jak w jajku*. Jest coś osobliwego w położeniu i uczuciach podróżnego, który do koła siebie, nad sobą, przed sobą, nic, prócz tej jednostajnej białości, nie widzi. Wyobrażenie niebezpieczeństwa, które istotnie jest wielkie, jeśli się jedzie temi błotami wśród zawiei, ta nieskończona jed-

nostajność, wiatr i śnieg wionące na niego, dziwnie go cieszą — może dla tego, że się czuje silnym przeciw nim wszystkim, tak jak rycerz stający do boju. Tym którzyby nie wierząc w rzeczywistość niebezpieczeństwa, mieli ochotę śmiać się z niego, możnaby zacytować, aż nadto częste przykłady ludzi obłąkanych w zawiei i zmarzłych o kilkadziesiąt kroków od domu, którego dójrzeć, przeczuć, ani się domyślić nie mogli.

Kiedy wiatr ze śniegiem suchym podniosą się w powietrze i zabiela cały świat, nikt się w drogę nie rusza, wszyscy siedzą gdzie ich zastała zawierucha — a kogo konieczność wypchnie z domu, ten ufa w Opatrzność, że go jak nurka z głębi przepaści wyciągnie. Zawieja najmniej jest straszna w lasach, bo się tam rozbita drzewami prawie czuć nie daje; lecz w miejscach odkrytych, zasypując drogi i znaki wszystkie po których poznaćby można położenie miejsca, zasłaniając przedmioty nawet mało oddalone, na oślep, instynktem puszczając się przymusza. Najbezpieczniej w takim razie uważać kierunek wiatru aby zawsze w jednostajną jechać stronę, lecz i w tym razie przez jego zmianę można zupełnie stracić drogę. Na szerokich pińskich błotach straszna jest zawieja, bo gdy nawet czasem blisko stóg się pokaże; i ten nic nie wskazuje, gdyż ich jest ogromna

liczba rosproszonych po błotach. Trzeba dla wybrania się w taką podróż, być albo zakochanym, albo kupcem, albo szalonym. Tak mi mówił jeden nieznajomy podróżny któregoś wśród zawiei spotkał na błotach.

Tu, jak w lecie płyną, tak zimą jadą po rzekach, one najlepiej trakt wskazują. Można się wprowadzić załamać na oparzelisku i utonąć, ale któżby na taką fraszkę uważał? Ogromne szeregi furmanek ciągną się nieraz mimo odwilży, po kostki w wodzie przez rzeki i jeziora chruszczące pod nogami, czasem się topią, ale jadą dla tego.

Warto choć raz w życiu tą drogą jechać wśród zamieci dla uczucia widoku tego nieskończonej białości, nie przerwaną niczym, przestrzeni ze wsząd jednakięj, którą chyba we śnie gorączkowym wymarzyćby można nie widząc.

— Co znaczą te krzyże u brzegu rzeki? pytałem woźnicy. Czy tu kto utonął?

— Nie panie, odpowiedział mi — Ludzie, flisaki płynący z drzewem do Gdańska, stawiają na pamiątkę w miejscu gdzie święta wielkonoce odbywali. Piękny to zwyczaj naszych pobożnych ludzi, który dowodzi ich poetycznego uczucia Religii.

Wieluż to rzeczy znaczenia równie jak tych krzyżów nie wiemy? Co znaczą naprzykład koła na tyczkach przed chatą? — Pannę na wy-

daniu, a kupy chrustu na rozstajach? mogiły nagle zmarłych. A czaszki końskie zawieszane często na płotach przed chalupami, lub rzucone od niechcienia niby po drogach? — Te wskazują trakt i gospodę złodziejom na konie, cyganom, żydom i t. p.

KARCZMY, ŻYDZI, DROGI.

Powiadają, że dwie są drogi w życiu, jedna gładka i wesoła do piekła, druga ciężka i ciasna do nieba. Jeśli tak; to poleskie drogi wprost do królestwa niebieskiego prowadzić muszą, i to pewna, że tam już nie jednego zaprowadzić musiały. Wystawcie sobie na przykład drożynę wyłożoną wozami chłopskimi, kręto, po korzeniach, wśród pni i gałęzi, lasem. Trudno się nią, wykręcić, gdzie niegdzie woda powybijała doły dla tém pewniejszego wywrotu, tam i sam strumyk błędny sącząc się, wieczną grzęzawicę robi. Nareszcie przez błoto trzeba

grobli. Ale gdzież zaś obojętny poleszук tyle może mieć czasu, żeby groble sypał? Cóż więc? Oto natnie drzewa i pokładzie na drodze, żeby koła nie tonęły w błocie. Wygodna droga po takich nakotach! Jeśli przez osobliwsze miłosierdzie nad podróżnymi nasypie na wierzch chróstu, ten się rozpełźnie, wbije w ziemię, a nakoty zostaną jak były. Często ogromne przestrzenie błót, po takiej drodze przebywać trzeba. Ale otóż i mostek. Godzien drogi, wązki naprzód, dziurawy powtórę, trzęsący się na palach, to trzecie i ostatnie. Gdyby zaś pod nim była przepaść na sto sążni, a długość jego była Bóg wie jaka; nie znajdziesz nigdzie poręczy, jest to *luxus*, którego sobie poleszук nigdy nie pozwala. Ciągłe więc zdawszy się na Opatrzność i furmana musisz jechać pod strachem.

Nad drogi poleskie, nie znam nic straszniejszego, chyba poleskie karczmy. Ach! wszystkie pięć zmysłów i drugie pięć, gdyby je miał człowiek; cierpiałyby męczarnię najwyrafinowańszą, w tych jaskiniach swędu i niechlujstwa.

Już widzę jak się podróżny z daleka cieszy, gdy mu powiedzą że będzie wkrótce karczma. Wygląda on, niespokoi się — i widzi nareście światło błyszczące z daleka przez okno pobite, pozaklejane, pozatykane. Stój! Dach się chyli, komin wali, wjazd zawalony błotem, staj-

nia bydłem, wozami i saniami. W izbie dymią okropnie fajki poleskie, słychać gwar głuchy pijackiej rozmowy. Pytasz o osobną izbę — żydzi ci się w oczy śmieją.

Rad nie rad, ciemno, późno, słota, wchodzisz do jedyniej! Ach! pod nogami twémi płaczą się bachnry, gęsi, kury, błoto; głowa twoja zawadza o lichtarz siedmioramienny, wiszący z pułapu i kapiący łojem, w nos twój zapach gorzałki, dymu fajek, swędu właściwego żydom, kwasu, czadu, łaju, dziegieciu, błota, wpada i uderza; o uszy twoje gwar pomieszany beku dzieci, krzyku kur, kaczek, gęsi, żydówek, brzęku kwart i pieśni chłopskich. Na dobitkę, w jednym kącie żydzi rzną kozę wśród izby, w drugim szpektor uczy dziecko ponuro powtarzając — *Gecher!* Uciekasz do alkierza! W alkierzu na betach i piernatach żydzi mieszą bułki i łokszyń, wisi kołyska, stoi stół kulawy, włóczy się kotka z kociećtami, skaczą kozy po ławach, zawala drogę worek z owsem, w kącie śmierdzi rzepa i brukiew, a w drugim leży kupa kartofli. Ani sposobu! — Gdzież ja będę nocował! myśli biedny podróżny.

Żyd jako bardzo przebiegły, wybiega naprzód do stajni zobaczyć czém podróżny przyjechał. Od tego zależy przyjęcie.

Jeśli parą końmi, nie krytym wózkiem, a żyd ma kilkaset rubli, traktuje podróżnego *de puis-*

sance en puissance, en égal, kładzie ręce w kieszenie, pluje, zapala fajkę (tu wszyscy żydzi fajkę palą) i chodzi w czapce. Jeśli konie zaprzężone w szwarc; z trochę większą dystynkcyą, jeśli jedziesz ze dzwonkiem, najwyższy respekt, jeśli masz kocz i brykę, wypędza chłopów i oczyszcza ci pierwszą izbę. Daje ci świecę chorą leżącą na bok w lichtarzu, gospodyni zmiata stoły i ławy fartuchem, podłogę posypują piaskiem. Ale któż cię wybawi od całej historii naturalnej, wijącej się po ścianach, jakby naumyślnie do obserwacyi, od smrodów, któremi już ściany przesiekły, od krzyku z sąsiedniej wylatującego izby bachurów, kotów, żydów, szpektora i t. d.

Nic obrzydliwszego na świecie nad karczmę poleską, nic podobniejszego do czysca nad nocleg w niej, nic przytém nudniejszego, nad żydów jój mieszkańców, którzy pijawczanym sposobem siedząc w każdej wsi, ssą chłopów, odzieraają podróżnych i wypłacają się rozmaicie panom swoim, często dziedzicznie po lat 200, w jednej familii, jedną karczmę sobie podając.

Nic szkodliwszego przytém dla gospodarstwa nad nich. Oni bliżej z wieśniakiem w stosunkach zostając, wiedzą o wszystkiém co on ma, każdy jego snopek policzony u nich, każda sztuka bydła zapisana w pamięci. Co tylko można za pół ceny wziąć w długu, to wezmą —

zboże, bydło, aż do najdrobniejszych rzeczy, aż do ruchomości gospodarskich, które opilecy odnoszą wreście arędarzowi. Zważmy i chcemy się przekonać o szkodach niezliczonych z zajęcia karczem przez żydów; chcemy naręście rzucić oczyma na swoje położenie i rzucić to jarzmo ohydne. Co za osobliwszy wdzięk, co za czary mają żydzi, że przy tylu niedogodnościach, tylu oczewistych krzywdach; siedzą wszędzie tak spokojnie?

Policzmy ile to oni szkodzą sprzedaży wódki swojemi gorzelenkami, przy każdej nieuchronnemi karczmie, ile psują cenę wołów, stawiając ich tyle wszędzie, jak zniżają cenę wódki, szynkując ją złą miarą i złym gatunkiem, jak niszczą chłopą zmuszonego im oddawać za dług co ma, i w takiej cenie, która chociaż się powierzchownie zdaje słuszną, jest istotnie z jego krzywdą. Ale to tylko uwagi spekulacyjne, cóż dopiero gdybym chciał powtarzać zarzuty demoralizacyi nie płonne; bo któż gorzej tę biedną nieoświeconą klasę psuje nad nich?? Pytam co trzyma żydów w Polesiu i wielu innych stronach na karczmach? — oto: lenistwo, opieszałość do stanowczych kroków, zwyczajna starym i zardzewiałym domalcom. Lecz w imię własnej, w imię korzyści biednych włościan, niechby obywatele dali sobie słowo i ręce, niechby to plugawe plemię

wyrzucili z wiosek swoich, a wówczas i dla nich i dla włości, i dla spekulacyi gospodarskich; lepszyby się widok otworzył.

Zmuszeni żydzi szukać innego zarobku, możeby się rzucili do pracy ręcznej, do przemysłu pracowitego, możeby się oddali uprawie ziemi, rzemiosłom, możeby z nich byli pożyteczniejsi mieszkańcy kraju; a za lepszym bytem, moralniejszym życiem, kto wie, czyby się i tu oświata nie wcisnęła. Dwa tylko dotąd rodzaje życia tamują do tego drogę żydom — karczmy i faktorstwo. Od tych dwóch koniecznie odsunąć ich trzeba, a niedostatek zajęcia, potrzeba zarobku, zwróciłyby ich gdzieindziej.

Gdzie niegdzie na Polesiu ku Wołyniowi świeżo utworzyły się osady żydów niby rolnicze. Powodowało ich do tego uwolnienie od zaciągu do służby wojskowej, na której wspomnienie się wzdrygają. Kupili oni ziemię od Wolcza wśród zniszczonych lasów, lecz cóż? Pobudowali domki w lesie głuchym, a zamiast rolę uprawiać, trudnią się i tu rzemiosłami, szachrajstwem, najmują okolicznych chłopów do pracy około roli, nawet dość drogo, a sami są jak byli. Najwięcej tu rzemieślników, chociaż pozornie mają to być rolnicy. Z czasem kto wie czy do tego nie przyjdzie. Osobliwsza ta osa-

da zowie się *Nową Jeruzalem* i wystawia obraz rzadkiej brzydkości.

Wśród lasu i błota, po grobli tak okropnej, tak niegodziwej, wjeżdza się na ulicę, po obu stronach domkami otoczoną. Tu chatki wałace się i nędzne o jednej izbie, o jednym oknie, tam domy porządne skończone, tam jeszcze pozaczynane, — a to wszystko ożywione samą tylko populacją żydowską, wszelkiego stroju, rodzaju i wieku. Brudu i niechlujstwa królestwo. Nie wolno im tam szynku trzymać, co jednak nie zawadza wcale do szynkowania. Łąkiswoje najmują chętnie, najęliby i pola gdyby kto chciał je wziąć. Tam gdzie niegdyś był folwark właściciela i kaplica — zrobili sobie centralny dom i szkołę z kaplicy!! Nie wiem jakim jeszcze cudem krzyże się po drogach na ich terytoryum utrzymały. Cóż to za nędzę widzieć tam można! jaką obojętność na wszystko, co się zowie czystością, powierzchownością, ochędostwem.

W mieście żyd się czyści dla oka podróżnych, tu że ich nie ma, bo *Nowa Jeruzalem* wśród lasu, bez traktu, rzadko widzi gości — błoci się i smoli w najlepsze. Porządek stawienia domów jest taki jak wszystko. Gdzie się komu podobało, tam siadł, niektórzy porobili sobie domy z szop i chlewów. Jaka jest przyszłość tej osady, nie śmiemy zgadywać, lecz że dziś

nie myślą tu o roli wcale, za to zaręczamy. Wszyscy tu zamieszkali prawie, są rzemieślnicy i przekupnie.

Trudno mi po setny raz odzywać się przeciw żydom po wsiach, gdy tyle już o to bezskutecznie nalegano w imieniu dobra publicznego. Cóż na to odpowiadają właściciele? Zawsze jedno. — Ja zrobię, sąsiad nie zechce. Cóż ja pocznę sam jeden? — Ale na Boga, niechże zacznie ktokolwiek.

— Sam jeden nadto bym tracił.

Otoż szkopał — chwilowa strata dla późniejszych korzyści! Niechby możniejsi dali przykład. — Ale możniejsi są uboższymi jeszcze od ubogich — bo tyle mają niepotrzebnych potrzeb do których przywykli!

Wróćmyż do dróg i karczem. Są tu i nieco porządniejsze na większych traktach, ale w najporządniejszej z nich, jeżeli znajdziesz zimną i wilgotną izbę osobną, w której będziesz dzwonić zębami czytając encyklopedyą szybową — jest to jeszcze wielkie szczęście! Na Polesiu izba osobna w gospodzie!! gdyby i była czyjś żyd nie zawali, nie zarzuci, nie zamieszka zaraz i nie ubrudzi.

Dziwna, że zawsze też same wymówki odbieramy od piszących podróży, którzy chorem na gospody narzekają, lecz czy kto pomyślał sam śmiejąc się z tego, żeby innym dać

przykład? Zysk może być do tego powodem po miasteczkach, na wsiach zawsze się wymawiają małą liczbą przejeżdżających. Biedne opuszczone Polesie! Cóż to za obrazy musimy kreślić, chcąc je malować. Lecz czyż nasza wina, że nie piękniejszego w niem znaleźć nie możemy; że zaczawszy od dróg i mostów, aż do błot i piasku, wszystko tak jest szpetne! — Gdyby nie ludzie, którzy tu wiele więcej warci są od kraju, ciężkoby nawet z ciekawości nienasyconej zawrócić się w podróż.

Z A M K I, i t. d.

Na Polesiu mianowicie ku Wołyniowi, mnóstwo znajduje się starych zamków, wałów i horodyszcz, przy których jako nieodstępni towarzysze sterczą zielone mogiły, pamiątki krwawych bojów i wyludnień, jakie tędy przeszły. Ostatniemi spokojniejszymi czasy ludność Polesia znacznie się podnieść musiała, tak sama przez się, jako też napływem Mazurów i Holendrów. Za dowód służyć może wieś Felińskiego, która jak pisze, liczyła tylko kilka dusz męzkich, za jego czasów, a dziś ma ich sto kilkadziesiąt.

Zamki i grody po większej części, a nawet horodyszczka położone są u brzegu rzek, lub w ich zbiegu. Takiemi są już ku Wołyniowi horodyszczka w Horodźcu nad Horyniem, zamek na górze nad Horyniem w Kryczylsku, którego tylko mały szczątek pozostał, w pięknym położeniu panującym okolicy, w Stepaniu nad Horyniem, gdzie dziś tylko znaczne jeszcze wały, w Czartorysku nad Styrem, w Kolkach, w Hubkowie nad Słuczą i bardzo wielu innych miejscach. Było także zamczysko nad Styrem w stołecznej XX^żat Czetwertyńskich Czetwertni, pięknie u brzegu téj rzeki położonej.

Z okien dzisiejszego mieszkania Xcia Dymitra Czetwertyńskiego w Hodomiczach na drugim brzegu Styru, widać jeszcze po za rzeką, starą bielejącą cerkiew w Czetwertni. Niedgdyś było tam i zamczysko, a w niem wielki zbiór familijnych obrazów. 1) Od tego to miejsca nazwisko swoje wzięli książęta Swentopelki Włodzimierzowicze Czetwertyńscy. Wedle genealogii syn Xcia Swentopelka otrzymał ją w dziale i nazwał się Xciem na Czetwertni. Obszerne téj familii dobra, prócz innych stron

1) *Niesiecki. T. I. 384.*

Wołynia, leżą tu na Polesiu koło Styru, i nie wszystkie jeszcze wyszły z imienia. W roku 1528 dawał z nich książę Fedorowicz Andrzej koni 12, książę Jędrzej cztery konie, sześć koni książę Fiedor. 1)

Nazwisko miasteczka Włodzimierca w Polesiu, dawniej także do Czetwertyńskich należącego, nastrocza myśl, że musiało być założone przez ich przodka Włodzimierza, lub na jego pamiątkę tak nazwane.

Nie osobliwego w jego położeniu całkiem poleskiem — Są i tu ślady zamku i wały ogromnemi drzewy zarosłe. Sławna była ta miejscina z garnków, tak dawno; że nasz naturalista Rzączyński, dwa razy o nich wspomina. 2) Wielu mieszczan trudni się i dziś jeszcze tym przemysłem, bo przednią do tego mają glinę, którą wzmieniony pisarz, równa ze sławną w Glinianach, Denkowie, Cmielowie, Siersku, Solcu i t. d. W bliskości miasteczka jest źródło znajome z własności leczebnych, wśród lasu. Pobożni mieszkańcy postawili nad niem kapliczkę. Woda jego czysta i zimna, nie okazuje widocznych śladów żadnego przesyty krusz-

1) *Idem ibidem.*

2) *H. N. C. 12. 13. Auct. H. N. p. 21.*

cowego, jednakże długo trzymana w cieple nawet, nie psuje się. Ciekawyby był chemiczny jej rozbiór.

Włodzimierzec przez małżeństwa dostał się od Czetwertyńskich, familii Hrabów de Biberstein Krasickich, którzy wywodzą się od Si-cińskich Rogalów, a tytuł *Comitis S. R. J.* otrzymali w r. 1631 od Ferdynanda cesarza, do którego jeden z nich w poselstwie jeździł.

Ciż sami Krasiccy po kobietach otrzymali także w Polesiu miasteczko Kamień koszyrski, od którego zwali się niegdyś XX. koszyrskimi Sanguszkowie. Dziś to także uboga miejscina. Są tam ślady zamku, ogrodu i murowany skarbiec. Ogród od pałacu przedzielony jest głęboką fossą, przez którą szedł most zwodzony. Dziś i mostu nie ma i pałac drewniany się wali. Mieszczanie tutejsi, mieli podobno ongi prawo magdeburskie, które im odjęto jak wieść niesie, za zabójstwo pana.

Sanguszkowie, dawniej Sienguszkowie XXta koszyrskie, wiodą się od Lubarta Gedyminowicza lub Lubarta Olgerdowicza z Julianny witebskiej 1), Strykowski a za nim Kojałowicz są pierwszego zdania 2), Okolski poplą-

1) *Bielski f. 622.*

2) *I. L. 8.*

tał nieuważnie i od drugiego ich prowadzi, a Niesiecki 1) usiłując rozplątać tę gmatwaninę za pomocą genealogii uczynionej w roku 1640 przez X. Hieronima bisk. smoleńskiego, skłania się na Gedyminowicza.

Lubart ten nie nie otrzymawszy po ojcu, po żonie tylko córce Włodzimierza Xcia włodzi-mińskiego, to całe księstwo i inne ziemie na Rusi otrzymał lub zawojował, a nawet Halicz (xstwo lwowskie) i Ruś czerwoną. W roku 1340 Kazimierz W. był mu Włodzimierz i Łuck odebrał, jednakże w skutek przymierza powrócił do władania Lubart. To trwało do r. 1349, w którym znowu Kazimierz Lubartowi odebrał Łuck, Wołyń i Ruś mu podległą, a nawet jego samego pochwycił. Osadzony w więzieniu obietnicą przyjęcia katolickiej religii, zwolniwszy sobie straż czujną, uciekł, a połączwszy się z Kiejstutem Ruś opanował znowu, Włodzimierza dobył i znowu przez Kazimierza W. pochwycony, więziony, po przysiędze wierności wykonanej dopiero wypuszczony. Opisuje Kojałowicz jak oblężony Lubart we Włodzimierzu w r. 1353, uszedł za pomocą odważnego Bohdana z Iwanic. W ciągłej walce z Kazimierzem ledwie się uczuł wolnym, znowu Wło-

1) T. IV. f. 6.

dzimierza dobył, Halicz spustoszył, w sandomierską ziemię wpadł aż pod Zawichost i oby-czajem ówczesnej wojny, kraj ogniem i mie-czem zniszczył.

W r. 1366 Kazimierz W. wyprawił się pom-ścić na Lubarcie, i na ten raz stanowczo Wo-łyń odebrał mimo upokorzenia jego. Fortali-tia włodzi-mińskie, łuckie, Olesko, objął znów Lubart, ale aż po śmierci Kazimierza.

Te wojny sąsiadów, w których Litwa biczem Bożym na Polskę zwana była, i karą za życie prywatne Kazimierza uważana, nie nas dziwić nie powinny, gdy spojrzymy na zachód Europy w cywilizowany świat, i tam toż samo zoba-czym, jeśli nie gorzej jeszcze. Walki Lubarta z Kazimierzem tak uporne, tak długie, współ-czesne są (1340—1366) walkom Maurów z Ka-stylią i Portugalią, stanowczemu wyzwaniu Edwarda III i Filipa Walezjusza, walce Anglii z Francją, opanowaniu tronu przez Jana Kan-takuzena, ogłoszonej krucjacie na Turka, bit-wie pod Creci, pod Durrham, krótkiemu pano-waniu Rienzi, walce Genui z Wenecją, bit-wie pod Poitiers, — (*la jacquerie*), walkom ciągłym na zachodzie wewnętrznym i są-siedzkim.

Fiedor Lubart za Jagielly już synowca swe-

go w r. 1396 otrzymał księstwo siewierskie i tegoż roku umarł.

Syn jego Dymitr Lubartowicz Xiążę łuckie u cesarza konstantynopolitańskiego zasłużony, sławny od niego dar otrzymał, wielką część drzewa krzyża Ś. 1) Od tego Dymitra któremu trzech synów dają, trzy gałęzie Xiążąt poszły, Fiedora Xcia łuckiego, Michała koszyrskiego, Bazylego kowelskiego. Niesiecki dwóch mu tylko synów daje, Michała i Alexandra.

Michała zaś synów trzech, Janusz Michałowicz który dobra Bielaszów do monasteru dermańskiego zapisał w r. 1544. Xiążę Bazyli kowelski, Xiążę Jędrzej koszyrski starosta łucki, syn Michała z księżniczki Dubrowickiej urodzony jak i Bazyli kowelski. Ten mężny rycerz może w nagrodę męstwa otrzymał rękę córki Xcia Konstantego Ostrogskiego. Żył jeszcze w r. 1547, 2) miał, jedni mówią pięć, drudzy dwie, córki, które wszystkie za Xiążąt powychodziły.

Synowie jego Alexander i Lew z Ościkównej, syn jego Grzegorz wojewoda braclawski żonaty z księżniczką Hołowczyńską. Dwie córki, jedna zakonnica, druga za Jerzym Krasic-

1) *Strykowski.*

2) *Kojałowicz MSS. ap. Niesiecki.*

kim, syn Adam wojewoda wolyński, nakoniec w roku 1627 pobożny fundator OO. Dominikanów w Kamieńcu. Na nim linia Xiążąt koszyrskich druga ustala, bo żonaty z Uchańską Wdzianką bełzką bezpotomny.

Wracamy do Alexandra Dymitrowicza brata Michała, od którego poszła druga linia Xiążęca. Tego synem był Jędrzej, marszałek wolyński, ojciec siedmiu córek z Anny Despotówny wojewodzianki wołoskiej, a synów trzech: Romana, Dymitra, Jarosława.

Roman sławnym był wojownikiem, pochwały jego czytać można w Starowolskim. Miał za sobą Chodkiewiczównę, z niej trzy córki i syna Romana bezpotomnego. Pisali się Xiążętami na Niesuchojach i Łokaczach — Drugi syn Jędrzeja Dymitr, sławny z nieszczęśliwej swjej historyi porwania Xiążniczki Halszki Ostrogskiej, zabity w Czechach dokąd z nią uciekł. Wojownik nie lada, choć mu i téj sławy zawistni ująć chcieli.

Trzeci syn Jędrzeja Jarosław, zabity także zdradą i na nim Alexandrowska linia męska zgasła.

Niektóre nagrobki Xiążąt Sanguszków, miały być w Kijewie, a ciało Alexego pochowanego w Chelmie, znaleziono pisze Susza w r.

1616 w sukni bazylikańskiej czarnej i pasie szarym w krzyże złote. Z synów Michała Kowelskiego rozrodziła się potem licznie rodzina Sanguszków. Sławniejszym od innych był Jędrzej Bazylewicz wojewoda miński, który się odznaczył w wyprawie pod Kokenhausen, w poselstwie do Moskwy i t. d. Wspominają, że rad czytywał, i wielką bibliotekę zebrał. On pierwszy z Sanguszków greckiego wyznania odstąpił.

Postawił pałac w Białym Kowlu. Na zegarze który stał w jego komnacie, stała śmierć u wierzchu i inne symbola marności światowej. Pobożny ten pan zostawił kilka córek i trzech synów. Lecz dość na tém, bośmy się zapędzili za daleko, i stracili z oczu Kamień Koszyrski.

W Kamieniu Koszyrskim miały być zakopane już w XVIII wieku w sieniach pałacu jakieś skarby, zapewne w czasach zamieszek i wojen, o które u nas nigdy nie było trudno. Jakiś starzec w Poczajowie dowiedziawszy się o przybyciu tam Krasickich, dał im o tém wiadomość bardzo szczegółową. Odpowiedział, że w sieni wisi latarnia lub od niej kółko, że przeciw kółku jest sklepienie w podłodze, sklep a w nim kufer z pieniędzmi.

Tą wiadomością zebrał familią: odjęto posadzkę, odkryto, jak mówił starzec, sklepienie, sklep nawet i kufer, ale w kufrze — nic nie było.

W Ł O Ś C I A N I E.

Stan dawny włościan w prowincjach rusko-litewskich, wymownie odmalowany znajdziemy, gdy mowa o buntach ukraińskich, w Grądzkim, w Twardowskiego *wojnie domowej*, a nawet w Beauplanie trochę. Autor dzieła o *Reformacyi obyczajów polskich*, także o *uciemienieniu wielkiem włościan na Rusi* pisze. 1)

1) *Edy. 2ga str. 140, 141.*

„mach statuta, aby poddani tak duchownych „jako i świeckich panów nie rabiali, jedno „dzień w tydzień. I któryby pan uczynił „gwałt poddanój, albo wszystkie poddane o „klątwę za swój uczynek przypawił, tedy od „tego pana wszystka wieś wystać mogła, a do „inszego pana się przeprowadzić. Zkąd się po- „kazuje, że to od Rzeczypospolitej zależy abyś- „my nie jako niewolnikom poddanym naszym „roskazowali, ale jako *pomocnikom* robot na- „szych — — przetoż wielka tego jest potrzeba „aby Rzeczpospolita w to wejrzała przykładem „inszych narodów, aby panowie poddanych „swoich, jak się im podoba, nie zabijali, nie „łupili, z majątności ich co mają, ani im grun- „tów, które sobie naprawią, nie odejmowali, „ani ich też gwałtownie robocznymi obciąża- „li, jako bydło nieme, ale się z nimi jako z ludź- „mi po ludzku obchodzili etc.”

Daléj nawet obcych krajów przykład stawiając ten mądry reformator radzi się zamiast pań- szczyzny, czynszami ograniczyć.

Niesłychany był bowiem ucisk na Rusi od panów, który po części sprowadził, a przynaj- mniej wiele dopomógł Chmielnickiemu, do te- go strasznego buntu, który tyle krwi kosztował. Coraz przybywająca ilość danin, czyn- szów, opłat różnych, wkrótce połączona z cię- żarem stacyi żołnierskich, stała się prawie nie

podobną do zniesienia. Odrodzających się dzieci, od żeniących się wymagano po dydku — dziś jeszcze na Polesiu i Wołyniu utrzymał się zwyczaj noszenia darów do dworu, jako kury czarnej, płótna, kaszy, wódki, placka, czerwonego pasa i t. d.

Lecz opłaty pieniężne i inne daniny, mimo zakazu synodów dyecezalnych, po większej części wówczas arędownali żydzi i wyciskali je srogo z biędnych włościan. Oni też także ciężko rzezią Chmielnickiego ukarani zostali i kto wie czy ich nie więcej niż chrześcian zginęło. Historyk żyd, rzezi świadek, ileż to tysięcy liczy zabitych! Autor Reformacyi o tych arędach także wspomina: „1) w Rusi zasię wszy-
„stkie arędy żydom w ręce podawszy uprzy-
„wilejowane wolności niektórym złamano,
„powołowszczyzny coroczne (które przedtém
„w 10 lat jeno, potém w siedm, zaś w pięć, we
„trzy znowu, aż nakoniec co rok wybierać po-
„częto) ustanowiono, na swoją potrzebę do-
„mową, nikomu piwa, gorzałki i miodu robić
„nie dozwolono, od łowienia lisów, ryb, pta-
„stwa, i zwierza dzikiego dziesięciny powy-
„myślano, grunty i folwarki odejmowano, i

1) Ed. 2ga str. 100.

„dobrze że już ze skóry ubogich ludzi nie lu-
„piono.”

Takie nadużycia i w Polesiu wołyńskiem, trwały, a niektóre trwają jeszcze, oprócz bowiem zwykłej trzydniowej pańszczyzny, oprócz mnóstwa daremszczyzn do wyrobienia lnu, konopi, ogrodów, do bielenia i czyszczenia budowli etc. etc., daniny grzybów, jagód, miodu, chmielu, orzechów nawet, osypy żyta i owsa (którym początek w Inflantach Hilzen dość nie prawdopodobny przypisuje) — pobierają czynsze pieniężne.

Jestże podobna aby na małym kawałku pola siedząc, wydolał temu wszystkiemu wieśniak i pobogacial? A dodajmy uwagę że dziedzice sami rządzący dobrami, wcale się jeszcze nie ograniczają starym zwyczajem, lecz bezkarnie nadużywają, wymagając darmo transportów i różnych usług. Zaiste sprawiedliwość być powinna wszędzie, i nie wiem jak pogodzić oświatę o którą się staramy, ze zdzierstwem nie ludzkim, widnem prawie wszędzie.

Mianowicie nie podobna się nie oburzać na tych, którzy, zawsze potrzebni pieniędzy przez nierząd, najmuja swoich ludzi żydom do transportów wodą, lub dalekich robót, nic im za to nie strącając, rzadko nawet opłacając za to podatki.

Powtarzam, kto czyta po francuzku, gra w wista, lubi literaturę i myśli że na tém dosyć, aby zyskać imię ucywilizowanego człowieka, człowieka dobrze wychowanego, dobrego tonu i towarzystwa; ten nie rozumie co to jest cywilizacya, co to jest ten progress który ciągle mając na ustach, sądzi że on przyjdzie sam bez żadnych ofiar.

Mimo tego chłop poleski, nie jest w nędzy zupełnej, raczej z przywyknienia niż niedostatku życie jego mizerne, ubiór nie chędogi, chata brudna, jadło grube. Ku Wołyniowi już, przynajmniej nieco lepiej jedzą, gdzieindziej zaś lepiej piją, a tam gdzie ten nałóg jest dziedzicznym, nędza idzie w ślad za nim. Któż temu winien jeśli nie panowie, na co trzymać żydów, co ich rozpajają?

Obyczaje ich pospolicie łagodne, po pijanemu się tylko czasem pobijają. Żyją skromnie, a zepsucie w kobietach tu takie same symptomata okazuje, jakie postrzegał jeden nowy podróżny w Szwecyi — jest ono raczej skutkiem obojętności, niż jakiegokolwiek innych przyczyn z temperamentu lub głębokiego zwichnienia zasad pochodzących.

Przywiązanie macierzyńskie, małżeńskie, najlepiej się wydaje w nieszczęściu. Posłuchaj gdy kogo biorą w rekruty! Co za płacz, jaka

rospacz! jakie jęki! Najdziwniej że w tych uroczystych chwilach żaloby, kobiety zamiast mówić i płakać, ciągle płaczliwie śpiewają jakby mimo woli. Idąc za wozem biednego wygnańca, ociągają lzy, i jednostajnie, smutnym śpiewem prowadzą go aż do miasteczka. Wejrzawszy głębiej w przyczyny łez i żalu, ujrzysz w nim zapewne powody materyalne; lecz czegoż więc więcej żądać można od tak nieoświeconego, od tak biednego ludu? Oni, żeniąc się na nic nie patrząc, tylko żeby przyszła ich, była dobrą gospodynią i z zamożnej chaty —; a czy flasza wódki związana będzie czerwoną wstążeczką, czy nie — to nie wiele ich obchodzi. Ceremonje weselne tyle już razy opisane, są tu z małemi odmianami, podobne innym prowincyi ruskich — swaty, zapoiny, postrzyżyny i t. d. Kobiety zamężne gdzieś indziej noszą na codzień chustki białe tak samo jak dziewczki, różnią ich tylko wiszące u dziewcząt z pod chustki, długie czarne warkocze. W niedzielę do cerkwi kładną uroczyste namiotki. Ubiór w większej części Polesia, składa się z białosiwej sukmany z kieszeniami, butów lub łapci, koszuli zapiętej guzikiem błyszczącym, pasa, fartucha i kawałka sukna kolorowego w pasy tkanego, wiszącego z przodu i zowiącego się — *nawiska*.

Lecz tak mało mają względu na wytworność ubioru, że gdy im białego sukna nie wystarcza, kobiety i mężczyźni dokładają sztuki brunatne do odzienia, nie patrząc gdzie przypadną, i często najśmieszniej wyglądają, w świetle do pół czarnej, pół siwej. Na szyi kobiet wisi medalik lub krzyż mosiężny i kilka sznurów paciórerek. Dalej na Wołyniu, Ukrainie, noszą kobiety plisowane korale i medale złote, ale tam też lud ma się daleko lepiej.

Rzadko na Polesiu widziałem golone głowy, często za to długie brody. Czapka ich bywa z sukna, nakształt dawniej tak zwaną konfederatki, obszyta kolorowemi sznurkami; czasem barankowa na zimę. Mało kapeluszków słomianych. Nieodzowną część stroju poleszuka składa pas skórzany nabity guzami mosiężnemi. Od niego wisi kalitka, a w niej zawsze znajdziesz hubkę, krzesiwo, krzemień i kilka groszy (jeśli są) starannie w węzełku zwiniętych. Tuż na rzemyku, w pochewce skórzaną wisi spory nóż i zaraz blisko kawał żelaznego drutu do przetykania fajki. Bez tych esencjonalnych przyborów, nie ruszy się za próg chaty poleszuka. Bez ognia i fajki żyć on nie może. Wszędzie gdziekolwiek co robi w polu, zapala ogień nie daleko, a fajki króciuchnej, zielonej, polewaną, lub drewnianą, z ust nie wy-

puszcza. Tytuń mu ciągle w niej gaśnie, a on go bez końca zapala. Kobiety nawet stare widziałem nieraz pod piecem z fajkami w ustach. Zapach tego narkotyku z niczem się nie da porównać i bardzo jest przykry niezwykłym. Nosi go poleszuka w papuży i w potrzebie tylko nożem tyle ile potrzeba do fajki nakrawa.

Chłop poleski najczęściej starym zwyczajem przed panem na twarz upada, wita go *Stawa Bohu*, albo *Pomahaj Bih*. — Pomagaj Boże! Milczący jest, ale uprzejmy dla obcych, zaciekawiony chętnie gawędzi, gdy tylko o panach i o biędzie mowa. O biędzie swojej dzień i noc by gadał.

Prosty rozum tych ludzi, wcale nie jest do pogardzenia, niekiedy pozorną głupstwem ukrywa się przebiegłość niepospolita. Rzadko tańczą, częściej śpiewają, taniec ich pospolity jest rodzajem walca, w którym jedną tylko ręką obejmując tancerkę, para za parą w kółko krąży. Śpiewy ich częściej smutne, czasem są aż nadto wesołe i bezwstydne. Ale jakaż w nich poezya! Jakie proste a mocne wyrażenia z głębi duszy! znać że je z serca wyrwały wesele lub smutek, że je śpiewali, nie pisali, rodzili nie komponowali. Te śpiewy, dzieci tutejszych lasów, malują stan włościan

wymownie, lecz ktoby z nich o zepsuciu chciał wnosić i ropuścić, dalekoby ich gorszemi mniemał niż są w istocie. Oni w tym rodzaju, śpiewają więcej niż robią. Większa część śpiewów, ma tylko cztery wiersze składające wesoły uciniek, lub smutne westchnienie. Często młodyce żalą się że je zaprzędano, że im lepiej było w chacie u rodziców. Takich żalów nieskończone są warjanty. O! i oni czuć umieją wdzięk młodości, którą prędko potem ciężka praca zabija. Ktożby też nie żałował tego złotego wieku, w którym nawet nadziei do szczęścia nie potrzeba, tak człowiek w sobie samym ma dosyć szczęścia, tak rad jest ze wszystkiego!

Że i w Polesiu mianowicie ku Wołyniowi, mają pieśni ludu wielki wdzięk w samej muzyce, temu nikt, kto je słyszał, nie zaprzeczy. Kto je słyszał wieczorem cichym, nucone i odbijające się w lesie, roschodzące się po roście. Często pastuszek za bydłem gdy czystym głosem śpiewał je z daleka, zatrzymywałem się aby go dłużej posłuchać, bo było coś tak urocznego w tym śpiewie, że ucho, gdy się już rozbił, jeszcze go długo żądało, a żaden instrument nie mógł go powtórzyć. Trzeba było na to, ust pastuszka, gaju, trzody i

wieczora — a może i usposobienia w słuchacz.

Mnóstwo podań krąży tu między ludem, mają one jedno źródło i jeden po większej części wątek z innemi słowiańskiemi — odmiany tylko do miejsc się stosują. Często w nich występują jakieś dziwne zwierzęta, którym za schronienie służyć mają lasy i błota polskie. Różne rodzaje węzów, grają w nich niepospolitą rolę a ich własności są niezmiernie w tych bajkach pospólstwa przesadzone. Zimą gdy węża w chacie znajdą, zabić go według nich się nie godzi, pod karą wielkiego nieszczęścia, a najwięcej tylko, można go wyrzucić. Jest to znak gościnności — gdyż polepszak jest niezmiernie gościnny. Do tego stopnia posuwa on przesadę gościnności na przykład.

Byłem świadkiem pożaru na wsi. Rozgniewany, przełęczony, błagałem i zmuszałem do ratunku, którego wszyscy chowając się odmawiali. Nie chcieli nawet dawać wiader i haków — Cóż to było? — Oto nie chcieli się ognio-
wi sprzeciwiać i przyjmowali go jak gościa, a to tak dalece; że baby powystawiały dzieże chlebne, na stołach okrytych obrusami przed chaty — i sól, same zaś z założonemi rękoma patrzyły na ogień stojąc za stołem, jakby mu

chciały pokazać, że go chlebem i solą przyjmują. Gdy jednak i to, i ratunek wymuszony z dzieci, nie wiele pomagał, stara baba czarownica podjęta się zamknąć pożarowi dalszą drogę; rozebrawszy się do naga i zostawivszy tylko spodnicę na sobie, z rozpuszczonemi włosami, wyszła mrucząc jakieś zaklęcia i trzy razy pożar w koło obiegała. Takim to środkiem przypisywali ocalenie, winne przytomnemu ratunkowi naszemu. Chleb i sól w ich oczach, przebłagał ogień, dowiódłszy mu gościnne przyjęcie.

Częste pożary w Polesiu, z bardzo nieostróżnego obchodzenia się z ogniem pochodzą. Dość powiedzieć, że młócąc w swoich stodołach, nie lękają się zapalać o zmroku łuczywa i nie wypuszczają z ust fajki. A za najpięrszym slychem o pomorku lub zarazie, przed każdą niemal chatą kurzysko się pali. Oswojeni z ogniem, wcale na to nie zważają.

Wielkie to dla wieśniaka nieszczęście, gdy przyjdzie pomorek na bydło, bo od niego zależy byt chłopa. Jednakże chłop nie dość się wywdzięcza bydlęciu; w wielu jeszcze miejscach utrzymał się dotąd barbarzyński zwyczaj popędzania wołów roboczych kijem zastrzonym, zwanym *osno*. Jednakże poczciwe te stworzenia znają dobrze głos i sposób

wołania, różny w różnych stronach. W Polesiu wołyńskiem kierują wołając — *wei, wei* — lub *pru, pru*. Gdzieindziej, jak w Litwie, sposób kierowania zależy od maści.

NA WOŁYŃ!

— Na pół drogi do Szepetówki wlesie, znowu malowniczo porozrzucane między drzewami pokazały mi się owe skały, których widok tak mnie w Korcu unosił. Szepetówka, mała miejscina sławna tylko z wód mineralnych, do których w lata zjeżdżają się ci, którzy nie mogą lub nie chcą wybrać się za granicę — pokazała mi się za lasami, wśród wzgórków. Cerkiew z zielonym dachem i malowidłami ŚŚtych zewnątrz, jak tu już jest we zwyczajach, kilka karczem świeżo po pożarze odbudowanych, kilka porządniejszych budowli koło

łazienek — z resztą góry w oddaleniu i fizjonomja wołyńska — oto cała Szepetówka. Żadnych starożytności, żadnych wspomnień, prócz jednej bitwy ostatnich lat XVIII wieku, cząstkowej, w bliskości miasteczka stoczonej.

Pożnym już dość wieczorem tu stanąłem, i popasałem co najprędzej, aby jeszcze dalej się posunąć. Rozpytywałem się o zbiór gości tegoroczny, których ślady gdzieś na szynbach zostały, dowodzące że próżno czasu nie tracili. Przypatrywałem się tutejszemu ludowi, ich wozom, koniom, ubiorom i zaprzęgom. Tu już, nie jak w Litwie i w Polesiu, jednokonnym wózkiem, lecz kutym i trzema lub czterema końmi zaprzężonym jeżdżą wieśniacy — dobry znak ich zamożności i bytu. Rola nie dzieli się na żagony, a pług trzy lub cztery pary wołów ciągnie, po żyznej, czarnej roli wołyńskiej. Cieszyłem się wjeżdżając w ten kraj, któremu natura nie uskąpiła darów, do których brak tylko jeszcze ruchu, handlu i powszechniejszej cywilizacji.

Przerwał mi te uwagi żyd wysiadający z budki płócienną pod karczmą, żyd, który godnie mógłby być figurować w romansie Waltera Scotta, lub obrazie Rembrandta, żyd, pełen tajemnicy, na dwóch cienkich nóżkach obciążonych pończochami niebieskimi, schylonych — w podartym kapeluszu na głowie ze spuszczo-

némi skrzydłami, a o jedném tylko oku, bo drugie przykryte było ogromnym czarnym plastrzem. Ten plaster przypominał mi wszystkie podobne mu używane w romansach i kamedyach aż do r. 1825. Chciałem tę tajemniczą figurę zaczepić, porwałem ołówek, aby ją odrysować — lecz znikła jak w romansie.

Już dobrym zmrokiem puściłem się w góry, które Szepetówkę od Horodyszcza dzielą; góry tém dla mnie straszniejsze, żem je raz pierwszy w życiu, mieszkając płaskich krajów, miał przebywać. Lecz nie strach mi było, ale żał widoków, które zmrok miał zakryć przed moją ciekawością a — spieszyc się musiałem.

Posuwaliśmy się więc powoli w góry, a zmierzch coraz się powiększał, nareście gaj, po którym zabłyśnię światła, oznajmiły Horodyszcze i nocleg. Położenie tego miejsca jest jedno z najpiękniejszych w tych stronach. Na wysokości górze, stoi dawny kościół murowany z klasztorem XX. Karmelitów, u stóp jego jest staw duży, dalej góry malownicze, pokryte zaroślami dębowými, z których cerkiew wygląda. Ta góra, woda, drzewa i poważna budowa kościoła na wielkiej wysokości panującej nad okolicą, piękny bardzo tworzą widok. Osada rozrzucona jest wśród zarośli nad stawem. Dla mnie nowe jeszcze wdzięki przybrało Horodyszcze od zachwycającego wieczora, który je

obwijał — światła chatek, gwiazdy na niebie, wszystko to odbite w stawie, bielejący kościół na górze, powiększony, jak zwykle w nocy przedmioty, których odległości od nas dobrze rozeznaczyć nie możemy — wszystko to tworzyło zachwycający obraz.

Ale do tego potrzeba było i wieczora i światła i takiego gwiaździstego nieba, i trochę może exaltacyi, którą wiozłem z sobą, chociaż z resztą Horodyszcze dla najobojętniejszych na obrazy, jest zawsze bardzo pięknem. Nie chciałem rysować tego miejsca, bo dobry tylko obraz mógłby dać o niem wyobrażenie, a ołówek biedny padał z rąk mimo woli.

Jadąc ku karczmi stojącej na górze naprzeciw kościoła, chłop który mnie powoził, obudzili z dumania. Mijając staw, spojrzeli na cerkiew, obrócili się do mnie i odezwali.

— Ta cerkiew co to widzicie jej wierzchołek, tam w dębinie, po za stawem, stała niegdyś na górze, gdzie teraz klasztor. Ale raz w Wielkim Tygodniu (protiw W. Dnia) ruszyła się wieczorem z posady, zeszła z góry, przepłynęła staw i poszła stanąć tam, gdzie dzisiaj stoi. Na dowód tego pływa jeszcze po stawie jedna z belek cerkwi, którą ona przechodząc umyślnie rzuciła.

To podanie bardzo mię uradowało, nie wiem czy znaleziony worek z pieniędzmi, byłby

mnie w téj chwili równie ucieszył i chociaż zresztą i pieniądze są rzeczą bardzo uczciwą. Lecz ta cząstka ze skarbnicy ludu, podań i pieśni, o które tak trudno dopytać milczącego wieśniaka, lękającego się dla swoich skarbów uśmiechu niedowiarstwa i pogardy — skarbu który tylko w wieczornicach i doświtkach pokolenia pokoleniom podają — ożywiła mój umysł, i tysiąc napędziła marzeń. Trochę się jednak zmniejszył mój dobry humor obudzony tą powieścią, gdym do ogromnej, zimnej, a pełnej pijanych, karczmy wjechał. Wprawdzie Żydzi odstąpili mi swego najlepszego apartamentu, w którym zastałem pomieszane zapachy dziegiu, łożu, łokszynu i kartofli — ale niestety! brudne ich bety w drugiej izbie i nadzieja pulku huzarów który miał nadejść w nocy, do reszty mię zmartwiły.

Musicie moi niełaskawi czytelnicy, za to, żem ja cierpiał, czytać teraz, co o noclegu napiszę — nie daruję wam tego, bom sobie dał słowo, że się na kimkolwiek pomścić muszę.

Pokutując więc za radość jakiej doznałem dowiadując się o podaniu wędrowki cerkwi Ś. Mikołaja, całą noc oka nie zmrużyłem, pulk huzarów jechał mi pod oknem śpijąc, wrzeszcząc, tłukąc do drzwi moich — a w drugiej izbie chrapali Żydzi, Żydówki, Żydzięta, spacerowały myszy i skrzypiała kolébka, w której

dziesięcioletni tłusty bachur kęsząc się spoczywał. Musiałem tedy z nudy, rzuciwszy nudniejszą jeszcze od próżnowania książkę podróżną (*Jacques II à S. Germain p. Capefigue*) robić inwentarz izby, w której napróżno snu czekałem. Była tam szafa z Talmudem sławukim i xiegami do nabożeństwa, dziesięcioro przykazań za firankami, dwa łóżka próżne, których tknąć się przez uszanowanie dla przeszłych mieszkańców nie odważyłem, kufer zielony, para pantofli schnących po przechadzece na piecu, para pończoch na kolku, garnek zresztami pozawczorajszej wieczerzy nie bez woni, stara miotła, młoda miotła, dwa talerze potłuczone i ogromna różga szpektorska. Obliczywszy to wszystko uważałem, że chcąc napisać podróż sentymentalną po téj izbie, byłoby materiałów przynajmniej na dwa duże tomy.

Nareście nadszedł ranek, który mnie miał z téj niewoli żydowskiej wybawić, wyrwałem się z niej jak mogłem najprędzej.

Od Horodyszcza do Hrycowa samym prawie stepem droga. Tu mocno dał mi się uczuć brak drzew, które tak ożywiają najmniej znaczące widoki. Jak zajrzysz okiem przez góry i doliny, tylko zieloność runi jesienniej, lub czarne widać ugory, czasem tylko w parowie nad strumykiem, kilka wierzb pochylonych. Lecz za

to jeśli się Wołyń uśmiechnie, o jakże bywa piękny!!

Wśród gór, wyglądają z parowów wsi z białemi chatkami, cerkwie trykopolne malowane i zdobione, stawy i rzeki i lasy dębowe. Potrzeba wody zmuszała mieszkańców do osiedlania się w dolinach, które strumienie i rzeczulki płyną, dla tego też na Wołyniu, i w ogólności we wszystkich krajach wzgórzystych, wszystkie osady, są między parowami i w dolach, co znacznie wdzięku widokom ujemuje na pierwszy rzut oka, lecz niespodzianością zadziwia i bawi.

Po nad drogą gęste widać znamiona pobożności, krzyże na każdym prawie zakręcie i dróg przecięciu. Te krzyże ozdobniejsze są znacznie niżli na Litwie i Polesiu, malowane często z figurą ukrzyżowanego, z daszkiem na którym wisi cały firmament złożony i srebrzony, z godłami męki Pańskiej, a na wierzchu z kogutkiem kręcącym się zazwyczaj, którego chociaż aplikacja i znaczenie jest wiadome, nie znajduję wszakże, aby co dodawał do świętych znaków męki, prędkiej myślę, że go stawiają na wierzchołku, dla tego, aby tam ptaki nie siadały.

W Litwie starą stawią na mogiłach dotąd jeszcze chatki z krzyżykiem na dachu, bogatsi większe, ubożsi tylko coś podobnego do nich,

lub kłodę wielką na dwóch podporach. Chatki te umarłych, które są widocznie zabytkiem pogańszczyzny, co dzień stają się rzadsze. Wnich to, lub przy nich, stawia się na Dziady jadło ubogich lub umarłych. Na Wołyniu i Rusi gdzie dawniej greckie wyznanie wprowadzone zostało, nie ma tych chaterek, tylko greckie krzyże podwójne lub potrójne oznaczają grób. Nie wiem także, czy się tu zachowuje zwyczaj wyrzucania pod najbliższy krzyż, tych dwóch polan drzewa, na których w chacie stoi trumna zmarłego, ani czy na zielone święta mając chaty młodemi brzożami, opuszczają te drzwi, do których w przeciągu roku śmierć zajrzała. Ten smutny zwyczaj litewski odpychający oznakę radości od drzwi żałobnych, wielce mi się podobał.

Każdy kto kiedy podróżował, pamięta: jakie na nim wrażenie czyniły spotykane osoby, domy, powozy, czasem sceny zajmujące z życia, migające się tylko i znikające z przed oczu, jak obrazki fantasmagoryi.

Rano po okropnym noclegu w Horodyszczu, wyjechawszy dumałem, niecierpliwie się trochę powolnym koni chodem, kiedy usłyszałem tentent za sobą. Obróciłem się i ujrzałem młodego człowieka na siwym koniu, a za nim jadącego sługę ze smyczą chartów. Ten widok

mocno mnie zajął — ranek był jesienny, chłodny — myślałem sobie: wielki to być musi myśliwiec, kiedy tak rano wyjechał. Któż wie?? i spojrzałem mu w oczy, ale nie mogłem jego przejażdżki innym przypisywać powodowi. Głębsze spójrzenie na myśliwca wyprowadziło mnie z błędu. Dwóch ludzi widzących się raz pierwszy i zapewne ostatni, na drodze zimnym rankiem jesiennym, poglądających na siebie ciekawie, jakby się chcieli zrozumieć i odgadnąć nawzajem — nie jestże to scena ciekawa, do opisanego, do odmalowania?

Myśmy się tak na siebie ciekawie patrzyli, on na książkę którą ja trzymałem w ręku, ja na jego siwosza i charty. Chcąc się z koniem pochwalić, młody pan mijał mnie, kłusował, galopował — ja tylko czytałem. I tak nie mówiąc powiedzieliśmy sobie.

On do mnie — Patrz jakiego mam konia!

Ja do niego — Patrz jaką mam książkę!

Potem jeszcze się raz obejrzawszy, poleciał drogą, a za nim psy, sługa i charty, znikli w tumanach wołyńskiego kurzu.

Wjeżdżałem do Hrycowa spuszczając się z góry. Piękny choć mało upiękniony widok, na lewo ogród i stary pałac z dziedzińcem i bramą senjoralną w starym smaku, z cyfrą i koroną na frontonie. Obyczaj wołyński. Pałac

pański jednem słowem — niżej staw, nad nim garść rzuconych topoli których tu nie szczedzą parko-mani — dalej w prawo za stawem miasteczko z kramami murowanymi i kolumnadą, nadpalone. Cerkiew czy kościółek w rynku prostej ale dobrej architektury. Nowsze budowy których nie mało w Hrycowie są z pretensją a nie piękne, wielkie, okazałe, cyfrowane jak chustki do nosa. Czegożby tu z tych gór, wody i murów, zrobić jeszcze nie można, przy takiem położeniu! Gotycka kuźnia, jest wprawdzie gotycka, bo tak powiadają drzwi i okna, ale nie ma charakteru gotyckiego. U nas powszechnie rozumieją, że dać ożywy, trefle, gzygzaki, jest to zrobić budowę gotycką, ale w istocie charakter główny tego rodzaju architektury, stanowi lekkość, przezroczyłość, wyniosłość, których u nas nie zobaczyć. Pospolicie nasze krajowe budowy gotyckie są ciężkie, pudełkowate. Początkowa architektura gotycka, w dzieciństwie jej, u nas, póki nie mogła wznosić wysokich swoich wieżyczek, stawiała przynajmniej dachy ostre, olbrzymie, sklepienia kończące i śmiałe. Śmieszna rzecz, że nie ma lżejszych sklepień nad te, które u nas robiono w XV i XVI wieku a nie ma cięższych nad późniejsze. Wyjechałem z Hrycowa ubolewając nad pożarem, który mu nadał posępna postać ruiny.

Nie piękniejszego nad okolice Kisiel do których jechałem. Góry, czasem gaje z brzoź i dębów, przy każdej osadzie, woda. Macie-wicze na gościńcu pocztowym, mniej są piękne od innych. Wieś Pisarzówka nadzwyczaj malowniczo rozrzucona na górach wśród drzew, ogrodników, nad wodą — musi się każdemu pod różnemu podobać. Lecz jeszcze piękniej w Kisielach. Któż opisze wdzięk Kisiel, wsi, gajów, gór, wody, a mianowicie ogrodu, który chociaż mały, z takim jest urządzony smakiem, z takim wdziękiem! Są na Wołyniu wielkie ogrody, parki ozdobne, ale miłszego wiejskiego ustronia pewnie nie ma. Z okien domu na wzgórzu, rozwija się widok, na rozsypaną wieś w dolinie i gaje po górach, przecudny! Z każdego kąta coś nowego widać. W ogrodzie kaplica z altaną, łącząca wzgórze z dolną częścią ogrodu, zbudowana według rysunku architekta P. Nurowskiego z zastosowaniem do miejsc, jest dowodem jego umiejętności i smaku. Nie potrzeba wielkich rzeczy do pokazania talentu, w wielkich bowiem często zwyczaj i forma myśl zastępuje, a w mniejszych oryginalniejszych, pokazują się pomysły i smak własny. Inne budowy Kisiel są dość ozdobne, staranne, a nie nadto, co jest wielką sztuką. To znowu dowodzi smaku i starań właściciel-

ki. Mijam to, cobym mógł więcej napisać o Kisielach, są miejsca które potrzeba widzieć i uczuć, których opisać nie można. — Takie miejsca ożywia dusza człowieka, umiejąca się prze-lać we wszystkie, najdrobniejsze należące do niego przedmioty.

Nie dalekie ztąd miasteczko Ostropol, które później przejeżdżałem, jest smutną ruiną i obrzydliwą kupą żydowskich klétek, nie tu ozdobionego, żadnej myśli upiększenia znaleźć nie można. I dziwić się należy że właściciel, który w swém życiu i podróżach, tyle pięknych miejsc widział, tak o swoim miasteczku zdesperowawszy, założył ręce.

Od Ostropola prawdziwy step wołyński *Hończarycha* się zaczyna. Rzączyński pisze 1) iż odtąd do Białej cerkwi widział rosnące mnóstwo róży dzikiej, ja jęj jednak nie postrzegłem.

W czasie napadów kozackich pod samém miasteczkiem była bitwa z kozaki, gdzie ich Stanisław Lanckoroński wojewoda ruski na głowę pobił 2).

1) *Auct. H. N.* 131.

2) *Niesiecki. T. III. f.* 27.

W tymże czasie, żył tu sławny kabalista Rabin Samson ostropolski. Ten, gdy same napady się zaczęły, znajdował się w miasteczku Połonném. 1) Było to 1648 roku. Natchniony straszną plagą téj wojny, która tak ciężko lud jego dotknęła, zachęcał i zapalał po bożnicach, do żalu i pokuty za grzechy, która by odwróciła zesłaną przez Boga, grożącą im śmierć, prawie nieuchronną. Więcej może ze strachu, niż ze skruchy żydzi go usłuchali. — Nadeszła wieść o zbliżaniu się kozaków. Samson razem ze 300 uczonemi żydami, ubranemi w śmiertelne koszule, poszedł na tę wieść, do bożnicy. Czekając śmierci nieuchronnej modlili się — Śmierć przyszła, ale umarli z modlitwą na ustach.

Nie jestże to precudny obraz — podobny temu sławnemu, senatorów Rzymu siedzących i czekających śmierci na kurulskich krzesłach? Ci żydzi, naród tak bojaźliwy, zbiegający się w chwili niebezpieczeństwa bez nadziei życia, bez obrony, — przed Bogą! Mało jest tak pięknych scen, w historii tego czasu, chociaż wielkie wstrząśnienia rozwijają

1) *Nathan Moskowicz.*

wielkie charaktery. O tymże czasie w Niemirowie jedna kobieta, którą kozak do ślubu prowadził, skoczyła w wodę i utopiła się biedna.

S Ł A W U T A.

W okolicach Sławuty, rozciągają się obszerne majątki XXżąt Sanguszków, — poznasz je po karczmach porządnym, po dobrym bycie włościan, po fabrykach, jednym słowem, po wyższej daleko nad okoliczną cywilizacyi, ruchu, zamożności. Zastanawiały mnie okiennice karczem malowane w różne obrazki, co u nas rzadko widzieć. Z przyjemnością wpatrywałem się w te próby popularyzacyi sztuk, ale z żalem przekonałem się, że panowie, okiennic

malarze, nie malowali scen z życia swojego kraju, ale jakieś ogólniki, najwięcej scen myślistwa. W jednym tylko miejscu powitałem czule niedźwiedznika z niedźwiedziem Maruchą — to było oczewiście swojskie. Mówiono mi także, iż gdzieś pod Konstantynowem na gościńcu, jest odmalowany na okiennicy Bachus, z seledcem na beczce siedzący, z nahajką przez plecy — prawdziwy kozacki Bachus, z napisem:

Prybywajcie Czumaki

Propiwat ośmaki.

Wreście próżno szukałem po okiennicach, jakiej wesołej krajowej sceny — bo na co też mi było myśleć, że się ktoś z talentem podejmie bazgrania karczemnych okiennic! Jednakże Karol Nodier pisał farsy dla teatru Debu-reau!

Nasi pisarze romansów historycznych, musieli się wstrzymać od wielkiej ochoty komponowania na wzór prototypu Walter Scotta sztyldów i godeł swoim gospodarzom, bo u nas tylko po wielkich miastach i to późno już nastąpiły. W XV i XVI wiekach; karczma odznaczała się wywieszoną gałęzią choiny, wiechą,

którą jeszcze gdzie niegdzie i dziś postrzedz można. Czytałem w przywilejach XVI wieku, że postrzygalnie, wywieszały wielkie nożyce, szewcy buty i t. p. A to, nie malowane, tylko najprawdziwsze buty i nożyce. I teraz nawet szczupło u nas w tym rodzaju conceptów, widziałem tylko w Wilnieszyld szewca pod Duchem Ś. winiarnię pod gronem, traktyer pod gęsią. Mniejsza o to że napisy są bez ortografii, to się i w Paryżu zdarza. Najmocniej się wysilił jeden właściciel traktyeru, który pod dwoma emblematycznymi kijami billardowymi na krzyż, dopisał: — Zajdźmy tu!

Był to fortel, który znalazł plagiatorów nawet.

Pod Sławutą oglądaliśmy postrzygalnię i gręplarnię, które woda obraca, nie chcę ich opisywać i zostawuję jakiemu przyszłemu mającemu się urodzić P. Dupin.

Mamy już w kraju fabryki sukna, cukru, papieru, płócien, ale dotąd maszyny sprowadzają się z Anglii lub Rosyi — u nas nie się jeszcze w tym rodzaju nie tworzy. Czekamy na szkołę Polytechniczną. Gorzelnie jedne, bardziej nad inne zakłady, z zastosowaniem do miejsc, udoskonalają się.

Ulepszenia gospodarskie tępo idą na Wołyniu, który zdaje się ich nawet nie potrzebować. Próżno P. Nep. Kurowski wydaje dzieło po dziele, o jedwabnikach, owcach, plodozmianie, gorzelniach, próżno wydaje Tygodnik Rolniczy — próżno uczony Oczapowski rozwija swoje abstrakcyjne teorie gospodarstwa — Wołyń jeszcze gospodaruje po dawnemu. Tępo nawet idzie oczewiście korzystny chów owiec poprawnych, — najpiękniejsze w tych stronach są właściciela Sławuty.

W samej Sławucie godne są widzenia fabryki sukna, kolder, flaneli i papieru. Tego ostatniego wyrabiają wiele, ale nie w bardzo dobrym gatunku. Troszczańska fabryka, co do gatunku i różności wyrobów jest daleko wyższa.

Pałac xiążęcy w Sławucie wielki, ze starego podobno gmachu przerobiony, nie ma nic odznaczającego się. Piękny kościół Ś. Doroty za miastem, szkoda że nie skończony. Sarkofag na jego szczycie, i krzyż na nim, przypominają, że jest pamiątką żalu i grobem. Nie dość tylko dobrze, zdaje się, ten sarkofag do reszty budowli przypada i ociąża samo jej zakończenie, gdzie najlżej kończyłby się powinna. Kramy w sferoidę na rynku smakownie zaczęte, pięknie Sławutę ozdabia. Oprócz

którą jeszcze gdzie niegdzie i dziś postrzedz można. Czytałem w przywilejach XVI wieku, że postrzygalnie, wywieszały wielkie nożyce, szewcy buty i t. p. A to, nie malowane, tylko najprawdziwsze buty i nożyce. I teraz nawet szczupło u nas w tym rodzaju konceptów, widziałem tylko w Wilnie szyld szewca pod Duchem Ś. winiarnię pod gronem, traktyer pod gęsią. Mniejsza o to że napisy są bez ortografii, to się i w Paryżu zdarza. Najmocniej się wysilił jeden właściciel traktyeru, który pod dwoma emblematycznymi kijami billardowymi na krzyż, dopisał: — Zajdźmy tu!

Był to fortel, który znalazł plagiatorów nawet.

Pod Sławutą oglądaliśmy postrzygalnię i gręplarnię, które woda obraca, nie chcę ich opisywać i zostawuję jakiemu przyszlęmu mającemu się urodzić P. Dupin.

Mamy już w kraju fabryki sukna, cukru, papieru, płócien, ale dotąd maszyny sprowadzają się z Anglii lub Rosyi — u nas nie się jeszcze w tym rodzaju nie tworzy. Czekamy na szkołę Polytechniczną. Gorzelnie jedne, bardziej nad inne zakłady, z zastosowaniem do miejsc, udoskonalają się.

Ulepszenia gospodarskie tępo idą na Wołyniu, który zdaje się ich nawet nie potrzebować. Próżno P. Nep. Kurowski wydaje dzieło po dziele, o jedwabnikach, owcach, płodozmianie, gorzelniach, próżno wydaje Tygodnik Rolniczy — próżno uczony Oczapowski rozwija swoje abstrakcyjne teorie gospodarstwa — Wołyń jeszcze gospodaruje po dawnemu. Tępo nawet idzie oczewiście korzystny chów owiec poprawnych, — najpiękniejsze w tych stronach są właściciela Sławuty.

W samą Sławucie godne są widzenia fabryki sukna, kolder, flaneli i papieru. Tego ostatniego wyrabiają wiele, ale nie w bardzo dobrym gatunku. Troszczańska fabryka, co do gatunku i różności wyrobów jest daleko wyższa.

Pałac xiążęcy w Sławucie wielki, ze starego podobno gmachu przerobiony, nie ma nic odznaczającego się. Piękny kościół Ś. Doroty za miastem, szkoda że nie skończony. Sarkofag na jego szczycie, i krzyż na nim, przypominają, że jest pamiątką żalu i grobem. Nie dość tylko dobrze, zdaje się, ten sarkofag do reszty budowli przypada i ociąża samo jej zakończenie, gdzie najlżej kończyłby się powinna. Kramy w sferoidę na rynku smakowne zaczęte, pięknie Sławutę ozdabia. Oprócz

tych budowli i zakładów wspomnieć potrzeba aptekę wyborną i sławną szkołę żydowską. XXta Sanguszkowie nie dawno tu swoją rezydencją przenieśli z Zaslavia, miasta, które się im po linii wygasłej XX. Zaslawskich dostało. W tém ostatnim mieście żył ów sławny Nathan Moskowicz Hanowerski, który opisał jako świadek naoczny zaburzenia za Władysława IV w czasie buntów Nalewajki i Pawluka. Ten ciekawy opis drukowany był po hebrajsku w Wenecyi 5,413 r. i w Dyrenforcie 5,487 r. Tłómaczony po części przez Abrahama Sterna. 1) Zaslów postradał w napadzie kozackim 200 ludzi zabitych, mało co w lasy uciekło. Wyprosili sobie żydzi Zaslawscy u barbarzyńców, że ich zebranych w smętarnym domu zamordowali i z domem spalili.

Sławuta miała z dawna sławną drukarnię xiąg żydowskich, dostarczającą xiąg do nabożeństwa i kalendarzy dla izraelitów całego Wołynia. Spisu wyszłych tutaj, nie mamy dotąd żadnego. Czacki przywodzi tylko jedno *Tania* czyli *Likatěj amerim* przez Zelmęna Boruchowicza, a Niemcewicz w Lejbe i Siore

1) *Pam. Warsz. T. VI. N. 111, 213 dalej.*

głucho coś o téj drukarni wspomina. I ta i inne drukarnie żydowskie wołyńskie w Sudylkowie i Ostrogu, świeżo pokasowane dla nadużyć zostały.

MIEDZYRZECZ KORECKI, OŁYKA.

..... Jechaliśmy potem z P. Antonim pod Luck i Dubno; a że tysiące podróźnych przedemną miało przywilej opisywać drobne zdarzenia swoich podróży i nudzić niemi czytelników, postanowiłem i ja sobie nadać tę samą wolność. Jajecznicą P. Dumas w gospodzie szwajcarskiej, warta pewno przygód mojej podróży. Tyle jednak grzeczniejszy jestem od P. Dumas, iż pozwalam (co się i bez pozwolenia robi) przerzucać czego się nie podoba czytać.

Do Miedzyrzecza koreckiego, nic nie widziałem godnego uwagi, las, pole, pole i las. Zmierzchało dobrze gdyśmy tu przybyli. Zdaleka na prawo mijaliśmy rezydencją dawnych panów otoczoną drzewami — przed nami było miasto niczem się nie odznaczające — prócz kościoła Pijarów, którzy tu dawniej sławne utrzymywali szkoły. Do nich należy kościół parafialny. Rzączyński tyle tylko wspomina to miejsce, iż na okopisku żydowskim widział glinę czerwoną. 1)

Wjechaliśmy do wielkiej karczmy murowanej, z której okien widok się nam otworzył na pałac, rynek błotnisty i najwspanialszy gmach w miasteczku o dwóch obitych słupach i ganku, który się zowie balkonem. Kramy, żydzi, błoto — oto cały obraz z okna. W środku była jeszcze żydówka młoda i żydówka stara. Tej ostatniej starałem się dawać rady skuteczne, aby gorąco upragnionego doczekała się potomstwa.

— Niestety! odpowiedziała mi, że tylu uczonych Rabinów nad tą kwestyą pracowało bezskutecznie, iż już zupełnie straciła nadzieję.

Zaczęło się chmurzyć. P. Antoni grzał się

1) Bolus rubra. Rothgemeine Erde. R. Auct. H. N. 18.

u kominka czekając na herbatę i jaja — angielski nasz podwieczorek. Ja czytałem napisy na oknach. Wieleż to brudów i głupstw na szybach, wiele conceptów...

— Tu nocowałem, pisze jeden w r. 183... dnia... miesiąca. Zaiste, ważna wiadomość dla potomności!

— Kochana Marynia! droga Marynia. 182... dnia... miesiąc... Zapewne żeby za kilka miesięcy policzyć mógł, jak długo była mu drogą i kochaną Marynią.

Daléj cyfry bez końca.

Niżej — wiele wody upłynie nim będę tak szczęśliwą.... i kropki. To rozumiem. Ale na cóż zwierzać się swoich uczuć całemu światu i gdzież jeszcze? — w karczmie!

Połowy napisów czytać nie można, cóż dopiero pisać. Najpocieszniesze są te, którym towarzyszy polemika grubijańska. Słyszałem że jeden właściciel huty na Wołyniu, zastawszy podobne napisy na oknach annopolskiej austryi, dał kilka skrzyń szkła, żeby te głupstwa zniszczyć.

Uwagi nad literaturą szybową przerwał mi Pan Antoni.

— Co będziemy jedli i w co się przebierzem na miejscu tego nie wiem, rzekł śmiejąc się. Bo kuchnia nasza i tłómoki coś się opóźniają, a nawet szczerze mówiąc nie wiem jak przyj-

dą, bo się pokazuje, że nie wiedzą w którą stronę pojechaliśmy.

— Jeść to mniejsza, zawołałem — ale ubrać się! to okropnie!

Trzeba wiedzieć żeśmy jechali na imieniny, że ja byłem w strasznój starój kapocie ex-białej i stroju tak podróżnym, jak tylko sobie wyobrazić można. Ta wiadomość zatrzała mi jaja i herbatę, wzdychaliśmy oba z P. Antonim i ciągle niespokojnie wyglądali na ulicę. Abryki jak nie było, tak nie było. Wyjeżdżając, najęty wołyniec nie spytał dokąd ma jechać, pojechał przed siebie i w prostocie ducha, mógł Bóg wie dokąd zajechać. Nie było go i nie było, a wieczór i noc tuż.

Staliśmy tak rozmyślając, gdy się w błocie powóz ukazał. P. Antoni poznał w nim ekipaż krewnego swojego.

— Gonić, gonić, krzyknął. Ludwik Popiel, sławnego owego króla, co to go myszy zjadły, potomek i następca, poleciał bez czapki.

— Stój, stój! konie ploszy, zastanawia, wpa-da do połowy w powóz.

— Pan Dominik?

— Nie.

— Jak to nie?

— A nie.

— Bardzo przepraszam.

— Bardzo dziękuję.

— Upadam do nóg.

Uśmieliśmy się z tej omyłki, chociaż płakać się nam doprawdy chciało, oczekując obląkanej bryki i tlómków. Lecz nigdy dobry humor prędzej nie przyjdzie, jak gdy może być nie stosownym. Po długich rozmyślaniach, zostawiwszy roskazy i ludzi, pojechaliśmy nocą, dalej.

Ześmy nocą jechali i nic nie widzieli, nie też wam o tej częstce drogi nie powiem. Przejechałem ją, jak anglik Szwajcaryą drzemiąc i nie patrząc. Pamiętam tylko, że były góry, ciemno bardzo i że mi niezmiernie do serca przypadły dwa słupy białe jakiejś karczmy, którą niestety! musieliśmy minąć. Spaliśmy tedy aż do przeznaczonych na nocleg Raśnik. W Raśnikach — karczma zajęta. A tu noc, a tu chce się jeść i spać i odpoczywać — a tlómków naszych nie ma i nie ma.

Wjechaliśmy jednak i weszli do żyda. Tu zastaliśmy zapach szabasu świeżutenki, atomy loju, pływające w powietrzu gęstym i ciepłym — a za stołem jakiegoś jegomości podróżnego w szarój kapocie.

— Gdzież jest izba podróżna?

— Zajęta.

— Przez kogo?

— Przez P. Sędziego S...

— Ja go trochę znam, rzekł Pan Antoni. A

może lepiej Panie Józefie, żebyś się ty przebrał po kobiecemu; może przez uszanowanie dla płci pięknej, cieplejszej nam izby ustąpi, lub przynajmniej nią się podzieli.

— Ale bez tej maskarady, musi nas przyjąć, odpowiedziałem — idę śmiało.

I wszedłem ze świecą. Pan Sędzia spał snem sprawiedliwych sędziów, obrócony do ściany, spowinięty koldrą, koło niego leżał tlómk, stała toaleta i et cetera podróżne. Ani się obudził nawet. My przez grzeczność poszliśmy do drugiej izby ciemnej. Tym czasem nastawiono samowarek na herbatę, a P. Antoni posłyszawszy szelest w łóżku sędziowskim, odchrząknął i zaczął od —

— Bardzo przepraszam, żeśmy sen przerwali.

— Ej to nic, odezwał się głos z pod koldry, wiadomo karczma, wolno każdemu (aksioma podróżne). I tu nastąpiły pytania — Kto? z kąd? jak? potem poufalsza rozmowa o drodze, o porze, o koniach i powozach. P. Sędzia widząc nas śmiałych i determinowanych do podzielenia z nim izby *bądź co bądź*, domyslił się dla posmarowania naszych stosunków, dać nam śmietanki, potem bułki. Te ofiary przyjęte zostały i nareszcie pokładliśmy się spać.

Ale nie na tém koniec naszych i sędziowskich trybulacyi.

Rano, nie było jeszcze naszej bryki, ani człowieka, który się został, żeby ją za nami przeprowadzić. Rada ogólna i postanowienie z niej wypadło, posłać po nią a samym czekać. Widząc nas w takim kłopotcie, a bojąc się żebyśmy po śmietance i bułce, czego więcej od niego nie zażądali; sędzia rozumnie wybierać się zaczął bardzo rano. Służący już wyniosłszy jego tłumok, niósł jeszcze jego szkatułkę.

Wtém właśnie P. Antoni obudził się i biorąc ją za swoją, odezwał się

— Gdzież to niesiesz?

— Do bryki.

— Po co?

— Po co? To moja, rzekł Sędzia struchlały.

— A to bardzo przepraszam, rzekł P. Antoni.

Tu P. Sędzia widząc że mu już i do jego szkatułki się przypytują, gorzej jeszcze przełęczniony, co najprędzej wybierać się i zaprzęgać kazał. Potém ubrawszy się w płaszcz, pożegnał się i pobiegł do powozu. Już siadał gdy P. Antoni, przypomniał sobie, że pojedzie na Międzyrzecz i przyszło mu na myśl, wsadzić do jego powozu Popiela, aby ten poszukał jeszcze w mieście obłąkaną bryczki.

— Stój panie Sędzio! Stój! stój! zawołał — ale stójże panie Sędzio!

Sędzia przestraszony jeszcze gorzej, nie wiedział co już myśleć i stanął.

— Bądź łaskaw podwieź mego sługę do Międzyrzecza.

— Bardzo chętnie, odpowiedział P. Sędzia — i co prędzej, bojąc się zapewne nowych pretensyi; w konie! i uciekł galopem.

Nas tym czasem smutny los czekał, bez ja-dła, sukni, trzeba było czekać i czekać w karczmie nie wiedzieć dopóki. Pokładaliśmy się na słomie i sztukowali dobrym humorem naszą biędę. Mieliliśmy na pocieszenie daktyle i jakąś powieść Balzaka, oboje dobre na zakąskę, nie zaś na głód i niespokojność, z biędzy musieliśmy je spożywać, dokładając ognia na kominek i paląc cygara dopóki nam i one nie wyszły.

Wychodziliśmy ciągle na ganek upatrując bryki — nie było jej. Jak w *Barbe-bleue* pytał jeden drugiego.

— Panie Antoni, czy widać tam co na drodze?

— Nic, tylko pył leci.

— Panie Józefie, czy nie jadą tam nasi?

— Nie, żyd tylko jedzie.

— Panie Antoni, co tam widzisz z ganku?

— Tuman kurzu.

— A to nasi!

— Otóż się zbliżają, zjeżdżają z góry, zakręcają.

— To stado bydła z rosy powraca.

I znowu następowały pytania i zawody.

Mieliśmy aż nadto czas przypatrzeć się pięknemu dosyć położeniu Raśnik, pałacowi za wsią odnowionemu i otoczonemu murem.

W oddaleniu leży piękne XX^{żąt} Czetwertyńskich miasteczko Horynhród. Naprzeciw zaś karczmy na górze widać mury i młyn wietrzny w Drohobużu Zawiszów, w około łęgi nadhoryńskie, góry i pola. Na chwilę przerwała nam nudy przykrém uczuciem, stara żebraczka niemka, ze łzami w oczach, z ciężarem na plecach — stara — chora. Ona i jej mąż szli pieczo, — koń im był zdechł. Ten widok prawdziwego nieszczęścia i nędzy, nie dozwolił nam uskarżać się na zbłąkanie bryki, nudy nasze i głód, a nawet na to, żeśmy mogli imieniem w karczmie przesiedzieć.

Nareście i król Popiel i bryka i suknie i ja dło przybyły niespodzianie z wielką naszą radością. J. K. Moś spotkał chłopca na drodze, wysiadł z pojazdu P. Sędziego, ale jakby na dobitkę polecił jeszcze jemu, aby przejeżdżając przez Międzyrzecz, poszukał tam zostawionego człowieka i wysłał go do Raśnik. Czego Pan Sędzia, muszę mu oddać sprawiedliwość, dopełnił święcie.

Jadąc już dalej oglądałem się na pałacyk raśnicki i na prześliczny widok, który się nam z za gór na horynhrodzki kościół i miasteczko odkrywał. Drzewa i mury bielejące z nich

w dolinie, pagórki zarosłe w koło, czyniły ten pejzaż zachwycającym. Kraj który do Równego przebywaliśmy, bardzo piękny, górzysty zasiany dębowemi gajami, ale ludność w proporcji ziemi zdaje się być mała. Równe, śliczne miasteczko, kilka ma domków schludnych, dość piękny pałac nad wodą, który się dobrze od strony miasta wydaje; i arcyważną cukiernię z billardem, z łojowemi świecami, ze szkaradnemi obrazami na ścianach, z gitarą *ad usum publicum*. Dźwięku jej nasłuchaliśmy się, gdyż brzęczała w drugiej izbie przystępnej poufałym gościom; — z dzieckiem razem które pieścili politycznie na kredyt żywiący się w cukierni. Kilku tych Jchmościów ustąpiło nam po chwili spojrzawszy poważnie na intruzów, a my po czekoladzie rowieńskiej, dążyliśmy na nocleg do Radochówki, do której już nocą przybyliśmy.

W karczmie dosyć brudnej i woniejącej jak zwyczajnie, bo karczmy jak kwiaty (przepraszam za porównanie) mają swój wrodzony i wyłączny zapach — prócz chłopów i żydów była jeszcze figura godna uwagi. Żydziuk młody, morejne, który pił herbatę, nalewaną mu z garnka przez gospodynię, a do niej lizał cukru kawałek trzymając go w ręku.

Żaden pęzel nie wyda miny jego dumnej, zarozumiałej, głupiej i próżnej razem, ułożenia

malowniczego szlafmicy, graczy pięciu rozstawionych palców, skrzywienia ust, założenia nóg judaiczno-arystokratycznego — a wszystko było wyrachowane żeby zadziwić i wzbudzić uszanowanie.

Skończył herbatę i nie dolizawszy kawałka cukru, zostawił go bachurom na stole, okazując przez to, że nie był skąpy jak żyd. Tę ofiarę zrobił dla nas, inaczej byłby go zjadł lub do kieszeni schował, — lecz czegoż to się dla popisu nie uczyni!

Pozbywszy się morejny, wypędziwszy chłopów, ukladliśmy się spać, a P. Antoni już nawet dobrze chrapał; gdy tym czasem gotował się straszny spisek na naszą spokojność. Szczury i myszy z okolic, uwiadomione o przybyciu jednego z praprawnuków króla Popiela, osobiści rodu jego nieprzyjaciele, licznie rozesławszy wici, gromadzić się zaczęły. Ledwieśmy się pokładli, przyszli napaść na niego — porwałem się widząc ich wojska rozsypane już po karczmie, obudziłem P. Antoniego, ale nie śmiałem wołać Popiela, aby go na oczewiste niebezpieczeństwo nie narażać. Umyśliliśmy świecę zapalić, ale szczury jakby przeczuwając, iż ten sposób obrony od nas użyty być może, zjadły ją do ostatniego ogarka. Radzi więc nie radzi, rzuciliśmy pościel i poszli spać do ka-

réty, gdzie skurczeni przetrzęśliśmy się całą noc na zimnie.

Książę Popiel tym czasem, śmiały a raczej zuchwały, wbrew szczurom i myszom, poszedł do izby i tak ich swoją odwagą zastraszył, że się go tknąć nie śmiały, cybuk tylko z fajką przez zemstę mu odkradłszy. Wstrzymuję się od wniosków, jakieby z tego wypadku mógł wyciągnąć, zostawując je samemu czytelnikowi.

Chmurnym rankiem dojeżdżaliśmy do Olyki dawnego miasteczka z zamkiem obronnym, niegdyś Kisków, potem Radziwillów. Przez strome góry spuszczałyśmy się nad błoto i staw z tej strony obejmujące Olykę. W oddaleniu poleskie już lasy czerniały.

Olyka prócz zamku, nie jest piękna, ale ma dość wiele dawnych budowli i pamiątek. Zamek sam w roku jeszcze 1564, jak świadczy kamień z napisem, założony, obwiedziony mурowaną fossą, do której woda ze stawu i rzeki wpływa, zabudowany jest w kwadrat z bramami i wieżami. Po rogach sterczą jeszcze bastjony okrągłe i kwadratowe, na dachach orły Radziwillów. Rzadko widzieć tak cało dochowany zamek obronny, któremu brak tylko dział w strzelnicach, zwodzonych mostów i więcej ludzi — bo w brukowanych dziedzińcach zamkowych, po których echo się roz-

chodzi, znać że życie opuściło już dawno, tę starożytną budowę. Oprócz zamku, są jeszcze dawne ślady warowni, w wałach otaczających miasto i kilku bramach na nich, z rzeźbami i strzelnicami. — Godny uwagi stary, rozwalony ratusz z wieżą, i kościół kollegialny.

Ten, sławny z marmurów kosztownych pomnik, najwięcej dziś jeszcze miasto zdoła i odznacza, chociaż jako dzieło sztuki, wcale nie jest piękny. Fronton jego najniesmakowniejszy, ma czarne rzeźby i kapitele kolumn marmurowe i posągi podobne, które wandalska ręka świeżych restauratorów kolorowo pomalowała. Słyszał kto o podobnym barbarzyństwie!.. We środku są dość piękne marmurowe ołtarze, ale rzeźby ich gorsze od marmuru; nowsze zaś poprawy i odświeżenia popsuły kościół niezmiernie. Modliłem się do Boga, żeby tym restauratorom przebaczył zeszpecenie swojego kościoła — *bo nie wiedzieli co czynili*.

Architektem kościoła tego był niejaki włoch Jan Maliwerna, rzeźby dokonał Melchior Almpeli, inni Niemcy i Szwajcarzy resztą fabryki zawiadowali, — lecz ich dzieło od czasu skończenia fabryki w r. 1640, uległo ogromnej odmianie na złe.

U wchodu do grobów jest obraz wystawiający księcia Stanisława Radziwiłła fundatora,

w paradnym ubiorze na katafalku śmiertelnym.

Starówolski cytuje nagrobki tego kościoła, jako: Maryi Miszczanki córki kasztelana wołyńskiego, Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła z roku 1614. Stanisława, młodego dziecięcia, toż Jerzego i Reginy Eisenreich. 1)

1) Oto są napisy ze Starowolskiego grobowe i inne kościelne:

1. Marianna. Miszczanka. Castellani. Vollhyniae. filia. inter. filios. et. mater. et. Comes, in. hac. quiescit. urna. mors. ad. tumulum. praeviam. fuit. virtus. ad exemplum. pietatis. consuevit. Tali. censu. gaude. qui. aeternitatis. pennam. demeritis. non. crubescit. olim. ducali. maiestate. gravis. his. urnae. angustiis. teneri. Quam. genus. orbi. virtus. coelo. ampliorem. genuit. senserat. se. has. subituras. angustias. Amplitudinem. lege. hanc. enim. talis. cogitatio. extendit. fortunae. succumbere. nescia. lauream. morti. concessit. ut. vitam. ingrederetur. auream. Hujus. aditum. hospes. apprecare.
2. Nicolaus Christophorus Radziwiłł, humanitate, comitate, excelso animo. Suae gentis gloriam promouente, disciplinam mortis impressus curiosiori aetate caetera reliquit, a qua spei suae in hoc domicilio monumenta expectat. Non sua cum indoles (quae aeternitatis cursum excepit) hoc inclusit ergastulo. Sed quae nascenti invidit fortunae fatalis necessitas, haec interminavit mole. Vixisset sua luce daret lucem scrip-

Prócz tego, wspomina podpisy trzydziestu czterech portretów galeryi familijnej zamku

toribus, quos genitos gauderet factis suis. Ne quaeris praeclusum stadium tali mortaliavolvuntur urna? Vivendo morimur. parum ille sarmatico orbi, multum gloriae et conceptae spei vixit cum XXVI annos MDCXIV anno reparatae salutis continuasset. Ut te vovente quiesceret.

3. Ex cunis ad feralem urnam Stanislaus Radziwiłł deportatus blandus puer, ducales recreat sinus lascivit et mors suis laciniis, ut inscium pelliceret. persvasit tropo Energiae, cum mortalitatem loqueretur, sed cum mulato dolore. Excessit modum. temperandum fuit, vel tempus expectandum impaticus vix trimestre sustinuit, ne mireris. eadem legitur omnibus mortalitas, quam etiam infantes intelligunt. et blaesio vocibus profitentur.
4. Infantem colligis ex situ Georgius est Radziwiłł cave quaeraris immanem mortis manum quid se tam tenero induit spolio imbelles et fortes pari subruit impetu ne hi illis insultent illi his illudant, ad ornandum sepulchrum, parvas accessivit urnas, quae magnis insertae blande oculos tenerent. Regium etiam cum pueris trochos voluere, ne seria crudam imprimant austeritatem. Ludere par impar pridem mors didicit.
5. Magnos Reginae ab Eisenreich manes, urna quam spectas, ambit clemens audiit. ut omnium suae vitae sestium teneat, Lachrymas, non quod non debeant ipsi dari, sed quia superstes non expressit mortua non

ołyckiego, kobięcych i męzkich, począwszy od Mikołaja I. Radziwiłła, ochrzczonego we trzy-

exigit, crudeles corde, manu tale vectigal deposcunt. Vixit liberalis, quam etiam mors in solvendo delicto liberalem experta ut libero exiret quaestu. Liberalitati insudavit, ingressa hoc claustrum, ut quam via cogitavit mortalitatem mortua custodiret, inducias vitae non perit, cum longis re dignissima esset aevo, ne si eam invita deponeret aeternitati non nasceretur. Sed cum religionem in Deum, Clementium in subditos, beneficia in singulos, amorem in omnes coleret satis vixit virtuti, votis non satis.

6. *In vertice Templi globo aeneo charta pargamenea cum tali descriptione inclusa.*

Porrigit spectabile Templum suam frontem ad Aquilonem, ut Septentrionis aestus generoso suscipiat intuitu. Non illam Catonicae contrahent negae, non tristitia Lavernarum supercilia corrugabunt. Non immanis ac funestus Lemurum perfricabit aspectus. Solido lapide cocta etiam saxeis ad pietatem animis dicet huius cujus est imago Ecclesiae fidem, non perfert saxi megarensis levitatem, ut ad nervoram vocem suo cedat loco: Nam quo magis est lapidea eo vitam perrennorem vivet, non mentitos unquam inducet colores. Nam veritate ipsa verioris gerit insique fidei quae rebelles aperte odit, fronti nescit occultere sententiam, et quae tantam habet auctoritatem institutorum ac praeceptorum suorum, ut ad effrontium nova commenta et inventa non soleat mutare vultum. Gratetur

nastym roku życia, aż do Katarzyny Tęczyńskiej Radziwillowej.

huic fronti perenni marmore Constantia. Nec tam in illa viator polita saxa et salices distinctos mirare quam virtutum, quas tibi aditu suo propinat panegyrim. Has ergo hic moles non Parij aut Caristij montis excisas jugo intellige, sed integri animi dotes transformatas in marmore contemplare. Explicat praeterea haec Basilica frontem ut nunquam oecasurum pietatis gloriam extendat, qua Illustrissimum Albertum Stanislaum Radziwill Saeri Romani Imperii Principem. Ducem in Olica et Nieswież. M. D. Lith. Cancellarium Pinscen. Meven. Caunen. Tucholien. Velonen. etc. Capitaneum, qui nimium dilexit decorem Domus Dei Socijs et Comitibus tam devoti animi lectissimis coniugibus, Regina ab Eisenreich in Domino de mortua et Cristiana Lubomirska, superstita ad canendum erigat ipsa interim suae erectionis, apud immortalitatem testis quam sortita est, Vicario Petri Urbano, Papa VIII Rege Poloniae et Sueciae Vladislao IV. Huic igitur fronti erigitur Crux triumphalis quae imprimis de Sathana inimicos suos per Constantinum Magnum primum Christianum Imperatorem devicit, omnesque, ad consummationem usque saeculi ab omni impetu inimicorum protegit. Per hanc crucem

Rex fortis venit in pace

Et Deus homo factus est.

Triumphabit itaque et perennabit contra omnia etiam hostium impetum. Accessere eidem suffragia et

Infułatem terażniejszym jest znany z prac uczonych, X. Alojzy Osiński, były Rektor aka-

vota piorum, supplicatio populi devota, piissimi pastoris reverendissimi in Christo Dni. Dni Andreae Gembicki Episcopi Luceor. qui hanc Basilicam affectu devotissimo, dedicavit Deo Uni et Trino, benedixit et consecravit, in honorem Sanctissimae Trinitatis. B. V. M. totiusque Curiae triumphantis. Anno 1640 post iactum primum lapidem anno quinto die 26 Augusti, praesentibus huic Actui Reverendissimis Dno Joan. Zamoiski Eppo Baconien. Dno Zacharia Nowoszycki Eppo Nicopolien. Suffraga. Leopold. Insuper die post hanc tertia 28 Augusti in eadem Ecclesia consecratio per Reverendissimos Eppos Lucenien. Bacovien. Nicopolien. Novi Eppi Rndi Dni Nicolai Krasicki in Episcopum Argiven. Suffrag. Luccorien. Ad hunc Actum dedicationis convenientibus Illustr. Dno Alex. Lubomirski Comite in Wisnie Capit. Sendom. nec non Illustr. Familiae Ducum in Ostrog Dna Catharina Zamojska Regni Cancellarii Thomae Zamojski consorte. Dna Anna Chodkiewiczowa Joannis Chodkiewicz Palat. Viln. et M. D. Lit. Exercituum Ducis consorte Fundatrice patrum Soc. Jesu in Civitate haereditaria Ducum in Ostrog et liberalissima Ecclesiarum Parochialium et Regularium Benefactrice. Nec non in praesentia perillustrum ac Reverendiss. Dnorum. Rndi Dni Martiani Tryzna Referendarij M. D. L. Eppetus Viln. Coadjutoris praepositi viri et legitimi Olycen. Rndi Dni Franedoci Golański Custodis Luecorien. cum Capituli

demii teologicznej w Wilnie, Biskup Suffragan
lucki. W kościele prócz innych zastanowienia

protunc Olycen. Praelatorum R. D. Jacobi Wojakowski Custodis, Tomae Panecij Cantoris. Dni Andree Sudiński Scholastici I. V. D. Jacobi Idzikowski Canonici Theologi Jacobi Ignatii Karwocki, Tomae Botemovij, Joannis Bitomski, AA. et Phil. Doctoris Canonico. Vicariorum Martini Praclawicz, Jacobi Oziemkiewicz, Vincentii Łukaszowicz, Stanisłai Żochowski, Michaelis Lipiński, Stanisłai Dzierżek, Alberti Dziadkowie, Martini Domaniewski, Ambrosij Raczyński, Petri Koszowski, Andree Chromieński, Georgii Sokolowski quibus pro dote Illustrissimus fundator assignavit bona terrestria, ac primum Rndo Dno Praeposito Ciemierzyn et Chromiakow, Capitulo cum Vicariis Dera et Stawelt, Hosowice et Oderady, Tyunc et Czelibe, situ in Palatinatu Volynien. Professorum item Academiae et Seminarii Olycen. Dni Georgii Brzozowicki, Martini Bielec, Jacobi Lang Baccalaureorum, *Nobilium* vero aulae Illustrissimi Patroni et fundatoris Dni Alexandri Bartliński, Arcis Olycen. praefecti Joannis Giestor Dapiferi. Trocensis, Marciani Brzostowski, Casimiri Rudomina, Alberti Długopolski, Christophoris Długopolski, Alberti Raczyński, Joannis Bartliński, Joannis Kurowski, Alberti et Nicolai Dubiski, Nicolai Jesman, Nicolai Darowski, Casimiri Curniewicz, Petri Butkiewicz. *Parochianorum* Michaelis Zawacki, Danielis Falbowski, Georgii Tymiński. *Magistratus Olycensis*

godnych rzeczy, są dwie osobliwe — koty bogate i nos zakrystjana. Koty te, których poważna

et Civium Adami Toczewiecki Advocati, Valentini Tomaszowicz, Stanisłai Tochowiecki, Joannis Rybkowicz Andree Dulewic. *Consulum* Stanisłai Kolackiewicz, Joannis Mielęski, Stanisłai Czerwiński, Martini Proniewicz, Symonis Zylewic, Jacobi Niedzwiecki hotarii Civilis. Jacobi Slonkowski. *Familiae Ecclesiasticae* Stanisłai Stachucki, Tomae Swierzyński, Alexandri Czerwiński, Joannis Zetkowski, Pauli Slonczewski, Christophori Stesicki, Theodati Syslak, Joannis Sokalski, Stanisł. Switalkowski. Gasparis Karas, Clericorum minorum. Ordinum. *Architectorum* Fanatorum DD. Rechinoldi Boffka Joannis, Maliverna Melchioris Leopoltae, lapidum sculptoris Michaelis Walda et aliorum plurimorum. Acta haec sunt et posita anno a parto virginis Millesimo Sexcentesimo Quadragesimo, die 28 Julii qui fuit dies Sabbati ante Dominicam IX. post pentecosten, dum erux fastigio hujus Ecclesiae applicabatur, Inclusa sunt item Quatuor Evangelistarum Evangelia impressa, Agnus Dei Cercus Benedictus, duo grana incensi Paschalis cum quinque granis thuris benedicti et sigillum plumbeum SSmi Dni Urbani VIII. Poht. Max. Anno pontificatus ejus 17. His omnibus sigillum Capitulare subinpressum.

Za wymówkę iż ten cały akt przytoczyliśmy *per extensum*, niech nam służy jego charakterystyczność i rzadkość Starowolskiego monumentów, z których jest wyjęty.

familia żyje grobowemi i kościelnemi szczurami, mają jak mi mówiono fundusz uczyniony przez założyciela i są płatne za to, aby wyjadały myszy i szczury, którymby ochota przyszła dobrać się do grobów xiążących. Jest to, ile wiem, najznamienitsza rodzina kocia w całym kraju, a przynajmniej najbogatsza. Jak tylko też wakuje ten plac, musi być kandydatów bez miary. Nos zaś zakrystjana, porządku gotyckiego, z blankami i treflami *en relief*, godzien jest rysunku i opisu, a może i zachowania w spirytusie. Bo jeśli zakupiono krtan pani Catalani, czemużby nie miano zapłacić, za ten nos, zbrojny taką siłą reprodukcyjną, tak ozdobny, tak olbrzymi; zakrystjan zbyłby go pewnie zostawując sobie tylko dożywotnie jego użycie, przynajmniej o połowę taniej. Prócz tego, połowę przynajmniej ma oczewiście na sprzedaż, bo za nadto.

Ołyka przed Stanisławem X. Radziwillem, była gniazdem Ewanielików, którym jego przodkowie opiekę dawali, ona dopiero wyniósł ztąd ich zbór. Mąż ten sławny z umiejętności języków łacińskiego, włoskiego, francuzkiego, niemieckiego, hiszpańskiego, greckiego, słowiańskich, tureckiego i arabskiego, marszałek W. X. L. zabierając się do fundacji kościoła kolegiального ztąd ich rugował. Jego to staraniem wzniosła się i upiękniała Ołyka, zamek zbudowa-

wał, kościół także i założył akademią. 1) Tym szumnym tytułem akademii, nie skąpo wówczas szafowano, była akademія w Ostrogu, była w Białej na Podlasiu, którą zwano córka krakowskiej, ołycka miała przy sobie seminarium, była to prosta szkoła o kilku tylko profesorach. Lecz tu chodziło o imię więcej pono, niż o rzecz.

Przebieżym krótko dzieje familii Radziwiłłów, o tyle o ile się one, ze wspomnieniami miasta wiążą; dziś mnóstwo szczegółów tego rodzaju, tak dalece zapomniano, iż wcale nową rzeczą wyda się to przypomnienie.

Radziwiłłowie pisali się naprzód xiążętami na Goniądzu i Medeli, a ten tytuł nadał im Maxymilian Cesarz, z odmianą ich herbu w roku 1518. Ten tytuł, na trzech synach ozdobionych nim, zeszyłych bezpotomnie, ustał. 2)

Jerzy Kasztelan wileński pierwszy pisał się na Birżach i Dubinkach, które to Dubinki, we-

1) *Starov. Dant. Edit. polon.* 1652. p. 141. Dux Stanislaus Radivil Cancell. Supr. Lit. in eadem satrapia civitatem suam Olikam arce elegantissima atque elegantissima Ecclesia Collegiata suppellectili aurea celeberrima et Academia bonarum artium illustrem nostra aetate admodum reddidit. Erecto ibidem praeposito Infulato e Mont. pietatis.

2) *Niesiecki III.* 814.

dle Długosza, Witold w r. 1415 założył. Na Olyce zaś i Nieświeżu, jak widać z genealogii 1) pierwszy pisać się miał Jan Krajczy lit. w r. 1544. Tego syn Mikołaj, stryjeczno rodzony brat królowej Barbary wysłany na sejm Rzeszy niemieckiej otrzymał od Karola V. przesłanie tytułu książęcego po wygasłej familii na Goniądzu i Medeli, na siebie i dwóch braci.

Mikołaj Czarny, zamek w roku 1564 założył. 2) Syn jego Stanisław pochowany w Olyce r. 1599. Ten bibliotekę ojcowską spalił, wygnał jakieśmy mówili protestanckich ministrów, a w przywileju kościołowi nadanym położył, że jeśliby kiedy następcy, odpadli od wiary, mają też tracić *jus patronatus* kościoła. 3)

Mikołaj Krzysztof Sierotkę zwany, pisał się także na Olyce i Nieświeżu, urodzony w r. 1549 był synem Mikołaja Czarnego wojewody wileńskiego. Jego przezwisko Sierotki powstało jak piszą ztąd, że na jakimś weselu u dworu Zygmunta Augusta, samo jedno to dziecko zastawszy gdzieś porzucone w odległej komnacie, król wyrzekł nad nim z żalem.

— „Sierotka!”

1) *Niesiecki III. 822.*

2) *idem. III. 824.*

3) *idem. III. 825.*

Urodzony w wierze katolickiej, potem protestant, nareście znowu w r. 1568 do wiary przodków powrócił. Z powodu rany w głowę zadanej mu pod Pskowem ofiarował się odbyć pielgrzymstwo do Grobu Zbawiciela. Wybrał się na nie w r. 1582 z X. Leonardem Pacyfikiem Jezuitą, sam ze 129 tylko ludźmi. Wrócił z niego szczęśliwie, jak świadczy wydany przez niego opis podróży. Kij jego pielgrzymi złożony przy nim w grobie, a później mu odjęty, widziałem; — lecz że mnóstwo takich lasek pokazują wszędzie, trudno w autentyczność wierzyć. Sierotka założył w Olyce fundusz, dla wyposażenia ubogich sierot. Grób jego w kościele nieświeżskim, przy nogach posągu P. Jezusa z tym napisem z Genezy (23. C. V. 4.).

„Advena ego sum et peregrinus sicut omnes patres mei.”

„Przychodzień jestem i pielgrzym, jako wszyscy przodkowie moi.”

W roku 1589 uczynioną na dobrach Olyckich ordynacją, approbowała uchwała sejmowa.

W roku 1591 kozacy oblegali Olykę. 1) Nie wiadomo czy z tego to czasu, czy z innego, zapewne od bitwy z Tatarami, których ogólnie

1) *Cellarius.*

zwano Turkami, i mieszano z niemi, zostało imię trzech wzgórków pod Olyką, zowiących się do dziś dnia w ustach ludu Turczynki. Są to trzy tyse pagórki.

Albert Stanisław, z tejże linii, kanclerz litewski fundował przy ołyckim kościele nabożeństwo 1) do Sakramentu Ś. co Czwartek z publiczną processyą. Po tém nabożeństwie szli ubodzy długim rzędem do zamku, gdzie ich sadzano przy kilku stolach, potrawy roznoszono i hojnie jałmużną obsypawszy odprowadzano. Czasem za życia samego Xięcia, który im sam usługiwał, po dwieście ich bywało, na tych chrześcijańskich ucztach. Tenże ozdobił kościół ołycki ołtarzami z marmurów, obrazy kosztownemi, srebrném i złotém naczyniem, nadał proboszcza i infulacią, i ciało Ś. Argentyna żołnierza i męczennika, sprowadził tu w r. 1627. Opisuje nasz Niesiecki, jedno zdarzenie Xięcia, które że nosi cechy swego wieku, nie podobna opuścić.

Chorągiew X. Albrychta wysłana była na wyprawę i całkiem w boju wycięta. Nic o tém jeszcze Xże Kanclerz nie wiedział, gdy raz z wieczora modląc się u kominka ujrzał przed sobą jednego z towarzyszków chorągwi, który

1) *Niesiecki III*, 827.

stał przed nim w milczeniu, nie śmiejąc przeszkodzić modlitwom i po cichu tylko drewnka na kominek przykładał.

— Co ty tu robisz? zapytał go kanclerz ujrzawszy.

— Przyszedłem ci oznajmić, żeśmy wszyscy na placu polegli. Szczęściem żaden z nas do piekła nie poszedł, lecz wielu w czyscu pokutuje. Byłeś tylko chciał, możesz nam dopomódz. Każ się za nas modlić. Ażeby zaś modły nie szły na próżno, dam ci znak xiąże. W staw zamkowy każ kilka razy sieć zarzucić: póki ta grzęznąć będzie, i my jeszcze grzęznąć będziemy; gdy wolno wyjdzie, już i my wolni wyjdziemy. Dodaje Naramowski zbieracz gorliwy podobnych anegdot, że za trzeciem zarzuceniem sieć lekko wyszła. 1)

Kościół ołycki założony był jak dziś jest, (świadczą napisy przytoczone w nocie), przez tegoż X. Alberta Radziwiłła z żonami Reginą Eisenreich i Lubomirską za Władysława IV. w r. 1635, w pięć lat potem z marmurami skończony i poświęcony przez Biskupa łuckiego Andrzeja Gembickiego, w r. 1640 d. 26 Sierpnia, przy wielkim napływie duchowieństwa i szlachty. Nadano naówczas dla proboszcza dwie wsi

1) *Naramowski, Facies II*. 321.

Ciemierzyn i Chromiaków. Kapituła zaś i wikariuszom Derę, Stawek, Hosowicę, Oderady, Tynne i Czelibę. Mówiliśmy już wyżej o architektach, tu tylko dodamy, że i Polaków, krajowców kilku architektami było, a raczej budowniczymi kościoła, pod Reiholdem Belfką i Melchiorzem Maliverną, jako: Jan Baczkowicz, Stanisław Markowicz, Albert Sadowski i Grzeszowicz.

Jarmarki w Olyce, mianowicie na Koźmy i Damiana, dość licznych kupców i kupujących gromadzą. To mi przypomina owo przysłowie poleskie o jarmarkach, które opiewa że — *Ołyka na tyka*. W istocie bowiem, poleszycy je tu zwożą, dla wołyniaków, którzy często po nie jedynie na jarmark jadą.

Jaka była reputacja i bogactw Ołyckiej kolegiaty i jarmarków, okaże następna anegdota z historyi Rzeczypospolitej babińskiej.

W r. 1661 d. 22 Lipca, pisze protokół zgromadzeń — P. Bogusław ze Zbąszyna Zbąski zostawszy synem babińskim powiedział, że słyszał od pana Kłaczewskiego przytomnego świadka zaręczającego za prawdę, że widział w kościele ołyckim tak wiele srebra i złota, że od roboty jego dano złotnikowi 30,000 czerw. złotych, za co pana Zbąskiego referendarzem Rzeczypospolitej, a Kłaczewskiego złotnikiem uczyniono, aby się postarali o tyleż złota do

kaplicy Pszonki w Babinie. Tenże P. Kłaczewski dostał tytuł Ekonoma za to, iż zaręczał jako widział na jarmarku w Olyce tak wielki zjazd kupców, że samych maż wielkich było 18,000. 1)

Liczne są ilustracye domu Radziwiłłów — ich związki, ich potęga i bogactwa, czyniły długo najznamienitszą familią nie tylko w Litwie, lecz w Koronie, gdzie także posiadłości i znaczenie niepospolite mieli. Wielu sławnych ludzi wydała ta rodzina, do nich policzyć potrzeba kardynała. 2)

W XVIII w. 3) liczono pięćdziesiąt sześć famili polskich połączonych z Radziwiłłami przez małżeństwa, to jest weszłych do domu, a wyszłych xiężniczek 37. Kolligacye zaś przez Teresę Kunegundę Sobieską z domem bawarskim, przez Klementynę Sobieską ze Stuartami, przez Leszczyńską z Bourbonami, hiszpańskiemi, francuzkiemi i sycylijskiemi, przez Elżbietę Xcia Ja-

1) MSS. protokołu Rp. babińskiej ap. Szaniawski. Roczn. Tow. P. N. T. XII. p. 156.

2) Jego portret znajdziesz w *Imagines Regum Pol. w Colonia u Hogenberga* wydanym przez Alberta Myliussa r. 1594 na początku xiążki.

3) X. Giedroję w Białej na kazaniu pogrzebowém X. Anny z Sanguszków Radziwiłł. W. Kancel. Lit.

na Radziwiłła żonę z domem brandeburskim, a także przez księżną Karolinę Bogusława Koniuszego W. X. L. żonę przez tychże z XX. Palatynami René i XX. Bipontu przez Sobieskę z XX. de Bouillon, de Luxembourg, de Rohan, de Soubise, margrabiami de Bethune we Włoszech z familią XX. Strozzych, w Saxonii z XX. Anhalt Dessau.

Do roku 1747 piętnastu Hetmanów liczyła ta familia, to jest siedmiu polnych, ośmiu wielkich, wojewodów wileńskich dziesięciu, trockich pięciu, nowogródzkich pięciu, brzeskiego jednego, kijewskiego jednego, kasztelanów wileńskich siedmiu, trockich pięciu, starostów żmudzkich czterech, marszałków wielkich pięciu, nadwornych pięciu, kanclerzy wielkich ośmiu, podkanclerzy pięciu, biskupów trzech, kardynała jednego który jak piszą, mógłby być nawet zostać papieżem, gdyby mu król był dopomógł.

Solikowski Duninom i Radziwiłłom przyznaje zakład więcej niż 300 kościołów w Polsce i Litwie, a daleko większą liczbę fundacyi naliczyć można, do których się częściowo przykładali.

Jednym słowem, wszystko, co świat dać może, było w ich ręku, a jeśli się znalazły plamy na kartach ich historyi, gdzież pytam ich nie ma? Nie znam żadnego Radziwiłła, nie mam

w tém najmniejszego interessu; lecz jako prawdę wyznać muszę, iż mało jest rodzin któreby się różnemi czasy tyle krajowi zasłużyły. Dzieje ich domu byłyby bardzo zajmującą księgą, któraby niemal wszystkich wielkich wypadków historycznych kraju, dotyczyć musiała, tak dalece łączy się ta rodzina ze wszystkiem co się działo na ziemi, przez nią zamieszkaną. Archiwa radziwiłłowskie dostarczyłyby jak sądzę, nie tylko do dziejów domu, lecz i do historyi kraju, bardzo ważnych materyałów.

KONIEC TOMU PIÉRVWSZEGO.

SPIS RZECZY

W TOMIE PIÉRWSZYM.

	<i>stronica.</i>
Wstęp.	1
Jarmark w Janówce.	6
Styr i Horyń.	18
Ossowa Felińskiego.	26
Stepań.	39
Osada Sernicka.	52
Czartorysk, Okońsk.	62
Lasy poleskie.	71
Gospodarstwo.	83
Kawałek drogi przez Polesie na Wołyń.	93
Horodec.	106
Pińsk i polesie pińskie.	113
Karczmy, żydzi, drogi.	151
Zamki i t. d.	160
Włościanie.	171
Na Wołyń!	182
Sławuta.	196
Międzyrzecz Korecki, Olyka.	202

WSPOMNIENIA

WOŁYNIA, POLESIA

I LITWY.

II

**WSPOMNIENIA
WOŁYNIA, POLESIA
I LITWY**

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

*Nulla dies abeat, quin linea
ducta supersit.*

TOM DRUGI.



WILNO.

NAKLAD I DRUK T. GLÜCKSBERGA.

KSIEGARZA I TYPOGRAFA WILEN. CESARSKIEJ MED. CHIRURG.
AKADEMII I SZKÓŁ BIAŁORUSKIEGO NAUKOWEGO WYDZIAŁU.

1840.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy.
Wilno 8 Grudnia 1839 roku.

Cenzor *Paweł Kukolnik*.

ŁUCK — HISTORJA TEGO MIASTA — WITOLD.

Ciekawy dawniej Witoldowej siedziby, jechałem do Lucka obejrzeć stary zamek jego i podumać o tym bohaterze. Pan Antoni W...mój towarzysz podróży, wszystkim, co go słuchać chcieli, rozповідаł po drodze, że jedziemy z wizytą do Witolda. Po dwugodzinnéj podróży, ukazało się nam miasto z lewéj strony drogi pocztowéj, którąśmy jechali, miasto leżące w dolinie nad Styrowémi łęgami, i góra nosząca jeszcze na sobie zamczysko. Z daleka wspaniale się nam przedstawiła Katedra i wieże kilku innych kościołów i cerkwi; — lecz oczy moje z nienasyconą ciekawością, obrócone były

na mury półkuliste zamku z wieżą, które ciemniały z dala na górze; — zamku Witolda!

Przez przedmieście Wulkę, wjechaliśmy do miasta około klasztoru OO. Bernardynów, w którym mieszka JW. Biskup Łucki. Stary ów Łuck historyczny, już był przedemną, lecz o jakże nędzny!! Mizerne domki drewniane, okopcone karczmy żydowskie, chatki pochyłone, nowe budowy bez wiary w przyszłość, jakby na jeden dzień tylko poklecone, stare walące się i popodpiérane, wśród nich ogorzałe słupy popalonych domostw, ulica pomostem dziurawym wysłana zamiast bruku — oto cośmy na przód ujrzeli; a potem nie wiele co lepszego. Żydzi tłumem wpadający na każdego przyjezdnego, już nas oczyma pożerali i krzyżąc zabiegali nam drogę, zawracali każdy do siebie. Nie znam na świecie uprzykrzeńszych żydów nad łuckich, oblegają oni, wrzeszczą, napadają, gwałtem każą kupować, jak gdyby już na jutro kawałka chleba nie mieli.

Dwadzieścia trzy indywidua brodate, wpadło za nami do izby gościnnej, gdyśmy tylko wysiedli, zachwalając, podnosząc wszelkiego rodzaju towary. Na końcu przyszedł nawet księgarz z całym skarbem druków Mańesa, Zymela, berdyczewskich i mińskich drukarni, rozkładając wszystko dobroliwie na stoliku. Niestety! w jego brudnym ręku, znalazłem i

moje młodzieńcze bazgraniny; a mimo popularności, jaką mi to zdawało się zapowiadać, trochem się tém zmartwił: nie dziw, znajdowałem się między kucharzem Szyttlera a kalendarzami Zymela! trudno było sobie pozwolić na podobnego towarzystwa, gdy się przywykło w lepszym bywać.

Poszliśmy pod Zamek, był on mocny niegdyś i wytrwał nie jedno uparte oblężenie. Do koła oblany wodą Styru i Głuszcą, stoi na górze wysokiej, którą woda podmywa, a na wiosnę rozlewając, otacza go szerokiemi wylewami i niedostępnym czyni. Widok z góry zamkowej cudny. Zastanowił mnie dobrze dochowany mur okolny, kilka stojących jeszcze baszt, wieża, wszystko to niepożyte zębem czasu, choć się nikt o zachowanie pamiątki tej nie stara. Oglądałem ciekawie, kunsztownie wyrobione framugi, strzelnice, blanki, jeszcze całe — wzywały one ołówka, napięrały się rysunku — ale tak było zimno! tak zimno! że zapal artystyczny, musiał zwierzęcemu uczuciu chłodu ustąpić — na ten raz. Z charakteru budowy, wnosząc, że terazniejszy, jak go widzimy, zamek, nie jest starszy nad wiek XVI, ale w tym czasie, musiał być tylko ze starych murów przerobiony, poprawiony. Ogromna jeszcze masa cegieł stoi i zdaje się obiecywać, że trwać bę-

dzie bardzo długo, jeśli jej wola człowieka, gwałtownego końca nie zada.

Jedną z wież zamku służyła ostatniemi czasami za wieżę sądową, w której wysiadywano fundum. W środku murów, mieszczą się teraz w przybudowanych domach, niektóre jurydykce. Widziałem wiele zameczysk, ale żaden nie zdał mi się tak poważny, tak piękny, tak wiele przemawiający, jak ten — może to imię Witolda uroku mu dodaje. Zdało mi się patrząc w dziedzińce, żem widział jeszcze cesarza Zygmunta, pogładającego złośliwie na Zbigniewa z Oleśnicy; — a Witolda, dającego rozkazy wiernemu Małdrzykowi z Kobiela, lub uzbrojonemu w kałamarz i zwitek pergaminu Cebulce. — Zdało mi się, żem widział Jagiellę otoczonego panami polskimi, zamyszonego, nie pewnego co począć, dziś grzecznie rozmawiającego z cesarzem Zygmuntem, nazajutrz umykającego z Łucka bez pożegnania, bo tak chciał Oleśnicki — zdało mi się — o! wiele mi się rzeczy zdawało, póki i tu natrętny żyd z przenośnym kramikiem, targając mnie za suknię, ze snu nie przebudził.

Coż to za wyższość człowieka nad otaczającymi go zwierzęty, on ma przeszłość!! Gdyby to jedno tylko miał więcej nad nich, jużby miał za co dziękować Stwórcy — a jednak, jakże to mało kto ocenia! Wróćmy do zamku.

Wszystkie znane mi gruzy zamków litewskich w Nowogródku, w Trokach na jeziorze, w Lidzie Alexandrowski, zachowały ledwie szczęty murów, ledwie ślady dawnej swojej postaci. W Lidzie nie prócz okólnego muru, jednego bastjonu i rysów zatartych dawnych ozdób na gzymsach. W Trokach zastanawiają tylko wypłowiałe resztki malowideł, które podobno zdejmował P. Smokowski doktor Medycyny. Wołyńskie zamki są dotąd najcenniejsze, bo najdłużej były potrzebne. Ostrogski, Dubieński, Czartoryjski, Łucki, Olycki w Koniuclach i t. d. świadczą i liczbą swoją i zachowaniem, jak ten kraj długo opierał się najazdom i wojny długie przecierpiał. Łucki i Olycki, dotąd najlepsze mogą dać wyobrażenie dawnego obronnego zameczyska. Widok Łuckiego, z mostu nie daleko kościoła Bazyljanów, jest najpiękniejszy; z tej samej strony rysował go w swjej podróży do Turcji Raczyński.

Próżno szukałem na murach owych Ichtyolitów z wyciskiem rybek i robaczków wodnych, o których nasz Rzączyński, a za nim Duńczewski wspomina. 1)

Dzisiejszy Łuck ledwie jest resztką i pa-

1) Rzączyński *Auct. H. IV.* 6. 81. *Kalendarze Duńczewskiego.*

miątką dawnego — życie go opuściło. Tyle wojen, oblężeń, najazdów, tylu sławnych ludzi przeszło tędy, a prócz zamku nie już o tém nie świadczy. Mieszkańcy jego żyją jak owi Grecy, którzy w ruinach świątyń, pobudowali sobie budy i szalasze, nie wiedząc nic o popiołach na których usiedli. Powieść tylko o sławnym zjeździe 1429 roku, błędzi jeszcze w ustach ludu. Utrzymują także, iż dawna obszerność Łucka, była bardzo wielka i obejmowała w sobie dziś oddalone wioski, jako Kniachininek, gdzie kanał dotąd nosi imię Witolda, Żydyczyn, Dworzec, Kiwirce, Zaboroń i t. d. Na polach dotąd wyorywa wieśniak resztki murów, i sieje na nich i nierozumie tej cegły, która się do niego głosem kilkuset lat odzywa! W Kiwirce, wsi blizkiej Łucka, a należącej do PP. Szemiotów, śladu nie dopytałem tych bogactw kopalnych i rozmaitości, o jakich pisał Rzączyński, 1) który zapewnia, że wydobywana tu ziemia, rzucona na węgle, miała zapach bursztynu, że kopano tu 2) glinę garncarską poprzeryzaną żyłami zapaszystej ziemiowej. Tu także według niego, wydobywano inną ziemię, mającą zapach siarki, która zmie-

1) *Hist. natur. curiosa* 13.

2) *Auctuar.* 18.

szana z pospolitą gliną garncarską, sprawiała że się garnki w wypalaniu nie dziurawiły. Niżej jeszcze powiada, iż w tych kopalniach, płynęło coś nakształt dziegciu.

Mieszkają dziś w Łucku chrześcijanie, Żydzi i karaimi (na jednej od nich zowiącej się ulicy). Ci ostatni szczycą się nie bez przyczyny; iż w ciągu kilku wieków, żaden ich wiary człowiek przed sąd o zbrodnią powołany nie był.

Łuck ma swoje przysłowie, które go maluje w czasach upadku, bo w nich i powstać ono musiało.

W tom Łucku;
Wse ne po ludźku,
Na okoł woda,
A w seredyni bida!

Katedralny kościół, odnowiony przez Biskupa Cieciszowskiego, (tego, jak go zowie napis na pamiątkę położony, Franciszka Salezjusza wskrzeszonego) wewnątrz w smaku odrodzenia; nie jest bez pewnego wdzięku, to dowodzi, że nie ma stylu, któregoby umiejętnie użycie, nie doprowadziło do względnej przynajmniej jakiejś piękności.

Inne kościoły w tym stylu zbudowane, są prawie poczarne, ten wcale wewnątrz piękny i poważny. Oprócz katedralnego, są tu kościoły xięży Dominikanów, Trynitarzy, Ber-

nardynów, pusty Bazyliński, Brygitski i Siostry Miłosierdzia. Dawne archiwa, złożone są w zamku, mają one być bardzo ciekawe i dalekich sięgać czasów, ale dotąd nikt jeszcze nie z nich nie wydobył.

Biskupstwo Luckie, za Kazimierza wielkiego fundowane w r. 1364 zostało, lecz w istocie fundacja doprowadzona do skutku, dopiero w roku 1375 1) za Grzegorza XI Papieża, a Ludwika Króla. Właściwie było to Biskupstwo wołyńskie, bo jego stolicą nie był Łuck, a i Wołyń sam przechodził jeszcze z rąk do rąk.

Diecezja ogromna, obejmowała dawniej, pięć województw, wołyńskie, podlaskie, brasławskie, w Litwie brzeskie i wielką część Rusi. Dwanaście Xięstw lub hrabstw zamykała w sobie, jako: ostrołskie, zasławskie, zbarawskie, wiśniowieckie, dąbrowieckie, koreckie, klewańskie, lubartowskie, ołyckie, poryckie, koszyrskie, kodońskie — zgoła kraj w obwodzie osmiudziestą mil polskich. Dwie było Infulacje w Olyce i Kodniu, dwóch officialów lucki i brzeski, dekanatów trzynaście, a Kościołów liczył Niesiecki 185. Z początku stolicą Biskupstwa był Włodzimierz, i katedra, imie włodziemskiej nosiła, lecz po fundacji Koś-

1) Niesiecki I. 45. Sapieha. Monum. Codnen.

ściół S. Trójcy w Lucku, tu się przeniosła.

Pierwszym biskupem był Izydor, od Ludwika Króla postanowiony, ten się jeszcze tytułował włodziemskim, od r. 1375. do 1380 w którym umarł 1) nazwisko jego świeckie nie doszło do nas. Drugim był Rugian, który zmarł w r. 1400, trzecim, Grzegorz zakonu kaznodziejskiego, którego Długosz pod rokiem 1409 wspomina. Siedział na biskupstwie jak się zdaje do r. 1425. Czwarty Jędrzej z Spławki, czy Spławski Herbu Leliwa. Za niego dopiero przeniósł Witold stolicę biskupstwa do Lucka. Pisano po łacinie *Episcopatus Lucensis* aż do Soboru florenckiego, na którym postanowiono nazywać *Episcopatus Luceoriensis*, dla rozróżnienia od biskupstwa luceńskiego we Włoszech 2) Jednakże cytuje Niesiecki jeszcze w r. 1436 biskupa włodziemskiego, który się podpisał na traktacie brzeskim. Jędrzej, czwarty biskup, przyjmował dostojnych gości w r. 1429 i tenże w r. 1431, w oblężeniu Lucka, opanowany przez Swidrygiellę, do Króla nazad jako wierny poddany wrócił, w drodze odart z szat, koni i sprzętów, lecz przez Jana z Olśnicy marszałka koron. przyjęty mile i natychmiast we wszystko opatrzony.

1). Miechow. i 4. f. 262 Narusz. Sapieha.

(2). Sapieha,

Po nim następowali:

Wacław herbu Korczak, zmarły 1436.

Jan Łosowicz Herbu Rozmiar, Wileńczyk, od Piusa II. potwierdzony, wzięty potem na biskupstwo wileńskie; Marcin Krzeszowicki herbu Gryff potwierdzony w r. 1468. Stanisław Śtawski, herbu Korczak, zmarły w r. 1488. Jan II. Pudółko około 1499; Albrecht Radziwiłł jałmużnik, wzięty na wileńskie, Paweł Algiwund Xże olszański, także potem biskup wileński, który zapisał biskupom łuckim, dobra swoje dziedziczne Janów. — Jerzy Falczewski czy Chwalczewski, którego nagrobek w łuckiej Katedrze, anade drzwiami dawniej był herb jego trzy trąby. On to kościół katedralny z ciosowego kamienia wystawił, dla siebie i Mansionarjuszów pobudował wygodne mieszkania i zamek założył w Torczynie — umarł około r. 1547.

Po nim nastąpił Walerjan Protasowicz herbu Drzewica, pisarz Królowej Bony, później biskup wileński, założyciel Collegium Akademickiego w Wilnie i gorliwy o wiarę, pastérz.

Jan III Andruszewicz, ze sławnej niegdyś w Litwie familji, przeszedł z kijewskiego na łuckie biskupstwo. Naukami i nieskazitelną obyczajów znakomity, umarł 1579.

Insi byli Wiktoryn Wierzbicki herbu Radwan, Bernard Maciejowski, sławny że go Litwa na biskupstwo wileńskie przyjąć nie chcia-

ła. Ten katedralny kościół opustoszały znacznie, przyozdobił, okna i dach nowy zbudował swoim kosztem. Wikarjat i Kantorje fundował. W czasie moru i głodu w Łucku gorliwy, dozorców wyznaczył, którzy ubogim lekarstwa i pożywienia dostarczali. Raz nawet gdy mu na dobroczynne zasilki dla biednych pieniędzy nie stało, przynaglony prośbą o jałmużnę na pogrzeb ubogiej niewiasty, część łańcucha złotego zszył, orderwał i oddał. Do chorych sam jeździł i chodził jak prosty kapłan, ciesząc się, gdy mu się to zdarzyło. 1)

Stanisław Gomoliński herbu Jelita, zmarły w r. 1604, fundator Dominikanów w Janowie i Bernardynów w Sokoli. — Marcin II. Szysikowski, herbu Ostoja, na płockie biskupstwo postąpił w r. 1607. Paweł II Wołłowicz, herbu Bogorja, rok tylko rządził. Paweł III. Wołucki herbu Rawicz, potem od r. 1616 biskup kujawski. On w Łucku założył Collegium Jezuitów i do Brześcia ich wprowadził. Dwudziestym pierwszym, był Henryk Firléj, herbu Lewart, podkanclerzy koronny, potem biskup płocki w r. 1617. — Dwudziesty drugi Jędrzej II. Lipski herbu Grabie, kanclerz koronny postąpił na kujawskie. On założył suffraganat i Mansionarza jednego przy katedrze łuckiej dodał,

1) *Niesiecki III. 203.*

umarł r. 1631. — XXIII. Stanisław III. Łubieński, herbu Pomian, podkanclerz koronny postąpił na bisk. plockie 1627 r. — XXIV. Achacy Grochowski herbu Junosza, proboszcz miechowski, umarł w r. 1632 pochowany w Przemyśle. Głowę ś. Stanisława Kostki z Rzymu przywiózł. — XXV. Bogusław Radoszewski herbu Oksza um. 1638 w Janowie. — XXVI. Jędrzej Gębicki, Nałęcz, opat trzemeszański, um. 1654 — XXVII. Jan IV Zamojski herbu Jelita, zakonnik kaznodziejskiego um. w r. 1655 pochowany w Zamościu. — XXVIII. Jan V. Wydźga Jastrzębiec, podkanclerzy koronny, opat sieciechowski, postąpił na warmińskie biskupstwo w r. 1659 — XXIX. Mikołaj Prażmowski, herbu Belina, kanclerz koronny, postąpił na gnieźnieńskie w r. 1666. — XXX. Tomasz Lezeński Nałęcz, opat wąchocki, umarł r. 1675. — XXXI. Stanisław IV Dąbski Godziemba, potem biskup plocki umarł r. 1680. — XXXII. Stanisław V. Witwicki, Sas, biskup potem poznański w r. 1688 XXXIII. Bogusław Leszczyński Wieniawa opat czerwński um. 1691. — XXXIV Franciszek Prażmowski Belina, opat sieciechowski, umarł r. 1701. — XXXV. Alexander Wyhowski Abdank, opat święto-krzyżki umarł 1714. — XXXVI. Joachim Prebendowski zmarły 1721. — XXXVII. Stefan Rupniewski Wieniawa, zmarły 1731. — XXXVIII. Jędrzej Załuski Junosza od r. 1736,

postąpił potem na chełmińskie w r. 1739 i t. d.

Biskupi łuccy byli Senatorami, i zasiadali na przemian z warmińskimi, pisali się łuckimi i brzeskimi. Sapieha pisząc o Diecezji, liczy w niej nie 185, ale przeszło 200 kościołów.

Kapituła łucka składała się z proboszczów, prałatów łuckiego i brzeskiego, Dziekana, Archidjakonów łuckiego i brzeskiego, Kantora, Kustosza, Scholastyka, Kanclerza i sześciu Kanoników, wszystkich szlachty, na co dowody składali przy instalacji. Jeden z nich obierany bywał na Trybunał koronny. Kapituła odbywała posiedzenia, dwa razy na rok, na Ś. Trójcę i na Wszystkich Świętych. Herb jej Ś. Trójca, Matkę Boską koronującą. Niesiecki podaje tylko Ś. Trójcę tak; jak ją widział wyrzezaną na Ratuszu lubelskim. Herbem miasta był Święty Mikołaj 1). Diecezja łucka miała trzy Seminarja, jedno z nich założone przez Alexandra Wyhowskiego, Biskupa łuckiego.

W czasie Synodu, za biskupstwa Stefana Rupniewskiego, wiele zaszło w zarządzie ulepszeń.

Kościół Ś. Trójcy, założony na Zamku 2) o-

1) Sapieha. *Monum. Codnen.*

2) Starowolski. *Polon. Dant.* 1652, 139. Ep. Luceerien. qui Cathedram suam cum Capitulo in arce urbis habet, ibidemque Societ. Jesu Clericorum Collegium

koło 1425 r. gdy i stolicę biskupstwa tu przeniesiono. W r. 1539 biskup Chwalczewski zmurował go z ciosowego kamienia, i wygodne dodał pomieszkania dla Mansionarzy.

Później Bernard Maciejowski opustoszałą katedrę podniósł i ozdobił. W r. 1630 X. Achacy Grochowski, dwudziesty czwarty biskup łucki, głowę Ś. Recessa Męczennika rycerza z Rzymu przywiózł, a miasto obrało go sobie za nowego Patrona, zamiast dawnego Ś. Mikołaja. Spalił się kościół katedralny w r. 1724 dnia 14 Czerwca. Po tym pożarze, Stefan Rupniewski biskup, dwakroć sto tysięcy wyłożył na nową budowę, którą kosztownie blachą pokrył. Z drugiego pożaru r. 1793, w całości uchowano relikwije i przeniesiono do dzisiejszej katedry, kościoła dawniej Jezuitów, do którego przez pożar także zniszczonego i odnowionego przez X. Pawła Turskiego, przeniesli się Xieża katedralni, po kassacie Jezuitów. Na miejscu dawniej Katedry w Zamku, stoją dziś podobno Szkoły powiatowe.

Synodu łuckiego akta w r. 1726, 1) liczą w kościele katedralnym, jako szczególności —

pro] studiosis. In Urbe autem ipsa Eppus Ruthenorum etc.

1) *Synodus 1726. Cap. VII.*

Obraz N. Panny w roku 1724, w ogniu cało zachowany, relikwje SS. Wiktora, Wiktoryna, Wiktorji i Gaudencji Panien, S. Recessa Patrona województwa wołyńskiego i S. Jana Kantego. Inne kościoły tamże wymienione są 1) S. Jakuba, parafialny OO. Dominikanów, gdzie były dawne groby Xiążąt Swientopelków, Czwertyńskich, Bernardynów, fundacji Stanisława Liniewskiego łowczego kijewskiego w r. 1643, na przedmieściu Wulce, Bonifratrów (Ordinis S. Joannis de Deo), Trynitarzy na przedmieściu, którym pewien fundusz nadali XX. Radziwillowie, ciążący dziś jeszcze na dobrach, w obcym już zostających ręk. Brygitek, dokąd z Krzemieńca do Franciszkanów przeniesione ciało S. Anny Omiecińskiej, za staraniem X. Kanonika Omiecińskiego 2); Kollegium Societatis Jesu, założone przez biskupa łuckiego Pawła III. Wołuckiego Rawicza, około 1610 r. Temuż Kollegium Xże Iwan na Klewaniu Czartoryjski dwór swój i plac ustąpił, hojną dodając jałmużnę 3); pierwszy to był Katolik z tej familij. Syn jego Mikołaj, oddał także, ja-

1) *Constitutiones Synodales Diaecesis Luceoriensis et Brestensis ab Ill. Excell. et Rnd. D. Stephano Boguslaw Rupniewski etc. an. 1726 fol.*

2) Czytaj o niej Jaroszewicza, *Matkę Świętych.*

3) *Niesiecki. I. 370.*

koby wcale się o nie, nie dopraszającym Jezuitom, grunta swoje na przedmieściu Łucka 1) Starowolski opisując Łuck 2), pisze o Katedrze ruskiej *in urbe*. Zkąd inąd bardzo mało wiemy o łuckich i włodzimierskich Władkach 3). Nosili tytuł Exarchów łuckich i ostrogskich. Sławny ów robotnik Unii brzeskiej Cyryll Terlecki, wiemy że był biskupem łuckim; Hippacjusz Pocięj także ten tytuł nosił.

Po Cyryllim znowu prawosławni wrócili, jako, Jeremjasz Poczapowski, Kotwica, zmarły r. 1640, Atanazy Puzyna, herbu Brama, około 1644 do 1671. Gedeon Xże Czetwertyński 1681. Gedeon II. Żabokrzycki 1704 r. Józef Wyhowski Abdank, 1720. Ten Unji na Synodzie zamojskim gorliwie sprzyjał; nakoniec Theodozy Rudnicki i t. d. 4).

Miał Łuck i drukarnie na początku XVII. wieku jedną (przy klasztorze Ś. Krzyża, drugą potem Dominikańską, około r. 1790, jak Bandtkie dowodzi, pracującą, lecz z obu nic godnego wspomnienia nie wyszło.

Rzeczyński, który wymienił okolic Łucka osobliwości, ziemie wykopywane pod Kiwircami, Phtyolithy znajdowane w murach zam-

1) *Niesiecki tamże.*

3) *Niesiecki. I. 92.*

2) *Loco sup. cit.*

4) *Niesiecki. IV. 770.*

kowych, pisze także o jakiejś kobiecie tutejszej, która modląc się często przed ukrzyżowaną figurą Chrystusa, porodziła potem dziecko, ze znakami, jakie się na tej postaci, w którą się wpatrywała, znajdowały. W lasach pod Łuckiem wspomina gałąź sosnową, naśladującą zupełnie kształt ręki ludzkiej 1).

Oto są niektóre wypadki historyczne, odnoszące się do dziejów Łucka.

Pierwszy zakład miasta, a raczej siedziby, osady, odnoszą niektórzy za daleko, bo do r. 698, w którym horda Jaćwieży i Drewlan, pod wodzem swym Dulebą czyli Łuką, tu się usadowiła naprzód na wyspie między Styrem i Głuszcem, szalasy swe zarzucając.

W r. 986, Łuczanie razem z Drohowiczany i Krzywiczany, służą Igorowi Swiatosławowiczowi. Czyli to są już Łucka i okolice jego mieszkańcy, Drewlanie, przezwani Łuczany od miejsca pobytu, nie wiem 2).

W r. 1004 Bolesław idący na Ruś, spotyka się u Łucka ponad Styrem z Xięciem Jarosławem i jego wojskami z Pieczyngów i Waragów złożonemi. Z jednej strony rzeki stoi Ruś, z drugiej Polacy. Hetman Xcia Jarosława Błud nie-

1) *Rzecz. Auct. 466.*

2) *Naruszewicz. 2. 89.*

jaki, począł łajać Bolesławowi i uragać się z niego a do walki wyzywać. Król rozjątrzony tém, przeprawił się przez Styr, i w boju poraził Rusinów, sam Xiążę Jarosław uciekł na błota. Nie piszą kronikarze, czyli był jaki zamek w Łucku i czyli go dobywano 1).

W r. 1073 ziemia łucka wchodziła w skład Xięztwa włodzimierskiego, z chełmską i całym Wołyniem, którego imię od zamku Wolina (później Gródka) Naruszewicz wywodzi, a Chwalczewski wspomina, że tém imieniem sam się wprzód Łuck nazywał. Panował tu Igor xiążę. Bolesław w drodze do Kijewa, dobywając zameczysk wołyńskich, przyciągnął pod Łuck. Zamki owego czasu z gliny tylko i drzewa lepiące, nie wielki opór stawiać mogły, lecz Łuck położeniem swém i silną załogą, nie łatwy był do wzięcia. Sześć aż miesięcy trwało bezskutecznie oblężenie Bolesława, a kilkakrotnie szturmy jego odparto. Spieszno było Królowi pod Kijew, lecz nie chciał za sobą zostawiać zamków nie dobytých, aby tém nie zdał się okazywać swojej słabości. Próżno sześć miesięcy wyglądali Łuczanie pomocy od Wsewoloda, który przestraszony liczbą wojsk Bolesławowych, cofnął się z Wołynia. Nakoniec przekupieni mieszkańcy złotem, a obietnicą

1) Bielski.

swobodnego wyjścia z Zamku z majątnością wszelką i udania się gdzie zechcą, poddali Królowi nie dobytą Łuck. Znajdował się podówczas tutaj sam Igor xiążę włodzimierski; ten naprzód do Króla posłów wyprawił, potem sam osobiście do niego przyszedłszy, poddaństwo ofiarował, zakładników stawił, i pokój sobie uprosił 1).

W r. 1083 napad na Łuck, Litwy i Jaćwierzów.

W r. 1085 Jaropelk Izasławowicz wydzieńczony z Xstwa kijewskiego przez Wsewoloda, tu osadza żonę i dzieci, polecając im, aby się póty bronili i utrzymywali w zamku łuckim póki by on z posiłkami polskimi na odsiecz im nie przyszedł, po które udał się do króla Władysława.

Podstąpił pod miasto Włodzimierz, syn Wsewoloda, bez trudu, bez wielkiego oporu, opłonił zamek, a żonę i dzieci Jaropelka odsławszy do Kijewa, na xięztwie włodzimierskiem osadził Dawida Igorowicza. Tym czasem Władysław posłał wojska, które znowu Łuck obległy. Znać zamek naówczas nie dozwalał myśleć o obronie, gdy i Włodzimierz nie zamierzając się opierać, ofiarował ugodę.

1) Długosz, Kromer.

Ustąpił on, oddając Łuck z księstwem, Jaropełkowi, a sam powrócił do ojca.

W r. 1097 w Łucku Starostą Swatosz, od którego wśród rozterek między książętami ruskimi, Dawid książę, Łuck odbiera bez trudności.

W r. 1152 Izasław książę, pobity pod Perejasławiem przez książąt kijewskich, uchodzi samowtór przez Kaniów do Kijewa, a tu zabrawszy żonę, dzieci i skarby, schrania się do Łucka. Szuka on pomocy u Bolesława i Henryka książąt polskich i u Gejzy Króla węgierskiego, prosząc u nich posilków. Nadesłano je, lecz radzono mu raczej zgodę, niż bitwę niepewną. Całą zimę Polacy i Niemcy leżeli pod Łuckiem, i odeszli wreszcie, a Izasław z Łucka przeniósł się do Włodzimierza, tamtemu zamkowi pewnie więcej ufając.

W r. 1262 Swarno książę łucki i drohicki, siostrzeniec Danjela, okrutny i dziki, czynną gra rolę w zaburzeniach na Litwie i Rusi.

W r. 1321 panuje tu Książę Leon, a na Włodzimierzu Włodzimierz. Ci z Xięciem kijewskim napadają dzielnicę gedeminową, lecz Gedemin oddaje im napad sownicie. Najeżdża Włodzimierz naprzód, gdzie Książę Włodzimierz ginie, potem Łuck, z którego już Książę Leon uciekł był do Brańska siewierskiego, do zięcia Romana. Załoga zastraszoną, czern i bojary poddają się i przysięgę składają Gedeminowi.

Ten swojego tu, jak i po innych zabranych zamkach osadza Starostę 1).

W r. 1325 Lubart dostaje Łuck i zakłada nowe murowane zamki, górny i dolny, (gdzie dziś klasztor PP, Brygitek).

W r. 1366 wyprawa Kazimierza W. na Wołyń, przeciw Lubartowi, kilka razy już sprzeniewierzonemu. Kraj zniszczony cały, Łuck, Włodzimierz i Olesko wzięte, ziemia chełmska zabrana. Lecz znowu Lubart otrzymuje prawem lennem ziemię łucką, z należąciami do niej Stożkiem, Daniłowem, Zakanieniem, Szemskiem, Ostrogiem, Połonnem, Międzybożem.

Można miarkować oznaczenia Łucka i jego wielkości w tych czasach, gdy już jeograf rucki u Schlözera zowie go: *Łuczesk welikij na Styre*.

Mówmy teraz o najslawniejszym w dziejach Łucka wypadku, o owym zjeździe 1429 roku; a naprzód o Witoldzie, którego imienia śladów, tutaj jeszcze kilkaset lat zatrzyć nie potrafiło.

Człowiek, który siłą swą woli utrzymał się na chwiejącym i ze wszech stron podkopywanym tronie, który kilkadziesiąt lat nie dał się pożyć, ani wypadkom, ani ludziom, ani zdradzie, ani rozpacz, towarzysze zwykłej kilka-

1) Kojalowicz.

krotnych niepowodzeń, który potrafił imię swe sławnem uczynić u cesarzów rzymskich i w hordach tatarskich, którego państwo w najburzliwszych czasach rozciągało się od białego (Bałtyku) do czarnego morza — człowiek taki, nie musiał być pospolitym człowiekiem. Miał on niezgiętą wolą kierującą orężem, potężną rękę, posłuszną myśl i woli, i wielkie szczęście, które był winien zaufaniu w sobie, nieczem nie zrażonemu. Spójrzmy w jego życie. Witold rodzi się w połowie XIV. wieku, tak stanowczego dla Litwy. Jego urodzenie już ma coś w sobie dziwnego, przypominającego mimowolnie powieści o greckich bohaterach. Kiejstut ojciec jego, wykrađa Birutę od ołtarza Praurimy w Połędzie, z Biruty rodzi się Witold Kapłanka, która powinna była zostać całe życie przy ogniu świętym, jest mu matką. Małżeństwo więc z którego się rodzi bohater, nie jest ułożonym dla interessu związkiem, ale namiętnem, świętokradzkim nawet ze zbytku miłości, połączeniem. Ze wszystkich dzieci Kiejstuta, Witold był mu najulubieńszy, może jako od młodu najwięcej na przyszłość obiecujący. —

Jego wychowanie jakież być mogło wówczas, kiedy całą potrzebą równie poddanego jak panna, było męztwo i siła ciała a odwaga duszy? Nawyknienie do wszystkiego, obeznanie się ze wszystkiem, nabranie męztwa, taki musiał być

cel wychowania owych wieków, w których silny a odważny Xiąże, powinien był się dobijać krajów, któremi by rządził, i nieustannie ich bronił. Wychowanie Witolda musiało być wychowaniem żołnierza: łowy, strzelanie z łuku, nauka użycia oręża, dzwiganie zbroi, wprawa do boju, zapasy z końmi dzikimi, oto co wówczas stanowiło przygotowanie do życia. Wszystkie siły ciała, które dziś wychowanie nasze unikczemnia, zabija, niszczy; wówczas rozwijały się jak dzielny kwiat na dziewiczej ziemi, ich wzrost, ich wartość, stanowiły o wartości człowieka. Niedoleżny na ciele, walał się i ginął nieznany bez znaczenia. Dziś, trudno nam nawet tamtych czasów ludzi wyobrazić sobie, a tém bardziej trybu ich wychowania i życia, tak dalece różnego od naszego. W kraju takim jak Litwa, podzielonym na drobne Xieztwa, wystawionym na zatargi współ zawodników wewnątrz, najazdy nieprzyjaznych sąsiadów, już wówczas znających dobrze sztukę korzystania z niezgody domowej, w kraju takim panujący i poddany różnili się suknią i życia domowego trybem, lecz jednaki los ich zbliżał, oba walczyli, oba czuwać całe życie musieli. A iluż to xiaząt bez xieztw kończyło życie pod toporem jak prosta czerń. Ten kto się rodził przy chwiejącym tronie, musiał waleczyć aby się na nim utrzymać i nie spaść. Panujący, w obliczu podda-

nych panował z prawa przyrodzonego; lecz w oczach sąsiadów i braci chciwych, tylko prawem oręża i siły. Jak tylko był słaby, nie utrzymał się.

Życie Xiążąt było toż samo prawie, co i prostych ludzi, z tą różnicą, że ostatni mogli się zawsze podnieść, jak Wojdyłło z prostego parobka, a xiążęta mogli skończyć jak Korygiełło. Wówczas to może, więcej niż kiedykolwiek, potrzeba było wielkich zdolności, żeby być wielkim, bo nikt się nim nie rodził. Religja tamtego czasu, dodawała jeszcze mocy charakterowi nieugiętemu, jakiego okoliczności po ludziach wymagały, religja uświęcająca zemstę jak powinność i cnotę, dozwalająca zbrodni i mordów pod pozorem odwetu, korzyści, religja w której nie było wyrazu — *przebaczam*, której symbolem był Bóg z piorunem w ręku, i gniewem na czole.

Dwudziestoletni Witold już wystąpił do boju i zaczął życie; a rzuciwszy się z trockiego zamku na szeroki świat Litwy i Rusi, z szablą w ręku i łukiem na plecach, już potem więcej nie spoczął. Od bitwy pod Moskwą, podobno zaczęły się jego rycerskie próby, jeśli nie wcześniej jeszcze. Tegoż roku pod Rudawą, znajdował się znowu na bitwie z Winrychem Mistrzem pruskim, gdzie Litwini przegrali, ale i zakon poniósł znaczne straty. Potem z Olger-

dem leciał do Perejasławia, i już sił nabrawszy, i śmiałości, sam jeden wtargnął potem do Pruss pod Insterburg i Tajnów. Charakter ówczesnej wojny, podobny był pojedynczych ludzi zapasom, drobne oddziały wpadały, rabowały, paliły, potykały się rzadko i uciekały przez lasy. Witold miał z sobą tylko pięciuset ludzi, kiedy gonił Godfreda von Linden od oblężenia Wilna.

Śmierć Olgerda, Kiejstutowego brata, zmieniła postać rzeczy, i dała nowe pole Witoldowi, do pokazania, czém miał być na przyszłość.

Rzadko w krwawych początkowych dziejach Litwy, wśród ciągłego następstwa bojów, zdrad i rzezi, napotkać tak czyste uczucie, jakie się objawia w braterskiej przyjaźni Olgerda i Kiejstuta. Jednakże i ta przyjaźń nosi cechę swego wieku. Kiejstut z przyjaźni ku bratu, drugiego brata Jawnuta wyzuwa z dzielnicy i naczelnictwa nad Litwą, łamie ojcowskie rozporządzenia, odsuwa go i rzuca mu jakiś łachman kraju wydartego, małe księztweczko zaslawskie; aby Wilno oddać Olgerdowi. Znać Jawnut nie wart był więcej, bo raz tylko spróbował, czy mu pomoc sąsiadów nie wróci odebranej dzielnicy, siadł potem spokojnie. Gdy tak Kiejstut brata ulubionego osadził w Wilnie i zawarł z nim braterskie przymierze; nadal, co dziwna, zostają w zgodzie, pomagają

ją sobie wzajemnie, i niezachwiana przyjaźń trwa do śmierci Olgerda.

Jagiello obejmuje po ojcu Wilno, Kiejstut patrzy i milczy: jeszcze to synukochanego brata. Tu, podstępny dorobnik, Wojdyłło ukazuje się między stryjem a synowcem, Wojdyłło codziennie więcej mający przewagi nad słabym Jagiellą, lękający się jego krewnych, pragnący swego wywyższenia, usiłujący powaśnić Jagiellę z rodziną, aby tanie mogła nie przeciw niemu uczynić. Żeniąc się z siostrą Jagielly, Wojdyłło, obejmuje Lidę, daną mu w dzierżawę, ogląda się czyli temu nie zaprzeczy Kiejstut, boi się i wczesnie zmawia przeciw niemu i sieje niezgodę, tajemne przymierze z Krzyżakami jest skutkiem kłowa Wojdyłły, tajemne — a jednak Kiejstut dowiaduje się o niem przez dziwną dobroduszość w Krzyżaku komturze osterodskim. Jednakże znając już zamachy czynione, Kiejstut milczy, waha się, nie wierzy doniesieniom, Jagiello jeszcze jest mu synemukochanego brata, chociaż podejrzenie zdrady ciąży na nim. Witold, którego wszyscy kronikarze, wystawiają serdecznym przyjacielem Jagielly, broni go przed ojcem, ręczy za niego.

Ale nie długo kryją się Jagielly zamiary, o wyprawę na Xięstwo Połockie, rozbija się tajemnica przymierza z Krzyżakami. Jagiello idzie na Połock, wiodąc Skirgiellę, przeciw dru-

giemu przyrodniemu bratu, idzie z posiłkami Krzyżaków, odkrywa się tym sposobem jego przymierze z nieprzyjaznym zakonem; nie czekając więc aż Jagiello uderzy na nich, Kiejstut i Witold biegną na Wilno. Starzec zdradą dobywa je, i więzi Jagiellę, a po syna posyła, aby mu znalezionemi na zamku traktaty dowieść, że ten przyjaciel którego bronił, winien był zdrady przeciw niemu. Piszą, że w tym ciężkim razie, Witoldowi winien był Jagiello uwolnienie swoje, które później tak brzydko odplacił. Wówczas jeszcze między Witoldem a Jagiellą, mogła trwać miłość braterska, bliżej byli lat dziecinnych, a daleko od domysłania się przyszłości.

Witold już jako przyszły Pan Litwy, zostaje w Wilnie, Kiejstut ciągnie przeciw Korybutowi bratu Jagielly, chcąc go do posłuszeństwa sobie orężem nakłonić. Tym czasem zostawiony przy małym wydziale Jagiello, korzysta z jego oddalenia się i odbiera Wilno, ściga Witolda który do Trok uciekł, bierze Troki. Witold z matką Birutą, do Grodna się przenoszą, a smutne wieści o zdradzie posyłają Kiejstutowi. Krzyżacy łączą się z Jagiellą, nie dość tych, Xiążęta Mazowieckie także korzystają z pory, z których jeden Janusz zięć Kiejstuta, mąż Danuty, pustoszy Podlasie. Przez dziwny tylko wzgląd na matkę żony, Biruty, szanuje Brześć,

do którego się schroniła, nie szanując teściowej dzielnicy i pomagając jego wrogom. Wojna ze wszystkich stron, otwarte pole dla Witolda.

Jagiello zamyka się w Trokach. Kiejstut i Witold spieszą go oblegać, z obu stron ściągają się wojska, z Kiejstutem Żmudzini i Litwa, Ruś i Krzyżacy z Jagiellą. Zdaje się że sprawę, oręż rozstrzygnie i siła.

Stają wojska przeciw sobie na staj kilkoro, czekają tylko, aż się ozwą rogi i Litawry.

Lecz patrzcie! — oto pędzi goniec od Jagielly do Witolda, i wzywa go do pośrednictwa między nim a ojcem, w imię dawniej przyjaźni, dziecięcej przyjaźni. Czemuż jednak prosi zgody Jagiello? wszak wszystko rokuje mu wygraną, Krzyżacy z nim, z nim Ruś, a jednak pierwszy zrobił krok do zgody? Witold na wezwanie waha się co począć. Skirgiello ręczy za brata, i oto już nasz bohater, jest w nieprzyjacielskim obozie. Tu mądrze osnuto zdradę, w mózgach Krzyżackich wyległa. Próżno Witold podaje punkta zgody, wszystko się opiera na słowach Kiejstuta, Kiejstuta jeszcze do zawarcia zgody potrzeba. Skirgiello skoczył do obozu Kiejstuta, aby go wezwać, ręczy za brata, przysięga i prowadzi stryja do obozu Jagielly, w ręce nieprzyjaciela, tym czasem puszczają wieść w wojsku Kiejstuta, że zgoda już doszła, wojsko

się weseli, rozpierzcha, a Jagiello wiedzie do Wilna Witolda i Kiejstuta — więźniami. Nie potrzeba mu już zgody, nie trzeba wojny, wziął nieprzyjaciół podstępem, i okuł.

Witold oddzielony od ojca, nie wiedząc o jego losie, siedzi w więzieniu, tu go dochodzi wieść okropna, że stary ojciec jego uduszony został w podziemiach krewskiego zamku, piątego dnia niewoli. Krew Kiejstuta wylana z rozkazu, a przynajmniej za przyzwoleniem Jagielly, targa ostatnie związki, jakie jeszcze łączyć go mogły z Witoldem. Niewolajego w Krewie, zawiązuje nienawiść i zapala zemstę, niewola takiemu jak Witold człowiekowi, będąca najboleśniejszą z męczarni, bo przymuszająca do bezczynności.

Starość Kiejstuta, mogła śmierć jego, jako tako tłumaczyć; lękano się jednak zgładzić zaraz po nim Witolda, czekano aż ostygnie pamięć pierwszój zbrodni.

A Witold siedział w krewskim zamku. Jagiello czy wstydząc się śmierci stryja, czy wymawiając się z niej, puszczał wieść, że się sam łańcuchami udusił, łagodniej obchodząc się z Witoldem. Więzieniem jego nie był loch, lecz izba, miał sług przy sobie, co więcej, żonie jego, dozwolono dzielić z nim niewolę.

Anna Swiatosława, X. micisławskiego córka, co wieczór z dwiema kobietami przychodzi-

ła do niego, a te dwie sługi usławszy łoże małżeńskie niewolnika, odchodziły. Witold przebrany w kobiece suknie wymknął się z pomocą żony z więzienia, a ją w ręku Jagielly zostawił. Sam dopadł przygotowanego konia i uszedł do Janusza X. mazowieckiego swego szwagra. Dziwny zaprawdę, wybór miejsca schronienia, bo X. Janusz zdradził był Kiejstuta w ostatniej wojnie. Lecz w tych czasach, nie było stałego, ani słowa, ani wiary. Każdy się dobijał jak mógł, i nie miano mu tego za złe. Witold sądził że z nim Janusz zdradzi Jagiellę, jak z Jagiellą ich zdradził. Lecz zimno przyjął go Janusz, i nie wiele obiecywał, zwrócił się Witold do Krzyżaków, gotowych zawsze służyć przeciw Litwie każdemu. Krzyżacy byli wprawdzie także z Jagiellą, lecz Witold pewien był że zdradzą go, skoro im da powód do zdrady i ukaże z niej korzyści.

Jakoż Mistrz przyjął go dobrze, tém bardziej, że Jagiello świeżo się był z zakonem zawadził. Przeznaczono Witoldowi Malborg na mieszkanie, nimby się przygotowano do wyprawy na Litwę. Tu przybyła za nim Anna, którą Jagiello uwolnił, przybyli przyjaciele Kiejstuta i Bajoras żmudzcy, rodacy Biruty, Żmudź stawiała w pomoc Witoldowi.

Tu się poczyną pora życia Witolda, najtrudniejsza, cała w węzłach, cała w przeciwno-

ściach, jego pasowanie się z bratem, Iosem, z Krzyżakami, z całym światem, zapasy, w których się odkrywa cała jego duszy nieugiętość, moc woli nie przełamana, używająca wszystkich broni i sposobów ku dopięciu celu. Krzyżacy chcąc zupełnie przyswoić sobie Witolda, zniewalają go do przyjęcia Chrztu. — Witold chrzest przyjmuje. Trzeba mu pomocy, a czy miecz święcony czy nie święcony z nim pójdzie, nie dba on, byleby poszedł; chrzci się, bo Krzyżacy Chrztu po nim żądają, ale ani wie, co uczynił.

Pokropiony wodą, odrodzony, wali się na Litwę z Krzyżakami, bierze Troki, wycina załogę. Jagiello podchodzi i odbiera nazad Troki. Wojna bez stanowczego wypadku, Krzyżacy jednak nie opuszczają go, nowe tylko nakładają warunki. Witold zajęty myślą odzyskania władzy nad krajem, który za swój uważa, bo go ojciec miał w ręku, godzi się na wszystkie warunki, poddaje się wymaganiom zakonu, obiecuje być holdownikiem, płacić im ludźmi podatek. Zakon układa sobie mieć zwierzchnictwo nad Litwą, opiekować się nią, opanować ją powoli i zagarnąć zupełnie, gdyby wygasło potomstwo Witolda, który układając się o rzecz jeszcze niezdobytą, potomstwo brata Zygmunta, do następstwa po sobie przypuszcza.

Tym czasem nadchodzi stanowcza chwila, w której Litwa cała, ma się wiarą zjednoczyć

z zachodnią Europą, pobratać z nieprzyjazną Polską, połączyć się z nią, wcielić i zgiąć pod jej ciężarem, po dwóch wiekach bezskutecznego oporu i walki o utrzymanie cienia tylko samostności. W tej chwili Jagiello potrzebuje zgody, wyciąga rękę ku Witoldowi. Witold ucieka z Pruss i przychodzi objąć, wyznaczoną mu w zamian za Troki dzielnicę. Tu znowu Witold Chrzest ponawia, i wielkie imię Alexandra bierze. Krzyżacy wściekają się z gniewu. Ich chrześcijańska missja ustaćby powinna z ochrzczeniem Litwy, Chrześcijaństwo winnoby ich z Litwą pogodzić i zbratać; lecz nie! o! nie jeszcze!

Powodu tylko do wojny im trzeba, tym powodem będzie Andrzej brat Jagielly, wojna się znowu poczyną; zakon nie przyznaje Chrześcijaństwa Litwy, zwie ją jeszcze pogańską. Jagiello odjeżdża do Polski, Witold zostaje na swojej dzielnicy, a Skirgiello otrzymuje od brata naczelną władzę i osiada na Wilnie. Odzywa się duma w Witoldzie, Skirgiello go prześladowuje, Skirgiello go wyzywa — nie będzie więc pokoju, bo Witold się nie podda; Witold po cichu zbiera wojsko na Podlasiu i już ciągnie pod Wilno. Gdyby był przestał na swojej dzielnicy, gdyby był uległ Skirgielle, Witold byłby umarł xiażatką, lecz niespokojny, dumny, nieugięty; został bohaterem. Wojska jego nie

są wystarczające, Witold szuka pomocy u Krzyżaków, znowu z niemi ciągnie na Litwę, której nie zdobywa, lecz pustoszy. Troki i Wilno opierają mu się — odchodzi. Natenczas jeszcze nie puszczając z jednej ręki miecza, drugą do Jagielly wyciąga i prosi o zgodę — o Wilno, o władzę nad Litwą. Jego postępowanie z Jagiellą jest osobliwsze. Na przemian chce się godzić, uniża, grozi, szarpie, nie daje pokoju, odetchnienia, nagli, a nie lękając się zdrady, którą gotów zawsze odplacić — czarniejszą jeszcze, mając za sobą najeźdźniczy zakon, czeka, aż dopnie swego. Jagiello przyrzeka Witoldowym posłom zgodę, i wzywa go, żeby wrócił do Litwy.

Witold który zdradzał Krzyżaków, nie myślał, aby go miano zdradzić; stanowczo więc zrywa z zakonem, który go dotąd głaskał, bo w nim widział sposób posiadzenia Litwy. Mistrz ufny w Witolda daje mu żołnierzy i wyprowadza jakby na wojnę, Witold z niemi obraca się na zakon, zdradą trzy zamki krzyżackie bierze, pali, wycina załogi, spieszy na Podlasie i posyła do króla z doniesieniem.

— Oto jestem!

Tego tylko Jagielly polityce potrzeba było, aby Witold z Krzyżakami zerwał. Zdawało się, że tą zdradą, ostatecznie się z niemi po-

różnił, nie myśląc więc o przyrzeczeniach, Jagiello zamknął na posły Witolda.

Burzy się Witold i gwałtem chce iść do Wilna; usiłuje podejść je zdradą. Puszcza wieści o zameżciu Ryngali, którą za xięcia Henryka mazowieckiego wydaje; gotuje wesele w Wilnie, ładuje wozy zwierzyną, zwierzyną pokrywa żołnierzy, namawia i przekupuje mieszczan. Wozy ładowne zdradą, idą do Wilna, ale zatrzymane u bram zamku, odkryci żołnierze—wszystko przepadło.

Kto inny, nie Witold w takim razie byłby się poddał losowi, prosił króla o łaskę, upadł i skończył. Coż mu pozostawało? Szczupła garstka ludzi, nie wielu przyjaciół, krewni pierwsze wrógi, krzyżacy oburzeni zdradą, żadnej nadziei, żadnego ratunku, żadnej pomocy. Położenie jego było okropne, zuchwała tylko odwaga, mógł wyjść z niego.

Witold znał Krzyżaków i znowu się do nich uciekł. Tak chcą nasi kronikarze, chociaż inni dwukrotną zdradę, jedną tylko być mienia, rozdwojoną. Trzy zamki spalone, załogi wycięte, dwoista zdrada, przeniewierstwo zakonu, nic go nie ulękło, czuł on że zemsta ustąpić musiała interessowi, a wiedział że interesem krzyżaków było czepiać się każdego, kto z Litwą walczył, lub o Litwę. Z niepojętą więc śmiałością, Witold znowu się udał

do zakonu, a zakon go przyjął. Przybyli za nim żona, przyjaciele i ten nieodstępny Jan Algimundowicz, który wszystkie jego losy dzielił. Tym czasem Jagiello najechał Podlasie, wziął Brześć i szedł pod Grodno; któremu Witold stawał w obronie. To oblężenie godne jest uwagi, dla uporu i zaciętości, z jakimi obie strony do niego przystępowały. Wojsko Jagielly wymiera z głodu, żywiąc się czarnym chlebem z nie mielonego żyta, konie gryzą strzechy dachów, po które czternaście mil posyłać trzeba, żywią się liśćmi wygrzebanymi z pod śniegu. Witold nieczynny widząc oblężenia, nie mogąc przejść Niemna, stoi na drugim brzegu, a Jagiello szturmując w jego oczach. Próżno usiłuje nasz bohater przebyć rzekę, żołnierze jego puszcza ją się w bród, pęd ich unosi i toną, wyciągają więc łańcuch żelazny. Witold gromadzi i czepia do niego łodzie, z których most do zamku robi i już, już się po nim ciśnie. Lecz polacy, wyżej, z góry Niemna, puszcza ją kłody ogromne, rzucają belki rozbitych domostw, wszystko co napadną na brzegu, unosi je rzeka, roztrąca o most kruchy, toną i zatapiają się łodzie i ludzie Witoldowi.

Jeden z żołnierzy dostaje się do przeciwnego brzegu i opowiada Jagielle, o stanie w jakim są wojska Witolda. To dodaje odwagi królowi, przypuszcza szturm, bierze zamek, a Wi-

told odchodzi; — odchodzi, żeby groźniejszym jeszcze powrócić.

W Prusiech sposobią wielką krucyatę na Litwę, z Niemiec, Francyi, Anglii, bieży lud pod błogosławieństwem kościoła na pogan, ogromne wojska się zbierają, Witold gromadzi ochotnika na Żmudzi, Rusi, Litwie, olbrzymie te siły ciągną na Wilno. Po drodze zbity Skirgiello, który im czoło śmiać stawiał, Wilno obleżone, ale opór polskiej załogi je ocala.

Odchodzą nie bez straty krzyżowcy i krzyżacy, wraca Witold, ale nie bez nadziei. On jej nigdy nie traci. Znowu napada Wilno, znowu bezskutecznie odciąga i jeszcze do wojny się gotuje.

Ale nareście zgoda z Jagiellą, tyłą krwi okupiona zbliża się. Jagiello w Polsce zajęty panowaniem, z ciężkością dzieli się na dwa kraje, równiej potrzebujące pieczy. Litwa zaburzona mu ciąży, on sam zniża się i tajemnie do Witolda o zgodę przemawia. W czasie przygotowań weselnych, gdy Witold córkę swą Zofię, za W. Xięcia moskiewskiego wydaje, przyhywa z poleceniem starania się o zgodę poseł, X. Henryk mazowiecki, ten, który wprzód już starał się o siostrę Witolda Ryngalę, a potem na namowę braci, cheiwych jego dzielnicy, oblekł suknię xiężą. Wśród obrzędów wesela, zdrada się na krzyżaków gotuje pod ich

dachem, pod ich okiem. Nierozważny X. Henryk choć wziął święcenia mnisze, żeni się z siostrą Witolda Ryngalą, odjeżdża do Płocka i tam otruty od braci.

Upewniony ze strony Jagielly, Witold już myśli jak się pozbyć upokarzającej Krzyżaków opieki, odprowadza córkę, której X. Algimund miał aż do Moskwy towarzyszyć, dochodzi Metemburga, uderza na Ritterwerder, wycina krzyżacki garnizon i ucieka do Litwy. Pogoń krzyżacka w zasadzce rozbita, każe się Witoldowi domyślać, że zamki, z których wyszła, bezbronne stoją — zuchwale więc powraca z garstką swoją zwycięzką, aby dobyć krzyżackie zamki, niszczy je i w tryumfie do Wilna wchodzi.

Tak, tylu lat walka kończy się, wedle jego życzenia, dopięciem celu, Witold jest W. Xięciem na Litwie całej. Podniesiony na W. Xięstwo, cień tylko zależności od Jagielly zachowując, w istocie niezawisły i potężny, teraz dobiwszy się tronu, walczyć będzie aby się na nim utrzymać. Obrażeni bracia Jagielly, rozjątrzeni krzyżacy, wewnątrz i zewnątrz nieprzyjaciele, nie długo mu spocząć pozwalają; on sam nie żąda spoczynku.

Swidrygiello z Krzyżakami, Skirgiello z Rusią gotują się na Litwę, niszczą Podlasie, starą dzielnicę Kiejstuta, właśc. Witoldową. Na-

reście Skirgiello uspokojony Starodubem, uci-cha; Andrzej brat króla, Witoldowi winien wolność; zostają Swidrygiello i Krzyżacy do pokonania.

Wobleczeniu Wilna, Witold daje dowody niepospolitych talentów wojennych, z małą garką niszcząc podjazdami nieprzyjaciela. Krzyżacy Litwę, Witold Prussy wzajem pustoszy, oni się cofają, aby na własnych bronić śmieciach.

Lecz oto, hołdownicy, którzy W, Xięciu dań płacić powinni, odmawiają jej, są oni braćmi Jagielly, oni go nie uznają za pana. Nowa wojna.— Witold ich mieczem zmusza do posłuszeństwa i w sile swojej, odkrywa nowe prawo, którego nie znali; mszcząc się razem i dawnych uraz i nowego z ich strony oporu. Zdobywa Nowogród, Owruć, Żytomierz, i idzie naprzód, póki go posły żebrząc miłosierdzia ze zgodą, chlebem i solą nie spotkają. Jednym Witold Xięztwa odbiera, drugim daje, czyni to sam przez się, ani pyta Jagielly, ani się ku niemu obraca. Ubywa mu nieprzyjaciół jeden, Skirgiello otruty w Kijewie, na jego miejscu osiada wierny Jan Algimund, prawa Witolda ręka, który go nie zdradzi. Gdy tak z jednej strony Ruś się posłusznie pochyla, Nowogród, Żytomierz, Kijew, Kamieniec otworzyły wrota, gdy X. Borys twerski, wiąże się

z nim przymierzem, z drugiej, nieuchodzeni Krzyżacy ze Swidrygiellą go kłopotą.

Ale i ten wróg nie sprostą jemu. Witebsk wzięty, Swidrygiello niewolnik, odesłany bratu. Nie ma chwili spoczynku w tym życiu walki Witolda; ledwie Swidrygielly się pozbył, idzie walczyć z Jerzym Swiatosławowiczem, ledwie tego rozbił, wojować musi następcę jego Hleba, potem Olega rezańskiego, potem zawelżańskich i zadońskich tatarów, na których się łączy z zięciem swoim. Współczesny Timura, równie jak on straszny wojownik, rozbija tatarów, i pędzi w Litwę jak bydło, niewolników tłumi. Zdaje się, że los który go tak długo próbował, teraz się ku niemu obrócił i sprzyja mu stale: gdzie uderzy zwycięża, w wielu miejscach, nim uderzy, już na sam odgłos jego imienia, o pokój proszą.

Godna uwagi, że Jagiello posłanych mu Tatarów pochrzcil w wielkiej części, a reszta uporczywszych skonała w niewoli; Witold zaś, czy to czuł potrzebę powiększenia ludności w kraju, czy ujęcia sobie tatarów, osadza swoich niewolników koło Wilna pod Waką, nadaje im przywileje zabezpieczające od ucisku najdroższą każdemu wiarę, obyczaje, od przymusu zaparcia się samych siebie. Duchowieństwo katolickie w Litwie jeszcze słabe, nie mogło szemrać na ten postępek wyższej nad wiek mą-

drości; później za to, ileż to razy sarkano na nadane uczciwym Tatarom swobody! Witoldowi osadnicy, choć się nie przyczynili, chyba bardzo mało, do zjednania mu hord tatarskich, pozostali mu wierni do końca, i umieli wdzięczność dochować nawet jego następcom. Tym czasem rozgłos jego imienia zwabiał ku niemu żebrzących pomocy carzyków tatarskich, których Witold koronował w Wilnie. Starali się oni o to, czując, jakiego zyskiwali sprzymierzeńca.

Bitwa Witolda z Timur Kutlukiem nad Worską, jest jednym z najpoetyczniejszych obrazów jego życia; zdaje się, czytając kronikarzy, że chyba tworzą, nie opisują.

Gdy Witold stanął nad Worską i ujrzał obóz Timur Kutluka, Timur wyprawił posła do niego, który zapytał.

— Xiąże! czemu chcesz wojny? azali pustoszyliśmy kiedy twój kraj?

Dumna była odpowiedź Litwina.

— Bóg mnie przeznaczył na władcę narodów! Bądź moim synem i dannikiem, albo będziesz brańcem.

Timur prosił o pokój, ofiarował daninę Witoldowi i tego jeszcze było mało, chciał od Mongołów zupełnego hołdu. Trzy dni myślał Han i trzy dni posyłał podarki Witoldowi. Tym czasem ciągnął mu Edyga na pomoc, Edyga, któ-

ry zawołał słysząc o warunkach sromotnego pokoju.

— Lepiej umrzeć!

I starzec poszedł mówić z Witoldem, temi samými słowy, któremi wprzód Witold do Timura przemawiał.

— Xiąże! Timur cię uznał ojcem i chciał ci być synem, boś ty starszy od niego; aleś młodszy ode mnie; poddaj mi się więc, złóż hołd i płac daninę.

Po tych słowach, odpowiedział Witold przejściem rzeki, która dwa tabory dzielila; stanął na przeciwnym brzegu. Próżno spojrzawszy na cmy Tatarów rozsypane wokoło, namawiali Polacy towarzysze, do pokoju, którego i Tatarzy żądali. Starzy nawet wojownicy drżeli na widok hord nieprzeliczonych, młodzi tylko radzi byli wpaść prędzej na pohańców, ufając w kilka dział, w imię Witolda, w Witolda szczęście. Młodzież zapalczywa szemrała na zwłokę, ostrzyła miecze na lby tatarskie, a pan Szczuka rzekł nawet zuchwale Witoldowi.

— Jeśli ci żal Xiąże żony i życia, ustąp sobie, a nas puść i dozwól umrzeć lub zwyciężyć.

Starzy jednak trzymali jeszcze Witolda; narescie, dwunastego Sierpnia 1399 roku rzucił się Witold na Tatarów. Za pierwszém uderzeniem rozpierzchnęli się, lecz rozsypawszy się do koła, otoczyli potem wojsko i pobili. Prze-

grana bitwa, mimo męztwa osobistego Witolda i innych dowódców, z których nie wielka garstka uszła niewoli lub strzał tatarskich. Uzupełnieni pohańcy poszli pod Kijew, który się im okupił, i puscili zagony, pustosząc kraj aż po Łuck.

Ledwie miał czas odetchnąć po tej klęsce Witold, trzeba było bronić Smoleńska, obrońszy go, myśleć należało o Swidrygielle, który wicherzył jeszcze, potem o oparciu się Krzyżakom, z którymi układy nigdy stanowcze być nie mogły, bo dziś podpisane, jutro najmniejsza okoliczność zrywała. — Ledwo ci przycichli, wojna z zięciem X. Bazyliem, przygaszona, znowu Swidrygiello rozżarza, Witold idzie i kończy.

Tak on, szerokiego państwa obronie, wyrządzającym się holdownikom, bojom, rządowi, zaborem i zemście wystarcza; nigdy nie odpoczywając. Jakże się tak pełnemu, tak zajętemu, tak czynnemu i obfitemu w wypadki życia nie dziwić!

W nieustannych sporach Polski i Litwy z Zakonem, Witold był zawsze prawą ręką Jagielly. Te spory, coraz się jątrzyły, codzień zgoda niepodobniejszą się stawała, codzień wiązały się bardziej wzajemne niechęci, potrzeba było im pośrednika, obrano go w osobie sprzyjającego Zakonowi Zygmunta Króla węgierskiego,

z którym rozejm zawarty odnowić należało, pojechał sam się o to ułożyć Witold. Chytry Zygmunt, widząc, jak Witold Polsce jest potrzebnym sprzymierzeńcem, pierwszy raz wówczas wpadł na myśl szczęśliwą poróżnienia go z Jagiellą. W czasie umów o rozejm, na który póki trwała wojna z Zakonem, godzić się nie chciał, im lepiej sprzyjając, Zygmunt wybrał porę do rzucenia kości niezgody między braci, jak sam mówił. Zręczny zatem, począł od wynoszenia pod niebiosa wielkości niezaprzeczonej Witolda, i dziwił się, że on tak wielki, tak potężny, podlega Jagiellie i spokojnie holduje Polsce, gdy sam mógłby być niezawisłym od nikogo królem Litwy. To wyrzekłszy Zygmunt, ofiarował swą pomoc Witoldowi w wyniesieniu go na króla Litwy. Lecz oszukał się w rachubach, bo Witold zrozumiał do czego to zmierzano, jaka była myśl Zygmunta i wyjechał rozgniewany. O milę dogonił go Zygmunt z podarunkami i przeproszeniem, nie to nie pomogło, Witold pojechał i nie tajne skąd inąd zamiary Zygmunta, Jagielle oznajmił. Wszakże ta myśl udzielnego panowania, zrecznie rzucona w dumną głowę Witolda, już w niej pozostała na zawsze i rosła powoli. Stała się ona tajemnym, ulubionym jego marzeniem, najwyższą nadzieją, ostatnim szczeblem wielkości, do którego piąć mu się było można. Pamiętał Wi-

told przykład Mindowy i Gedymina, na chwilę królów litewskich; wiedział, że żaden z nich ani części tego kraju, ani potęgi, ani sławy, jakie on posiadał, nie miał; czuł swoją wielkość, a upokorząca zależność od brata, od drugiego kraju, gryzła go tajemnie; im więcej wzrastał w siły, tym go bardziej dręczyła.

Zaszło tym czasem stanowcze zwycięstwo nad Zakonem pod Grünwaldem. W tej bitwie i później tak się zachował Witold, iż nie bez przyczyny posądzać go było można o odległą myśl jakąś i życzenie nie zupełnego zniszczenia potęgi krzyżackiej, która w pewien sposób nie dając Polsce pokoju, nie dozwalała jej zbyt wielkiej nabyć przewagi nad Litwą.

Zjazd w Horodlu nad Bugiem, mocniej niż kiedykolwiek objawił zależność Litwy i połączył ją na nowo z Polską, a Witoldowi przypomniawszy jego upokarzające położenie. Akt 1413 roku horodelski potężny miał wpływ na Litwę, której wewnętrzne stosunki społeczne odmienił. Dotąd nie było właściwej w Litwie szlachty, tej klasy tak już silnej w Polsce, którą Jagiello za poradą panów polskich tworzył, aby ją postawić tamą Witoldowi i jego następcom, mogącym powziąć myśl oderwania się od Polski. Zdawało się, że szlachta, na wzór polskiej stworzona, polskie herby nosząca, z Polską pobratana i spowinowacona, Polsce tylko

służyć miała. Przez nadanie herbów i przywilejów szlacheckich w Horodlu, klasa Xiążąt i Bojarów, których znamienitsi szli od pnia rodziny panującej, powiększyła się tymi, którzy polskie herby przyjęli. Stan pośredni między panującym, holdownikiem, a poddanym niewolnym, utworzony został. Nie podpada wątpliwości, iż Polacy mieli swój interes w tem, żeby polskie szlachectwo zaszcześcić w Litwie i przez to wpływ swój na nią ugruntować. Prócz tego Unja horodelska narzuciła Litwie administrację kraju na wzór polskiej. Tym sposobem starano się przenarodowić ją; i stanowczym do tego krokiem był akt pomieniony. Późniejsze unje dwóch krajów, już tylko były powtórzeniem tej najważniejszej, która, chociaż imienia unii nie nosiła, w istocie najmocniejszymi węzły spajała dwa kraje. W postanowieniach horodelskich, Witold wszędzie drugie dopiero po Jagiellu miał miejsce. Nie mogły mu one smakować ograniczając jego rządy dotąd zupełnie swobodne, przywilejami szlachty.

Po tym pamiętnym zjeździe, nowe zatargi z Zakonem, ukończone wdaniem się papieża Jana XXIII; opieka nad Węgry zagrożonemi od Amurata; nowe wichrzenia Swidrygiełły, zajmowały Witolda do r. 1418.

W tym roku, żona jego Anna umarła, a Witold, który, jak piszą, w niej tylko przywiąza-

ny był do całego kobiecego rodzaju, nie długo chciał być wdowcem i poślubił Juljanę Olszańską, pokrewną pierwszej, nie czekając na to zezwolenia papieża. Przywykły po żołniersku żądaniom swym zadość czynić, gdy mu biskup wileński ślubu dawać nie chciał, znalazł Jana Kropidło, biskupa kujawskiego, mniej ściśle zważającego, który parę xiążęcą pobłogosławił. Po tym powtórnym związku odpoczął nieco Witold, zajęły go więcćj wewnętrzny kraj zarząd i myśli o przyszłości. W tym czasie koronował on w Wilnie carzyków tatarskich, przyjmował posłów czeskich, przynoszących mu koronę, której odmówił. Odrzucając ją jednak, dał Czechom ze swego ramienia Zygmunta Korybutowicza, za co mu potem Zygmunt Cesarzem zostawszy, odplacił, podszczuwając na Litwę Krzyżaków. Ze wszech stron pracując nad skupieniem władzy w swoim ręku, Witold także metropolicie moskiewskiemu odebrał z pod jego zarządu Litwę. Siedemdziesiątletni, po szczęśliwie na Psków i Nowogród ukończonej wyprawie i zawartym pokoju, uczuł on, że myśl rzuconą przed dwudziestą laty przez Zygmunta, a dojrzewającą od tego czasu; pora była spróbować przywieść do skutku. Do tego celu zmierzał i zjazd łucki, który zaraz opiszemy; zastanowiwszy się wprzód nad

powodami jego i osobami w tym dramacie działającymi.

Cesarz Zygmunt, zawsze pragnący Polskę oddzielić od Litwy, aby te oba kraje osłabić i poróżnić, za późno brał się do wykonania zamysłów; wówczas nawet, kiedy pierwszy raz poddał myśl odłączenia się Witoldowi, zbyt już wielki był wpływ Polaków, aby tego można dokazać. A gdyby to nawet do skutku doszło, jakież nadzieje nadal? — bez potomka płci męskiej, ośmdziesiątletni Witold, nie długo obiecywał władać Litwą, po nim znowu spadała w skutek umów na Jagiellę. Wiek późny i bezpotomność, powinny były zrazić Witolda, od starań o niezależną koronę—; lecz duma jego była wielka, tej dumie, tej żądzy, potrzeba było pokarmu, coraz nowego blasku, coraz nowych nadziei i nowych do zwalczenia trudności.

Zygmunt już później, w listach do Witolda pisanych, wielkość jego wynosił, zřęcznie się dziwił, że taki bohater dobrowolnie się skazywał na zależność, nie chcąc sięgnąć po koronę; wspominał Mindowę i Gedyminę; obiecywał nareście, byleby chciał Witold, podnieść go na królestwo i ułatwić drogę ku dostąpieniu tego dostojęństwa. Myśl ta powtarzana często, przyłgnęła do serca Witolda. Mając cesarza za sobą, począł już w roku 1428 czynić starania o

przywiedzenie jój do skutku. Czując przyszły opór Polaków, którym bardzo szło o związek z Litwą, pomyślał, że aby im stawić czoło, potrzeba było pomocy hołdowniczych i sprzymierzonych książąt, od Litwy zawisłych. W tym celu udał się Witold naprzód w podróż przez Królewiec, Brandeburg, Balgę, Elbląg, Marienburg, Mewę, aż do Swarnegastu, a w roku 1428 z Trok aż do Smoleńska pociągnął, spraszając po drodze wszystkich, na Zjazd do Łucka, odbyć się mający w miesiącu Styczniu 1429 roku.

Pozorem tego Zjazdu były sprawy wołoskie do roztrząsania między Zygmuntem a Jagiellą i pogodzenie Krzyżaków z Polską i Litwą, do czego Cesarz z dawna był arbitrem obrany. Wistocie zaś zwołując Zjazd, chodziło o to Witoldowi, aby mu dozwolono koronacyi na króla litewskiego; chciał tego i Cesarz. W tych podróżach Witolda, z wielkim i wspaniałym dworem odbytych, z żoną i wielą panami, towarzyszyli mu, jak wszędzie indziej szpiegi polskie i krzyżackie. Tych ostatnich tajemnym był posłem, na Witolda podróżnym dworze, błazen W. Mistrza, Henne, którego na żądanie W. Księcia, objawione przez posła jego w Prusiech Nochsa, posłał mu bardzo chętnie Mistrz Paweł von Russdorf, zalecając tylko błaznowi, aby mu donosił o wszystkiém, co się będzie działo, układało, mówiło, w cza-

sie podróży W. Księcia. Ale Krzyżacy bynajmniej nie myśleli wówczas jedynemu, zajmującemu Witolda zamysłowi przeszkadzać; widzieli oni w tém, równie jak Zygmunt, gotującą się dla nich porę korzystania z zatargów, jakie się niechybnie między Polską a Litwą wyrodzić z tego miały.

Polacy już się przyszłych starań domyślali. Dawno дума Witolda lękać im się kazala, aby się od nich z Litwą nie odłączył; a mało polegać mogli na oporze ze strony Jagielly, starego już, i słabego charakteru. Gotowali się więc sami Witoldowi opierać. Tym czasem czyniono wszelkie do Zjazdu potrzebne przygotowania; obrał mu na miejsce Łuck na Wołyniu, serce swojej dzielnicy, Witold, dla bliskości od granicy zapewne. Niezmiernie stada wołów, ogromne zapasy jada i napojów, z Polski, z Ukrainy, z Węgier tu sprowadzano, szły także wozy ładowne skarbami Witolda z Wilna i Trok.

Ówczesna obszerność Łucka, aczkolwiek bardzo znaczna, gdyż niektóre dziś wsi sąsiednie obejmowała w sobie; o czém dziś gruzy odorywane i podania świadczą, szczupłą jednak była na pomieszczenie tylu spodziwanych gości: osobliwie, że od czterech lat dopiero, to jest od r. 1425, Łuck przeniesieniem katedry łacińskiej i stolicy biskupstwa z Włodzimierza, w porządniejsze miasto zmieniać

się zaczął. Wprawdzie już w XIV wieku wielkim go zowie jeograf ruski, ale tę wielkość nadawał mu obronny Lubarta zamek, przed stem lat założony i wielość chalup, które się w koło niego zgromadziły pod jego skrzydła. Nie było jednak gdzie dostojnych pomieścić przybylców. Zamki oba, górny i niższy, dla królów i książąt wyporzadzono, także dom biskupi i inne większe. Reszta, a mianowicie poczty panów, szukać sobie musiały gospód w miasteczku u Żydów i Karaimów, i po wsiach okolicznych. Obowiązek dawania gospód, powszechny w tym czasie po miasteczkach, dawał urzędnikom prawo wyrzucenia gospodarzy z ich domów; a w owym wieku wojen, dla ludzi półwojskowych, zawsze z szablą u boku i na koniu żyjących, nie wiele było potrzeba: tylko dachu dla zabezpieczenia od sloty i wichru, ogniska, żeby się ogrzać i szaty osuszyć, ławy na posłanie, lub trochy siana.

Wszyscy przyrzekli zjechać na Styczeń do Łucka. — Posłowie do Jagielly z listami zapraszającymi pod pozorem wołoskiej i krzyżackiej sprawy, takąż od niego przynieśli odpowiedź. Spodziéwał się jeszcze Witold, prócz Cesarza, Jagielly i książąt z Rusi, króla duńskiego, Ministrów pruskiego i inflantskiego, posłów Jana Paleologa. — Siwy i stary już, w obliczu ich wszystkich Witold, miał sprawę swoją wnieść,

bronić jej i jak sądził, zwyciężyć; — bo kiedyż się los oparł jego potężnej woli i nieugiętej stałości?

Znany charakter Witolda, jego potęga, czyniły ten Zjazd niezmiernie dla wszystkich zajmującym, jako początek walki, mającej się rozwiązać słowami, a mieczem może rozstrzygnąć. Łatwo było miarkować, że odstąpi swego przedsięwzięcia, które żeby do skutku doprowadzić, tak zdaleka i rozważnie się przybierał; łatwo także miarkować było, iż Jagiello a bardziej Senat i Polacy, nigdy się na odlączenie Litwy nie zgodzą. Im wątpliwszy zatem, tym mocniej i niecierpliwiej oczekiwany był wypadek tego Zjazdu. Uważano go za stanowczą chwilę, w której się miało nowe królestwo urodzić, unja dwóch państw rozerwać, wiodąc za sobą zapewne zmianę urządzeń i polityki. Krzyżacy i Cesarz, jakkolwiek Hussytów, Turków i Saracenów do wojowania mający, gotowi byli Litwie pomagać na Polskę, straszniejszą dla nich, niż Litwa. Wszystko rokować się zdawało niechybną wojnę, którą tém pewniejszą i straszniejszą czynił charakter Witolda, dobrze już północnej Europie znajomy.

Litwa, o ile domyślać się można, życzyła sobie Witolda Królem; gwałtowne jej połączenie z Polską, jakkolwiek bez wstrząśnienia

przeszło; chociaż przyjęła narzucone sobie prawa, zwyczaję, rząd tego narodu; jęczała jednak skrycie. Nienawiść sąsiadów, wykarmiona w poprzednich najazdach i wojnach, daleka jeszcze była od zapomnienia. Wprawdzie Litwa dała Króla Polsce, lecz z Królem oddała siebie, a połączeniu temu poświęciła wiarę swoją, bogów, zwyczaję, które do reszty Jagiello w Litwie, sam Witold na Żmudzi, zgladzili, śladu dawniej wiary nie zostawując; poświęciła nienawiść swoją i podać musiała Polsce dłoń, polską krwią zbroszoną. Spółczesni Witoldowi Litwini, którzy jeszcze Litwę bałwochwalską, lecz samoistną znali, że zgrozą widzieli przewrócony porządek, a kraj sąsiedni, zdawna nieprzyjazny, połączony tak przeważnie i dający prawa. Mała więc liczba przedniejszych Litwinów, która myśleć umiała (bo dla reszty stan kraju polityczny był obojętnym), stała ze strony Witolda. Jego holdownicy, Xiążęta ruskie i litewskie, chętnieby go byli Królem widzieli, a chętniej jeszcze spodziewali się i wyglądali wojny, która wyniknąć mogła; ona im bowiem następczyć miała porę oderwania się także.

Najstraszniejsi zamiarom Witolda, byli panowie polscy, przemożni słabością charakteru Jagielly. Ci najlepiej widzieli, co by za koniec był odłączenia się Litwy, przez danie korony

Witoldowi; wiedzieli, że szło o rozbrat z Polską, prowadzący z sobą wojny i niepokoje; wiedzieli, że Cesarz, Krzyżacy, Ruś, podadzą ręce Witoldowi do rozszarpania Polski. Spodziewał się z ich strony Witold najsilniejszego oporu, na ich ujęcie najwięcej się sposobił, nie przypuszczając nigdy, aby im miał ustąpić, i swego nie dopiąć. Wdanie się Cesarza poważne, własna natarczywość Witolda, miały słabego podbić Jagiellę; wszak nie dawno jeszcze rzucone przez W. Xięcia słowo o żonie, mało jej życia nie pozbawiło. — Lecz panowie Rady?? Panowie Radni, którzy niańcząc Jagiellę mieli go do Łucka prowadzić, i tu za niego wojować??

Tuszył sobie Witold, wiedząc już jakie mu trudności stawić będą panowie Senatorowie polscy, że jego prośby, podarki, pochlebne obietnice, wymogą na nich zezwolenie; że jedni groźbą, drudzy złotem się nakłonią, a reszta milcząć będzie i nie pomagając, nie przeszkadzać.

Charakter tylko Zbigniewa Oleśnickiego, nie pomalą go zastraszał. Na niego to, najsilniejszych i wszystkich trzeba było sposobów, aby podbić człowieka, którego położenie czyniło niedostępnym przekupstwu i groźbie, a charakter prośbom i pochlebstwu. Gotował się Witold wspaniałością ich oćmić, grzecznością ulagodzić, podarkami ująć, a przyjaznych sobie

Polaków użyć za pośredników. Spodziéwał się pomocy od niechętnych Królowi, przeciwników, Prymasa i Oleśnickiego, znających się z dawnymi jego towarzyszami wypraw i przyjaciółmi Kobyłeńskimi, Skrzyńskimi, Szamotulskimi, Kadłubskimi, Prekorą i innymi, na których działać mógł przez przywiązanych do swój osoby Polaków, Małdrzyka i Cébulkę. Piérwszych dni Stycznia niecierpliwie oczekiwani, zjeżdżać się zaczęli nagle i tłumnie. Zamek i miasto pomieścić ich nie mogło, liczne dwory królów i książąt, mnóstwo panów i szlachty, o kilka mil od Łucka po folwarkach, wsiach i miasteczkach, w niedostatku gospód, rozpołożyli się. Dwór cesarza Zygmunta, cesarzowej Barbary (którzy najpóźniej, bo 22 Stycznia dopiéro przybyli), prócz Xiążąt Rzeszy niemieckiej, Grafów, panów węgierskich, Kroatów, Czechów, Rakuzan, Pań i paniąt; odznaczał się wielką liczbą sług, pacholków, zbrojnych straży i dworzan.

Jagiello wiózł z sobą żonę Zofię i synów. Jechali z nim synowie Ziemowita, Xiążęta mazowieckie, którzy świeżo w Sandomierzu hold mu byli złożyli, Xiążęta lignicki, brzeski, pomorsey, z senatorów zaś Wojciech Jastrzębiec arcy-biskup gnieźnieński, Zbigniew Oleśnicki biskup krakowski, Jan Tarnowski wojewoda krakowski, Michałowscy, Ostroro-

gi, Szamotulscy i wielu innych. Z Bazyliem Xięciem moskiewskim wnukiem Witolda, przybyli Metropolita Focjusz, Xiąże Borys twerski, sprzymierzeniec Litwy, Oleg rezański i Xiążęta Odojewskie. Od Wielkiego Mistrza wysłani byli Komtur Balgi i Rastemburski przybył także w poczie znakomitym Inflantski Mistrz Siegfried z zakonnikami, kommandorami i wielkiem orszakiem. Przyjechał wygnany Hospodar wołoski, Eryk Król duński dla widzenia się z Cesarzem i Witoldem, posłowie Jana Paleologa z Konstantynopola, dla spraw wschodu, Carzykowie nareście zawołzski i perekopski, jako sprzymierzeńcy Witoldowi z wielkimi poczty przystawili się.

Xiądz Biskup łucki Jędrzej Splawski czy (z Pławka) z krzyżem stojąc w bramach miasta, gości wjeżdżających witał, a Witold przyjmował we wrotach zamkowych.

W tym tłumie przybyłych, jak różne były interessa panujących i twarze ludzi, tak różne uczucia i wyraźna jedna ku drugim nienawiść. Ówczesny stan Europy, tłumaczył nieprzyjaźń wszystkich prawie narodów. Ruś z Litwą i Niemcami, Duńczyk z Rzeszą niemiecką, Tatarzy z Rusią, Polacy z niemi wszystkimi, mogli się cierpieć i bracić? W całej Europie nie było pokoju. Zastraszający miecz Amurata, następcy Mohameda I, coraz to ścieśniał gra-

nice Cesarstwa wschodniego, puszczając Paleologów, których tron podkopany, chwiejący, groził za chwilę upadkiem. Turcy, których potęga słabością Cesarzów rosła, rozprzestrzeniaли swoje panowanie z zastraszającą szybkością. Próżno Jan VII Paleolog, na soborach i przez posły do papieżów, ofiarował połączenie kościołów, błagając pomocy i zjednoczenia chrześcijańskich monarchów. Każdy z nich miał swoje pilniejsze sprawy do popierania, lub osobistych do pokonywania nieprzyjaciół. Cesarz Zygmunt, zaprzętniony myślą połączenia religijnego, wojowaniem Turków, Saracenów i Hussytów, zgadzał się na żądanie Paleologa, na potrzebę Krucjaty przeciw Turkom, która by go była uwolniła od uciążliwej pojedynczej z niemi wojny; lecz inne kraje nie miały interesu łączyć się do związku, a Polska i Litwa nie mogły do niego należeć, bo je łączyło przymierze z Amuratem, nie dawno zawarte. Eryk król duński, nie mający talentów wojennych i odwagi nawet, lecz niespokojny i burzliwego umysłu, toczył wojnę z Xiążętą Rzeszy niemieckiej o Xięstwo holsztyńskie, z nie wielkim powodzeniem, gdyż raz już, o mało w swęj stolicy pokonany nie został, gdyby go była śmiałość żony nie uratowała, za którą tak źle się jęj potem wypłacił. Eryk więc także miał w Niemczech nieprzyjaciół i kraj do odebrania.

Tatarzy i Ruś wzajemnie się lękali, przeczuwając, że ten przestrach inaczej się nie skończy, chyba podbiciem i zupełnem zniszczeniem. Już wówczas łatwo odgadnąć było, kto zostanie zwycięzcą. Krzyżacy zawsze do wojny gotowi i na łup cheiwi, czekali i patrzyli tylko, z kąd im się powód do wydobycia miecza z pochew, poda; wrzały spory ich z Polską, pretensje do Litwy, łakomie poglądali na sąsiednią Ruś.

Zygmuntowi dokuczali Hussyci, których nie mógł pokonać, Turcy; którym sromotnie ustą, pił nie dawno. Jego zamysły zagarnienia Wołoch, odzyskania ziemi Świętej, wytępienia wszystkich herezji, rozdzielenia Polski i Litwy, nie dozwalały ani myśleć o pokoju.

Litwa tylko co z poszarpanych wprzód części sklejona, wielka lecz różnorodna; od Rusi od Tatarów, od Niemiec, sama od siebie, lękać się musiała i nie zasypiać chyba z łukiem na plecach, z szablą w ręku. Ruś bała się Tatarów i Litwy — na zachodzie wrzała wojna Anglii z Francją, a dziewica orleańska, to cudo historyczne, niosła chorągiew zwycięstwa, z którą na stos męczeński wstąpić miała. Sobory kościelne florentski, konstancjeński, tortozki, paryzki, rygski, nie mogły ustalić pokoju w kościele. Liczba wiar rosła, a z Hussa popiołów już zieleniec poczynają lata, które

reformatorów nowych zrodzili. Prześladowanie, zawsze tak niebezpieczne nawracającym, i tu swój skutek przeciwny woli i nadziei robiło; Zygmunt zbyt o wiarę, własną w niej widząc sprawę, gorliwy, chcąc usunąć religijne spory, jętrzył je i bezsilny z Hussytami się szamotał. Tak cała Europa wojną wrzała, albo obecną, albo oczekiwaną i wiszącą w chmurze, albo zawieszoną tylko i nie dokończoną. Zjazd więc lucki prócz swojego własnego interessu, wystawiał jeszcze osobliwy obraz wrogów skupionych i ociągających się o siebie, mieczów spokojnych na chwilę, które się podnieść miały wkrótce, na karki współbiesiadników i ich braci.

Abyśmy później łatwiej sobie wytłumaczyć mogli osób działania i sposób ich postępowania, musimy choć w krótkości wystawić ich życie przeszłe i charaktery.

Cesarz Zygmunt luxemburczyk, syn Karola IV, urodzony w r. 1368, obrany królem węgierskim w r. 1386, a cesarzem roku 1410 — w całym życiu swoim okazał się czynnym, śmiałym, przedsiębiorczym, chytrym, i tak stale do myśli swoich przywiązany; że nie uważał gdy chodziło o ich dopięcie, na środki, jakich używać musiał. Złych i dobrych chwycił się za równo, byle na swoim postawić. Mając na sercu uspokojenie i zjednoczenie religijne

Europy, zwołał on Koncylium konstancyjskie, na którym tak haniebnie mimo zaręczenia swojego, dozwolił, starał się owszem o spalenie Jana Husa i Hieronima z Pragi, sądząc że tym sposobem głowę Hussytom odciawszy, czeskie rozruchy w zarodku zabije. Sławna była i charakterystyczna jego odpowiedź, na żądanie Hieronima z Pragi, proszącego o list zaręczający mu swobodne przybycie na koncylium.

— Damy mu, rzekł Zygmunt, list zaręczający, że przybyć może, ale nie że powróci nazad! —

Taki sposób postępowania, ściągnął na cesarza krzyk sumiennych nawet katolików których nie zaspokajała wymówka, że nie ma obowiązku dochowywać heretykom wiary. Na tym samym zjeździe w Konstancji rozbiérano zaskarżenia posłów żmudzkich, narzekających na ucisk od Krzyżaków; lecz mały był skutek, bo Cesarz przyjaciel zakonu, co chciał czynił w koncylium; starał się nawet aby wyrzucono z niego Witolda i naganionemu, iż brata swego Korybuta, na króla Czechom naraił. Po zjeździe tym, niezmordowany Zygmunt jeździł do Paryża i Londynu, starając się do zgody religijnej i krucjaty na Hussytów namawiać, których z pomocą obcych mocarstw, łatwiej spodziewał się uspokoić.

Jednakże czynny i przebiegły Zygmunt, nie pokonał nawet ślepego Zyski, z którym nare-

ście do traktowania musiał się zniżyć, a który wkrótce, szczęściem dla Cesarza, umarł, polecając aby ciało jego na pastwę ptakom rzucono, a skórę wyciągnięto na bęben, samym odgłosem mający odstraszać nieprzyjaciół. W stosunkach swoich z Polską, nieprzyjazny jej w sercu, powierzchownie przyjaciel i pośrednik, wzbudzał powszechną nienawiść i nieufność przeciwko sobie; a jego sądy między zakonem i Polską, usprawiedliwiały te uczucia, któremi tchnęli dla niego wszyscy moi.

Jan VII. Paleolog, cesarz wschodni, używający jeszcze próżnego tytułu tylko — *Autokrator, Romajon*, syn Manuela II. i Ireny, nastąpił po ojcu w roku 1425; trzymał on jeszcze nachylające się już do upadku dziedzictwo Paleologów, coraz mocniej zagrożone przez Turków. Nie miał on prawie żadnego charakteru, a słabość jego, tym wyraźniejszą była, im okoliczności ówczesne cesarstwa wschodniego, teższego wymagały. Już bowiem Mohamed I. podbił Serbją, Wołochy; Amurat Cypr, Epir, i inne prowincje, już coraz głębiej do serca dostawał oręż turecki; a cesarz cofać się tylko i ustępować przed nim umiał. Królowie, których pomocy na koncyljum błagał, głusi byli, prócz Zygmunta, a kiedy Amurat w r. 1422 następcą Mohameda, posuwał się w szczątki cesarstwa, Paleolog tym czasem w zagrożonej stolicy, my-

ślał o swoich żonach, z któremi ani żyć, ani się rozstać nie umiał. Ożeniony z Marją Komnen, córką króla Trebizondy powtórnie, wymawiał się przed swemi pany, iż żyć nie mógł z pierwszą swą żoną Zofją Margrabianką Montferatu, dla jej niestłuchanej brzydkości, przenosząc klasztor nad nią; — jednakże ulagodzony potem, wrócił do niej znowu. I to maluje człowieka.

Eryk duński, szwedzki i norweskimi król, dawniej Henryk X. pomorski, Marji xiężnej, meklemburskiej i Wratysława xięcia pomorskiego syn, po matce Marji, która była córką Henryka meklemburskiego, z siostry Małgorzaty królowej duńskiej, prawo do tronu odziedziczył. Małgorzata przyznała go po sobie następcą trzech koron. W roku 1406 ożeniwszy się z Filippiną córką Henryka IV. króla angielskiego (po której wziął w posagu największy znany medal złoty, kilkanaście tysięcy sztuk złota wagi) koronowany był królem szwedzkim w roku 1411. i zaraz czując w sobie podżeganie niespokojnego ducha, niewdzięcznością i wojną Małgorzacie się wypłacił, podniósłszy przeciw niej oręż. Ona, nim się ten spór rozstrzygnął, umarła; i zostawiła go po sobie następcą. Tym sposobem dawniej jeszcze na Unji kolmarskiej w roku 1397 przyznany dziedzicem trzech koron, wstąpił na tron. Nie-

spokojny, zaczął się zaraz dobijać o księstwo holsztyńskie, postępując sobie we wszystkich wypadkach tak, że tylko bezsilności charakteru, okrucieństwa i niespokojności umysłu dowiódł. Zarzucano mu nie bez przyczyny, wyściebie w pień mieszkańców wyspy Femeren, rzućcie się bezrozumne o pomoc na wszystkie strony, wyniszczenie kraju podatkami do tego stopnia; że pieniądze cynowe bić poczęto, zniechęcenie wszystkich uciskiem, znalezienie się thórzowskie w czasie oblężenia Kopenhagi w r. 1428, kiedy zamkniętego w klasztorze i zrozpaczonego, przytomność umysłu żony ratowała, niewdzięczność nareście dla niej i zamknięcie jej w klasztorze Wadsteny. Wszystko to maluje Eryka, jako niespokojnego a bezsilnego człowieka. Sprzymierzeniec Polski i Litwy, gdyż równo z niemi nieprzyjacielem był książąt Rzeszy, wspomaganych i wspomagających Krzyżaków, nie miał innego celu w tém przymierzu nad swoje dobro i myśl; że niem nieprzyjaciół swoich zastraszy. Lecz ci wiedząc dobrze, że Polska i Litwa nadto jest sobą zajęta, żeby go wspomagać mogła; nie lękali się ani przymierza, ani Eryka.

Znamy już charakter słaby Jagielly a silną wolą Witolda. Mistrz krzyżacki ówczesny, Paweł von Russdorff, według kronikarzy, był więcej pokoju niż wojny człowiekiem. Ścisłe po-

łączony interessami zakonu, z protektorem jego Zygmuntem, wysłał posłów do Lucka, w nadziei, że jego sprawę i Cesarz i Witold nawet, naówczas Zakonowi dość skłonny, popierać będą. Wiedział Mistrz o wszystkich Cesarza zamysłach, gdyż posłańcy Luxemburczyka, żydzi i szpiegi w żebraczém odzieniu, krzyżowali się nieustannie z listami przez Polskę i Litwę, nosząc wiadomości obu stronom. Jeden taki wysłaniec, umarł był nie dawno w Koninie, (w wielkiej Polsce) a przy nim listy cesarskie znaleziono, co Polaków na nowo oburzyło przeciwko Zygmunтови. Mistrz inflantski Siegfried Landorf Hrabia von Spanheim, człowiek rozważny i zuchwały, więcej z konieczności, niż w myśli politycznej na ten zjazd przybywał.

Przy Witoldzie znaczniejsi byli: Jan Gastold nieodstępny jego z książęciem Algimundem towarzysz wypraw, podróży i wojen. Ten ostatni spowinowacony z Witoldem przez żony, był dla niego niezłamaną wiernością. Ronbowd jeden z litewskich marszałków i hetman, który się był odznaczył w wyprawach 1407 i 1409 roku, a teraz miał odbierać Krzyżakom Żmudź, od której ich, acz przyjazne odsądziło Koncylium w Konstancji — Siemion Xże olszański szwagier Witolda, Wielkorządca nowogródzki. Małdrzyk z Kobiela, powiernik zaufany, Cebulka pisarz, i wielu innych.

Dwór Jagielly, liczniejszy, poważniejszy, a co najwięcej, bardziej stanowiący był na tym zjeździe, gdyż Senatorowie przybyli, więcej od samego króla, czynnymi być obiecywali. Na czele ich, dostojnością stał Wojciech Jastrzębiec arcy-biskup gnieźnieński, prymas, człowiek z niskiego stanu zbiegiem okoliczności, giętkością charakteru, na pierwszą godność duchowną królestwa wyniesiony. Urodził się on we wsi Łubnicy z ubogich rodziców Derśława i Krystyny, lecz znać że wsześnie okazywał dobre usposobienia, gdy ojciec oddając go do szkółki przy Farze bensowskiej na naukę, tak do niego przemawiał: — Oddaję cię synu, nie między żaki, do szkoły, ale w poczet biskupów, do którego dójść powinienes. Pamiętaj tylko abyś zostawszy biskupem, otwoim terażniejszym stanie nie zapomniał, w którym zostawujesz i mnie i matkę i braci i siostry swoje. Nędza w którejś się urodził, tak była wielką; że ci przy największych dostatkach, z pamięci nie wyjdzie. Gdy więc zostaniesz biskupem, dla mojej to uczyn pamięci, a zmuruj kościół, tu, gdzie cię do szkół oddaję

Dziwna rzecz, z jaką pewnością przyszłego wywyższenia, ojciec do syna przemawiał i jak się ta jego przepowiednia ziściła. Wojciech bowiem po stopniach z dziekana krakowskiego i proboszcza poznańskiego, Infułat poznański,

w r. 1399 w Bensowie dawniej szkółce swojej zrzucił drewniany, a murowany kościół postawił w roku zaś 1407 przy nim zakonników ś. Pawła pustelnika fundował. Prócz tego liczne poczynił fundusze w Poznaniu i Warszawie. Lecz nie wszystko w jego życiu godne pochwały; — wyzucie z biskupstwa poznańskiego Piotra Wiss w r. 1412 i przywłaszczenie go sobie, które koncylium konstancjeńskie zganilo, ulitowawszy się nad biędnym Piotrem; zbyteczna żądza wyniesienia się i zbogacenia, uległość wyższym aż do pochlebstwa, kazily go. Liczna familja Wojciecha obsiadła go, a on ją podtrzymywał i wspomagał, gdyż główną i jedyną myślą jego życia, było podniesienie jej i wydzwignienie z tej nędzy, w jakiej przeżył młode swoje lata. Brat jego Scibor wojewoda łęczycki, miał dwudziestu synów, z których ośmiu na wojnach z Krzyżakami poległo, a dwunastu pozostałych losem, zatrudnił się prymas, i wszystkich prawie na kasztelańskich krzesłach poosadzał. Dla pamięci zaś, od nazwania swego herbu, jednego z najstarszych w Polsce, założył, objawszy już po śmierci Piotra Wiss, biskupstwo poznańskie; miasteczko Jastrzębie, na wyciętych lasach i trzebieżach w ziemi do biskupstwa należącój. Nagle zbogacenie Arcy-biskupa i podniesienie jego familji z ubogiej szlachty, na senatorskie

krzesła, dawały powód do rozmaitych posądzeń. Między innemi, chodziła wieść u ludu, że na swoją korzyść przywłaszczył skrycie skarby królów polskich złożone w Poznaniu, o których mu dał wiedzieć wikarjusz Tumu poznańskiego. Gdyż wikarjusze z kolei po sobie następujący, podawali sobie straż tych skarbów, i wiadomość o miejscu w którym były przechowane. Nie wchodząc w to, czyli go słusznie albo nie, posądzano o przywłaszczenie skarbów, to pewna, iż wszystkie czynności Arcybiskupa malują jego chciwość, skępstwo, wyłanianie się dla familji, którą podnieść usiłował; a razem uginanie się i uchylanie przed możnemi, tak; że w okolicznościach w których zrobić mógł sobie nieprzyjaciół otwartem a szlachetnem wynurzeniem swego zdania; zawsze szedł środkiem, aby nikogo nie dotknąć. Rozsądek jego i biegłość, dopomagały mu do odegrywania tej trudnej roli, mianowicie w sprawach dzielących panów senatorów. Prymas sądząc orzeczech wielostronnie, tak je umiał pod wszystkiemi względami przedstawiać, że trudno było odgadnąć, której stronie sprzyjał, a której był przeciwny w duchu. Od niego Witold najmniej się spodziewał oporu, będąc pewny że starca zastraszyć potrafi, lub ująć tak, aby przynajmniej nie szkodził.

Całkiem inny był charakter Zbigniewa Ole-

śnickiego. Ten ze znacznej i bogatej rodziny, z żołnierza xiądz, dopiero po roku 1410, zacząwszy życie od szabli i bitwy, gotów był zawsze śmiało przeciw wszystkim, za zdanie swoje wojnę prowadzić, wyniesienie swoje winien on był osobliwyszemu zdarzeniu, w którym losem życia Jagielly ocalił pod Grünwalden, gdy krzyżak Dypold Kikerytz, napadł na niego. On choć złamaną tylko kopję miał w ręku, tak silnie go nią uderzył, iż krzyżak spadł z konia, a król go tym czasem i otaczający, dobili. Chciał natychmiast Jagiello rycerzem go passować, ale Zbigniew oświadczył że nie żołnierzem króla, tylko rycerzem Chrystusowym być żąda. Na tej więc obranej przez niego drodze, pamiętny wypadku, posunął go Jagiello i osypał łaskami, z proboszcza Ś. Florjana w Krakowie i kanonika krakowskiego, w r. 1423 został biskupem krakowskim. Ale wywyższenie i łaski nie ugięły, nie zmiękczyły jego żołnierskiego charakteru duszy. Śmiały aż do zaślepienia się na niebezpieczeństwo, uporczywy, zuchwały, gdy o utrzymanie zdania, lub o dopełnienie obowiązku chodziło, ani na króla, ani na nikogo w świecie nie zważał. W rzeczach wiary tyczących się, gorliwość jego dochodziła do najwyższego stopnia, Prześladowaniem sekty Hussytów, zmusił ich do zupełnego opuszczenia diecezji krakowskiej, a gdy po-

słowie czescy, Jana Husa zwolennicy, po śmierci Wacława przyjechali do Krakowa ofiarować koronę Jagielle, on, dla ich przytomności w tém mieście, rzucił Interdykt na Kraków, zamknął kościoły, a choć wielkonocne następowały święta, sam do miasta na nie, nie przybył, oleje święte, konsekrował w Mogile pod Krakowem i nie wrócił do stolicy, aż po ich wyjeździe.

Król, co go swémi rękoma wyniósł, obawiał się jego nieugiętej stałości. Oleśnicki bowiem, gdy raz zasłyszał, że wojska wracające z wojny, rozłożyć się miały w dobrach duchownych, nie żartem klątwą Królowi pogroził. W Budzie roku 1419, jeszcze biskupem nie będąc, tak ostro się cesarzowi Zygmunтови, posłany od króla, stawiał, tak surowo przymawiał, iż potem uciekać musiał, bo go Niemcy zabić chcieli. Spytka z Mielsztyna wyklął za herezję, nie zważając ani na ród jego, ani na związki. Przytém, szczodry i śmiały, jednał sobie serca gminu otwartą dłonią, lub strachem je podbijał, — nie cierpiąc żadnego oporu od nikogo. Liczną otoczony rodziną, osypany bogactwy, hojnie dary rozrzucal do koła. — Katedrze swój sprowadził drogie relikwje, w Nowym Sączu postawił kolegiatę, w Pińczowie swym Paulinów fundował, zamek dla brata zmurował z ciosu, założył szpitale w Bożęcinie, Piotrkowie, Biskupicach, Ilży, w Siennie dziedzicznej. Po

dobrach biskupich pałace stawiał, akademji krakowskiej przekazał swoją bibliotekę, mnóstwo domostw po kraju, swoim kosztem powznosił, dworów, pałaców, kościołów; a prócz tego krewnych swych pobogacił. Tak mu się zapłaciła owa strzaskana na Krzyżaku kopja. Przez krewnych swych i przez związki z Ossolińskimi (za jednym bowiem z nich, była siostra jego Pachna) miał liczne i silne w kraju stronnictwo. W jego rodzie śmiałość, krwią jakby przechodziła. Dobiesław, synowiec jego, lwu rozjuszonemu omal paszczęki nie rozdarł, jak drugi Samson.

Możnaż było tak silnego, możnego, znaczącego a nieugiętego zastraszyć? tak bogatego uwięzić? tak upartego uprosić? A jednak, Witold zabierał się stawić mu czoło.

Jan Tarnowski, Spytków Mielsztyńskich potomek, który pierwszy zwać się z Tarnowa poczał, przybywał także z Jagiellą. Ten, acz Zbigniewowi nieprzyjazny, ale gorliwy o dobro kraju senator, śmiały niegdyś obrońca Podgórze, wielki nieprzyjaciół Cesarza, człowiek możny i znaczący, nie ustępujący nigdy i nikomu, postrach Jagielly, którego często pozwalał sobie strofować; — nie był do pozyskania, żadną miarą. Inni panowie radni, mniej samo przez się znaczący, mieli się wedle wszelkiego podobieństwa, przyłączyć do zdania wię-

kszej liczby. Ci byli: marszałek koronny Jan Głowacz z Oleśnicy, kanclerz Jan Szafraniec Starykoń, Mikołaj Michałowski wojewoda sandomierski, Sędziwój Ostrorog, Dobrogost Szamotulski generał wielkopolski, który z innemi tej familji, był towarzyszem wypraw Witolda, mianowicie owej nieszczęśliwej w r. 1399, bitwy nad Worskłą.

Gdy wszyscy już się zjechali, długo, dwa tygodnie jeszcze, oczekiwano na Cesarza, który nareście wjazd do Łucka wspinały odprawił d. 22 Stycznia, przyjęty radośnie i ze czcią wielką przez Witolda. Porządek zasiadania oznaczono taki, jaki zachowany był na weselu Zofji żony Jagielly, to jest: Cesarz na pierwszym miejscu, jako Król rzymski i tytularny zwierzchnik panujących wszystkich; przy nim z prawej strony Jagiello, z lewej Eryk; dalej za Jagiellą duchowni, za Królem duńskim Xiążęta.

Codzienne potrzeby kuchni witoldowej w Łucku, która karmiła wspinałe tylu przybylców, cytują nasi kronikarze, za dowód dostatków, a razem jako przekonanie o liczbie gości. Szło codziennie na wykarmienie ich siedemset wołów i jałowic, codzień tysiąc czterysta baranów, po sto zubrów, łosi i dzików, prócz innego jadła. Wypijano w dzień siedemset beczek miodu, wina, malmazji, piwa i in-

nych trunków. Porachujmy, iż taka uczta trwała przez siedem tygodni. Witold o królewską dobijając się koronę, po królewsku sobie poczynął. Cały jego skarbiec, w którym nagromadzone były łupy po tylu wrogach, daniny tylu hołdowników, mienie tych, których wyrrywających się orężem pokonał i ze wszystkiego wyzuł, zbiory rządzców, zrzucanych i odzieranych przez niego, gdy się na wielkorządztwach zbogacili; — cały ten skarbiec otwarty był na przyjęcie gości w Łucku, na ujęcie ich podarkami, zaćmienie wspinałością.

Pierwsze zejście się cesarza i Jagielly, zdawało się być dalekiem jeszcze od tego, do czego Zjazd rzeczywiście zmierzał. Chcąc się okazać obrażonym, a przeto nabrać prawa do wymagania jakiegoś rodzaju odpłaty po Jagiellę, cesarz przy pierwszym widzeniu się, zaczął od wymówek tyczących się wojny wołoskiej. Nieszczęśliwie pobity w Bulgaryi, swoją klęskę złożył Zygmunt na niedotrzymanie obiecanych z Polski posiłków. Lecz Jagiello wcześnie nauczony, jak się miał tłumaczyć, odpowiedział stanowczo, że posiłków nie przyrzekał, a jednakże, jakie mógł, wojsko wysłał, które czekało na cesarza nad Dunajem u Brajłowa, a czekało zawiedzione na próżno, gdy on tym czasem w Czechach gościł; że zatem raczej Jagiello miałby prawo wymawiać Zygmunto-

wi, czemu napróżno, a tak długo, wojska jego stały i czekały. Napróżno Cesarz usiłował rzecz tak obrócić, aby miał prawo wymówki czynić, nie stało mu wkrótce powodów. Pozorna zatem niechęć ustała, a Zygmunt najuroczyściej pojednał się z Jagiellą. To była pierwsza scena dramatu. Wówczas objawiły się dopiero zamysły Cesarza; a wśród nich piekielnie podżegać on zaczął Witolda, aby wniósł swoją prośbę o koronę litewską. Tym czasem nie wspominając o tém jeszcze przed Jagiellą, rozwinął tylko swoje plany, doradzając zawrzeć przymierze z Polską i Litwą, i prosząc pomocy na Hussytów w Czechach i na wojowanie Turków i Saracenów. W nagrodę obiecywał Cesarz podzielić się zawojowaną Wołoszczyzną. Jagiello wziął to na rozwagę, a raczej z doradzaniami udał się posłuszny do swoich senatorów. Ci mu nazajutrz podyktowali odpowiedź, a Jagiello zimno ją Cesarzowi przedłożył.

— Że Wołoszczyzny rozbiierać nie chce, lecz bronić jej raczej myśli, jako zasłony od Turka, — że z Turkiem trwa przymierze, którego inaczej łamać nie chce, a na kraj swój ciężaru wojny sprowadzać; chyba wszyscy królowie chrześcijańscy ruszą się wspólnemi siłami na niego. A wówczas i Jagiello stanąć z niemi ofiarował się, nie patrząc przymierza.

Ukrył Cesarz przykre wrażenie, jakie na nim ta odpowiedź sprawiła; widział w niej niechęć ku sobie, rady Oleśnickiego, którego zdawna nienawidził; ale nie pokazał nic po sobie. Grzeczny i spokojny z Jagiellą, na boku tajemnie się schodził z Witoldem, i ciągle mu doradzał korzystać z tego zjazdu, wnosząc mowę o koronę.

Mimo największej żądzy, wahał się to Witold sam uczynić, a tajemne narady zawarły się postanowieniem, że Cesarz pierwszy ma wnieść propozycję. Przyjął na siebie Zygmunt ten obowiązek, bo czuł, że takim wnioskiem dopieczę Jagiellę i Polakom, a tego tylko żądał. Zatem umówiono schadzkę, na której, prócz Jagielly, znajdował się tylko cesarz i cesarzowa. Przekonywające słowa kobiety, miały się przyłączyć do przebiegłych rozumowań Zygmunta i podbić na stronę Witolda, słabego Jagiellę.

Stary Król słuchał leżąc w łóżku, ulegle i cicho, nic nie odpowiadając. Nie było nawet można poznać, co myśli.

Zygmunt tym czasem dowodził mu, jak Litwa tytułem królestwa wysoko się podniesie jak Witold godzien jest korony, jak wreszcie mało to pozorne odłączenie się szkodzić Polsce może, gdy Witold ośmdziesiątletni i bezpotomny. Milczał na to Jagiello, i jak zawsze

tylko odpowiedział w końcu, że nic bez nara-
dy panów polskich nie uczyni. Tak się ten
pierwszy krok skończył.

Cesarz zaś zaraz Witoldowi jął przekładać
tajemnie, iż nie potrzebuje u nikogo się wię-
cej starać, prócz niego; że on takie ma prawo
wznoszenia na królestwa, jak papież, i że bez
papieża uczynić to może. Czule Witold dzie-
kował za rady i obietnice, lecz niecierpliwił
Zygmunta jedną a jedną odpowiedzią, że bez
zezwoleń Jagielly nic czynić nie chce. Nie
zupełnie był bowiem rozjątrzony, i miał na-
dzieję za zgodą wszystkich otrzymać koronę.

Przyszedł dzień stanowczy wielkiej rady
senatorów, na którą żądanie Witolda wniesić
miano, Cesarz niecierpliwie skutku wyglądał,
i może miarkując jak to rozjątrzy Witolda, na-
mówił go, aby się sam na radzie znajdował.

Dał sobie ten najniepolityczniejszy krok
wnieść Witold i zamiast wysłać zimnego
człowieka, któryby sprawę jego wyłożył i za-
lecił senatorom, sam stanął, siebie zalecać, wy-
nosić, swoje życie i wielkość swoją, jął wysta-
wiać. Słuchano go niecierpliwie.

Gdy skończył, pierwszy z senatu ozwał się
ze zdaniem Wojciech Jastrzębiec. Był on prze-
ciw koronacyi i odłączeniu Litwy, lecz mowa
jego była tak zręczna, tak obrotna, tak ułożo-
na mądrze, iż ją dwoiście tłumaczyć było mo-
żna.

Biskup wysilił się, aby przeciwić się Wi-
toldowi, nie narazić mu jednak, a jemu pobla-
żając zbyt, nie zniechęcić ku sobie pa-
nów współ-senatorów; to też to, co rzekł za-
dnego prawie nie sprawiło skutku na słucha-
czach, i Witold milczał.

Powstał potem Zbigniew Oleśnicki i z otwar-
tością zadziwiającą, z zimną krwią nieporu-
szoną, wywiódł, kto dał tę radę, jaki ona cel
miała, jak obu krajom szkodliwą była, usiłu-
jąc je rozdzielić, rozerwać, rozbratać. Poka-
zał, że w tém jeden Cesarz miał tylko interes,
— że jest zdrada w radzie — *frigidum latitare
anguem in herbis*. — W teź słowa prawie i w to
samo zdanie, mówił Jan Tarnowski i inni pa-
nowie radni.

W czasie ich mów, płonął się Witold i rzu-
cał, zaledwie umilkli, zerwał się z miejsca i
zgrzytając zębami, trzęsąc się z gniewu, pod-
nosząc rękę i grożąc pięścią, zawołał nieprzy-
tomny:

— Zrobię i bez was co zechcę, a postawię
na swoim! — Potem wybiegł z sali i udał się
prosto do cesarza.

Te słowa Witolda, wyrzeczone w gniewie,
były jakby wypowiedzeniem wojny, jakby
wyzwaniem do niej. Zaledwie drzwi się za
Witoldem zatrzaśły, senatorowie do Jagielly
przystąpili i gwałtownie na niego napadli; —

Dla czego w swoim kraju dozwala przebywać nieprzyjacielskiemu monarsze, z nim pod jednym dachem mieszka, radzi się i układa.

— Te nowe trudności, to podburzenie Witolda, jemuśmy winni, — dodali.

— Wygnać go ztąd nie mogę, — odpowiedział Jagiello, — ale sam wyjadę.

Gdy więc na postanowienie senatorów zżymają się Cesarz i Witold, Jagiello tym czasem z senatorami, z żoną, dworem i wszystkimi swými, do nagłego sposobi się wyjazdu, nie żegna nawet Zygmunta, i rankiem nazajutrz z zamku łuckiego, sunie się orszak milczący, nazad do Polski. Zgrzyta z gniewu Witold, śmieje się cesarz w duchu.

Tu już, jak gdyby zjazd miał się ukończyć, chociaż na nim nie wiele spraw roztrząsano, i inni książęta, posłowie, wybierać się zaczęli. Utrzymał tylko Witold cesarza, od którego obietnicę nadesłania korony i dyplomatu odebrał. Uczty, biesiady, zabawy, trwały bez ustanku na dworze, codzień nowe Zygmunt odbierał podarki, codzień nowe Witold obietnice. Wreście do dawniejszych kosztownych osobliwości, dodawszy jeszcze róg tura w złoto oprawny, z zabitego przez Gedymina na Swentorozie zwierza, odprawił Witold cesarza, w najmocniejszym trwając postanowieniu, aby

od swego zamiaru nie odstąpić, nie dać się pożyć niczem i przy swoim utrzymać.

Tak się ukończył ów zjazd łucki, lecz nie rozpoczęte starania o koronę, które się do śmierci Witoldowej przeciągnęły.

Nie tracąc czasu, wysłał Witold dwóch swoich powierników, Gastolda i Rombowda, na mający się odbyć zjazd w Korczynie, w nadziei, iż w większej liczbie głosów, znajdzie się więcej na jego stronę przekupionych Polaków, którzy za nim przemówić się odważą. Może dla tego właśnie, gdy Gastold i Rombowd przypuszczeni zostali i rzecz swoją na radę włożyli, nie im publicznie nie odpowiedziano, przyrzekając przez umyślnych do Witolda posłów przesłać odpowiedź.

Na tych obrani zostali ze zjazdu, Zbigniew Oleśnicki i Michałowski. Z ich imion, a mianowicie pierwszego, łatwo się domyslić, jaką nieśli odpowiedź. Mieli oni polecenie wystawić Witoldowi niebezpieczeństwo tego kroku, który przedsięwziął i wszystkie jego skutki dalsze. Oleśnicki nawet uniósłszy się popędlivością, zagroził Witoldowi wojną otwartą, jeśliby nie porzucił starań o koronę. Ale Witold nie zląkł się pogróżek i nie ustąpił; owszem rozjątrzony, jeszcze żwawiej nad uzyskaniem korony pracować zaczął; a na przypadek zapowiedzianej wojny poczynił kroki do przy-

mierza z Zakonem. Spodzielając się jednak, że złotem panów polskich przekupi, nowe ze skarbcu wysłał im podarki tajemnie; starając się o nowych przyjaciół Zakon gotów był do przymiérza z Witoldem, ale szafunek skarbcu w celu przekupienia senatorów polskich, był późny. Nie wiele mogło stanowić milczenie obojętne zapłaconych, nadto oczéwisty był interes polski, ażeby się kto ośmielił otwarcie w senacie mówić za Witoldem. Całe działanie przekupionych ograniczało się szpiegostwem, doniesieniami, listy tajemnymi i milczeniem w radzie. Zmniejszając liczbę przeciwników, nie usuwał Witold trudności, zostali bowiem zawsze najstraszniejsi na czele, których nie można było ująć ni zastraszyć.

Nowy sejm we Wrześniu do Sandomierza zwołany; na nim znowu tę najpilniejszą wówczas sprawę roztrząsano, i powtórnie postanowiono wysłać posłów do Witolda, który myśli swój nie porzucił. Zbigniew Oleśnicki i Jan Tarnowski, oba naczelnicy przeciwnego stronnictwa, wyprawieni do Litwy. Już nie próbując wcale zastraszać ich wojną i zemstą, rzucił się do drugiego sposobu W. Xiążę do łagodności, pochlebstwa i prośby. Jakoż zdawali się posłowie zmiekczać nie w rzeczy, lecz w sposobie traktowania. Próżne były narady, gdy nikt nie ustępował od swego, odjechali

nie nie zrobiwszy. Witold już dobrze zmiarkowawszy, że próżno nadal traktować i skutku się spodziéwać z cicha, lecz w obliczu wszystkich do wojny się gotował. Bali się jój Polacy, chciał uniknąć Jagiełło, wszyscy Witoldowe męztwo znali i przewidywali, że jeśli podaje się oręż, znajdzie łatwo pomocników w Zakonie, Cesarzu, Tatarach i sprzymierzeńcach z Rusi. Chcąc zatém rzecz, inaczej ją obracając, załatwić spokojnie Jagiełło zgodził się już na koronę, lecz nie litewską, i stary, znużony, otoczony dziatwą, oświadczył, że się polskiej dla Witolda zrzecze. Senat koronny co dziwniejsza, zgodził się na to, znać czuł gwałtowną potrzebę ukończenia jakkolwiek z Witoldem.

Nim poszły do Witolda, z tą nową propozycją przybyli, już o tém był uwiadomiony, gdyż go wcześniej przekupione szpiegi o każdym niemal słowie, które w téj sprawie wyrzeczone, uwiadomiały.— Wiedział i myślał i wahał się. Dwa były przyjazne mu stronnictwa w Polsce. Jedno z nich wyrobiło dla niego ofiarę korony polskiej, drugie, zdradliwie namawiało go, aby stał przy swoim, i że gdy mu już po trochu ustępować zaczynają, w końcu i litewskiej dozwolą. W istocie najniepolityczniejsza była ta propozycja, bo odkrywała, że Polska bała się wojny i gwałto-

wnie kończyć chciała. Listy drugiego stronnictwa, dając Witoldowi nadzieję, że przemoże opór senatu, utrzymały go w postanowieniu odrzucenia polskiej korony, a stania przy litewskiej. Tym czasem cesarz zawsze nalepij umiejący wybrać chwilę, wiedząc go rozjątrzonem, czując przygotowania do wojny, o których go krzyżacy posłańcy uwiadomili, wysłał posłów swoich do Witolda. Zdało się Zygmunto wi nie bez przyczyny, że w tej chwili najłatwiej na rozjątrzonem przymierze wymoże, które Witold mógł zawrzeć choćby tylko dla postrachu na Polskę. Przywiezli posłowie Zygmunta w darze Witoldowi smoka i anego ze złota i srebra, przekładali projekt przymierza, a podarek za znak jego podawali.

Tyle jednak miał przebiegłości i panowania nad sobą Witold, że się jeszcze całkiem nie rzucił na stronę cesarza i przymierza nie zawarł. Prywatnie tylko posłom odpowiedział, że dar jako ofiarę przyjacielską przyjmuje, nie zaś jako znak przymierza. Na publicznem zaś posłuchaniu, nie zważając nic na opór Polaków, już wyraźnie sam tylko swoją wolą się rządząc, oznaczył dzień koronacji, w r. 1430 16 września.

Jagiello z narady panów, chcąc jeszcze zapobiedz koronacji, udał się w prośby do papieża Marcina V. Naruszenie władzy papieża

kiej i prerogatywy, po której część sięgał Zygmunt, chcąc sobie wolność koronowania królów bez dołożenia się stolicy Apostolskiej przywłaszczyć; cała ta sprawa bez wiadomości papieża osnuta i do skutku przyprowadzająca się, dawała nadzieję, że papież na żądanie Jagielly, sprzeciwi się koronacji Witolda. Tak się też stało. Dane zostały listy do cesarza, aby nie pomagał Witoldowi, do Witolda, aby nie żądał i nie starał się o koronę. Lecz nim list papieżki, mogący, jeśli nie zupełnie wstrzymać, to przynajmniej koronację utrudnić, doszedł do cesarza Zygmunta, już korona i dyplom, wysłane zostały Witoldowi, już Baptyst Cygalla i Zygmunt Roth Szlązak, posłowie od cesarza do Witolda z listami wyjechali.

A Polska wrzała tym czasem gniewem i zabierała się siłą opierać; niektórzy zasadzili się, aby schwytać w drodze posłów. Czarnkowski podkomorzy poznański przejął ich na pograniczu, listy im odebrał, ale nie zastanowiwszy się, puścił wolno w głąb kraju.

Przejęte listy były wielkiej wagi. Cesarz w nich dowodził swego prawa koronowania królów bez dołożenia się stolicy apostolskiej, oznajmował Witoldowi o wysłanej już koronie, a upornie stojąc przy zawarciu przymierza, jako przy swojej nagrodzie, łączył projekt traktatu: Litwy, Węgier, Pruss i Infant.

Jakim strachem nabawiły Polskę przejęte listy, nie podobna opisać. Cała Wielko-Polska rzuciła się do szabel, w pędzie po gościńcach poczyniono zasadzki na posłów z koroną. Czarnkowskiego, który przejął posłańców pierwszych, chorego zastąpili już, czynniejsi jeszcze Sędziwoj Ostrorog i Dobrogost Szamotulski. Ci wszystkie drogi najstaranniej osadzili, a uwiadomiony o tém cesarz i jego postowie z Frankfurtu nazad powrócić musieli.

Tym czasem nieugięty Witold, siedział w Wilnie, i czekał tylko na koronę i dyplom, sprosiwszy na obrzęd koronacji wielu dostojnych gości, wprzód na zjeździe w Łucku przytomnych. Teraz już przez upór i chęć postawienia na swoim, aby się w oczach świata pokonanym nie pokazać, wiódł do końca starzec ośmdziesiątletni przedsięwziętą myśl, wytężając wszystkie siły na jęj dopięcie.

Zjechali się do Wilna: W. Xże moskiewski, twerski, Książ Odojewski, Paweł von Russdorff mistrz pruski, inflantski Siegfried, Komturowie i Xta Rzeszy, Carowie tatarscy zawołgski i perekopski z Murzami i Hufany. Wstydział się i gryzł Witold, widząc się zawiedzionym, lecz udając weselość, rozgłaszał wieści o idącej koronie, biesiadami i pańskim przyjęciem, gości ujmował, a do domów nie rozpuszczał. Nareście w końcu Września, zawiedziony, zgry-

ziony, znużony, dręczony niepokojem i gniewem, przy odjeździe gości zaczął na zdrowiu upadać; lecz nie na umyśle, nie na woli.

Czuł on dobrze, jak Jagiello jest słaby, jak łatwo powodować mu się daje — chodziło o to, aby go zwabić do Litwy. Udając więc, że zamiaru odstąpił, odrzekł się zupełnie poufałego swego Mikołaja Małdrzyka z Kobiela, wystął do Jagielly z prośbą, aby przybył do Wilna dla ważnych spraw, obchodzących oba kraje, a razem dla rozrywki i łowów. Znali dobrze Polacy Witolda i już mu nie wierzyli, znali Jagiellę starość, i samego do Litwy puścić nie chcieli, boby z nim Witold zrobił co chciał.

Dodani więc Jagielle senatorowie, a między niemi i Zbigniew Oleśnicki, ten najsroższy nieprzyjaciół Witolda.

Witold wspaniale przyjął Jagiellę na granicy i do Wilna wprowadził, a nie tracąc jeszcze nadziei ujęcia Oleśnickiego, posłał mu naprzód dary, prośby, wręście groźbę złożenia go z biskupstwa. — Wszystko na próżno, Oleśnicki dary odrzucił i odpowiedział posłanym, że Witolda uznaje godnym korony, lecz nie w takich okolicznościach i nie téj. Co się mnie tyczy, dodał, nic mię nie zwróci z drogi raz powziętego przekonania.

W Wilnie też sama jeszcze była natarczy-

wość Witolda, względem Jagielly i senatorów, osypywał ich podarkami, lechtał pochlebstwem nawet: ta myśl korony, tak się go była wzięła, iż jej odstąpić, ani nawet przypuścić jej odstąpienia nie chciał. Już popiérając swą sprawę Witold nie swoje czyny, lecz ujmę na sławie, jaką poniesie; ustępując, uznając się zwyciężonym, przekładał. Tym sposobem rozpoczętemu dziełu nadawał pozór koniecznego doprowadzenia do skutku — *bądź co bądź*.

Wystawiał swoją chorobę (*antrax*), swój wiek, swoją bezdzietność; wystawiał, że Polsce tytuł mu udzielony nic zaszkodzić nie może. Widząc nieprzełamanych senatorów, sam nareście ustępować zaczął, prosił już tylko o koronację i królestwo trzydniowe, dwudniowe, kilkodziennie, zaręczał, że złoży koronę, byle chwilę spoczęła tylko na jego skroni.

Lecz Oleśnicki na nic się nie godził, w przyrzeczenia nie wierzył i stał przy swoim; a za nim szła reszta panów Radnych. Dni kilka zeszło na próżnych staraniach. Wreście Jagiello ruszył nazad do Polski, a Witold odprowadzał go jeszcze do Trok. Tu w drodze upadek z konia, przyspieszył zgon jego, który wkrótce nastąpił w Trokach 1430 dnia 27 Października. Umarł przepraszając Jagiellę i polecając mu żonę, złamany więcćj zgryzotą i smutkiem,

niż ostatnim wypadkiem, który o nie wiele zapewne, koniec jego zbliżył.

Taki był koniec życia Witoldowego, taka ostatnia scena tego dramatu, który w dziejach litewskich, najpiękniejszą może zajmuje kartę.

Lecz za nadtośmy może obszernie nad tém się rozwiedli i czas nam powrócić do właściwszej historii Łucka.

Po śmierci Witolda, w r. 1431, zamknął się w Łucku, niespokojny Swidrygiello, gdzie go Polacy oblegli. To oblężenie dla spalonych wcześniej mostów, oblanego w koło miasta i przykrych brzegów Styru, ciężko im szło. Przebywszy wpław rzekę, zdobyli nareście miasto Polacy, z którego się uparty Swidrygiello do zamku jeszcze schronił, a z niego potem uciekł.

Cięższe jeszcze było zdobycie zamku, chociaż już część jego murów obalona została. Dwa razy dowódzca potrafił po trzy dni rozejmu wyludzić u Polaków, którzy z niecierpliwości szemrali. Oblężeni, ośmieleni swoim położeniem, jakby okazując, że się poddać nie myślą, a oblegających nie boją, wszystkich znajdujących się w zamku Polaków i Katolików, na murach przed oczyma oblegających wymordowali, wywieszali i na pale powbijali.

Jakiś żyd kabalista, doradził im jeszcze, żeby czarnoksiężkim sposobem, zamek nieprzystępny uczynić, ćwiertując żywcem młodego chłopca, a trupa jego po kawalku, ze wszystkich stron na murach i basztach powieszać.— Uczyniono to w oczach Polaków, którzy z rozpaczą patrzali na te okrucieństwa, nie mogąc im zapobiedz.

Tym czasem nadeszła zima, mrozy, głód i niedostatek. W kilka miesięcy zdjąć musiano oblężenie, które tyle ofiar kosztowało.

W r. 1437 Swidrygiello Łuck z częścią Wołynia oddał Polsce, chcąc sobie wyjednać przebaczenie.

W r. 1449 umarł w Łucku Danjel Lubartowicz Xże łucki, pochowany w cerkwi zamkowej. Tu także skończył życie Swidrygiello.

Następne dzieje miasta, nie wiele wypadków przedstawiają. Łuck umierać i mniejszeć począł. Jeszcze w czasie napadów kozackich, cztery tysiące ludu stanęło z miasta pod bronią; lecz od tego czasu po wycięciu mieszkańców, których około 40,000 padło ofiarą wojny, miasto już się nie podniosło do dawnego stanu. Ciała tych męczenników pogrzebione są gdzie dziś kościół i klasztor Bernardynów na Wulce.

Podczas sejmu 1791 roku, na sessji 30 Grudnia, P. Olizar poseł wołyński, wnosił, że miasto

Łuck nie było w stanie dania wyznaczonej nań liczby kantonistów, gdyż miało tylko pięćdziesiąt dymów mieszczańskich, a resztę żydowskich i karaimskich. Miasto obowiązało się oplać rekrutowe 1). Uczyniony popis ludności, w r. 1816 ukazał tylko 425 domów, a dusz mieszczańskich 2695.

Niżej w dodatku pomieścimy niektóre napisy grobowe kościoła katedralnego.

1) *Gazeta narodowa* 1792. 4 Stycznia.

W O Ł Y Ń.

Losy Wołynia, ustaliły się dopiero za połączeniem Litwy z Polską; wprzód ziemia ta przechodziła z rąk do rąk, zawojowywana, oddawana prawem lennem, odbierana przez Xiążąt ruskich i królów polskich. Nie tyle później dały się we znaki Wołyniowi najazdy i burdy kozackie, ile wprzód walka Kazimierza z Łubartem. Po przyłączeniu Litwy do Polski, długi trwał spór, czy do korony, czy do Litwy, miał się liczyć Wołyń; oba kraje rości-

ły do niego prawa, pokładały świadectwa kronik i głośno się oń dobijały na sejmach. Władysław król w r. 1434 ¹⁾ wołyńską szlachtę z koronną, w prawach wszelkich porównał. Potwierdził to Stefan Batory na koronacji swój w r. 1576. Zygmunt August w dyplomie danym w Lublinie roku 1569, Wołyń z dawnego prawa zaborów, do Polski należącym uznał. Za Kazimierza Jagiellończyka, Wołyń oderwany od Polski, do Litwy przyłączony. Trwał taki stan rzeczy do Unji 1569, a wówczas po długich sporach i zatargach, Wołyń znowu do Korony przyłączony został. Od tego czasu ustał urząd marszałków wołyńskich, a począł się szereg wojewodów, kasztelanów i innych urzędników ziemskich, ziemi wołyńskiej. Przed tém byli tu marszałkowie, był i urząd podskarbiech ziemskich, jak pokazuje Niesiecki z Bohusza w r. 1525. Zygmunt August potwierdzając przywileje Wołynia, dozwolił mu i utwierdził zwyczaj pisania tranzakcji po rusku.

Pokazuje się jednak z akt miejscowych łuckich, z uniwersału, w Kwietniu 1578 roku danego do wojewody wołyńskiego Xcia Wiszniowieckiego, że Wołyń aż do tego czasu sądził się jeszcze statutem litewskim. Województwo wołyńskie dzieliło się na trzy po-

1) *Niesiecki. T. I. 153.*

wiaty: łucki, włodziński, krzemieniecki. Sejmiki gospodarskie przedsejmowe odbywały się w Łucku, gdzie sześciu posłów obierano. Deputatów tych, wedle uchwały r. 1589 liczbę sześciu, korektura w r. 1726 do trzech tylko zmniejszyła. Herb Ziemi był krzyż biały w czernym polu 1). W r. 1589 dodano Orła polskiego na krzyżu. Między imionami wojewodów wołyńskich, pierwsze familje tutejsze występują: książęta Czartoryskie, Koreckie, Wiśniowieckie, Ostrogskie, Zasławskie, Sanguszkowie, Sieniawscy, Mniszchowie, Jabłonowscy, Stadniccy, Międzyńscy, Ledochowscy, Potoccy. 2).

Wołyń z Ukrainą i Podolem, za najżyźniejszy w dawnych posiadłościach Polski obwołany i nie bez przyczyny. Wielkie jego stepy okryte kłosami, nie tylko żywiły łatwo małą w proporcję ludność, która je obrabiała, nie tylko zasilaly zbiegających się tu poleszuków, zbierających za siódmy i ósmy snop; lecz ożywiały jeszcze handel zbożowy na morzu czarnym i bałtyckim. 3).

Żyzność Podola, Ukrainy i Wołynia zdawna

1) Bielski. *Paprocki*.

2) *Niesiecki*. T. I. 154. 155.

3) *Malte-Brun Tabl. d. l. Pol.* 1807. 245.

jest sławną. Meyerberg miał czas uważać ją w ciągu swjej podróży, a obcy pisarze, wiele o niej bajek napletli. Tak naprzykład pisze Gracjan, a Burgo S. Sepulchri 1), że raz ledwie tknięta plugiem ziemia, pięćdziesiąt ziaren daje. Przesadza i Opaliński 2), a jeszcze bardziej pono, o dwóch z jednego posiewu zbiorach pisać Miechowita 3). Jednakże dzieje się coś podobnego na Podolu i Pobereżu, bo gdy zbierając zboże zbyt dojrzałe, wysypie się, często w roku następnym zbierają z niego znaczny plon, zowiąc to *padalicznem*.

Inni opisujący cudowną żyzność Wołynia, wspominają o rosnących w stepach trawach tak wysokich, że w nich się dorosły ukryć może mężczyzna 4), że z nich ledwie rogi widać ogromnym wołom tutejszym 5). Nie są to wszakże trawy, lecz bodiaki, chwasty grubiej lodygi, różowo kwitnące, rodzaj ostu.

Inni tak żwawą wymyślili tu vegetację, że według nich, plug na parę dni zostawiony w polu, trawą się pokrywał 6). Mało z opisują-

1) *Życie Commendoniego*.

2) *Polonia Defensa*.

3) *Gerhardi Mercatoris Atlas*.

4) *Chronica Mundi. Norimbergae 1493*.

5) *Guagnin*.

6) *Munsterus. Cosmographia ap. Rzeczyński*.

cych cuda owe, wspomniało, jak ciężka jest uprawa téj ziemi. Opaliński w swojej *Obronie Polski*, najbardziej się uniósł nad żyznością Wołynia, dowodząc jęj, niezmierną tutaj tannością pldów, opisując wielość stért zimą i latem po polach nakształt wież kwadratowych stojących. — (Porównanie do wież nie zdaje się nam trafne).

Wspominają dawni pisarze o jednym obywatelu z pod Ostroga, który dwa tysiące czterysta korcy jagły w r. 1716 do Gdańska dostawił; lecz nie wiem, bo nigdzie o tém nie slyszalem, czy prawda co piszą, o sklepach kutyh w ziemi i wypalanych potém, przeznaczonych na skład zboża.

Palenie gnojów, jako niepotrzebnych na nawóz, wszyscy pisarze za osobliwość wzmiankują; ale to na całym Wołyniu nie ma miejsca. Nie wzmiankują, że gnój użyty bywa na opał także, lub sypanie wałów, które zabezpieczają ogrody, służąc zamiast plotów 1).

Wołyn obfituje w różne użyteczne rośliny, wyliczone przez Rzeczyńskiego, a w znacznej części wspólne mu z Litwą i Polesiem 2). U-

1) O urodzajności Wołynia około Zaslavia i Ostroga obacz w *Rzeczyńsk* i *Auct.* 122.

2) *Auct.* Opisuje obserwowane około Ostroga (132)

prawa tytoniu, dawno tu jest znajoma i pospolita. Ta roślina, która za Władysława IV była jeszcze osobliwością szklarni królewskiej 1) pod nazwaniem *ziela tabaki*, Nicotiany, *Herba S. Crucis*, *Herba Sana* i *Herba Sancta*, której początkowe używanie tak żwawej polemiki było powodem, przeciw której pisano i u nas; — już za Jana III wojsku rozdawana być poczęła, razem z innemi racjami. Wołyn i Ukraina najpiérwój podobno uprawiać tytuń zaczęły, potém Prussy 2). Cena tytoniu w r. 1721 była za pud, groszy cesarskich dziesięć.

Rzeczyński cytuje wykopywany na Wołyniu rodzaj tłustej gliny (*Cimolia terra*) koło Zasławia, Jahodna, nad Cwentolą, w Sudyłkowie, Sławucie, Pliszczynie, z której robiono fajki, używano jęj za grunt do pozłoty na drzewie, nawet do prania i na farfur. W wielu miejscach kopią wapno, wyrabiają kamienie młyń-

H. IV. Curiosa, 84, 85. spis ich cytuje: *Dictamnium album*, *Capillus Veneris*, *Muscus Capillaris*, *Doronicum*, *Elleborus niger*, *Cyperus inodorus*, *Glycerhiza*, *Officinarum Liquiritia*, około Boremla i Ostrożca. *Polypodium Quercinum*, *Scolopandria*, *Scordium*, *Trifolium aquaticum*, używane jako antyskorbutyk i w wielu innych słabościach.

1) *Jarzemski*.

2) *H. Curiosa* 93. 94.

skie, dostają glinki białej, żółtej, czerwonej i gipsu, są rudy żelazne bogate, dostają nawet z ziemi ulamków bursztynu.

Sławne są stawy wołyńskie 1), największe pod Dubnem, Klewaniem, Zaslawiem, Lachowcami, Żukowem, Połonném i t. d. Zbierają też na Wołyniu znaczną ilość miodu i wosku, którzy do Pruss i Szlązka handlują. Miód ma być w syceniu, od innych miodów sytniejszy 2).

Mimo urodzajów i żyzności tutejszej, zdarzały się tu głody. Ma to bowiem do siebie ziemia wołyńska, że w nieszczęśliwe lata, gdy nie urodzi; klęska jest straszna, bo ani kłosa, ani trawy na polu nie będzie.

W r. 1699 głód był tak wielki, że ludzie z niego puchli i umierali. To się przeciągnęło w roku 1700, a Rzączyński dodaje, że przez lat siedem potem, jeszcze się głód czuć dawał 3).

Trzęsienia ziemi czuć się tu dały, w latach:

1605 takie, że naczynia ze stolów spadały, a ludzie śpiący, z łóżek.

1620, we Lwowie, Kamieńcu, Lucku, Haliżu, lekkie, w Wołoszech cięższe.

1) *H. N. curiosa* 163.

2) *Auct.* 491.

3) *H. N.* 371.

1637 w Lutym na Wołyniu, trwało przez całe *Ojciec nasz* 1).

1789 Pamiętne na Polesiu i Wołyniu, w Kwietniu, na trzeci dzień Wielkiej Nocy, dość silne, gdyż się większe nawet budowy trzęsły.

1801 dnia 14 Października, w okolicach Konstantynowa.

1838 r. w Styczniu dnia 11 wieczorem. To ostatnie, jak wiadomo, rozciągało się bardzo daleko i prawie jednocześnie czuć się dało w znacznej części Europy.

W roku 1638 było na Wołyniu morowe powietrze 2).

W r. 1631 zalów wód taki w Polesiu i Wołyniu, na wiosnę, że gdzie nigdzie wierzchołki tylko drzew, z pod wód wystawały 3).

W tym roku 1839, wielkie szkody porobiły także letnie zalewy, których przyczyną były długie deszcze.

Śniegi nadzwyczajne, spadły w 1721 roku w Marcu, w roku 1838 także, Szarańcza ukazała się tu w Sierpniu roku 1710 i nie tylko powstałe jeszcze na pniu zboże zjadła, lecz świeże posiewy. Z zostawionych jaj, na rok następny, powstały czarne chmury tego owadu.

1) *Kwiatkiewicz, ap. Rzączyń. H. N.* 425.

2) *Kwiatkiewicz. Życie Anny Ostrogińskiej.*

3) *Rzączyński. 403. (H. N.)*

Koło Połonnego pełne były ich chaty. W roku 1719 taż sama klęska koło Niemirowa i Lwowa.

Pełen cudownych wiadomości Rzączyński, opisuje, że w roku 1704, pokazały się jakieś linje czerwone po budowach, w różnych miejscach w jednym czasie i w jednej od ziemi wysokości. Dawne gospodarstwo Wołynia przegląda gdzie nie gdzie w opisach Rzączyńskiego. Owce do których chowu i poprawy tak się dziś rzucili wszyscy, składały i dawniej ważną część gospodarstwa. Cenna nawet była wełna z Polski pochodząca. 1) Opaliński liczył w Polsce 30,000 owiec 2) tamże pisze, że jeden możny pan bierał corocznie za wełnę po 100,000 złotych. Wyprowadzano są do Szlązka, Brandeburga, Saxonji, Pomorza, Pruss i morzem do Anglii, Hollandji, Francji. Najlepszą wełną sławne były wsi Jarogniewice i Morków, której do fabryk sukna w Lesznie, Wschowie, Rawie, Międzyrzeczu, Szmigle, Czarnkowie, Bojanowie, Zdunach, Swarzędziu, Irzcianie i t. d. poszukiwano, 3) strzyżono dawniej owce dwa razy, w Maju i Wrześniu, gdzie indziej raz tylko na wiosnę. Lepsze wełny były pruskie, naj-

1) Puffendorf, *Introd. ad hist. Regnor.*

2) *Polonia defensa contra Barclaitum.*

3) *H. N. C.* 242. 243.

grubsze a najdłuższe na Wołyniu, Litwie i Rusi. Na Karpatach pasły się wielkie owiec stada, z których nie tylko wełnę, lecz mleko, a z niej rodzaj sera, zwany *bryndzą* przedawali posiadacze. Taką bryndzę robią i na Podolu.

Często się zdarza słyszeć na Rusi i Wołyniu, połajanie u pospólstwa zwyczajne — *Hadyna*. (Gadzina) ciekawé u zapewne będzie, jak Rzączyński 2) opisuje tę Hadynę, dając jej Wołyn za ojczyznę — „Dziób ma, pisze, zielonawy, wielkość gęsi, nogi i język czarny, z resztą podobna do niedopérza, z ogonem węzowym, w końcu strzałą zakończonym.“ Ten opis bardzo przypomina Bazyliuszka w Johnstone i innych dawnych naturalistach. *Hadyna* lata po polach i biega. Dziwy o niej prawi ojciec Iezuita, lecz te dziwy, jako zebrane z ust pospólstwa wieści o *Hadynie*, zajmują.

Mówiliśmy już, że Wołyn, z ziemią chełmską, długo należał do xiążąt ruskich. Nazwisko Wołynia wywodzi Naruszewicz 1) wedle powieści Długosza od Zamku Wołyn, gdzie dziś gródek, mieści na koło Rubieszowa u Buga. Chwalczewskiego kronika, nie dawno wydana, imię Wołyn, Wolina, daje Łuckowi a to jest

2) *H. N.* 255.

1) *Naruszewicz. T. II.* 470.

daleko prawdo podobniejszém. Domysłem Naruszewicza, przyszli tu w IV i V wieku i osiedli z za Wołhy, Wolhanie, Wolanie, Wołynianie. Konstanty Porfirogenetes, wylicza w X. wieku, tutejszych mieszkańców, Derewlan (Derblenini) Dregowicz (Drugubitani, koło Drohiczyna nad Bugiem) Wołyńców (Ultini) Krzywicz, na Polesiu u Horynia gdzie i dziś Krzywica, sławna garnkami, Łucz (Lenzenini) nad Styrem. Za czasów Długosza, Wołyń mieścił w sobie ziemię chełmską i łucką. Za Bolesława chrobrego, powiat łucki, liczył się także z Wołyniem. Za Bolesława śmiałego w księstwie włodzimierskiem, zamykała się ziemia chełmska, powiaty włodzimierski i łucki. Kromer już to księstwo, ogólnie Wołyniem zowie. i t. d. 2)

Wołyń i był i dzisiaj jest jeszcze, krajem panów i możnych; teraz dopiero, ogromne ich dobra, rozdrabniające się na coraz mniejsze, dzieląc się zaczynają, na drobne posiadłości szlacheckie. Tu nic pospolitszego dawniej nie było, nad księcia, hrabiów i mających pretensje do hrabiostwa, pełno ich wszędzie, na pieczętkach same mitry i dziewięć perłowe korony. Znaczniejsze familje, tu miały gniazda swoje, swo-

2) Długosz. Kromer.

je zamczyska, od których się zwały i obszerne dobra. Wymieniliśmy dawne księstwa Wołynia, mówiąc o diecezji łuckiej. Mało tu drobnej szlachty, wsi niewielkich i domków małych. Jaśnie Oświeconych; Jaśnie Wielmożnych pełno wszędzie. Tytuł ten jest na Wołyniu, czém koltun w Pińsku, rzeczą bardzo pospolitą, a czasem nie wygodną. Jadąc, widzisz wszędzie pałace, parki, modne powozy, piękne zaprzęgi, a tuż obok, lud dosyć biedny i uciskany, który tylko żyzność ziemi ratuje i to mimo wiedzy panów, o dobry byt wieśniaka, rzadko dbałem się okazujących. Nie wiele z tego wyjątków. Obyczaje ogółu szlachty, tchną bardzo duchem zaszczepionym tu odwiecznie przez wpatwienie się w możnych. Nikomu nie chce się być niższym od drugich, okazać się uboższym, każdy się sady na zbytek, na powozy, liberję, domy z cyframi na frontonie i pieczętki z mitrami. Nie dziw też potem gdy majątki się rozdzielają, sprzedają, a wielcy owi panowie bez kawałka chleba na starość zostają, z pieczętką tylko i zgryzotami; gdy widzisz puste skielety pałaców walących się, bydło pasące się po zarostach chwastami ogrodach i śmierć tam, gdzie przed chwilą było zbyteczne życie. Świat tutejszy bardzo jest modny; ceni wysoko wyrocznie paryzkich żurnalów, mówi o nowej Literaturze, lubi się wesoło bawić i po-

drożować za granicą. Xiążki i tu jak w wielu innych okolicach, są po większej części meblem w salonie, leżą nie rozcięte dla proporcji i okryte pyłem. Muszą je mieć dla przyzwoitości, bo wszyscy je mają; ale potrzebę czytania, nie bardzo tu jeszcze powszechność czuje. Rozumié się, że są wyjątki, lecz nam ogół raczej małować należy. Co się tyczy polskiej literatury, Wołyń oddalony od Warszawy i Wilna, tych dwóch ognisk głównych, rzadko co nowego prędko dostaje, rzadko się o co stara. Ci, co umieją języki, ci mianowicie co szczebiocą po francuzku, nie zniżają się do czytania xiążek polskich, które jedném słowem, jednym uśmieniem potępili! Możeż być co dobrego po polsku, a nadewszystko czyż to czytać można? czyż można w tém smakować? — Wielu wołyńskich panów ma piękne biblioteki, kosztowne obrazy, lecz kosztowniej jeszcze powznoszone pałace, pozakładane parki, których utrzymanie tak jest uciążliwe, a piękność tylu podlega rozmaitym tłumaczeniom i krytyce. Obrzędy weselne odbywają się na Wołyniu po większej części z przepychem i zachowaniem wszystkich dawnych ceremonji i zwyczajów; ale młodzież nie wszystka się żeni; nie tak jak w poczciwszej Litwie, gdzie małżeństwem dopiero dopełnia się człowiek. Nie wiem czy wpływowi literatury XVIII, wieku która tu miejscami jeszcze ma

wielbicieli, czy romansom francuzkim XIX. czy jeszcze czemu innemu przypisać potrzeba, ten wstręt do stanu małżeńskiego. Mianowicie młodzi, chcą się wprzód doskonale wyszaleć, nim na się wrzuca, to, co pętami zowią. A gdy się wyszaleją i ostygną, tracą zdrowie w rozpuszcie i dopiero się ożenią, gdy już nic niemają do stracenia; uważmy jak piękne skutki takich małżeństw być muszą! rachityczne dzieci i swary w domu. Jeśli nie coś więcej jeszcze, o czém już i mówić nie chcę. — Lecz ktoż przekona młodych, że najlepsze *użycie świata*, jest w spokojném i cnotliwém pożyciu domowém, nie w brzydkiej choć powabnej rozpuszcie. Późniejsze małżeństwa, usprawiedliwiają przysłowie, że przed dwudziestą pięcią laty sam się człowiek żeni, do czterdziestu ludzie żenią, a po nich i sam djabeł nie ożeni. Otoż w tym perjodzie gdy ludzie żenią, pospolicie tu się kleją małżeństwa, są więc zimne i wyrachowane, jak każda spekulacja, pierwszy w nich wzgląd na materjalne korzyści *vulgo* pieniądze, które dla zamałowania oczu zowią się zapewnieniem niepodległości na przyszłość, to jest zabezpieczeniem się od pracy i starania o siebie. — Ten warunek *sine qua non*, naprzód się uważa, a reszta już *jakoś* będzie!! I *jakoś* jest.

Szlachta uboższa od szlachty bogatěj, która

przybięra szumny tytuł panów, dzieli się wyraźnie jak dwie odmienné barwy i własności, warstwy ziemi. Tu jeszcze cywilizacja nie zrównała tych dwóch klas i po większej części ubożsi są mniej dobrze wychowani, co ich okrywając śmiesznością, od drugiej wyższej warstwy oddziela. —

Są tacy panowie, którzy widząc ogólny pęd ku wystawnemu życiu, przepychowi i t. d. zechcieli się odznaczyć skromnością i prostotą, rzucili się do spekulacji, stali się handlarzami, fabrykantami, spekulatorami. Piękny to przykład czynności i pracy, ale staranie o nabycie majątku, nie powinnyby jednak wysuszać zupełnie uczuć, tworzyć odludków, samo lubów i brzydkich skąpców. Niestety! miłość pieniędzy, tak jest prawie przeciwna miłości ludzi, że je trudno z sobą pogodzić. Nima prze-myślniejszego narodu nad Anglją, ale tam miłosierdzie i litość zostawione są izbom, które fundują azyla, szpitale, domy pracy i ustanawiają taxę dla ubogich; a nędza z wyciągniętą ręką nie wycisnie ani pensa nad taxę z kieszeni John Bulla. Zajęcie się spekulacjami, projektami ulepszeń, ekonomją polityczną, chęć wzięcia wszystkiego w kluby normy, w przewidziane ustawami wypadki, oziębiają człowieka, a jeśli się potem zdarzy komu być biednym nie według prawideł, potrzebującym li-

tości prywatnej, pomocy, a bardziej jeszcze pomocy i społecznia, odsyła go ekonomik do azylów, do domów roboczych, do szpitalów, gdzie prawna litość (*charité légale*) suchą i zimną ręką zatula rany, lecz je nie goi. Człowiek im większy robi porządek na ziemi, tym dalej jest od prawdziwego porządku, najpiękniejsze jego pomysły są niedostateczne, bo on tylko materją ma w rękę, do której przywiązać ducha, nie w jego jest mocy.

Ten ustęp mimowolny, nie da się całkiem do Wołynia zastosować; tu jeszcze spekulatorowie, na wielką skalę, ekonomiści, utylitarjusze są jeszcze rzadkością i wyjątkiem. Jednakże, skutkiem zapewne wpływu spekulacyjnego ducha, zapomniano tu, osobliwie po domach zamożnych, pańskich, że kiedyś w charakterze naszym była gościnność, że w tym kraju dawniej posłańcem Boga, gość się nazywał. Pozorna jakaś półcywilizacja, duch handlarstwa, skępstwo idące w ślad za myślą zysku, wygnały starodawną gościnność. Owo przysłowie: — Czém chata bogata, tém rada — którebym na drzwiach każdego domu napisał, gdzie jeszcze choć ślad dawnych obyczajów pozostał, nad drzwiami każdej izby jadalnej, gdzie jeszcze jadło jednakie wszystkim podają; owo przysłowie, już dziś chyba dosłownie do chat się da

zastosować, a u zamożniejszych ustąpiło świeższemu.

Dla siebie tylko żyjem.

Zapewne są wyjątki, ale to szkoda że to są już wyjątki tylko! W większej części domów, gospodarz nie da ci objadu, gdy tylko w pół godziny po jego kanonicznej przybędziesz porze; nie ustąpi ci, ani cząstki swego półmiska, który starannie zachowany czeka w szafie, póki gość nie wyjedzie. Wstyd wspomnieć, że to się właśnie dzieje tam, gdzie by gościnność była najłatwiejszą, gdzie Bóg dał czém przyjąć. Gość, mawiali starzy, zesłany jest od Boga, ubogi czy bogaty, stary, czy młody, nie wiem kto on jest, zawsze jest gościem. Gościa dawniej przyjmowano czém najlepszem w domu — ale u tych zajętych bursą, procentami listów zastawnych, fabrykami i miljonami swémi, panów, gościom jak psoni daje się co jest najgorszego w domu. Psami też nazwać można tych, co temn upokorzeniu naginając głowę, bywają po domach, w których kwaśna mina gospodarza i kwaśne wino, zastąpiły dawne otwarte, proste, serdeczne przyjęcie. Nie chcę ja od nikogo wystawy, nie chcę nic przesadzonego, lecz niech się dzieli tém, co sam używa, a wówczas przyjmę chleb razowy. U chłopka mléko i kaszę, u szlacheica piwo i jajecznicę, u panka wino które sam pije i sztukę mięsa, którą sam jada u Jaśnie Wielmożnych i

Oświeconych, też trufle, bażanty, ostrygi chcę mieć, które sami używają — inaczéj nie powiem, że są gościnni. Gościnność dzieli się ostatnim chleba kęsem, dzisiejsza tych panów ledwie się zwać może jałmużną, a któżby zaś umierając z głodu, przyjął taką jałmużnę!

Dziś o dziś! szukaj ze świecą téj gościnności charakterystycznej dawnych lat. Przyjeżdżasz, meldują cię, czekasz, wchodzisz, zimno witają i po suficie patrzą, konie twoje jeśliś nocował, odsyłają do karczmy, nie turbuj się na-
zajutrz o koła, nikt ci ich nie pozdejmuje, chyba żyd, jeśli mu za nocleg nie zapłacisz, chyba wielki drażał kamerdyner, jeśli mu za podanie szklanki herbaty, nie zostawisz kilku złotych, które pogardliwie włoży do kieszeni; nie turbuj się, nie przymuszają cię do jedzenia i picia, do zostania na dłużej. Samolub rad tylko sam z sobą, gotów wyjechać z domu, a przynajmniej konie zaprządz, żeby się ciebie pozbyć. U stołu przed nim Bordeaux, przed tobą stawia jakiś kwas czerwony, a potrawy dzielą, według metody Damona:

Wątróbka dla mnie, a pępek dla gości.

Reszta w tym sposobie.

Spieszmy jednak powiedzieć; nie wszędzie tak jest, nie wszędzie, tylko im większy pałac, im piękniejszy park, tym pewniejszy być możesz, że to znajdziesz we środku; że pan sam

stołuje się w swojej austerji i płaci od osoby; a gościom rad, jak chorobie lub burzy. Natomiast im niżej, tym gościnniejsza, serdeczniejsza ręka cię wita.

Lecz w zamian za dawną gościnność, jest tu do dziś dnia dochowana, XVII. wieku zabytek, Junakerja.

A wiecie co to jest Junak! Jest to figurka mała, krępa, czarna, wąsata, niegdyś kawalerzysta, żołnierz, teraz gospodarz. Pije, je, bije, łaje, poluje i nikogo się nie boi. Najpotrzebniejszym mu do życia narzędziem codziennego użytku, jest batóg, odświętném pistolety. Junak ma piękne i dobre konie, którym gotów łby postrzelać, gdyby się pod nim potknęły. Amatorstwo pięknych koni, jest na Wołyniu dość pospolite, są nawet stajnie w których berejtera anglika a żrebca turka lub araba znajdziesz. Ale koń junaka nie jest to wielki, piękny koń rassy, czystej krwi, jest to kozacki biegus, żywy, zwinny, nóg pewnych, a nadewszystko ognisty. Junak zawsze trzyma kozaków. Dawniej na Wołyniu mieli ich wszyscy, dziś tylko panowie i junacy. U pierwszych są to słudzy w kozackim stroju, w burkach, kurtach, kołpakach i szarawarach, którzy jeżdżą za powozem lub służą do posylek; ale u junaków, kozacy stanowią jeszcze reiment choć szczupły i mają atamana. W jednym miejscu widzieć

jeszcze można (choć nie u junaka) taki reiment zaciągający codzień wartę na noc przed Jaśnie Wielmożnego pana skarbcem i sypialnią. Kozacy mają zwykle sobie właściwe charakterystyczne nazwiska—Dziuba, Dżęga, Dubina, Kłos, Jahoda i t. p. Ci ludzie nawykli do biernego posłuszeństwa, na rozkaz pana, gotowi są bić, zabić, utopić, zastrzelić, słowem bez żadnego wyjątku uczynić, co rozkaże. Opisać wszystkie awantury, pełne dzikiego szaleństwa, jakich się z czeredami kozaków junacy dopuszczali i dopuszczają, ani podobna ani potrzebna. Z westchnieniem tylko dziwić się należy, że cywilizacja, którą Wołyń w siebie wsiąka, która tylko polomu powierzchowny daje, nie ruguje ze środka nic złego, nowe złe tylko dodając. Choć junacy nie są już rzeczą pospolitą, jednakże znaleźć ich jeszcze można. Omijać potrzeba ich dom podparty i brudny, ich psy złośliwe, kozactwo rozpustne, ich pola, ich drogi. Biada psu, co się zagoni w ich knieje, człowiekowi, co się do lasu wkradnie. Minęły już wielki panowania siły fizycznej, w których ona stanowiła prawo, słusność, zastępowała sądy, i domierzała sobie sprawiedliwość, dziś kto się dopuszcza gwałtu, dowodzi, że nie zna życia, nie rozumie teraźniejszego świata, dowodzi że jest na stopie zwierzęcia, dzikiego jeszcze. Szczęściem codzień niepodobniejszym staje się

życie junackie, chociaż młodzież radaby je wskrzesić; nie mając żadnego lepszego zatrudnienia, nad spędzanie żydów po drogach, zajęcy po polach i ściganie nieszczęśliwych włościanek, na których plecach, często pierwszy miłości pańskiej dowód, kładnie bizun lub kij.

Wieśniacy wołyńscy zachowali dawne obyczaje swoje, ubiory i zabobony. Mężczyźni wcześniej zapuszczają brody zupełnie, co ich fizyognomje czyni dość ponurými. Młodzi zachowują zwyczaj nie golenia brody, w czasie niektórych postów. Noszą siermięgi brunatne, niektórzy białe lub szare, oszyte czerwónymi sznurkami dokoła, przy kieszeniach, kołnierzu i rękach; pasy czerwone, buty, czapki barankowe lub sukienne oszywane także sznurkami. Z tyłu świty czyli siermięgi, przyczepiony jest kaptur (wojłóg) także oszywany misternie sznurkami, nieużyteczny ciężar przez większą część roku, który nasuwają na czapkę w czasie słoty. W Pobereżu noszą chłopcy zamiast kaptura, kawał kwadratowy sukna, uczepiony na plecach. Kobięty stroją się w buty żółte lub czerwone, na wysokich korkach, spódnice kolorowe w kraty, żółte, zielone, czerwone; kaftany krótkie lub siermięgi. W wielu miejscach zamiast całej spódnicy, używają tylko dwóch płacht zwieszonych od pasa, jednej z tyłu, drugiej z przodu. Dziewczęta na

głowie noszą na łubku kwiaty lub kupki wstążek, które wtył spadają; zameżne obwijają głowę chustką kolorową lub namiotką, której końce wyszywane wzorami, na plecach wiszą. Koszule przy kołnierzu i rękawach, białe, czerwono, niebiesko, suto w desenie są szyte. Na wierzch całego stroju, we święta kładną bekiesze, z niebieskiego sukna, podszyte siwými lub czarnými baranami. Powszechnie kobiety wołyńskie nie są piękne, lecz mężczyźni młodzi bardzo urodziwi i dobrego składu ciała.

Byłem świadkiem części obrzędów jednego wesela, na które przybiegłem w chwili, gdy państwa młodych przeprowadzano do chaty. Liczne grono ich odprowadzało. Cymbalista i skrzypak, chłopcy, nie zle im skoczne kozaki grali. Jeden niósł ogromny korowaj, na którym rącznikami i wstążkami przewiązana, wetknięta była gałąź sosniny. Powszechnie gałęziami tego drzewa stroją i tu, i na Podolu weselny piróg, dla wiecznej zieloności jego; lecz że sosna na Wołyniu już nie rośnie, czumacy wracający z Polesia i Litwy, przywożą gałęzie sosny, jak gościńce do domu. Długo wesele stało przed chatą, długo grali i śpiewali, nim się doczekali wyjścia matki. Wprzód przygotowano stół, a na nim bochen chleba, ręcznik, wódkę. Wesele nuciło pieśń, której zwrotkę tylko, aż do wyjścia matki nuconą, pamiętam.

Ej swatu, swatu,
Puści nas w chatu.
My tobi nie dokuczymo,
Tolko szaty peresuszymo.

Mówiono mi, że na jakąś nie wiem, pamiątkę, panna młoda bierze zwykle ślub w brudnej koszuli i spódnicy. Ma-li to znaczyć, jak się domyślam, że od roboty gwałtem porwana została, tak, że nie miała czasu się ubrać.

Nareszcie wyszła świekra w wywróconym do góry włosem kożuchu, co podobno ma oznaczać przyszły dla nowożeńców dostatek, czyli nie wiem co z resztą. Wzięła flaszkę, piła wódkę przez ręcznik, rzucała jej resztę przez siebie w tył, potem kieliszek stłukła o ziemię. Wszystko to są dziś nie do wytłumaczenia symbole. To częstowanie na podwórzu, przed zakrytym stołem, odbyte z powagą, miało minę jakiejś ważnej ceremonii. Zawróciła się świekra, wesele weszło za nią do chaty, wniesiono korowaj, ledwie mieszczący się w niskie drzwi lepianki. Za gośćmi wsunął się skrzypek i cymbalista i wszystko się dla mnie skończyło.

Chaty na Wołyniu są czyste i porządne, chociaż po większej części budowane z drobnych drzewa kawałków i gliną polepione; lecz wybielone czysto, z przyzbą, otoczone drzewkami i płotem z ziemi i gnoju. Ten ostatni materiał wcale nie zdobi; lecz w braku drzewa, z którego gdzie indziej stawiają dębowy *tyń*, muszą

go używać. W chatach słomą, a dalej w bezleśniu łodygami chwastów, kukuruzy i suszonym gnojem palą. W stepach, słyszałem, zamiast poleskiego łuczywa, świeci łodyga polnej dziewanny. Lud wołyński ma minę smutną, pokornie się kłania, a nawet do nóg pada, za najlżejszą pomoc lub dobre słowo. Pieśni ludu nie są wesołe, prócz kozaka, a i tego chociaż rytm żywy, muzyka najczęściej melancholijna i posępna. Nic dziwnego, że dawniej tylu napadom, wojnom, zniszczeniom, podległy kraj, zachowywał klęsk swoich pamięć w pieśniach. Obchodzenie się panów z poddanymi, mogło się też do tego przyczynić. Lud posłuszny i dobry, przy powolnym obchodzeniu się z nim, dumny jest w sercu, urazy długo pamięta, czyha na chwilę zemsty. Panowie zapominający, że i oni są ludźmi, często życiem przyplacają swoje nie-ludzkie obojętności z niemi. Lecz nawzajem, coż za przywiązanie do dobrych panów, co za uczucie wdzięczności, jaka jego trwałość! Wiarą w czarownice i siłę ich, trwa tu niezachwiana. Przypisują im wszystko złe, które się we wsi zdarzy. Opowiadano mi, że świeżo jeszcze, w czasie suszy pławiono baby, aby tym sposobem deszczu się doprosić. W aktach sądowych łuckich, dziwna zabobonność ma się znajdować pamiątka. — Dekret na czarownicę, wyświecający następny wypadek.

Raz baba mieszając ciasto na chleb, gdy jej do tej ważnej roboty przeszkadzało cieło, u-wijające się poufale po chacie, zawołała w złości:
— Bodajesz przepadło!

Cieło w tejże chwili przewróciło się i zde-chło. Baba pobiegła ujrawszy to, do okienka, i naznaczyła na niem węglem cień od słoń-ca, postanawiając sobie użyć swego odkrycia, rozumiejąc, że ile razy słońce taki cień rzucać będzie, słowa jej równie będą skuteczne. Tym tedy sposobem zwyczaj miała, gdy słońce ten sam cień rzucało, o tej samej porze przeklinać wszystkich swoich nieprzyjaciół, których wie-le pogubiła, jak potem sama zeznała. Odkryto wreszcie czary i babę ścięto!!

Że się ta wiara w złość i moc czarownic do-tąd utrzymuje, świeżym dowodem będzie za-ręczenie chłopów (gromady), wydane ekono-mii wsi Bobrycy (w żytomierskiem), które z o-ryginału dla osobliwości wypisujem.

— „My niżej na podpisach wyrażeni, gro-mada wsi Bobrycy i Kijawki, dajemy tę porę-kę ekonomii bobryckiej za Pryskę Czyżychę, wdowę, zapewniając też ekonomję, że odtąd swarów, przekleństw, bitwy i przechwałek publicznych, że jej dzieci wolno bić, a niewistkę i zabić ma prawo;— nie będzie. Od młodych jej lat wiemy, iż była niespokojna, co z latami wzrosło bez granic. Kto czarować umie — Czy-

życha; makiem osypywać — Czyżycha; osno-wywać — Czyżycha; podlęwać — Czyżycha; plaksy nasylać — Czyżycha; zawiązki czynić w zbożu — Czyżycha; pierwsze niedziele w mie-siachu na czyjś upadek pościć — Czyżycha (1); Zapomniawszy się o Bogu, Stwórcy swoim, wpadłszy w ostatnią wściekłość, bluźnić, wy-rządzać zwykle szkody i psoty, jako z opowia-dania wielu ludzi w ekonomii słyszeć się dało, a dla swęj złości niepohamowanej, nie może mieć między sąsiadami przyjaciół, każdy się jej kija, języka i czarów boi. — Że już odtąd po-przestanie przy swoim podeszłym wieku tych wszystkich niegodziwości, jak się wyżej po-wiedziało, czynić, zaręczamy i t. d. — Dnia 2 Lipca 1832 roku. 2)

1) To mi przypomina bardzo charakterystyczne *dic-tum* pewnej kobiety.

— Daj na Mszę, będę krzyżem leżec, żeby ciebie djabli wzięli.

Doskonałe pojęcie Religii!

2) Podpiay tego śmiesznego aktu były następujące!

Kalenik Soroka †	Onopryj Pryjmak †
Iwan Gurburz †	Harasym Omelczuk †
Pawło Kosyński †	Hryčko Chomeńko †
Prochor Kornijczuk †	Apanas Sawczun †
Wasyl Kaniuka †	Łukjan Stečków †

Pryjmak zowie się parobek do chaty przyjęty, za którego gospodarz wydał córkę i razem ich przy sobie trzyma.

MLYNÓW, DUBNO.

Jadąc do Dubna, miałem przyjemność być w Młynowie, u hrabiego Alexandra Chodkiewicza, znanego z uczonych prac swoich, a mianowicie z wydanego dzieła o chemii. — Piękne położenie Młynowa, którego stawy już Rzeczyński wspominał, pałac, ogród, nie tyle mnie tu wiodły, ile ciekawość poznania gospodarza i widzenia jego historycznych zbiorów. Pałac młynowski, wśród wysokich drzew, na wzgórzu nad wodą zbudowany, w stylu XVIII wie-

ku; przyjeżdżającemu z daleka, pańską zapowiada rezydencję. Salon jeden dolny, w którym siedzieliśmy, ozdobiony był zupełnie smakiem przeszłego wieku. Wszystko w nim doskonale się z sobą godziło i zdało mi się przez chwilę, że na kilkadziesiąt lat w tył się cofnął, takie wrażenie czyniły na mnie ozdoby salonu. Z niego prędko, łaskawy gospodarz, przeprowadził mnie do ciekawego zbioru rękopisów swoich. Zapewne znajomość z Czackim i innymi uczonymi, mniej skrupulatnymi, a zapalonymi miłośnikami pamiątek krajowych, była powodem, że hrabia z niezmierną ostrożnością, swoje skarby mi ukazywał, jakby się z mojej strony jakiego przywłaszczenia lękał. Nie dziwno mi to było, gdyż nasi literaci bez ceremonii zwykle zabierają wszędzie, co im do smaku przypada, wymawiając się, że myśliwemu psa, a literatowi xiążkę ukraść wolno; ale według mnie przysłowie francuzkie

On prend son bien, partout, où on le trouve.

służy tylko Francuzom, nie nam.

Przeglądałem rękopisma, z których najważniejszym, zdał się Statut po rusku z r. 1566 i drugi późniejszy polski. Przeszedł czas tak prędko, że krótka moja bytność w Młynowie, mignęła mi się tylko przed oczyma, jak przyjemne marzenie. Gospodarz najuprzejmiej wszystko co było najciekawszego pokazywał. W ręk-

kopismach porządek był uczyniony materjami i alfabetem, lecz dobrzeby było dodać jeszcze chronologiczny układ, któryby ułatwił wyznaczenie każdej pamiątki. Przejrzeliśmy wiele przywilejów z podpisami królów i listów znakomitych osób, większych familji historycznych litewskich, między którymi Chodkiewiczowie tak pięknie mają miejsce. Widziałem własnoręczny list Stefana Czarnieckiego (sic) do historyi ważny pomnik; wiele raportów wojennych Kościuszki (jeden z nich o bitwie pod Szepetówką); ułamki korespondencyi Szczęsnego Potockiego. — Znaczna biblioteka Hrabiego, wynosząca do 20,000 tomów, znajdowała się jeszcze naówczas w Warszawie. Najglówniejszym zatrudnieniem Hrabiego, były badania chemiczne, do których laboratorium potrzebne i maszyny posiadał. Właśnie w tym czasie cieszył się odkryciem ciężaru światła, o czem później nieco wydał w Wilnie rozprawę. Wiadomość o tém ważnym odkryciu, Tomaszem mnie znalazła; nie dla tego, żebym racjonalnie nie pojmował wagi światła, bo to jest oczéwista, lecz przekonanie o tém materialne znajdowałem niepodobnem, dla tego, iż środki doświadczenia, są bardzo niedostateczne, narzędzia za mało doskonałe. Wszakże i waga powietrza, tak była długo problematyczną, a nakoniec się o niej przekonano? czemuż i o świetle i o cieple

przekonać się podobnie nie mamy? Olbrzymim krokiem postępujemy w odkrycia — tu robia dżamenty z węglika, ten wolę zowie płynem nerwowym, Gall maca duszę po wierzchu czaszki, para wiedzie wozy, ludzie suchą nogą deptają wodę, słońce samo maluje obrazy i t. d. i t. d. nie jestże to już koniec świata? Bo gdy z przyrodzenia spadnie ostatnia tajemnica zasłona, coż my tu na ziemi robić będziemy? Na naszą pociechę, wiele jest jeszcze zasłon do odarcia, a gdy jedna się odkrywa, dwie na nowo zapadają!

Prócz mnóstwa przywilejów i listów różnych czasów, nie starszych jednak nad wiek XVI, pokazywał mi Hrabia inne jeszcze pamiątki, jako: buławę Gąsiewskiego, żelazną złoconą, na której niezgrabnie wyryto *Pro Deo et Patria Gosiewski Palat.*; — szablę, która miała należeć do Jana III. Oprawa jej nowsza, na główni z jednej strony herb Janina i słowa: *Cave a falsis amicis, salvabo te ab inimicis*; z drugiej krzyż i legenda wyzłocona: *Haec meta laborum.* i t. d.

Dziś właściciel tych pamiątek już nie żyje; ale cześć mu za grobem, że życia i imienia i majątku pięknie użył, poświęcając się naukom; dając przykład z siebie, pracując więcej, niżeli nawet ze swego towarzyskiego położenia, był obowiązany. Jako nagroda pracy, zostanie

wspomnienie po nim niepokalane; a imię jego w każdym umiejącym cenić pobudki czynności, uszanowanie wzbudzi. Bodajby przykład jego skutkował, szlachetniej zaiste spędzić życie na badaniach natury, na nauce, niż na handlarskich spekulacjach, którym się inni oddają; po nim zostało piękne imię, po tamtych tylko zostanie trochę pieniędzy, które dziedzice rozproszą.

Wyjechałem nad wieczorem z Młynowa, i rozmyślając o tém, co tu widziałem, dążyłem do Dubna, gdzie już w nocy stanąłem. Miasto to, o cztery mile od Brodów leżące, starożytne, dość dobrze zabudowane, ma jeszcze stary zamek, z mnrowanemi fossami, dawniej za niedobity uważany. We środku zamku są teraz mieszkalne nowe budowy.

Dubno położone jest nad rzeką Ikwą, poczynającą się u wsi Nakwasza, wpadającą pod Targowicą do Styru 1). Miasto to dawniej do książąt ruskich z Wołyniem należące, potem książąt Ostrogskich, dziś do Lubomirskich należy. Książęta mieszkają w Niewierkowie, rzadko i chwilowo tylko tutaj.

Kontrakty dubieńskie, które od r. 1774 poczęły się tu odbywać, to jest od odpadnięcia Lwowa, w zastępstwie dawnych lwowskich,

1) *Auct.* 197:

trwają od 15 Stycznia do 24 2). Wielu się tu obywateli zjeżdża; jest to chwila, w której Dubno najbardziej się ożywia. Malte-Brun liczy, że na tych zjazdach, zbiera się do 30,000 gości i zagranicznych kupców. Tenże zwykłą ludność miasta nad 6,000 dusz nie podnosi.

Z murów starożytnego zamku, jeden tylko stary bastjonek rogowy mnie zastanowił. Ratusz i kramy murowane; lecz w ciągu roku nie wiele tu można dostać towarów. Oprócz kościoła farnego, są Bernardyni i Karmelitki. Farny kościół i Karmelitów fundował książę Paweł Sanguszko, Marszałek W. L.

Dubno, jakieśmy już wspomnieli, należało do ordynacyi ostrogskiej i niejako stolicę jej stanowiło potem. Wedle konstytucyi 1667 r., zamek dubieński miał być zawsze gotowym stawić odpór nieprzyjacielowi najeżdżającemu Podole, opatrzone we wszystko i załogą umocniony. W roku 1753, gdy ordynacja ostrogska nieprawnie rozdzielona została przez X. Sanguszkę, dostało się Dubno księciu Stanisławowi Lubomirskiemu, podstolemu koronnemu, z obowiązkiem dawania 270 ludzi pieszych na potrzebę wojenną i obronę fortocy. Gdy później

2) Istotnie zaczynać się powinny dnia 6 Stycznia, to jest od Trzech Króli.

o podział ordynacyi sprawa się wytoczyła, kommissja z tego powodu naznaczona, zasiadała w Dubnie, zajętém przez Jenerała T. Mokronowskiego.

Z dawnych dziejów tego miasta, kilka tylko obłężeń pamiętnych.

Pierwsze w r. 1577 d. 4 Marca, gdy Tatarowie Wołyń najechali, których gnał xiaże Konstanty, brat Ilji X. Ostrońskiego.

Do Dubna schroniła się była córka jego, xieżna Katarzyna, panna, z wielą innemi pannami i paniami, o których wiedząc Tatarowie, myśleli bardzo, jakby je pochwycić dla okupu, lub do seraju pańskiego. Jakoż, podstąpiwszy pod miasto, zaczęli się przeprawiać przez staw na rzece Ikwie 1), ale ojciec panny Katarzyny, pamiętając o dziecięciu drogiem, wyprawił na odsiecz Dubnu syna swego, xięcia Janusza. Ten, jak się Paprocki wyraża 2), „acz natenczas miał „lata młode, ale serce onych dziadów sławnych „mężne i wspaniałe, wielkiej mu śmiałości do- „dało.“

Wybiegł tedy przeciw nim na groblę czerwiecką; na której końcu sparli się Tatarzy. — Orszak xięcia Janusza słabo na nich nacięrał,

1) Paprocki.

2) Paprocki. Herby. 351.

bojąc się strzał tatarskich, które zatrutemi mniemano. Aż gdy kilku sług postrzelono bardzo xięciu Januszowi, i dwóch z orszaku P. Siemaszki, podkomorzego włodzińskiego, cofnęli się wszyscy do miasta. Za nimi w pogoń poszło dwa tysiące Tatarów aż pod same zamczysko. Tu działa zamkowe postraszyły ich nieco, gdy kilkudziesiąt od wystrzałów poległo.

Xiaże Janusz wszedł do zamku. Następnie ciągnęły wielkie zagony Tatarów, ale widząc miasto obrotne i ludne, nie zaczęły go, ku Olyce zmierzając. Dopiero dnia 5 Marca rozłożyli się Tatarzy po wsiach okolicznych w Siedmidubiech, w Racynie, Pohorelcach, Torokanowie, Wzniesieniu, Iwanii, i tegoż dnia zaczęli się do miasta dobywać. Xiaże Janusz silny im dawał odpór. W tej potyczce zaraz zginęło wielu Tatarów, a z nimi zięć carzyka, którego pochowali pod Krasilowem.

Tegoż dnia Rusin, braniec, uciekły od nich do miasta, opowiedział o ich siłach i liczbie, o czém się nazajutrz dowodniej przekonano z ich zuchwalstwa, gdy zaczęli na stawie hacie płonki, chcąc się dostać do miasta. Działa zamkowe zabijały ich wielu, ale w dalszych miejscach, gdzie ich wystrzały nie dolatywały, po-przechodzili pieszo z łukami i szablami, konie zostawiwszy przy taborze. Zakradając się od strony łuckiej bramy, w kilkuset z łukami wy-

biegali, strzelali i co najprędzej biegli się chować za zwaliska chałup. Przecież z zamku część załogi wybiegła z szablami i za kobylenia forteczne ich przepędziła. W tém większa jeszcze liczba Tatarów poparła ich i załogę nazad do miasta wpędziła, która ustępując, na strzał z rusznicy dopuściwszy Tatarów, wielu z nich położyła trupem.

Tym sposobem, przebiegli najeźdźnicy, niepokojąc X. Janusza od łuckiej bramy, sami gotowali wielki, stanowczy atak, od monastéru Ś. Krzyża (Szczęsnego Chresta); tam przeprawili się, mosty sobie porobiwszy ze słomy, na brzezynie przez płonki stawu pokładzionej i usiłowali po nich wdrząć się do miasta. — Ale książę tak był dobrze zamek opatrzył ze wszystkich stron, że ich i tu nie mało zabito. Ludzie z miasta i przedmieścia, które książę Janusz kazał był spalić, wszyscy już w zamku byli. Tak Tatarzy kilka dni nieustannie szturmowali na próżno do Dubna.

Dnia siódmego Marca, książę Konstanty Ostrogski, bijąc ich po różnych miejscach, zapragnął dowiedzieć się, co się w Dubnie dzieje, i wysłał Tatara swojego z Ostroga na zwiaady. Złapali go Tatarzy, ale on powiedział im, że książę Konstanty, z wielką siłą gotuje się na nich uderzyć; co ich przestraszyło i do odstąpienia od miasta skłoniło. Odchodząc zniszczy-

li ze szczerem wszystkie wsi do koła. Książęta Ostrogscy, w tym najeździe Tatarów, mieli ze dwieście wsi spalonych, pisze Paprocki 1).

Książna Katarzyna, gdy Tatarzy Dubna dobywali, poprzysięgła sobie, modląc się ustawicznie, skoczyć w wodę, jeśliby zamku dobyli. Ta mężna pani, była potem żoną księcia Radziwilla, umarła w r. 1579.

Lecz nie ona jedna dała przykład niewieściej odwagi. Słuchajmy, co zrobiła księżna Beata Dolska, w sam dzień swego wesela 2). Ten wypadek należy do historji Dubna.

Czémże to są nasze dzisiejsze wesela w miarę dawnych? — Śmiesznemi tylko parodjami. Nie przywiązujemy już do obrzędów téj wagi, jaką miały przed laty, ani tego sakramentalnego znaczenia, ani żadnej pamiątki. Dawniej, raz się człek rodził, raz żenił, raz umierał; ślub był węzłem nierozzerwanym. To też wesele wiodło za sobą obrzęd tak wielki i tak uroczysty, jak urodziny lub śmierć, między którymi było ono punktem przecinającym życie na dwoje.

1) *Paprocki Herby*. 351. 353.

2) *Niesiecki*. 11. 56. *XX. Dolscy*, zwali się tak od Dolska pod Lubieszowem; sam Lubieszów zowie się właściwie *Nowo-Dolsk*.

Prawda, że dawniej tylko dla formy mówiono na weselu o sercu; lecz wyobrażenia religijne, przekonanie o obowiązkach, sposób życia inny, zapewniały pokój, zgodę i to ciche a stałe przywiązanie, któremu się jeszcze czasem dziwimy w parach nierozłączonych, a serdecznie kochających się mimo siwe włosy staruszków, służących tylko na pośmiewisko ludziom naszego wieku. Przed kilką set laty, a jeszcze na dworze wielkich panów, to to były wesela! Samo ich wspomnienie potem, świeciło jak gwiazda w życiu nowożeńców, aż do dni ich schyłku, mówili sobie długo o owym dniu świetnym, który ich połączył. Były to gody wesole, szumne, pyszne, mające swój rytuał narodowy, niewzruszony, i upoważniony odwiecznymi zwyczajami, rytuał pełen symbolów, które dziś już tylko u niższych klas ludu pozostały.

Właśnie o jedném z takich wesel dawnych, mówić wam będę. Nie, żebym je opisywał, — bo ktoż się do razu całego obrzędu nie domyśla, i oracji i bankietu, huku dział i muzyki i rozczulającego błogosławieństwa starych? — Lecz, będę mówił o tém weselu, dla jednego godnego w nim pamięci szczegółu, który historję Dubna obchodzi.

Xiąże Konstanty Bazyli Ostrogski, wojewoda kijewski, marszałek wołyński, starosta wło-

dzimiński, pan sławny ze swych bogactw i pobożności, dziedzic ogromnego xięztwa, najbogatszy może z tego kraju mieszkańców, gotował się sprawić w zamku swoim dubieńskim wesele xiężnie Beacie Dolskiej, powinowatej i wychowanicy swojej, którą wydawał za xięcia Sołomereckiego. Obie te xiążęce rodziny, dziś zgasłe i zapomniane, wówczas jeszcze świeciły i zdawały się obiecywać długie pasmo potomków sławnych. Ciężka ręka losu padła na nie, i zgasli z tylą innymi!

Wszystko gotowe było do tego uroczystego obrzędu mającego się odbyć na zamku dubieńskim. Liczny zjazd gości sproszonej zdaleka, krewnych, przyjaciół, sąsiadów, szlachty drobnej życzliwej domowi xiążąt Ostrogskich, zawalał kołmi, kolébkami, ciżbą pacholat i czeładzi, podwórce zamkowe. Niektórzy jeszcze cisnęli się i zbierali z różnych ulic miasta, nie dając nawet przyskrzypnąć wrót zamku. Był to sam ranek dnia weselnego, ranek grudniowy, śnieżysty i ponury. Powietrze niesło z sobą wilgoć, wyziewy ziemi, wlokące się dymy, i ciężło w piersiach. Słońca nawet nie widać było za mglistą oponą chmur jednostajnie szarych; bo natura nigdy się nie stosuje do czynności i uczuć, choćby najznakomitszych ludzi. Sępi się ona we dni wesela, a rozjaśnia we dni żałoby, jak gdyby żartowała z biednego czło-

wieka; smutna gdy, ją chcesz mieć wesolą, piękną strojna i wabiąca, gdy radbyś wszystko co cię otacza powlec kirem. Rzadko bardzo ulubieńcom losu, świeci słońce pogodne, w ich dni uroczyste, i to historia między cuda swoje zapisuje. Kurczyli się od wilgotnego przejmującego zimna, słudzy na podwórku i u wrót zamku, pokrzepiając się suto dostarczonym trunkiem. W ich rozmowach znać było i usposobienie do smutku pochodzące z pory, i wesołość sztuczną, jaką trunek wymusza, na biednych, słabych głowach ludzkich.

Wszyscy gotowali się do wesela; nie było kąta, gdzieby go znać i czuć i słyszeć nie było. Wszystko się ruszało, kręciło, gadało, stroiło, szykowało, zaczawszy od kuchni palającej ogromnem ogniskiem, gdzie kuchmistrz xięcia Wojewody spocony chrzypł, od krzyku, nad czterema kardynałnemi sosami; — aż do komnat panny młodej i pana młodego.

Mężczyźni zebrani, gadali, śmieli się i pokrzepiali śniadaniem, a że nie było we zwyczaju XVI wieku u wyższej klasy, grać w kości albo się od rana upijać, skromny tylko brali posiłek, o wojnie, o turniejach i o koniach rozprawiając. Xiążę Solomerecki, młody, blady, niebieskooki, chudy i cienki mężczyzna, rzadko się do rozmowy wtrącał i spokojnie tylko na wszystko uśmiechał. Coraz po-

prawiał na sobie paradny ubiór na którym guzy brylantowe i złote błyszczwały kutasy, ścisnął rękojeść suto kameryzowanej karabeli, odrzucał wyloty i chodził wzdłuż komnaty. Małeńki jego wymuskany wąsik, poruszał się uśmiechem, którym po większej części, na wszystkie prawie odpowiadał pytania.

U progu komnaty, stał w nieładzie podróżnego ubioru, zbrojny kozak ukraińiec, z seledcem zwieszonym, w koszuli dróciańskiej, z szablą, rusznicą, janczarką, łukiem i strzałami, z nożem u pasa, z workiem kul, z chustką paradną w wielkie kwiaty, z worem skórzanym na wodę, szabeltaszem, nahajką, długim sznurkiem jedwabnym, prochownicą i mnóstwem innych drobnostek pozawieszanych u pasa, na ramionach, składających dawne uzbrojenie kozaka. Minę miał posępną i zamyśloną, wszyscy go pytali i zaczepiali, a on z wolna lecz śmiało, w rodzinnym swym języku odpowiadał.

— I jakże, — odezwał się ktoś z tłumu, — znów są wieści o tatarach? dostałeś języka?

— Są wieści, tak jak każdej prawie zimy, — odparł kozak, — ledwie błota staną i rzeki zamrzną, zaraz gadają o tatarach i wygadają ich. Ciągną oni dolinami chyłkiem ku Dubnu, ku Olyce.

— Którędy?

— Kto ich wie! Bóg jeden co tę plagę zsyła.

Póki idą, cicho się przekradają, jak przyjdą, będzie się dymić za niemi i mogiłami drogę wysypią. Teraz ryją się gdzieś jak krety, że ich postrzedz nie można. A może już są w złodziejskiej dolinie.

— Wiele ich jest? wielki zagon? jeden czy więcej!

— Pewnie jak zawsze, tyle co szarańczy, a więcej jeszcze koni niż ludzi, bo u nich i konie się biją, gdy u nas to i ludzie nie wszyscy potrafią.

— Czy widział ich kto, czy to tylko gadki zimowe, jak zawsze?

— Do tej pory gadki to tylko panie, ale wygadają tatarów bo kto się boi, daleko widzi. Po stepie ludzie poznali, że pociągnął zagon w tę stronę po cichu.

— U stracha wielkie oczy, dołożył pop nadworny xiążęcia, Makary. Niech Xiąże pan pośle po język sprawniejszych.

I na tém ucięła się rozmowa, a ukraińiec wypadł na podwórzec do swego konia. Xiąże zaraz poleciał swoich kilkudziesięciu kozaków wysłać na zwiady dolinami, na zwykły szlak tatarów.

Wieść o tatarach spadła wśród samych przygotowań weselnych, prędko po całym rozniosła się zaniku. I znowu od komnaty panny młodej, aż do kuchni i zwodzonego mostu

wszystko ją powtarzało i wszystko drżało od niej; bo tatarzy co tyle razy ogniem i mieczem zniszczyli tę ziemię, straszniejsi byli dla niej nad wszystkie plagi zagniewanego nieba.

Ażeby wesela nie zamroczyć, zakazał Xiąże Wojewoda, mówić o tém przed kobietami, — Był to właśnie sposób doprowadzenia jak najprędzszego tej wieści do ich uszu. Wszyscy tak mieli tajemnicze miny, tak cicho szeptali, tak rękami machali, tak szable ostrzyli, broń opatrywali i tak umieli okazać jawnie gryzącą ich w głębi tajemnicę; że nareście domysłne z natury, przeczuły ją kobiety. Żony od mężów prędko się pod sekretem dowiedziały o co chodziło, potem przyjaciółki przyjaciółkom, jak zaczęły z ust do ust podawać wiadomość tajemną, doszła ona aż do komnaty panny młodej gdzie właśnie xieżnie Beacie, czarne jej długie rozpuszczano kosy, dawnym zwyczajem słowiańskim.

Niewiem jak wam opisać pannę młodą. Nie była ona ani piękna, ani wdzięczna nawet. Wysoka, blada czarnobrewa, poważna choć młoda jeszcze, zupełnie się różniła od męża, który przy niej podobny był przebranej niewieście. W oczach jej błyskał ogień życia i zapału, męztwo, stałość, nieugiętość. Czoło wzniosłe, gładkie, spokojne, zdawało się wielkie myśli i pięknej duszy tajemnice pokrywać.

Usta małe, ściśnione, blade, oszczędne w wyrazy, otwierały się na próżne słowa, a rzadziej jeszcze zdobiły się uśmiechem. Cóż mogło, powiesz, łączyć tak różnorodną nowożeńców parę?? Oto — pewnerachuby krewnych, ich wola. W ich sercach nic się nie działo, żadna namiętność, żaden pociąg ich nie zbliżał. Ich ręce nie spotkały się i nie zadrżały przed związaniem u ołtarza. Byli sobie obojętni, ale szli do tego związku spokojnie, bo nie mieli za sobą trującej przyszłości przeszłości, ani wstępu do siebie, a ówczesny zwyczaj kojarzenia małżeństw rozumem nie namiętnością, do podobnego kiedyś związku dawno ich przygotował.

Kiedy panny służebne i družki gwarzyć około xieżnej Beaty zaczęły i przestraszone tatarami, zapominały złotych iglic w axamitnych poduszkach, spoglądając po sobie i szepecząc ze drżeniem, xieżna Beata jakby ocucona z myśli głębokiej, zapytała najbliższej, podnosząc głowę. —

— Cóż się tam stało?

— Nic dotąd, xieżna pani, odpowiedziała zająkując się służebna — ale mówią — choć Xiąże Wojewoda mówić o tém zakazał, że nowy może nieproszony gość przyidzie na wesele.

— Któż to!

— Tatarzy idą.

— Tu idą?

— Ach! zapewne tu! Cma słyszę niezliczona! O! ja się tak strasznie boję, ja się tak boję tatarów, szczebiotała dalej! Takie poczwary ogorzale, z przyplaszczonemi nosami, ze ślepiami czarnemi, kociemi, z odstającemi uszami, co się rodzą ślepemi jak szczenięta, żyją końskiem mięsem i w Ś. Trójcę niewierzą! O! jak ja się ich boję.

— A ja nie, odpowiedziała panna młoda odrzucając włosy, które jej na oczy spadły. Bo pierwszego co by śmiał do mnie przystąpić, mnie się tknąć, pewniebym zadusiła.

Wszystkie zamilkły i wszystkie uwierzyły tym słowom.

— Wzięliby nas i odesłali do Seraju Sultana swojego; ci ohydni poganiska — mówiła družka. A choć euda o nim prawią, niech nas Bóg wcielony od tych roskoszy broni, a naprzód od ich winy pogańskiej, wedle której jak ojciec Makary powiada, kobiety nie mają duszy.

— Nie mają duszy panno Agryppino, zawołała xieżna — a czémżeby żyły! prawdziwie pogańska ślepotą!

— I takim to ludziom możemy się dostać w ręce! szeptały panny, jeśli nas zamek nie obroni!

— Kto? my? odpowiedziała znowu xieżna alboż to tu niema murów, dział i ludzi; alboż niema wody w Ikwie i pasa u sukni, żeby się wick

oczach potopić lub podusić, jeśliby zamek zdobyli?

— Ale ich tylu!

— Nas mało, ale z nami Bóg nasz; i walczyć będziemy na naszych śmieciskach!

Na te słowa pełne zapалу, a tak niewyczajne w ustach kobiety, wszedł właśnie książę Wojewoda.

— Vivat heroino! zawołał całując ją w czoło. Tak myśleć, tak mówićby wszystkim nam, a nigdyby u nas Tatarowie nie postali. Ale moja panno, jeszcze oni pewnie daleko, bo są tylko o nich głuche wieści. My tym czasem myślimy o weselu. Jak utną z dział zamkowych na vivat! niech wówczas przyjdą, a przyjmiem ich dobrze na rany Chrystusa Pana!

W istocie było bardzo bać się czego w Dubnie, bo na ówczesny sposób wojowania, ta warownia, której później zdobycia próbować nawet niechciał Chmielnicki—była dość można. Do koła oblana wodą Ikwy, wielkimi stawami otoczona, nie zbyt wprawdzie wyniosła, ale dla murowanych a wysokich foss niedostępna, mogła się długo bronić wojsku, któreby jej burzyć działami polowemi nie mogło. Trudno także było zapasne zamczysko wziąć głodem; a tatarzy, którym spieszno było na powrót, nigdy tego próbować nie mogli. Dodajmy, że w owym czasie najazdów, zamek Dubieński

zawsze miał dostateczną liczbę ludzi do obrony; miał młyn prochowy, zapas saletry, a w razie niedostatku wszystkie blony zamkowych okien, byłby książę na kule stopić kazał.

Tymczasem, gdy w zamku rozprawiają o Tatarach, gdy się śnieżyste tumany rozrzedzają i dzień wyjaśniać zaczyna; gdy wysłani po język wyjeżdżają z miasta, strasząc po drodze mieszczan i żydów Tatarami; w cerkwi zamkowej stroją ołtarz do ślubu, w zamku ucztę, która ma ślub poprzedzić, gotują.

O! gdzież się to podziały te dawne gościnne biesiady, na których pan, sługa jego, koń jego i pies; jak zesłańcy od Boga przyjmowani byli czém stało, co było w domu?

Dzisiejsi dawnych Słowian potomkowie, przyjęli już obce obyczaje nikczemne, skąpe, zimne, rachunkowe—ale szkoda dawnych, bo dawne były ich własne, i nie tak wykwintne, ale szczerze za to i pocciwsze! Dawniej egoizm musiał się ukrywać i wstydzic; dziś się z siebie chlubi i wysoko wynosi. Lecz dajmy temu pokój.

Miarkujcie, jaka być mogła uczta u Xięcia Wojewody, pana na Ostrogu, który miał dziesięć milionów rocznego dochodu; który za Marszałką Dworu trzymał jednego ze starszych wojewodów, płacąc mu siedemdziesiąt tysięcy złotych, żeby tylko w dniu uroczyste stał za

jego krzesłem, — którego orszak zwyczajny dwa tysiące dobranej szlacheckiej młodzieży składało.

W wielkiej sali godowej, po której ścianach rozwieszone były na obiciu bogatym, obrazy familijne i trofea wojenne, zastawiono długie stoły w kształt podkowy zgięte, okryte trzema wedle zwyczaju leżąciami na sobie obrusami szytymi, na których kurzyło się już pierwsze danie. W oddaleniu nieco polyskiwał niezmierną mocą sreber kredens za balustradą, przed którym stały stosy talerzy, półmisków, mis, puharów i złocistych roztruchanów.

Nad wielkimi drzwiami wchodu, na podniesionej kolumnami galeryi, ustawiona była muzyka i śpiewacy chłopięta.

Przy jednym z okien sali, osobno zastawiono stolik suto mięsiwem, dla nadwornego żarłoka Bohdana, który na dzień za trzydziestu zjadał i z trzydziestą w potrzebie ramieniem się mógł mierzyć. Było tam także mnóstwo mięsiwa pieczonego i warzonego, że ledwie uwierzyć było można, iż to wszystko pożre jeden miernego wzrostu człowiek, nie zbyt nawet otyły.

Goście wchodzili do sali jadalnej — panna młoda tylko się nie pokazała. Za niemi wtoczyli się słudzy i dworzanie, mający stanąć za ławami i krzesłami panów swoich. Podano naprzód gościom z kolei wedle dostojęństwa

wielką złocistą miednicę i naléwkę podobną, do umycia rąk; a nareście ręcznik suto po końcach szyty perłami i złotem. Marszałek Dworu rozsadził gości i przystąpiono do pierwszego dania, które składały pływające we czterech sosach, żółtym, różowym, czarnym i szarym spore mięsiw kawałki. Trzech krajczych u każdego stołu posługiwało. Rozstawione było także pieczone i przyprawy do niego korzenne, jako też narodowy chrzan z octem, ogórki i kapusta kwaśna. Goście mało co przed tém śniadawszy, nie wiele zjedli sami, lecz nakładali z górą talérze i oddawali je sługom stojącym za niemi, którzy tu i zaraz za ich krzesłami, głośno podane sobie potrawy spożywali. Przed każdym z siedzących był talerz srebrny, nakryty maleńką serwetką i łyżka srebrna pozłocista. Popijano z początku piwo tylko w długich kielichach szklanych.

Po pierwszym daniu, na znak marszałka, zdjęto je razem z pierwszym obrusem, a drugie zastawiono z samych pieczeni różnego rodzaju składające się, zwierzyny, ptastwa i ryb. Mimo wspaniałości uczyty, spostrzedz było można także na stole, potrawy bardzo nawet popolite, jak naprzykład: dziś tak wzgardzony groch ze słoniną i kaszę rodzimą naszą. Nakoniec po zdjęciu drugiego obrusa, nastąpiło trzecie danie z samych łakoci złożone. Tu

dopiero poczęto Toasty, czyli *Prze zdrowie* — za przyszłe powodzenie państwa młodych, które stojąc jeden do drugiego pełną przepijał.

Gdy już do ust niósł kielich Xiąże Wojewoda, a muzyka i moździerze, połączyły się z wykrzykiem — *Prze zdrowie!*; nagle z dziedzińca ozwał się głos, nie *Vivat!* wykrzykujący, nie radośne *hura!* lecz krzyk przestachu, który stłumiwszy wszystkie, skamienił gości i wytrącił z rąk kielich. Wybladły kozak wpadł do sali.

— Xiąże, zawołał, Tatarzy! I padł z osłabienia znużeniem i przestachem.

Wszyscy porwali się od stołu. Gwar, krzyk, zamieszanie, scisk, zgielk, zajęły cały zamek. Wszyscy wołali: Tatarzy! Tatarzy! Xiąże Sołomerecki pobiegł do komnaty narzeczonej swojej.

— Idź do szabli i konia! odpowiedziała mu spostrzegłszy go bladego, i znikła.

Strwożony wyjrzał oknem. Na błoniach wodami Ikwy, pod lasem, warczał rozwijając się, nie policzonych Tatarów zagon, który złodziejką doliną doszedłszy pod Dubno nie postrzeżony, nagle posunął się pod miasto, pędząc przed sobą kozaków, wysłanych przez Wojewodę dla dostania języka. W oddaleniu roznać nie można było liczby, powiększonej koń-

mi łóznemi, które Tatarowie zwykli byli z sobą prowadzić dla odmiany — Szarzał tylko ten tłum posuwając się coraz bliżej!

Xiąże sam wreście zbiegł w dziedzińce.

Tu siodłano konie, wyciągano działa przeciw strzelnicom, zwodzono mosty. Lud z miasta i przedmieść cisnął się w bramy tłumnie krzyżując i wiodąc z sobą bydło, konie, wozy.

W monastérze świętego Krzyża bił dzwon na trwogę ponuro a spiesźnie — Przestach był nie do opisanja.

Xiąże Wojewoda zimny, nieporuszony, stał na podwórzu i dawał rozkazy gładząc brodę. Nie wielkie hufce gromadziły się kolejno w milczeniu. Wszyscy słudzy przybyłych gości, siadali na koń, gotowali oręż. Xiąże Sołomerecki milczący stanął przy Wojewodzie i patrzył mu w oczy.

Tym czasem tłuszc tatarska, coraz się zbliżała pod zamek, z krzykiem, a raczej piskiem okropnym, nieregularnym tłumem postępując naprzód, opasywała warownię, zapuszczając się w opuszczone już przez mieszkańców przedmieścia. Niektórzy Murzowie z oddziałami podbiegali pod mury, które oczyma mierzyli, a strzały ich jak posłańce boju, padały nawet w podwórzec zamkowy. Inni potrząsając długie sznury przygotowane na wiązanie jeńców,

pokazywali je stojącym w zaborach zamkowych.

Tabor z wozów siadał na dolinie, rozbijano liche nad wozami ze skór namioty. Wszystko to działo się z nieporównaną szybkością; ale zamknięci w zamku, dość spokojnie na przygotowania patrzyli. Sposobiono tylko wodę wrzającą, kamienie, nabijano działa, rozstawiano do koła po blankach strażę, mocniejsze przy wieżycach, basztach i bramach, a całe hufce tam, gdzie grubsze lody mogły pod zamek ułatwić drogę Tatarom.

Z téj uczty weselnéj, wrzającéj wesołością, w jednéj chwili przedzierzgnęło się przygotowanie do boju, jeśli nie smutne, to przynajmniej poważne i posępne. Kobiety modliły się po oddalonych komnatach, w cerkwi, łamały ręce i płakały. Śmielsze porywały noże i chowały za pas.

Gdy się to dzieje, a strzały Tatar coraz gęściej jakby na urągowisko pod nogi oblężonym padają, wszyscy jeszcze wyraźniejszej zaczepki, szturm czekając stoją w milczeniu i modlą się po cichu. Nagle ze wschodów, wiodących z zamku w podwórzec, bieży ktoś, w czarnej sukni, na dziedziniec wpada między stojących i woła.

— Strzały świszczą koło was, a wy stoicie jeszcze z założonemi rękoma!

Na te wyrazy głośno wyrzeczone wśród powszechnego milczenia, wszyscy się oglądają, nawet Xiążę Konstanty Bazyli.

Kto je wyrzekł?

Panna młoda.

Ona zaplotła włosy, wdziała suknię żalobną, porwała miecz ciężki, gdzieś porzucony w komnatach i pierwsza z zapaloném okiem, bieży do działa ogromnego, stojącego z otwartą na dolinę paszczą.

Przed nią rozwija się cały ten straszny obóz tatarski, do jég uszu dolatują głosy ich dzikie, widzi ich łuki napięte i szable błyszczące i wozy i konie i wśród téj zgrai wznoszący się namiot Hana, który w blasku pogodnie zachodzącego już słońca, świeci się purpurą, rozpina i siada z Xiężcem na czołe, grożąc krzyżom kościołów i cerkwi.

Na ten widok staje Xiężna Beata, patrzy długo i myśli i zdaje się jakby się po cichu modliła. Wszyscy milczą, tylko Bohdan żarłok nabija działa, Xiężna sama niém celuje z natchnienia, wyrywa lont zapalony z rąk puszkarsza, przykłada — — —

I wystrzał głośny rozbija się w powietrzu, huczy, grzmi, a kula świszcząc leci w dolinę, leci, leci! — Za dymem nic nie widać. Lecz wiatr zachodni rozpędza kłęby dymu. Xiężna Beata klasnęła w dłonie i padła na kolana. Nie

ma namiotu Hana, xiężyc złoty leży na ziemi, kula go, pierwsza kula obaliła, i nie kula może, może modlitwa kobiety.

Z obozu Tatarów wrzask okropny słyszeć się daje, widać jak się kupią, zbiegają, gromadzą, i jak wrzeszcząc z nową wściekłością rzucają się ku zamkowi.

— Xiężno, ozwał się ktoś z tłumu (nie powiem kto), zabiłaś im Hana, oni nas wszystkich w pień wytną!

Beata spojrzała w milczeniu z pogardą i kazała Bohdanowi działo nabijać, a Tatarzy którzy się byli tak zajadle rzucili na zamek, po kilku wystrzałach z dział, zaczęli się ściągać, kupić, nareście tabor łamać, wozy zaprzęgać i popędzili dalej z zagonem.

A kiedy w oddaleniu, przy świetle Xiężycy, widać już tylko było czarniejącą ich zgraję, Xiężna otrząsając pył z sukni i ociérając czoło, zawołała do Wojewody.

— Teraz można do cerkwi!

— Idźmy! rzekł Xiężę spoglądając na nią z uszanowaniem. Tyś nas ocaliła!

Resztę wesela niech kto chce opisz.

Z podziwieniem patrząc dziś na zamczysko, upatrywałem, gdzie moc jego dawniejsza, która go tak sławnym czyniła, że w napadzie ko-

zackim 1648 roku, jedno Dubno może, z miast wołyńskich, zupełnej uchroniło się zagładzie, pod jego skrzydłem. Nie rozumiem dla czego-by zamek dubieński mocniejszy być miał od ołyckiego, a jednak relacja Nathana Moskowi-cza Zasławskiego, wyraźnie wzmiankuje: „Poszedł więc (Chmielnicki) z tamtąd, (z Ostroga) do Dubna, gdzie zamek bardzo mocny, taki jakiego nie było w całym królestwie (?). To miasto należało do Xięcia Dominika Hetmana, a gdy, jak wyżej mówiono, Xiążęta i panowie z obozu pouciekali, zostało tylko kilkadziesiąt żydów, w myśli uratowania się w tym zamku. Lecz gdy hajdamacy zbliżyli się do Dubna, wszedł do zamku, pan jeden z ośmdziesiąt żołnierzami Xięcia i zamknęli za sobą bramę i umacniali zamek, żadnego zaś żyda tam nie wpuścili, a tak 1500 żydów pod zamkiem zabito.“

„Gdy buntownik Chmielnicki przybył pod Dubno, zadziwił się nadzwyczajnej warowności tego zamku, mówiąc, iż ponieważ zamek ten nie jest żadną miarą do wzięcia, a zatem panowie dosyć głupi byli, że uciekli. W tym zamku były wielkie skarby, tak panów jako i żydów, jednak Chmielnicki niechciał go oblegać, z powodu trudności zdobycia. Z tamtąd poszedł z wojskiem swém do Brodów.“

Mówi tu Nathan Moskowicz, o składach

w zamku bogactw panów i żydów; był bowiem zwyczaj, że w podobnych razach wszyscy co kto miał znosili do najbliższej warowni, pod której murem okolnym, stawiono rodzaj szop przypartych do muru zwanych *Horodnie*, a w tych składano nie tylko panów i żydów, lecz i wieśniaków droższy sprzęt. Każda z sąsiednich wsi, miała taką *Horodnią* pod murem zamku, nazywającą się od jej imienia. Było tak w Krzemieńcu i w Dubnie i po innych zamkach.

OSTRÓG. XIAŻETA OSTROGSKIE.

Droga do Ostroga pocztowym gościńcem wiodła nas przez pagórki lasem pokryte gdzie niegdzie. Wdzięczne położenie, lecz tak pięknych widoków, jakie jadąc ku Konstantynowu oglądałem, tu nie znalazłem. Częściej się tu trafia na odczarowującą sośninę, której ja tak nie nawidzę i na piasek nawet przypominający boleśnie pustynie Polesia.

Popasaliśmy w miasteczku Warkowiczach P. Mołodeckiego (*Pana Brodów*) niegdyś posiadłości znakomitej wołyńskiej rodziny! Szalawów Ledóchowskich. W r. 1733 Jakób na Leduchowie i Warkowiczach Ledóchowski z żo-

na Marjanną Szaszewską, (Podstoli Drohicki) fundował tu klasztor i kościół xięży Bernardynów.

Stoi tu pałac nad stawem, wcale niepodobny do palacu, raczej do fabryki i Ratusz z kopułą podobną do klatki. Na lewo wzgórze lesiste, na którym mury bernardyńskie widać. Łatwo by to miejsce upieknić.

W karczmie znaleźliśmy coś naksztalt traktjeru, którego gospodyni, może na przypadek głodu, trzyma i hoduje mnóstwo kanarków. Po drodze spotykały nas ogromne stada siwych ukraińskich wołów. Niewiem jak minąłem sławne źródło w Hulczy, o którym wspomina Rzeczyński; musiałem na nieszczęście zasnąć.

W nocy już przybyliśmy do sławnego Ostroga, tego starożytnego gniazda xiążąt Ostrogskich, które dziś jest miasteczkiem powiatowym. Stanęliśmy na szczęście w dość porządną karczmie, naprzeciw zrujnowanej i nigdzie nie wiodącej bramy dubieńskiej. Dawniej stała ona w murach otaczających miasto, na których gruzach zbudowana i ta karczma, w której nocowaliśmy.

Ludność dzisiejsza Ostroga, nie przechodzi 4,000 dusz 1). Dzieli tak zwane stare miasto

1) *Malte - Brun. Tabl. 246.* liczył 4,600.

od nowego, rzeczka Wilja wpadająca tu do Horynia. Część jedna należy do Ilińskich, samo miasto do xięcia Karola Jabłonowskiego. Same ruiny wszędzie! Na zamku gruzы murów okolnych i cerkwi ś. Trójcy sterczą wysoko na górze, w mieście, wspaniałego kollegium i kościoła Jezuitów. Nie zatarty jeszcze napis świadczy o fundacji przez Annę Aloizę Chodkiewiczową. Widać w gruzach starannie wzniesionej budowy, rzeźby piękne i płyty kamieniciosowych. Kollegium Jezuitów (którego dziś po pożarze gruzы tylko) wystawione było z kamienia po większej części, na palach bitych głęboko w ziemię, stanowiących fundamenta, gdyż innych dla trzęsawicy zakładać nie było można. Miasto składa się z kilku ulic i po największej części drewnianych domostw. Był tu ogród nie dawno jeszcze sławny z roślin i szklarni.

Nic piękniejszego nad wysoko wzniesione ruiny na górze zamkowej, panującej nad miasteczkiem, oblanej wodą. Widać na tej górze reszty cerkwi, zamku, bram i pięknych murów, pokruszone łuki sklepień i nic nie trzymające już słupy. W jednym miejscu ściana murowanej jakiejś budowy, na szczycie góry stojącej, schodzi aż do dołu, tworząc rodzaj fossy. Nic bardziej malowniczego nad ten widok, w naszym kraju znaleźć nie można. Są-

dzilbyś patrząc na to, że cię kto przeniósł nad brzegi Renu, lub do pełnej pięknych ruin Anglii. W oddaleniu jakby dla zamknięcia tego obrazu, w niebieskawej oddali, bieleje kościół Franciszkański, Międzyrzecza Ostrońskiego (Ilińskich) prześliczny obraz i tyle w nim pamiątek, tyle myśli!

W Międzyrzeczu, który niegdyś był też zamczkiem obronnym, za czasów Starowolskiego 1), kościół i klasztor wspaniałe, fundował książę Janusz Ostroński. Śmiało ręczyć można, że nad te szczątki góry zamkowej i otaczający je pejzaż, nie ma piękniejszego w tej okolicy widoku na kilkadziesiąt mil w koło, nie są to bowiem nieznaczące kupy gruzów, lecz widocznych jeszcze kształtów, reszty budowli gotyckich i późniejszego smaku, jak cerkiew

1) *Starovolski. Dantis. 1652.* Parte ab alia Miedzyrzeczum Oppidum munitissimum, in quo Franciscanis Conventualibus, ultimus de familia Joannes Dux Ostrogus, Castellanus Cracov. sumptus ut ita dicam Regios templum et Monasterium extruxit. In urbe autem ipsa neptis illius nuper Ignatianae Societatis Clericis. Collegium pro erudienda juventute et templum magnificentissimum erexit, in quo mariti sui ossa Caroli Chodkiewiczii, viri bellica virtute incomparabilis, cum lachrymis reposuit.

troicka. Dodajmy do tego wzniesienie na wysokości górze, nad wodą.

Ruiny zamku, collegium, wielu innych budowli i bram, niegdyś zamykających miasto, tak smutną nadają Ostrogowi postać, tak wyraźnie zdają się wczorajszą jego sławę i wielkość przypominać, że nie podobna inaczej nań patrzeć, jak wspomnieniami.

Rzączyński, który jak mi się zdaje (może się mylę) część swoich obserwacji znaczną, tu siedząc poczynił, często o Ostrogu wspomina. Píše on o kopalniach krędy białej, pod miastem, w miejscu zwanem Bielmierz 1). Także o przedniej glinie, z której robiono tygle (*Schmelz-Tiegel. Gold-Schmieds-Tiegel*) 2) i o tripli (*tripolis, tripela, trippel.*) używaną do czyszczenia metali 3).

Gdzie indziej wspomina znajdowane tu kamienie iskrzaste (*Oolithes. Ammites. Rogen-Stein, Rochen-Stein* 4) i polawiane w Horyniu pod Ostrogiem perły; niezwykłą ilość żurawi w okolicach 5) i wielkie lasy schronienie wilków, ciągnące się pod Owruć 6).

W r. 1723 opisuje jak d. 9 Marca, przed

1) *Auct. 20.*

2) *Auct. 21.*

3) *Auct. 22.*

4) *Auct. 36.*

5) *H. N. 252.*

6) *Auct. 313.*

wschodem słońca pokazała się kolumna ognista. Ten nasz Teratograf opowiada także, 1) iż wyczytał w starych rękopismach, jak w r. 1697 Rusinka jakaś w Ostrogu, porodziła dziecko żywe, po którym drugą jeszcze poczwarę bez głowy i rąk, która była podziwieniem miasta.

Xiążęta Ostrogskie w XVI wieku, herb swój wyobrażający Świętego Jerzego na koniu, zabijającego smoka, wspólny im z innemi ruskimi xiążętami; zamienili na inny, z powodu xięcia Konstantego Ostrogskiego, po jego powrocie z niewoli w Moskwie. Hrehory xiąże włodziemińskie, miał syna Dawida, któremu odebrano xięztwo dziedziczne włodziemińskie (Wołyń), a wzamian dano zamki Ostróg, Dubno, Drohobuż, Czartorysk, Borzesko, i wyznaczono sto grzywien srebra z Kijewa, a sto z Perejasławia 2).

Mścisław syn tego Dawida xiąże Ostrogskie, miał syna Mścislawa, zmarłego w roku 1158, pochowanego w Kijewie u S. Fedora. Ten zostawił po sobie syna Mścislawa xiążęcia włodziemińskiego, wołyńskiego i bełzkiego.

1) H. N. 353.

2) Paprocki. Herby. 1099.

Roman syn jego xiąże włodziemiński, potem halicki, przeniósł swoją stolicę do Halicza. Zabili go Polacy w Zawichwoście r. 1205. Wasil brat jego, miał synów Lwa i Romana 1). Tego Romana syn Wasil xiąże Ostrogskie, miał syna Daniela, a synowca halickiego xięcia. On pierwszy Daniel, pisać się począł z Ostroga.

Syn Daniela Fedor, miał Wasila, Wasil Iwana, a Iwan był ojcem xięcia Konstantego, wielkiego swoich czasów bohatera. Jego niewola w Moskwie, zwycięstwa nad Tatary, pobożne zakłady cerkwi Ś. Trójcy i Ś. Nikołaja w Wilnie, pamiętnym go czynią. W r. 1522. 2) król go uczynił wojewodą trockim, i któżby uwierzył, że ten bohater tyle razy zwycięzca, który życie swoje poświęcił obronie kraju, dla religji tylko, której się trzymał stale i zmieniać nie chciał, (był wyznania greckiej cerkwi) wzbudził szemrania gorliwców, odbierając tę tak bląhą nagrodę, za ośm lat niewoli i całe życie boju. Taką była moc ówczesnych wyobrażeń socjalno-religijnych, iż wymawiano królowi jego wywyższenie; krzyczano na złamanie prawa, aż Zygmunt za siebie i następców swoich przyrzec musiał, że nadal nie będzie senatorem żaden, któryby nie należał do katolickiego kościoła,

2) Kromer. IX. 239.

2) Kojalowicz.

choćby jego zasługi równały się wielkim Ostrogskiemu dziełom. To przyrzeczenie tysiąc razy potem złamane zostało, gdy się reforma rozszerzyła, a w akcie Unji 1599 r. kilkudziesięciu senatorów różnowierców podpisanych czytamy. W r. 1527 pobił xiaże Konstanty Tatarów krymskich, i umarł potem kasztelanem wileńskim. Nagrobek jego jeden był w Kijewie w Pieczerskiej Ławrze, drugi u Ś. Nikołaja w Wilnie 1).

Konstanty zostawił po sobie dwóch synów Illię (Eljasza) i Konstantego Bazylego wojewodę kijewskiego, marszałka wołyńskiego, starostę włodzimierskiego i t.d., który podpisał między innemi sławną Unję lubelską Litwy z Koroną w r. 1569 1). Pan to był wielkich dostatków. Roczny przychód z dóbr miał miljon dwa kroć sto tysięcy złotych polskich, (co jak ewaluacja Święckiego według tablic Czackie-

1) Nagrobek w Pieczerskiej Ławrze, rysowany i cytowany w dziele dość rzadkiem, pod tytułem:

Teraturgima abo cuda Klasztoru Pieczarskiego i obojga pieczar, z dodaniem rozmyślań duchownych przez Athanazego Kalnofojskiego Sobornego Zakonnika Klasztoru Pieczarskiego Kijewsk. Druk Kijew. Pieczar. Ławry. 1638 r. 4to, patrz stronę 34. Nagrobek liczy mu sześćdziesiąt bitw wygranych.

go okazuje, wynosi na dzisiejszą monetę przeszło dziesięć milionów złotych). Za starszego sługę, marszałka dworu, miał jednego ze starszych wojewodów, któremu co rok jurgieltu płacił siedemdziesiąt tysięcy złotych, żeby tylko dwa razy do roku stał przy nim, podczas większych uroczystości. Dwór jego składali panięta szlacheckie w wielkiej liczbie, przy nim samym nigdy mniej niż tysiąc ludzi nie bywało, a najczęściej do dwóch tysięcy. Ostróg jego dziedziczny, można sobie wyobrazić, jak wzrosł pod takim panem, ile mu ludności, zamożności przybyło. Świetne to były dlań czasy!

Xiaże Konstanty Bazyli, nie mniej od przodków swoich sławny był z bitw stoczonych i męstwa w boju; lecz te przymioty tak często głoszone, że je dość napomknąć; w historii kraju znajdują się te jego dzieła wypisane.

Za niego zaszły starania o Unję z kościołem rzymskim Rusi, z początku piszą, skłaniał się on ku temu, sprzyjał jęj; lecz potem, gdy inaczej niżeli wskazywał, postąpiono, a podobno bez jego rady, odstąpił pierwszej myśli, trwając stale przy swojej wierze aż do śmierci. Próżno nawet Papież sam pisał do niego. Umarł w r. 1606 (czy 1608) d. 21 Marca.

1) *Niesiecki. T. III. 515.*

W Ostrogu założył on szkołę, mianowicie języków greckiego i łacińskiego; w myśli mając zapewne tym zakładem walczyć z zasadami instrukcji wpajaniem przez Jezuitów. Założył także szpital i wiele cerkwi. Za niego sławną ową drukowano Biblię w Ostrogu; której druk z początku nie dokończony i zarzucony; drugim dopiero nawrotem do końca doprowadzony został. Przed Biblią drukowano tu *Psaltyr z Nowym Zawietem i Miesiacostowem* w r. 1580 (kirylką). Biblia wyszła r. 1581. Tej drukarni ruskiej typy, służyły pono za wzór lwowskim, stratyńskim, halickim, mohilewskim, kijewskim i t. d. Przeniesiona stąd drukarnia do Dermania. W r. 1594 wyszła tu xięga „*Wasilia Welikoho*“ nakładem xięcia Konstantego Konstantynowicza.

Ówczesne szkoły ostrogskie, znalazły nawet poetę, który je opiewał szumnym wierszem 1). Był to Pękalski akademik krakowski, który tak się w swym historycznym śpiewie „*De bello Ostrogiano*“ odzywał:

O dignum Ostrogie tam clarum nomine factum,
Tantis Principibus, queis Russia vasta superbit,
Dignae Syceles Nymphae et Xibethrides undae,

1) Pekaides „*De bello Ostrogiano ad Piantkos cum Nissoviis Libri IV. Cracov. Adr. Petric. 1600, 4to.*“

Jam video Lauros, Helicon quas educat et fert
Ostrogianus apex petit ardua sede Minerva.
Bibliotheca viget multo conflata labore,
Biblia sacra typis mandatur, magna librorum
Copia surgit, gaudet Grynaeus Apollo,
Deseruit Tenedos, Dilum contempsit amatam
Arumque Cytharamque, sagittis eramque pharetram
Transtulit Ostrogiam Musarum vota sicutus
Templaque perpetuis non deficientia seclis —

Nie sprawdziły się piękne przepowiednie Pękalidesa, bo jak się zdaje ostrogska owa *Colonia*, po śmierci założyciela i podupadła, i późnziej wreście w Jezuitów ręce się dostała 1).

Xięże Konstanty Bazyli tak był nabożny, iż gdy się modlił, aby mu nie w modlitwach nie przeszkadzało, po cerkwiach, w których bywał, sporządzić kazał ławki zupełnie zamknięte w około, z złocistej blachy mosiężnej, z okienkami tylko na trzy strony. Na pierwszy dzień postu, dla rozmyślenia zamykał się w monasterze dubieńskim, i tam odzienie pańskie zrzuciwszy, po mniszemu ubrany, trawił czas pewien w modlitwach i poście. Pisze Janczyński (u Niesieckiego), że na jego dworze był

3) Tu miejsce wspomnieć, że jeden z xiążąt Ostrogskich, będąc na naukach w Ingolstadt w Bawarii wydał w r. 1649, nie wielkie dziełko. Był to Jerzy późnziej Wda wołyński (*Angermarius*).

slawny jakiś żarłok imieniem Bohdan, który zjadał na śniadanie: prosię pieczone, gęś, dwa kapłony, pieczeń wołową, trzy bochny chleba, sér cały; wypijał dwa garnce miodu, a potem u obiadu jadł jeszcze i pił jakby na czczo przyszedł do stołu. Wołowiny dziesięć zrazów, cielęciny więcej daleko, jeszcze więcej baraniny, prosię całe, gęś, kapłona, trzy pieczenie: cielęcą, wołową i wieprzową, miodu zaś, wina i wódki na przemian po cztery garnce wypijał, piwa bez miary. Z tem wszystkiem był dość chudy, czemu trudno uwierzyć, a nadzwyczaj silny; tak, że ze trzydziestą ludźmi się mierzył, bo też i jadł za trzydziestu. Nigdy od stołu nie wstał pijany i nigdy zupełnie syty. Takiego żarłoka tylko książę ostrogski mógł dla osobliwości utrzymywać.

Syn księcia Konstantego pierwszy Illia (Eljasz) książę ostrogski, ożenił się był na królewskim dworze z panną Beatą Kościelecką. Ta panna Beata była córką Katarzyny Słężanki pani Wojnickiej, nałożnicy króla Zygmunta I, z której on miał wprzód przyznanego za syna Janusza biskupa wileńskiego i poznańskiego, zwanego z książąt litewskich. Potem ulubioną swą wydał król za Kościeleckiego podskarbiego koronnego, później kasztelana Wojnickiego; za co Kościelecki taką od braci wśród senatu o-

debrał obelgę, iż mu jej łaska królewska zapłacić nie mogła.

Gdy bowiem Jędrzej Kościelecki, pojawiając się już za żonę Katarzynę Telniczównę Słężankę, wszedł na salę senatu; bracia jego powstali z krzeseł i zawołali:

— Nie chcemy zasiadać z tym, który imię nasze tak upodlił, iż je dał nałożnicy królewskiej! Poczem wyszli. Kościelecki został, ale ten wypadek takie na nim uczynił wrażenie, iż dostawszy pomieszczenia zmysłów, zrozpaczy umarł.

Miał jednak z żony swjej córkę, imieniem Beatę. Ta wychowała się na dworze królowej Bony, jakby dziecko królewskie. Zdaje się nawet ze słów Górnickiego, iż może raczej Zygmunta króla, niż P. podskarbiego w istocie była córką, — ale że, *pater est quem nuptiae demonstrant*, zwała się już panną Kościelecką. „A była w takiej uczciwości chowana, pisze Górnicki, by też miała co królowi w rodzie.“ O tę tedy pannę Beatę w r. 1539 starał się książę Illja z Ostroga, właśnie w czasie, gdy król Jan węgierski, podobnież czynił zabiegi o królownę Izabellę, później tak nieszczęśliwą, a tak godną lepszego losu. Jednego też dnia odprawiły się ślub i wesele królowej węgierskiej przez posły, drugiego zaraz księcia Illij z Beatą. Były między innemi zabawy gonitwy i turnieje,

w których najmniej wojennego ducha, potykał się dziewiętnastoletni Zygmunt August, goniąc *na ostre*, w gończej zbroi z panem młodym. Po nich zakryci tarczami gonili Węgrowie, w kilka par, a w téj niby utarczce, jeden tylko koń poległ.

Xiąże Illja z panną Beatą, zostawił jedną tylko córkę Halszkę (Elżbietę), którą młodą odumarl, króla Augusta opiekunem jej naczynając. Bogata dziedziczka doszła do lat, liczni byli starający się, ale Beata matka, która trzymała w ręku piękne córki wiano, nie chciała jej wydać za nikogo, aby się dłużej niemi cieszyć. Stryj xiąże Wasil (Bazyli) ostrogski i wszyscy szemrali na to, ale dumna i uparta kobieta, przy swoim stała, nie zważając na rady. Najnatarczywszym ze starających się, czy z miłości, czy dla złota, (rzecz dotąd nie rozwiązana) był xiąże Dymitr Lubartowicz, Sienguszek. Chcąc się od jego ciągłych nalegań zasłonić, xiężna Beata, dała mu jakieś obietnice dalekie, zsyłając się, że jeżeli król pozwoli, jeżeli, jeżeli i t. d. to może coś z tego być.

Nie podobala się xięciu Dymitrowi taka odpowiedź. Wkrótce wyznaczwszy dzień, oznajmił xięźnie, że miał do niej przybyć w gościnę. — Niepodobna było odmówić przyjęcia go. Jakoż w dniu zapowiedzianym czekając go, uj-

rzano z góry zamkowej na zasławskiej drodze, hufiec ludzi pędzących do zamku, a między innemi poznano xięcia Bazylego ostrogskiego, którego xiężna uważała za swego osobistego nieprzyjaciela. Natychmiast wydany rozkaz zamknięcia bram zamkowych przed przybywającemi, ale nim go spełniono, już ludzie xięcia Dymitra i Bazylego, wpadli na zwozdzony most do bramy, ubili w bramie kilku ludzi z załogi opierających się i całemu wojsku xiążat (jak je zwał obrońca xiężnej) drogę na zamek otworzyli.

Nastąpiły rzeź i rabunek jak w zdobytym nieprzyjacielskim zamku, bo ludzie ujrawszy trupy u wrót, jak psy na widok krwi się rozjedli. Tym czasem xiążęta szli do komnat xiężnej Beaty, która mdlała ze strachu i gniewu. Stanęli przed nią — przyjęła ich kilkakrotnem omdleniem, wreszcie gdy xiąże Bazyli doczekał się wytrzeźwienia, miał do niej mowę:

— „Przypominając opiekę przyrodzoną swoją, chęć w obmyśleniu wszystkiego dobra dla domu ostrogskiego.“ Opowiedział jej wolę swoją, idącą z woli Bożej i prawa przyrodzonego, iż xiężnę młodszą obiecał i dał słowo oddać w małżeństwo xięciu Dymitrowi, że dla wykonania tego przyjechał z nim pospołu, aby to już inaczej być nie mogło.“

Potém sam za sobą xiąże Dymitr przemówił:

— „Od domu swego starożytnego. Wnet zatem wspomniał posługi swoje, które czynił Rzplitej. Nie zaniechał: bogactwa, możności, przyjaciół, urody, męztwa, lat, czém wszystkim xieżnie Jejmości mógłby być drogim 1), a zamknął mowę swoją słowy.“

— Pozwolisz W. X. mość, czy nie, to inaczej być nie może.

Xieżna podniosła głowę i spojrzawszy na nich, zawołała:

— Także się to do przyjaciół, po żonę przyjeżdża!

I omdlała znowu. Nie prędko się jój docucono. Przypomniała potém, że król jest od ojcaznaczony córki opiekunem, że ona sama nic o jój losie stanowić nie może.

— A my ciebie więcj o to prosić nie będziemy! odpowiedzieli goście. Wszystkie te słowa są historyczne. Potém xiąże Bazyli porwał za rękę xieżną Halszkę, a xieżna matka za drugą, i tak rwali biedną dziewczynę, ten do siebie, ta do siebie, aż po chwili takiego passowania się; matka upadła na ziemię i znowu omdlała.

4) Górnicki.

Tu xiąże Bazyli trzymając Halszkę za rękę, oddał ją Dymitrowi i rzekł:

— Oto ci ją oddaję, bo mam do tego prawo, jako stryj i najbliższy opiekun.

Zawołano natychmiast popa i kazano mu wiązać stulą parę nowożeńców. Lecz xiądz, gdy się spytał Halszki, czy ma wolę zostać żoną xięcia Dymitra, odpowiedziała mu uporném milczeniem. Zatem nie chciał dawać ślubu, radząc go odłożyć do jutra, ażby się uspokoiła i namyśliła.

Pilno było xięciu Bazylemu skończyć, odpowiedział więc z pogrózkami:

— Nie do rady xięże cię wezwano, lecz żebyś czynił co ci każą. A nie zechcesz być posłuszym, to ci ta buława napędzi.

Xiądz zamilkł i dokończył ślubu, w czasie którego xiąże Bazyli jak na chrzcie za synowię odpowiadał. Potém porwano jój rękę i związano stulą. Osobliwszy ślub!

Tuż zaraz wniesiono antypasty, cukry, wina, i co najprędzej gotowano łożnicę. Wyprawiono sług, a za niemi i xiąże Bazyli wyszedł, zostawując pobraną parę sam na sam.

Teraz cytuję już słowa obrońcy xieżnej w tej sprawie, Stanisława Czarnkowskiego. On opisze co i jak się dalej działo; bo temu ledwie uwierzyć można.

„Co gdy się stało, mówi, uboga (biedna)

xiężna jako przed kapłanem, tak i tu broniąc poczciwości swojej, była tak silna xięciu Dymitrowi, iż sług na ratunek zwołać musiał, przy oczu których, jako się pastwił nad xiężną poddaną W. K. Mości, ubogą sierotą, wnuczką owego sławnego hetmana Konstantego, córką owego Illiego, uszy świętobliwe W. K. Mości, nie dopuszczają mi wypowiedzieć. Nie tylko z poczciwą żoną żaden cnotliwy małżonek, tak się nie obchodzi, ale ani z ową, która wstyd zaprzedała.“

Po tym obrzydłym gwałcie, dowodzącym, że miłości żadnej między dwojgiem małżonków być nie mogło, chyba zemsta lub chciwość kierowała Dymitrem, książę Bazyli wygnawszy Beatę, zamek ostrogski opanował.

„Wziął go,“ — pisze obrońca, — „za zapłatę szkaradnego a nieprzystojnego uczynku swego. I to go to do swatowstwa powodowało, iż chciał odzyskać stolicę xięstwa, która po bracie na jego córkę spadała. Charakter X. Dymitra, który całe życie spędził w obozach i boju, który się chlubił, że rękami własnymi pojmał Bułkulaję Tatara za Cyrkassami, że dwadzieścia szlachty, w niewolę tatarską pędzonych z żonami i dziećmi, uwolnił, charakter, mówię, jego, burzliwy, nieugięty, nawykły do zwycięstwa i walki, przywiódł go do takiej ostateczności, w której interessowana pomoc

księcia Bazylego, podała rękę spełnienia gwałtu. A ten to był książę Bazyli, któregośmy opisali tak bardzo nabożnym!

Życie przeszłe księcia Dymitra, wystawiano długim pasmem burd, hulatyki i gwałtów, w Łucku i Krzemieńcu, w czasie pokoju popelnianych z rozpustnymi kozaki. Był to swoich czasów, w całym znaczeniu wyrazu tego, *junak*! „Najlepsze miejsce ku prędkiej wiadomości o nieprzyjacielu, ku przedszemu i snadniejszemu poratowaniu swoich, obrał sobie dwie mieście, Łuck i Krzemieniec,“ — mówił o nim obrońca xiężnej. — „Na mieszkaniu tam ze swymi kozaki pełnemi strzela (rozumie się kubkami, kielichy), a kiedy te wystrzelają, wytłuką, to do kuszów drewnianych ucieczka (kusz znaczy procę wojenną), aż się i garncom i donicom dostanie. To on w tych mieściech można, w tych straży kozacką dzierży, nie na uprzątnienie nieprzyjaciela, ale na upatrzenie podwiki (spodniczki), dla której bywało to, iż siła nocy nie sypiał. Jeżeli się kiedy trafiało, że o ludziach (nieprzyjacielu) wieść przyszła, to P. Dymitr jako opatrny hetman, tak długo się wybierał, tak długo strzałki ostrzono, pancerze wycierano, rohatyny hartowano, aż Tatarowie odeszli z plonem. O których odejściu, skoro się dowiedział, to za nimi wciąż aż do Braclawia. A nie mniemaj W. K. M. iżby za nimi szedł

pędem, po dwu, po trzech mil ujeżdżał na dzień, iżby tylko do Braclawia był na czas kwasić, a zastał co u nizowych kozaków korzyści (łupu), o którąby nie żał było w karty, albo w kostki uderzyć, to więc tam ostatek czasu, jeśli o ludziach słyhać nie było, zwykli trawić, pijąc, luczając, grając, aż jaki nizowy kozak pastérza u tureckich czabanów porwawszy, za więźnia męznego przywiódł. A tego skoro albo okupił, albo w karty wygrał, to z nim do W. K. Mości posłał, pokazując i szerząc posługi swoje, jako nie śpi, jako garluje, jako majątność utracą przez W. K. Mości sławę. Toż są jego rycerskie sztuki.“

Z takim to szyderstwem malował Czarnkowski przeszłe życie X. Dymitra, i wyśmiewał zwyczajstwa, z których się on wynosił. Zaste, jeśli to nie przesadzone, co za obraz wyborny obozowego życia w XVI wieku na Wołyniu i pograniczach tatarskich.

Xiężna Beata, wygnana z Ostroga, pospieszyła ze skargami i płaczem do króla, do Krakowa, narzekając na gwałtem narzuconego sobie zięcia xięcia Dymitra, przez przyrodzone niby prawo opieki Bazylego dziewczęcia swego, narzekając na porwanie córki, najazd i rozbój.

Pozwano przed króla xięcia Dymitra, który przeczuwając złą sprawę swoją i jej skutki, wiedząc, ile może na Królu Bona, na Bonie ły

Beaty i krzywda płci białej; skrył się z żoną, czekając dalszych wypadków. Ku jesieni król z królową udał się do Knyszyna, gdzie sprawa ta wytoczyć się miała. Od xiężnej Beaty mówił Stanisław Czarnkowski, ochotnik czy też uproszony przyjaciel, którego mowę pełną oburzenia, żalu, wyrzekania, szyderstwa; wymowną, śmiałą i dowcipną; ostrą w wyrzutach na xięcia Dymitra, wypisał całą w swęj kronice Górnicki, razem z odpowiedzią.

Dwa te ciekawe zabytki wymowy sądowniczej w XVI wieku, w tak dziwnej sprawie, dziś jeszcze niezmiernie zajmują.

Szlachcic Odachowski stawał w obronie xięcia Dymitra. Trudna była to rzecz, po wymownym oskarżycielu powodowej strony, po tylu zarzutach, po tak oczewistych dowodach gwałtu, przeciw wszystkim przekonaniu, przeciw królewskiemu nawet, bronić xięcia Dymitra. Długo się odwołując do sprawiedliwości króla i zasadzkami xiężnej wymawiając nieprzytomność Dymitra; we wstępie mowy, starał się Odachowski, uniewinnić niestawienie się jego przed sąd. Czuł bowiem, że i to go nawet obarczało, iż się stawić nie śmiał i czuł winnym. Dalej zadał sobie dowieść obrońca, że xiąże Dymitr uczynić gwałtu nie mógł i nie uczynił. Rzecz oczewista, że nie uczynił, jeśli nie mógł; raczej dowodzić należało, że uczynić

nie chciał. Dowodzenie niemożności na tém się zasadzało, iż w Ostrogu, oprócz ludzi ustawicznie tam mieszkających, urzędników, dworzan, dworników, pieszaków; dwór sam xiężnej pani tysiąc koni wynosił; kniaź zaś Dymitr miał tylko trzydzieści, a Wasil pięćdziesiąt koni, gdy na zamek przybyli. Nareście po swojemu obrońca rzecz całą wyłożył, dosyć zręcznie na wywrót ją malując. Składał list xiężnej Beaty z obietnicą ręki Halszki dla Dymitra; którą, jak powiadał uczyniwszy uroczyscie, potem złamać chciała. Xiąże Dymitr wedle słów obrońcy swego, miał tylko gwałtownie wjechać na zamek, aby uniknąć wstydu, gdy ujrzał, że przed nim bramy zamykać chcą. Całą rzecz złożono na xięcia Bazylego, stryja, a upor xiężnej Beaty, wystawił Oda-chowski, chciwością trzymania jak najdłużej córczynego wiana. To ostatnie było szczérą prawdą, lecz nie wymawiało wcale gwałtu. Ofiarował obrońca, w imieniu xięcia, jakby szydząc z chciwości matki, majątki i wiano xiężniczki powrócić, byleby żonę mu zostawiono. Chwalił xięcia Dymitra z jego czynów, skończył na prośbach. Obrona ta rzeczą słabą, ułożoną bardzo sztucznie, bo omija większą część zarzutów, kołując nie daleko nich, a nie dotykając w istocie; została bez skutku. Król nadto już był uprzedzony, gwałt nadto jawny. Roz-

strzygła się sprawa w senacie 1), a że był przy xiężnie wielki orszak ludzi zacnych z Polski, wojewodów, kasztelanów i t. p., a z Litwy nie wielu się znajdowało sanatorów; przyszło tym to polskim panom zasiąść w radzie i wotować; a tak wszyscy, jako przyjaciele xiężnej Beaty, przeciw xięciu Dymitrowi zdanie dali.

Prosili za nim Litwini o przedłużenie czasu, aby sam mógł stanąć i młodą xiężnę dla wybadania sprowadził; ale napróżno. Dekret wypadł na *infamję* go skazujący. Ten wyrok, jako marszałek, ogłosił zaraz przyjaciel xiężnej Beaty, Mikołaj Radziwill, wojewoda wileński.

Infama wolno było, jak wiadomo, każdemu pojmać i zabić; a xiężnie tego tylko było potrzeba, aby go zgubić, a córkę odzyskać. Nie ustając zatem w zajadlej zemście, prosiła jeszcze i uprosiła wydanie uniwersalów, a sama wyjechała.

Znalazł się taki, który za nieszczęśliwym acz winnym, polecił wygnać. Był to Marcin Zborowski kasztelan krakowski z synem. Trudno pojąć przyczyny pośpiechu, z jakim się puścił w pogoń za nim. Współcześni 2) malu-

1) Górnicki,

2) Paprocki. *Herby*. 92. 93.

ją go wprowadzić gwałtownym, lecz nie zepsutym człowiekiem. Paprocki pisze o nim: „Był za mojej pamięci, Marcin Zborowski, bardzo zamożny w skarby (więc nim nie powodowała chęć zysku) i w majątności, pan skromny, nie przesadzał się na szaty, ani na żadne niepotrzebne zbytki. Był naprzód u Zygmunta starego podczaszym, rotę do Węgier wodził, a zwłaszcza do Orszéj, w oną fortuną bitwę, w której brata stracił Jana; także i do Opoczki, na Podole; za Konstantyna Ostrońskiego owego sławnego w sprawach rycerskich, a jako biegłego tak i fortunnego pana”

Mógł więc w nsludze X. Beacie, pamiętać na te dawne związki.

„U Królów, pisze dalej Paprocki, był w wielkiej łasce za wiarę, pilność i stateczność w posługach swych. Wielkie szczęście jego i męztwo znaczne zalecało go Królom, gdy przed nimi nie tylko nieprzyjacioły ich czasu potrzeby bijął, ale też w czasie krotchwili, zwierza, wilki, wieprze, żubry, niedzwiedzie, pojedynczo łowił” (Był to więc dworak, który choć barwy nie nosił, pana bawił z obowiązku prawie wziętego na się) „Był Kasztelanem Kaliskim, potem Wojewodą tamże, potem Wojewodą Poznańskim. Umarł Kasztellanem Krakowskim, Szydłowskim, Skotnickim, Tłomackim i Odolanwskim Starostą i t. d.”

On Berkę Czecha, który granice od Odolanowa najeżdżał; zabił. Przysłał mu ów Czech odpowiedź rano, a on go ranięj jeszcze nazajutrz najechawszy zabił.”

Takiego to człowieka, użyła Xiężna Beata, posyłając w pogoń za biednym wygnańcem, który z Halszką do Czech się schronił. Ale i tam ścigał go Zborowski 1) tak śpiesznie, że mu w drodze wszyscy ludzie jego orszaku poustawali; a on sam tylko samoczwart, (zdwoma sługami i synem Marcinem) pędził aż do Jaromierza, gdzie Dymitra dognał, w obcym już kraju, pod obcemi prawami, niosąc miecz na wygnańca!

Gospodarz domu, do którego skrył się xiążę Dymitr, zabity został, zapewne stając w jego obronie. Zabity i xiążę Dymitr; porwano Halszkę. Ją i głowę xięcia Dymitra, odwieziono razem matce.

W Jaromierzu, postawiono xięciu Dymitrowi nagrobek, na którym Zborowskiego jako zabójcy imię położono; dziś go i śladu tam niema i tradycja nawet wypadku niepozostała. 2)

1) *Paprocki Herby.*

2) *Paprocki. f. 207* — Tak nagrobek kładzie. Hoc loco coaditur Clari Lithvaniae Ducis Sanguszko ex magnifica familia Olgerdinati Capitanei Cir-

Król wydawszy dekret na xięcia Dymitra, wyjechał na seym r. 1554 do Lublina; gdy pod Parczowem będącemu, przyniesiono wiadomość o zabiciu xięcia Dymitra i o zatrzymaniu zabójcy w Czechach. Pisał król do Ferdynanda, aby Zborowskiego uwolniono — ale kto wie, czy wówczas nie ukluła w sumienie ta krew przelana, ten wyrok tak prędki? Zborowskiemu za ten postępek szkoda że potomność nie dała imienia kata, na które zasłużył, ten nie przyjaciel niedzwiedzi, żubrów, i adwokatów.

Ta powieść, której krwawe sceny przypominałem sobie patrząc na ruiny Ostrogskiego zamku, na drogę którą ciągnął Dymitr wpadał; na miejsce, w którym się ten ślub odbył; — malowała mi tak dobitnie obyczaje tamtego wieku; a chociaż na pozór jest wyjątkiem, szczególnością, w przyczynach tego dramatu cały wiek XVI. z jego barbarzyństwem, z wiarą w prawo silniejszego, z chciwością złota, z bezwsty-

cassiensis quem Martinus Zborowski trucidavit a. 1554.

Tamże Zborowski Bonę królowę zatrzymał w Krzepicach, nigdy się z sąsiadami nieprawował, a każdej krzywdy sam sobie poszukiwał. Adwokatów zaś którzy mu wcale nie byli potrzebni, na rybnych stołach bijal; oczém Paprockiemu mówił Kumelski sławny Prokurator (Adwokat) Um. 1565 d. 25 Lutego.

dem swoim na innym, z mowami w których się tak gładko uniewinniać umie — widziałem.

Jaka była myśl, jakie było uczucie powodujące X. Dymitrem? Miłość? — nigdy! Duma? upor? chęć postawienia na swoim? — Może, powiedział sobie wojak, tak ma być — i tak się stało — choć głową przyplacił, ale zwyciężył, ale był mężem Halszki, zięciem Beaty. Spodziwał się bez wątpienia X. Dymitr łaskawszego na się sądu, któryby go był niemiął, gdyby więcej miał przyjaciół; spodziwał się względu na urodzenie i zasługi — a jednak czuć musiał winę swoją, gdy głowy swęj sam przed sąd zanieść nie odważył się.

Charakter xiężnej matki Beaty, lepiej się jeszcze później odmalował, gdy znowu później szło o zamęście tej nieszczęśliwej córki. Na ówczas i król już poznał nienasyconą jej chciwość i nieczułość kamienną kobiety bez macierzyńskich wnętrzności. Smutne były dni Halszki z matką, która ją zamykała, kryła i strzegła, ufając że jej nigdy za mąż nie wyda; że los jej przeszył, niewola i strach, wszystkich starających się od niej odpędzi. — Księżna matka chciała jeszcze zbierać grosze z posagu córki i sama wprzód pójść za mąż; czego potem i dokazała. Takie było nieszczęsne położenie Halszki, i niktby o nią może się nie pokusił, gdyby nie jej wiano. Ono to było po-

wodem, i xieźna Beata drugi jeszcze dramat z córką i królem odegrała.

Za wierne usługi król Zygmunt August opiekun Halszki, swatał ją, jako bogatą dziewczkę, hrabiemu Łukaszowi z Górki.

Działo się to w Warszawie, gdy król jechał właśnie na sejm do Lublina. Król uczynił wniosek ten i propozycję od siebie xieźnie matce, która natychmiast poczęła szukać wymówek, a niemogąc się niczém wywinąć, bo była sama wprzód królowi sprawo rozporządzenia córką swoją przyznała, cytowała podane jój zapewnie przez kogoś, prawo z Statutu Litewskiego, stanowiące, że gdyby się polak jaki z panną lub wdową litewką posiadającą majątności ziemskie żenił, powinien był wziąć cóż niewiele za włokę gruntu (wedle urzędowego ocenienia) a od dóbr odpadać; to prawo uchwalone było, dla uchronienia się od napływu polaków do Litwy, których przemagającej liczby i znaczenia lękano się jak widać. Dodajmy iż Wołyn pod ówczas rządził się Statutem Litewskim i do unij Lubelskiej, liczył się z Litwą.

Na ten zarzut król zdziwiony przytomnością białogłowy, odpowiedział jój, obiecując i zaręczając swoją powagą, iż tę trudność zniesie, dając słowo swoje królewskie. Że zaś wybieg to był tylko ze strony xieźnej, nie poprze-

stała więc na Królewskim słowie i jakby niewierzyła w nie, zgodzić się na zamęcie córki nie chciała.

Król dał jój czas do namysłu. Ostatniego dnia, już w Błoniu na noclegu, znowu poczał August nalegać upornie, przyczyniła się i królowa Bona, posłali do xieźnej Andrzeja Czarnkowskiego Biskupa Poznańskiego, ale nikt jój zmiękczyć niepotrafił. Nakoniec bojąc się dłuższych nalegań i perswazij, a czując się już osłabioną poprzedniemi, wstydząc się może wreście swój obrzydłej a tak jawnej chciwości, xieźna Beata, gankami uciekła do łaźni i tam się skryła, żeby jój już znaleźć nie mogli.

Halszka zostawiona sama sobie, musiała wytrzymać nalegania wszystkich, i obiecała, zawsze posłuszna, pójść za wolą matki i uczynić co ona każe. Król czekając długo na xieźną Beatę, posłał po nią nareście. Nigdzie jój nie było. Kazano jój szukać, przetrzęsiono wszystkie budynki i odkryto gdzie się najmniej spodziewano; bo w łaźni. Chciano ją wieść do króla, ona iść nie chciała, bojąc się nowych nalegań. Że się zaś wszystkim już jój upór naprzykrzył, zdjął jój ktoś z palca pierścień i zaniósłszy go na pokoje do króla, powiedziano córce, że był znakiem pozwolenia przysłanym przez matkę. Jak tylko go postrzegła Halszka, zgodziła się na wszystko,

warując sobie zawsze, że o tyle tylko przystaje na małżeństwo, o ile mu matka nie jest przeciwną. Gdy jęj to wszyscy wmawiali, ona przestraszona sama niewiedząc co począć, gdy X. Czarnkowski nie tracąc czasu, zaraz stanął ślub dawać; miała jednak dość przytomności, że odpowiadając na pytania przy ślubie, dodawała —

— Jeśli taka matki mojej wola.

Tak bardzo przywykła była lękać się i słuchać matki. Ledwie się ślub skończył, a było to już wieczorem, Xiężna stara dowiedziawszy się o tém, wpadła do królowej Bony, zaczęła narzekać, wymawiać, że nigdy nato niepozwoili, że ślubu tego ani ona ani córka za ważny nie mają. Ze strachu jednak aby jęj córki nie odebrano, czując że z pod boku królowej Bony, nikt po nią sięgnąć się nie ośmieli, już się jęj nie puszczała na chwilę, jak cień za nią chodząc.

Tymczasem ciągnęło się to tak; a wreszcie królowa Bona ze swemi skarbami poszła umierać pod włoskiem niebem młodych lat swoich. Zaszła wojna w Inflanciech i Hrabia niemiął czasu dopominać się żony; a xiężna Beata z córką przeniesła się na mieszkanie do Lwowa, gdzie jak w fortecy w klasztorze osiadła.

W r. 1559 pan Hrabia przypomniał sobie że miał żonę i zaczął prosić króla o jęj wydanie. Dogadzając człowiekowi, który za nim wszę-

dzie wielkim kosztem z pocztem znacznym jędził, a nie minął jeszcze żadnej wojny, ani zjazdu, ani sejmu, jak prawy dworzanin królewski; August rozkazał Piotrowi Barżemu staroście Lwowskiemu, iżby żonę Hrabieemu oddał. Rozumie się że siłą, bo inaczej nie było można. Hrabia z przyjaciółmi i dworem pojechał do Lwowa, a wysłał naprzód z radą i perswazją Barżego, który kiężnie Beacie w szerokiej mowie, zwyczajem owych czasów, rozwodził przy czyny dla których posłuszną być była powinna.

Ona zaś, jak wprzód zsyłała się na króla, tak teraz króla obwiniała, że niemiął prawa bez nięj córki wydawać i mówiła.

— Nikt lepiej o córce nie radzi nad matkę. Król jest jęj opiekunem, aby jęj krzywdy uczynić nie dał, nie żeby jak niewolnicą nią miał rozrządzać. Ślub córki mojej nieważny, bo był warunkowy. Dom Ostrogskich, dodała wreszcie nie takiego miał prawo spodziewać się poselstwa od króla. Ty Barży, dołożyła uderzając w słabą stronę szlachcica zręczna białogłowa, myśl sam, gdyby twoją córkę, siostrę lub krewną, gwałtem komu oddać chciano, czyżbyś niewolał widzieć ją umarłą niż niewolnicą? "

Tu xiężna dobyła z pod sukni na piersiach fałdowaną, puginał i rzekła.

— Prędzej ją zabiję niż oddam!

Barży widząc taką zaciętość, ustąpił i dał

o tém wiedzieć królowi. Rozgniewany Zygmunt August, kazał napisać instrukcją Barżemu i kredens, a kanclerz Padniewski, wysłał z niemi do Lwowa Górnickiego, który tu trzeciego dnia przybył. Barży dołożył usiłowań, aby spełnić rozkazy króla. Postawił strażę ubram miasta, ażeby nikt bez wiedzy, newszedł i niewyszedł i obległ księżną Beate.

Alić drugiego dnia łapią w bramie posłańca, którego Sawicki pisarz Wojewody Wileńskiego Radziwilla, wysłał był do księżnej. —

Pytają go o listy — zapięra się ich. Szukają i trzęsą go, znajdują w wołoku (kapturze) pisane po Rusku, odradzające księżnie, aby córki nie wydawała za Łukasza z Górki.

Tym czasem księżna żadną miarą niechcąc córki oddać Łukaszowi z Górki, inny zmyśla fortel. Zmawia się z księciem Siemionem Słuckim, obrawszy go sama za zięcia sobie, postanawia ślub zbić ślubem drugim i daje mu znać tajemnie, aby do Lwowa przybył.

Bramy Lwowskie, jakieśmy rzekli pilnie strzeżone były, jednakże książę Siemion przebrany po żebracku, w łachmanach odartych, przedarł się niepostrzeżony, dopadł klasztoru i księżnej. Ta, nieugięta, sciągnęła razem do klasztoru ludzi, strzelbę, uzapasiła go w żywność, amunicją i gotowała się jak do obłężenia.

Widząc to pan Barży, sztuka za sztukę —

że woda szła rurami do klasztorów, rury te pozatykać kazał i księżnę nie głodem ale pragnieniem wzięść umyślił. Ku wieczorowi dnia tego, gdy jej wodę odjęto, księżna posłała dwóch sług swoich do Barżego, (z których jednym był Zieliński później wojewoda Połocki) oznajmując że córka jej jest oddana w małżeństwo księciu Siemionowi Słuckiemu i prosząc aby jej Hrabia dał pokój.

P. Piotr Barży i brat jego Stanisław posławszy tę osobliwszą nowinę, a zląkwszy się gniewu króla, źle przyjęli, a gorzej jeszcze odprawili posłańców, z odpowiedzią, że nic z tego nie będzie, co sobie księżna osnuła. A lekając się, aby jej słudzy ze strachu, tej odpowiedzi nie wzdragali się donieść, poszedł sam pan Stanisław Barży i ostro jej w oczy wyrzucał, jakie są kary na tych, którzy cudze biorą żony i tych którzy do tego pomagają; aż księżna przestraszona groźbami, o swym zamiarze zabicia córki i o wszystkiem zapomniała.

Dobrze ją sfukawszy p. Stanisław wrócił nazad, a p. Piotr oznajmił że nazajutrz przyjdzie po obiedzie, na co księżna odpowiedziała już łagodniej prosząc tylko, aby starszego swego brata z sobą niebrał. P. Piotr siedział do północy u księżnej i tyle na niej wymógł, że nareście córkę wydać obiecała. Jakoż nazajutrz biedna Halszka oddana przez matkę i przywieziona na

zamek Lwowski przez p. Herburtową Dziedziłowską.

Godne uwagi posłuszeństwo córki. Po tylu męczarniach, po tak okropnym życiu u matki, wydana już staroście i jego siostrze, przywieziona na zamek, siadła twarzą ku ścianie na łóżku i nic nawet jeść nie chciała, chyba jej co matka przysłała. A ktoż wie tajemnice serca? może kochała tego Siemiona który się do niej w łachmanach przedzierał, biedna ofiara matczynej chciwości i swojego złota. Starosta biorąc ją na zamek, dał słowo stariej księżnie, że nie wyda jej Hrabiemu, aż o tém wprzód królowi oznajmi. Posłano listy do króla, pisała Halszka także i prosiła Górnickiego, aby jej list do rąk oddał.

Lecz August rozdrażniony nieposłuszeństwem, po długiej wszakże naradzie, przysądził księżniczkę Halszkę, jak rzecz, tak majętność, przeciw jej woli i skłonności, Hrabemu Łukaszowi z Górki. Gdy przyszło ją nareście wydawać, płakała biedna rzewnymi łzami i do kolebki siadać nie chciała, wyrывая się z rąk oprawcom. Ale rozkaz króla i chciwość Hrabiego (któżby to nazwał inaczej?) przemogły rozpaczny opór Halszki—pojechała!

Jakie było ich pożycie? nikt nie wie. — Lecz bezdzietna i wreszcie obłąkana na umyśle 1)

1) *Paprocki. Herby* 50.

przeżywszy męża, biedna wdowa, po śmierci jego, już bezprzytomna, przybyła na dwór X. Konstantego Bazylego stryja swego, skończyć życie mizerne w Ostrogu, w miejscu które pierwszych jej nieszczęść było świadkiem. Matka jej księżna Beata, wyszła także zamaż po odebraniu sobie córki, za Albrychta Łaskiego wojewodę Sieradzkiego. Lecz gdy jak wprzód córce, potem mężowi chciała przewodzić; nie mogąc znieść jej uporu, zamknął ją w zamku Kesmork w Węgrzech, w którym umarła 1).

W całej tej smutnej a prawdziwej historii księżnej Halszki z Ostroga, kto tu najpiękniejszą grał rolę? Ani matka, ani król, ani księże Bazyli, ani Dymitr, ani Hrabia z Górki. Jedna Halszka wszędzie staje jak niewinna ofiara, której życie szarpie chciwość, upor, duma i cudze rachuby; namiętności, zamiary, rzucają nią jak nieczulą jaką istotą. — Zaiste historia Halszki jest może najdobitniejszym obrazem bez prawiów jakie w polsce w XVI wieku (w ówczas nawet, kiedy kraj ten do zupełnej anarchii nie doszedł jeszcze) działały się. Los Halszki może nam dać wyobrażenie, położenia towarzyskiego kobiet, ich uległości, ich niewoli, frymarków, które niemi czynili rodzice bez du

1) *Paprocki.*

szy. Czémże są gorsze Bazary Stambułu? gdzie często czerkaski, z dobrej woli, marząc o roskoszach jażminowych gajów i wonnych fontann haremu, same idą na sprzedaż? Nieznam wypadku w dziejach polskich zapisanego, któryby był bardziej dramatyczny sam przez się. — Z tej kroniki byłby Shakspeare utworzył najcudniejszy dramat. Kiedym pierwszy raz w Górnickim czytał historję Halszki, serce mi się rozdierało, i zapalony tą historją tak prawdziwą a tak dziwną; tak smutną a tak zajmującą; nie uspokoiłem się ażem z niej sklecił dramat; który jest tylko pierwszą częścią życia Halszki i niewiem czy maluje tak żywo owe czasy, jak by mógł i powinien. Kiedyś muszę go dokończyć i zaiste cudne rzeczy mogłyby być jeszcze w drugiej jego części, gdybym się tylko mógł na nie zdobyć. W obliczu takiego przedmiotu, człowiek najmocniej czuje, jak mu na siłach zbywa.

Widok Ostroga, na nowo obudził we mnie wspomnienia wszystkich scen życia Halszki; patrząc na z umczyisko zawalone, liczyłem w myśli wszystkie łzy biędnej ofiary, które tu spływały po cichu, gdy przez okna patrzyła, na dalekie blonia i lasy. Mój Boże! teraz nikt nawet niewspomni o niej, nikt jej politowaniem cierpień nie zapłaci.

Twoje lice tak świeże, tak niebieskie oczy,
Twój włos złoty, w ulotne zamknięty pier-
śnienie;
I głosek twój jak arfy eolskiej uroczy,
I lzy twoje o biędna! i twoje westchnienie,
Wszystko co w tobie ludzie wielbili, kochali —
I ty sama — zginęłaś w zapomnienia fali!!
Na toż się było rodzić, w morzu życia płynąć
Walczyć z burzą i gromem, by od gromu,
zginąć! —

Janusz Wojewoda Wołyński, syn pierwszy stryja Halszki Konstantego Bazylego, pobożny pan i pierwszy z tej rodziny Ostrogskich katolik, założył kościół w Konstantynowie i dominikanów konwent fundował; w międzyrzeczcu zaś Ostrogskim Franciszkanów, w r. 1812. Przyczyną jego nawrócenia do łacińskiego obrządku, było, iż młode lata swoje spędził na dworze cesarskim. Lecz gdy apostata do ojca powrócił; ten rozgniewawszy się, zaraz go zamknąć kazał do ciężkiego więzienia 1) gdzie nikogo niewpuszczano, prócz jednego Popa, mającego nawrócić go do pierwszej wiary ojców. Tak cały rok bezskutecznie nad nim pracowano. Co widząc ojciec kazał go w głębszy jeszcze taras zapakować w Dubnie, i w tym celu wybrawszy się z ostroga z nim i bratem jego Ale-

1) Niesiecki. III. 518.

ladzią do stołu sadzał. Niewiem czy można temu wierzyć, że ojciec tej nocy, gdy wszyscy usnęli, poszedł ku niemu i znalazł go śpiącego na gołej ziemi, wśród czeladzi; a nienawidząc go dla odstępstwa od wiary, dobył szabli i ciąć nią syna zamierzył się.

— Niegodnys, krzyknął w gniewie, żyć dłużej na świecie.

Janusz w tej chwili porwał się ze snu, chwycił szablę ojca, wstrzymał cięcie i podając mu swoją, rzekł.

— Ojcze, niewarto abys tę szablę krwią nie przyjaciół zbroczoną nieraz, swoją własną krwią kalał. Oto masz moją i kark mój; tysiąc śmierci chętnie za moją wiarę poniosę.

Tym pokonany ojciec, posłał go nie już do więzienia w Dubnie, lecz nazad do cesarskiego dworu, zalecając tylko aby stroju niezmieniał, jak zmienił wiarę; aby się nie żenił, chyba z polką lub węgierką.

Późniejsze czyny wojenne X. Janusza omi-
jam.

Lecz nadto jest ważne ordynacji Ostrogskiej przez niego ustanowienie, aby je milczeniem pokryć. Ta ordynacja, która potem za Augusta III. tyle narobiła hałasu w kraju, datuje od X. Janusza, przez którego ustanowioną została. Janusz ją z gniewu jak mówiono na

brata Alexandra i synowców uczynił; których w trzeciej już (bo po trzykroć ustanowienie przerabiał od roku 1615 do 1618 roku) ordynacji, wydziedziczył i od następstwa po sobie usunął. Ordynacja obejmowała w ogromne majątki dziedziczne, jako ostróg z zamkiem, miastem i przyległościami (które to miasto ustąpił Januszowi brat Alexander Wojewoda Wołyński) miasteczko Międzyrzecz miasto i zamek Dubno z przyległościami, Zamek i miasto Stepan, zamek i miasto Konstantynów, zamek i miasto Bazylje (za czasów Sarnickiego przez xięcia Bazylego Ostrogskiego założone) także zamki miasta i Klucze: Krasifów, Kuźmin, Czartowie, Supoków, Miropól, Niemilna, Zaborzyca, Códnow, Piasek, Januszpol, Sosnow, Detkowice, Pików, Hlinsk, Wilsk, Now, Ostrozek, Krasnopol, Lutowiez Hrybowice, Lesna, Smilowicze. Liczba wsi zawarta w tych kluczach była niezmierna; a ileż to zameczysk? gdyż w tym kraju każde miasteczko i stolica klucza, musiało mieć zameczek, na przypadek najazdów dla obrony.

Lecz nie były to wszystkie posiadłości tego bogatego domu, gdyż Zamki i miasta Tarnów, Wiewiórka, Opatów, Chmielów, Procholice, Krzczonów, Glinka, Kobierzyn, Pleszów, Kowala, Zembocin, Prokocin, Mikołajowice, Czyżów, Biała, Kosowie, Switerna, Miotulisko,

Czestorje, Sulejów, Wołowice, Jakubowice, Rudniczek, Swidniczek, Swidnicka wola, Długie, Nowydwór, także Kossów, Tetjów, Olszanica, Rokitna, Łobaczów, Petybory, zostawały do podziału familji, nieobjęte Ordynacją.

Do następstwa na Ordynację, miał prawo z linii męskiej najstarszy. Wyznaczonym przez księcia Janusza, był książę Franciszek Zasławski i jego potomstwo, lub z córki X. Janusza zrodzeni książęta Karol lub Dominik (jeden po drugim w przypadku bezpotomnego zejścia); gdyby zaś linja wyznaczona zupełnie wygasła, naznaczył książę Janusz, męża swej córki księcia Alexandra Zasławskiego, wyłączając potomstwo z drugiego łoża, być mogące. Dalej jeszcze w przypadku bezpotomności, naznaczył syna księcia Radziwiłła Podczaszego, z siostry swejzrodzonego i jego następców.

Książęta Zasławskie, o których tu wspomnieliśmy, byli jedną familją z Ostrogskimi, jednego herbu; jednej dzielnicy, jak dawniej mówiono. Mylnie ich niektórzy wywodzić chcieli od Gedymina lub Olgerda, gdyż byli Ruscy. Inni to byli książęta Zasławskie, wywodzący się przez Jawnuta od Gedimina. Ci Jawnućwice Zasławscy, daleko wprzód, przed wygaśnięciem rodu ruskich zasławskich, wygaśli w linii męskiej a księstwo ich zasławskie w Mińskiem, dostało się w dom Chlebowiczów przez

kobiety 1). Ci zaś Ruscy Zasławscy, poszli na przód gałęzią od pnia Ostrogskich. Bazyli bowiem książę na Ostrogu i Zasławiu, między dwóch swoich synów rozdzielił księstwa. Pierwszy wziął Ostrog, drugi Zasław. Zasławscy książęta ciągle się Ostrogskich trzymali, a zmianą herbu przez księcia Konstantego i oni go zmienili. Jerzy Książę, Ostrogskim zwany, który Szymona Oleskowieza w r. 1456 upornie chciał na wielkie księstwo prowadzić, nie był Ostrogskim, ale Zasławskim. Wielu ten dom wydał męznych rycerzy. 2) Janusz książę zasławski (1603) został katolikiem, i w Zasławiu Kościół księżom Bernardynom postawił pod tytułem S. Michała Archaniola w r. 1603. Był to czas, w którym pod wpływem Jezuitów, Unji i Króla, większa część familji ruskich, zmieniła wiarę. Alexander książę Zasławski, Janusza pierwszego Ordynata Ostrogskiego 3), o którym była mowa, córkę miał za sobą i wziął po niej Ordynację Ostrogską. Władysław Dominik książę Zasławski, zmarły w r. 1655. zostawił syna Alexandra, na którym skończyła się familja Zasławskich Ruskich w r. 1673.

1) Strykowski. *Kojałowicz. Paprocki.*

2) *Niesiecki. IV. 689*

3) *Niesiecki. IV. 692*

Xiąże Janusz, tak rozporządziwszy Ordynacją, jeszcze na przypadek wygaśnięcia zupełnego rodu swego, które przeczuwał, w braku następców opisał, iż sejmiki za potwierdzeniem sejm, miały na Ordynata obierać kogo zastużonego i dobrze urodzonego z kawalerów Maltańskich, polaka. Nie sam zakon więc nazaczył następcą i dziedzicem, ale jednego z zakonu, polaka.

Obowiązkiem Ordynata było: trwać w katolickiej wierze, nosić herb XXąt Ostrogskich, tytułować się Ordynatem, utrzymywać zamki dla obrony podola, opatrzone w broń i maszyny wojenne, z ludźmi na koscie swoim, przeciw nieprzyjaciół wiary mianowicie stając. Dawać w razie wojny, trzech set konnych, a trzech set pieszych. Utrzymywać całość i nierozdzielność dóbr Ordynackich. —

Przyszły wojny, najazdy, zaburzenia i ciężkie na Ostróg czasy; szerzył się duch buntu wśród Rusi uciskanej, zrodzony uciskiem i nawracaniem. Oznaki tego coraz się stawały jawniejsze. 1)

Gdy raz katolicka processja szła z Zaslavia na Ostróg do Sokala; Nalewajko, prześmiwając ten obrzęd uroczysty, naprzeciw niej swo-

1) *Niesiecki W* 518. 519

ją parodją wyprawil z Ostroga na spotkanie. Chorągwie tych szaleńców były z prześciera-deł, mniejsze z worów chłopskich, dyscypliny z ogonów lisich; ryczano i krzyczano zamiast śpiewania. Było to jeszcze za życia xięcia Konstantego Bazylego; pisał o tém użalając się do ojca X. Janusz; ale xiąże sprzyjając rusinom, nie ukarał ich za to. Podjęło się niebo pomsty; gdyż, jak piszą pobożni kronikarze, lasy Ostrogskie, w których się ta szalona scena odbyła, zaraz potem wypaliły się zupełnie.

Później w czasie kozackich napadów, buntownicy kozacy napadli na Ostróg z Zaslavia idąc; i tu bezbronnych mieszkanców sześćset wycięli. Ci, jak pisze Nathan Moskowicz, długo się kryjąc po lasach, głodem zmuszeni zostali do miasta powrócić, woląc ginąć od miecza niż z głodu.

Konstanty brat Xięcia Janusza, a syn trzeci Konstantego Bazylego, sławny jest swoim życiem, pełnem snów cudownych i objawień. Piszą Janczyński i Kwiatkiewicz, iż on w przód jeszcze popo [niż Janusz katolikiem został.

W osmnastym roku życia miał sen, w którym widział sędziwego starca, w białej szacie z siwym włosem i długą brodą; który do niego mówił:

— Widzę żeś rad z oglądania mnie, chociaż
II.

mojej twarzy oglądać nie jesteś godzien; bo żyjesz sprośnie i nie wedle praw boskich.

Piszą że to cudowne widzenie, wcale jednak na zmianę sposobu życia xięcia nie wpływało; gdyż zapewne jak Ś. Augustyn odkładał umiarkowanie na później i prosił Boga, aby się z zupełnem jego nawróceniem nie śpieszył. Lat dwanaście upłynęło, a xiąże Konstanty żył jeszcze jak wprzód.

Po dwunastu leciech, znowu taż sama postać pokazała mu się we śnie.

— Poznałeś mnie, Konstantynie? rzekła.

— Poznałem, odpowiedział.

— A pókiż w złych swoich nałogach trwać będziesz; póki grzechy do grzechów dodawasz? Trzy lata tylko życia ci zostaje użyci ich na poprawę.

Xiążę przelęknięty oddał się modlitwom, i życie odmienił. W trzecim roku w pół poście dostał febry, a w sobotę przed Kwietną niedzielą, trzeci raz ukazała mu się owa postać i oznajmiła, że umrze nazajutrz o dwunastej. Stało się tak; umarł w r. 1595.

Jeden z synów Alexandra Wojewody Wołyńskiego, za zabawkę raz sobie postawił w jakimś refektarzu zakonnym Żywoty Świętych, i do nich jak do celu, z łuku strzelił. Trafił i strzała utknęła głęboko; słowo na którym się oparła, było — *Śmierć*.

Umarł młodo.

Anna Aloiza xięniczka z Ostroga, Jana Karola Chodkiewicza Wojewody Wileńskiego i Hetmana X. żona, była bardzo pobożną panią. Ona w r. 1624 1) założyła w Ostrogu Collegium Societatis Jesu wspaniąle, które niegdy pono, stryj jej Janusz xiąże Ostrogski Kasztelan Krakowski, stawić już był zamysłał. Po królewsku je wzniosła i uposażyła, w celu nawracania Rusi Tatar i żydów Ostrogskich, do wiary katolickiej. Tamże przy Kollegium Jezuitów, *Collegium Nobilium* czyli konwikt dla młodzi odnowiła. Dziś jeszcze stoją ruiny tych wspaniatych budowli.

Cerkiew zamkową, obróciła na katolicką kaplicę dla siebie; co już pospółstwo niesłychanie oburzyło; lecz niedość na tém, gorliwa, ojcowskie ciało, pogrzebione w cerkwi Greckiej, (gdyż się trzymał tego wyznania) z cerkwi do kościoła przenieść kazała. To wzbudziło taki tumult między ludem ruskim w ostrogu, że zbuntowani na zamek napadli; a ona ledwie żywa, ratowała się u cieczką.

Wytoczyła się sprawa; wypadł srogi na napastników wyrok; ona go jednak na ten raz roz-

1) Xiądz Florjan Jaroszewicz. *Reformat. Matka Świętych. Kraków 1777. fol. d. 27 Stycznia, f. 51.*

troplejsza, dopełnić nad niemi nie dozwoliła. W czasie głodu w r. 1638 w Ostrogu i dobrach swoich, pobożna ta pani mnóstwo ubogich utrzymywała i żywiła.

Za buntów kozackich, o których jużesmy wspomnieli, gdy Kollegjum Jezuitów spalono zostało, wynagrodzając im, drugie w Jarosławiu wzniosła. Ciało swego męża Jana Karola Chodkiewicza, przeniosła do Ostroga z Kamieńca, w czternaście miesięcy po jego śmierci, i na grobki mu liczne postawiała 1). Umarła, a ciało jej w r. 1723 dopiero, w części w Ostrogu pochowano.

Ciekawa jest jej spowiedź, którą Niesieci przytacza. Pytał jej xiądz jeden u konfesału.

- Jak ci imię?
- Hanna.
- Co za jedna?
- Dziewczyna.
- Z kąd!
- Z Jarosławskiego przedmieścia.

I tak ciekawość niepotrzebną świętobliwego Jezuity, zawiodła.

Ustawa Ordynacji xięcia Janusza, w początkach święcie zachowana, dekretem w r. 1671

1) *Patrz dodatek.*

(dnia 21 Paźdz) w sprawie z Atanazym Puzyrą Władykiem Łuckim, o majątność Mizocz, potwierdzona. W r. 1667 zmieniono obowiązek dawania 600 żołnierza, na utrzymywanie garnizonu w Dubieńskim zamku, co Jan III. w r. 1696 potwierdził. Po śmierci ostatniego z linii męskiej dziedzica xięcia Alexandra, wziął Ordynację Lubomirski; ponim puszczo ją w administrację; rozdzielono nawet, część pod dożywociem xiężnej Teofili Wiśniowieckiej zostawując.

Po niej dostała się Ordynacja jej synowi xięciu Alexandrowi Lubomirskiemu; po tym xiężnie Sanguszkowej jego siostrze; nareście spadła na jej syna xięcia Sanguszka Marszałka Litewskiego Nadwornego; który widząc się bezdzietnym i biorąc za pretext upadłe już ordynacji instytucje, a razem swoje do niej prawo spadkowe po kobietach, umyślił — dziwnym sposobem — zniszczyć ją ostatecznie, rozdzielając i rozpisując jak swoją. Było to już w r. 1753, a działo się w Kolbuszowej, potem potwierdzone w Sandomierzu. Jak się tylko o rozpisanie ordynacji, Panowie Litewscy i Koronni dowiedzieli, wszyscy z wielkim krzykiem powstałi na xięcia; tysiąc listów, pogroźek, rad, spadło na niego. Wojewoda Krakowski i Hetman w liście swym dodał nawet: (d. 9 Grudnia 1753 r.) „Byłbym przymuszony

użyć przyzwoitych środków, *ad manutentionem* ordynacji."

Ale xiaże stały w dziwaczném przedsięwzięciu swojém; uczynił akt, którym formalnie ogromne dobra ordynackie, rozpiisał krewnym i niekrewnym, proszącym i niemającym tego w myśli. W liście, w którym się z kroku swego tłumaczył Hetmanowi; pisze, że gdyby te dobra kawalerom Maltańskim dostać się miały, który nie królowi ale zakonowi przysięgę czynią, użyliby ich na Turków i wojnę; tylko na kraj naprowadzili.

Dziwne tłumaczenie, które niedowodziło prawa do rozporządzenia majątkiem; chociaż z drugiej strony, uważając ordynację za nie była, miał do majątków prawo x. Sanguszko, jako następca, sukcesor pokądzieli najbliższy

Xiaże Janusz Sanguszko, rozpisując te dobra na wszystkich, sobie dożywocie zostawił. Dla ciekawości, ogólnie tylko akt, który tyle swego czasu szumu narobił, w treści wyłożym.

Obowiązek dawania sześciuset ludzi na potrzeby wojenną, xiaże na klucze rozdzielił.

„A naprzód ludzi pieszych na *praesidium* fortocy Dubieńskiej, pod władzą Hetmańską konferować ma 270, klucz Dubieński, klucz Stepański ludzi konnych 63, klucz Miropol-ski i Wilski 33, klucz Cudnowski konnych 32, klucz Pikowski konnych dwudziestu,

klucz Bazylijski konnych 33, klucz Krasiłowski konnych 33, klucz Ostrogski konnych 31, klucz Sulżyński konnych 32, klucz Lutowiejski konnych siedmiu —" Dziś zmieniono to zostało, na podatek zwany ordynackim.

Majątki zaś tak xiaże rozpiisał.

Małachowskiemu kanclerzowi koronnemu, połowę Ostroga, Międzyrzecz i 36 wsi.

Potockiemu krajczemu koronnemu, Lutowież i Łokacze z dziwięcią wsiami.

Czackiemu Kasztellanowi Wołyńskiemu Swiniarzyn, Bereżnicę i sześć wsi.

Grocholskiemu sędziemu ziemskiemu Braślawskiemu dwie wsie.

Bogatce podstolemu Braślawskiemu jedną.

Karolowi Szydłowskiemu Miecznikowi Smoleńskiemu, Koźmin i siedemnaście wsi.

Fayglowi Burgrabiemu Krakowskiemu trzy wsie.

Jabłonowskiemu Czesnikowi W. X. L. miasto Sulżyn i ośmnaście wsi.

Romanowi jakiemuś dwie wsie.

Czartoryskim z Lubomirskiemu Konstantynów i trzydzieści sześć wsi.

Xięciu Antoniemu Lubomirskiemu staroście Kazimirskiemu, Miropol i trzynaście wsi, Kulczyń i trzydzieści pięć wsi.

Lubomirskiemu staroście Olsztyńskiemu, dobra Nawoje i wsi trzydzieści trzy, Wilek

z dziewięcią wsiami, osobno trzydzieści jedna wieś.

Xięciu Lubomirskiemu wojewodzie Lubelskiemu Pików i trzydzieści cztery wsie.

Krajewskiemu skarbnikowi Ciechanowskiemu Koszków i Pęczyn wsie.

Xięciu Lubomirskiemu staroście Bohusławskiemu, Czudnów, Januszpol, Krasnopol, Kamionkę, Piątkę i ośmdziesiąt dziewięć wsi.

Janowi Dzierzkowskiemu dwie wsie.

Kazimirzowi Ilińskiemu Stolnikowi Nurskiemu, dwie wsie.

Oltarzewskiemu jedną.

Scybutowi Romanowiczowi sześć wsi.

Ciesielskiemu dwie.

Sobieszczańskiemu dwie.

Bleszczyńskiemu dwie.

Xięciu Stanisławowi Lubomirskiemu Podstolemu koronnemu, Dubno, Ptyczę i siedmdziesiąt wsi.

Xięciu Józefowi Lubomirskiemu Podstolemu Litewskiemu, Stepań, Dręczne, i ośmdziesiąt cztery wsie, klucz Czartoryski i sześć wsi.

Sapiezie Wojewodzie Mściłowskiemu, Białej miasteczko i wsi trzynaście; Krasinów i wsi ośmnaście.

Wilczopolskiemu jedną wieś.

Xaweremu Szydłowskiemu jedną.

Wiktorowi Ilińskiemu jedną.

Leszczyńskiemu pisarzowi Grodzkiemu Stężejskiemu jedną.

Małachowskiemu staroście oświęcimskiemu jedną.

Kazimirzowi Ilińskiemu jedną.

Józefowi Sikowskiemu dwie.

Wielopolskiemu Czesnikowi koronnemu, kamienicę w Krakowie, zwaną pod Baranami.

Tak, między trzydzieści kilka osób, rozdzielono miast dwadzieścia cztery i wsi pięćset dziewiędziesiąt dwie. Sami Lubomirscy, już dawno bogaci, wzięli ztąd jeszcze najwięcej ze wszystkich, bo czterysta cztery wsie. Ileż to familij zbogaciło się łupem tego wielkiego Ostrońskiego trupa; ile robaków na nim się wypało. Wszyscy od Wojewodów, aż do Burgrabiego, od Xiążąt do pana Romana, brali! Lecz xiążę Janusz swoją hojność spokojnością opłacił. Po Kolbuszowskim bankiecie, wszyscy którzy niemieli w nim udziału, a niektórzy nawet zyskać na nim mający, poruszyli się na Xięcia. P. Hetman wysłał Generała Mokronowskiego zająć Dubno, a P. Rostkowskiego porucznika Husarów, okolice jego. Zaszły manifesta stanów, wojewody Braclawskiego, zlotej Chorągwi Hussarzy pólku ordynacji Ostrońskiej, Hetmana wielkiego, Michała Kazimierza xięcia Radziwiłła Olyckiego, obywateli województwa Wołyńskiego z powiatami.

Pan Wojewoda Bractawski Swidziński, przywołał X. Janusza Sanguszkę mandatem na sąd Sejmowy 1). Wyszło zaraz z tego powodu mnóstwo pism, paszkwilów i różnych urywkowych broszur 2); a tak kraj cały prawie podzielił się na dwa stronnictwa, xięcia i jego przeciwników. Przez tych ostatnich więcej było zajęte Dubno — Prymas jeden, zdawał się z lekka popierać xięcia i pisał nawet do Hetmana, o wystąpie-

1) Varsav. Feria secunda post Dn. Oculi Quadragesima sen. 1754.

2) *Rozmowa przyjaciela z interesującym się do Ordynacji Ostrogi, dla powszechniej innym wiadomości opisana etc. Warszawa u Pijar. 1754.*

Odpowiedź na pytanie jeżeli na dobra Ostrogi administracja uproszona być mogła? 1754. O ten druk był a sprawa w Trybunale Piotrkowskim, a tegoż roku d. 7 Grudnia, wypadł wyrok, aby ją przez woźnego podarto i spaleno; niszcząc wszystkie exemplarze. August III. kazał nawet instygatorowi Koronnemu, drukarnią zapieczętować, a prefekta oddać pod Sąd Prowincji Pijarskiej. Lecz się to ulagodziło. Niemam z żadnej epoki tyle pisemek ulotnych, ile z tego czasu i okoliczności. Historia Ordynacji byłaby ciekawym obrezem, gdyby do niej kto przystąpił z materiałami dostatecznymi, a nade wszystko z odwagą mówienia całej prawdy — bądź co bądź. —

nie wojsk z tego miasta; ale bez skutecznie. Xięże odpowiadając na zarzuty, dał od siebie listy do PP. Senatorów (16 Lutego 1754) na które oni jednogłośnie ganiąc jego postępek odpowiedzieli. Pełno prócz tego bezimiennych snuło się pism i paszkwilów i rad.

Xiążę z rzadkiem umiarkowaniem trwał przy swoim i bronił się bez gniewu, ale bardzo zrzęcznie. Nareszcie Król wyznaczył Kommissją na rozpatrzenie tej sprawy i ostateczne jej rozstrzygnięcie, pod prezydencją Andrzeja Załuskiego, Biskupa Krakowskiego. Ta zjechała do Dubna, które administracją zajęto.

Oto są wyjątki z listów pisanych na ówczas przez Annę Jabłonowską W. B. do podkańclerzego Sapiehy, stryja swego 1), które i położenie wszystkich i zabiegi malują.

W r. 1758 pisze „Reskrypt na ordynacją wydany wielkiego jest tu podziwienia przyczyną. Rozdwojone u wszystkich myśli, jedno w konsolacji, drugie w zmartwieniu. My takie niepomaniu zmyslemy, kiedy na trzyletnią dawszy Ostroga arendę za reskryptem królewskim administratorowi, teraz niewiem co się z nami stanie. — ”

1) *Z Archiw. Sapiehów, MSS. tit. listy różne ab 1755 ad 1758.*

Z Ostroga d. 25 Czerwca 1758 r. — „Ordynacja odebrana już od wszystkich. To najdziwniejsza że to pełnią kommissarze xięcia Podstolego (Lubomirskiego, który brał Dubno i t.d.), I tę z Dubna wczoraj miałem wiadomość, że arendą wszystko puszczać zamyślają na lat trzy; ale to wszystko Podstolego Koronnego imieniem. Mokronowski w zamku siedzi; wartę zaś po bramach trzyma dragonja i Janczarowie xięcia.” (Podstolego.)

Ze Lwowa d. 2 Sierpnia 1758 roku. „Mokronowski wczoraj z Dubna przyjechał, garnizon i zamek, pod swoją kommendą zamknięty zostawiwszy. Xięże Podstoli Koronny sprawdził był umyślnie dla postrachu kozaków i Katmuków przez Wołyn teraz idących pod komendą Effremowicza, pod Dubno. I gdy pod miastem rozlokowanych obozem miał, sam z żoną pojechał dla uczestowania, oraz i uskarżenia się, że fortacy Mokronowski oddać niechce; ale nadspodziewaną odebrał odpowiedź — Że jak bywał dawno w polsce tak doskonale jest informowany że Hetman wojskiem rządzi, i gdy przyśle ordynans, to zapewne Mokronowski ustąpi z fortacy. I tak zawstydzony został responsem niespodziewanym.”

Tegoż roku d. 16 Sierpnia ze Lwowa. „Z tych krajów nie mam co donieść. Jest odgłos, że Podstoli Koronny, na przedmieściu Dubieńskim

złapawszy kilku garnizonowych, miał kazać przetrzepać. I tej relacji z wielu miejsc mamy już confirmację. Co z tego wyniknie — czas pokaże?”

Tegoż roku 23 Sierpnia. „Z Wołynia gazetę mieliśmy, że xięże Podstoli przekupiwszy z Garnizonu Dubieńskiego żołnierzy ośmdziesiąt, a spod Rejmentu królowej Jadwigi kilkunastu, wyprowadził ich z Dubna i w Równém rozlokował; tak to pocziwych ludzi trudno, że nietylko w wojskach austriackich i francuzkich braknie, ale i w Dubnie pokazało się, że ich niemasz.”

Nareście kommissja zasiadająca, trwała tu zjechawszy, do r. 1758, w którym Król dnia 19 Maja, ją skassował, a dobra ordynatowi oddał; a ten niemi jak był postanowił, rozporządził.

Tak upadł ów sławny dom xiażąt Ostrogskich. Teraz Ostrog jest wielką ruiną — i wieleż to zapomnianych dziś wspomnień, zawaliło się z murami! Patrząc po tu i ówdzie rozsypanych gruzach i rumowiskach, przychodziły mi na pamięć, te główne rysy historii miasta i xiażęcego domu, które zapisałem, niewiedząc czyli one każdego zająć tak jak mnie potrafią. Smutny i zamyślony wyjechałem z Ostrogu, jak gdybym wracał z wielkiego smętarza, i spoglądałem długo za siebie, póki mi góry nie zakryły szczątków zamczyska bielegą-

cych na górze, jak kości wielkoluda. — Wkrótce nie ujrzałem ich za sobą, i żyzne tylko otaczały mnie wzgórza; wśród których tu i ówdzie dymiły się rozsypane wioski i bielejące dwory.

K O N I E C

D O D A T E K.

Napisy w kościele katedralnym Łuckim.

Po lewój stronie.

D. O. M.

Ecclesia Cathedralis a primis excitationis suae exordijs instante Serenissimo olim Ludorico Rege Poloniae et Hungariae, Apostolica Gregorij XI P. M. autoritate A. D. M. CCC. LXXV. Vlodimiriae constituta. Tunc. A. D. M. CCCC. XXVIII. ad Civitatem Metropolitanam Volhynensem Luck dictam, translata, Materque amplissimae Diocesis ad IV Palatinatus: Volhyniensem, Podlachiensem, Braclaviensem, ac Brestensem, Tese extendentis effecta; et ad differentiam ab Ecclesia Lucensi in Italia sita, in Concilio Florentino sub Eugenio IV, nomen Luccoriensis nacta; titulo SSS. Trinitatis decorata, non nullis Praelatorum et Canonicorum foundationibus a Vitoldo Magno Duce Lithvaniae dotata; post,

*ab immortali memoriae Illustrissimo Georgio Chwalczewski Episcopo Luceoriensi et Brestensi donatione bonorum, jam pro augmento proven-
tuum mensae Episcopalis, jam pro sustentandis
Vicarijs, Cathedralibus, Cantoribus, alijsque
Ministris Ecclesiae, nec non proeducandis ado-
lescentibus munifice cumulata, atque de latere
cocto erecta. Novissime vero cum horribili in-
cendio integre consumpta esset, ex anteriori situ
suo in his aedibus a devastatione ignis; qua per
largitatem Illustrissimi piaae memoriae Felicis
Turski, sui pro tunc Antistitis, qua per bene-
ficientiam ab incolis Diecesanis, nec non in parte
a Capitulo atque Clero Dioecetano contributam,
totam architecturae structuram dirigente peril-
lustri olim Josepho Umiński Archidiacono Ca-
thedrali Luceonensi sumptuosissime vindicatis,
collocata; demum A. D. M. DCCLXXXVII per
Illustrissimum olim Chrysosthomum Kaczkowski
Episcopum Suffraganeum Luceonensem, ritu so-
lemni, praedicationibus, Missionarijs per totam
quindenam, cum immenso populi concursu, con-
tinuo durantibus; consecrata extitit. Aniversa-
rium consecrationis quotannis Dominica XIX
post Pentecosten, juxta antiquam memoriam de-
signata. Quorum omnium ad perpetuam rei me-
moriam, hocce positum est Monumentum. A. D.
M. DCCCXXIV.*

Po prawej stronie:

J. O. G. D.

*Cum Ecclesia haec de cineribus paulo ante sub-
lerata esset, novo excitato e vicino incendio in
A. D. M. DCCCIII. omnibus tectis demudata ex-
titit, quibus tamen brevis redintegratis, in luctuo-
siolem redexit eam stragem A. D. M. DCCCXVIII.
accensus, de domo Caraitica et per domos Judai-
cas propagatus ignis. Cumque exhausta in no-
tabiles sumptus prioris reparationis, Capitulari
massa, nullus jam succuerendi his ruinis suppe-
teret modus; singulariori Divinae providentiae
concessione, datus est in pastorem huic Dioecesi
zelo in Religionem et patriam celeberrimus omni-
busque Praesulis Virtutibus spectatissimus Ex-
cellentissimus ac Reverendissimus Dominus Gas-
par Columna Cieciszowski, Franciscus Salesius
redivivus, Ordinum Alexandri Nerensis. Com-
mendator, Aquilae Albae et S. Stanislai Eques;
qui beneficientia sua Capitularibus impensis ite-
rum atque iterum addicta, per suam pastorem
litteram Spiritus DEI infertam, invocavit sub-
sidium Incolarum Guberniae Volhyniensis tanta
officia, ut ultra XL millia florenorum polono-
rum, e cunctis districtibus suppeditata fuerint,
quorum adjumento solidiori istius Matricis Ec-
clesiae restorationi est subventum. Insuper
vero idem optimus Antistes praeclaris dotibus*

suis Augustissimi Imperatoris Russiae Alexandri I tantam erga se conciliarit benevolentiam, ut Clementissimo Suae Majestatis Mandato, bona tractus Fastoriensis, cum omnibus suis attinentibus et antiquis privilegiis in perpetuum fundum Mensae Episcopi Luceoriensis et Żytomiriensis, sint novissimae declarata. Quae omnia hic exarata immortalī sacrantur gratitudini et Memoriae. A. D. M. DCCCXXIV.

Te dwa napisy obejmują całą historję kościoła. Bardzo to była dobra myśl tym sposobem podać do wiadomości i pamięci powszechnej, główne wypadki dziejów katedry.

Napis u Bazylianów, od wchodu po lewej ręce.

D. O. M.

Perillustri ac Excellentissimo Domino

Dno. Alexandro Mozella.

Vladislai IV Poloniarum, Suecorumque Regis aulico

Primae Justinianae Vicarii Generali

Pace belloque in expeditione, vel maxime eo tunc adversus Valacos, Prussos, Livones et Divinae Crucis hostes alios pro Rege, proque Republica Viro probatissimo Clarissimo, Venerandae hujus Ecclesiae suorumq. aedificiorum de latere cocto largis impensis a fundamentis, commendatissimo fundatori. Pie gestorum, sacro sub humo hic ex-

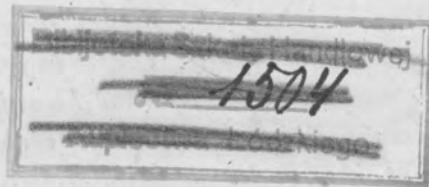
tremam sententiam expectanti. Monachi Basiliani Caenobij hujus Incolae grati animi, monumentum posuere. Anno primo supra M. DCCLXX, ipsis Calendis Octobris.

Napisy grobowe w Ostrogu, cytowane są przez Starowolskiego w Monumentach, wszystkie pięć, służą Janowi Karolowi Chodkiewiczowi, i jego życie opisują. (*Starowolski 474*). Przywiedziemy tu tylko jeden z nich, z porządku u Starowolskiego trzeci.

Joannes Carolus Chodkiewicz, prima juvena in literis acta, sub Magno Joanne Zamoscio, contra Michaelē utriusque Valachiae tyrannum primum Tyro militat, Carolum dein de Sudermanum vincit, Arces amissas recuperat, nova subjugat, seditiones civium et militum sedat, hostium copias occisione occidit. Omnium fere bellorum in illa regione victor, totam Lironiam ab imperio Suecorum liberat; in bello Moschositico in accendis et inferendis praelijs felicissimus. Belli sic pacisque artibus optime instructus, et supremi ducis et palatinatus Vilnensis munere oblato probe defungitur; contra Turcam tandem hostem potentissimum, totius fere orbis Tyrannum, Dux utriusque exercitus creatur, ubi dum ipsam sibi fortunam subjugat, Osmani Bizantij Imperatoris, cum portentosuissimo, et nunquam

hactenus visa Turcarum manu, ad Chocimum in persona propria comparentis, impetus frequentes et Validos acerrime et felicissime reprimit praeliorum felicitum satur. Anno Christi 1621 24 Septembris, moritur Chocimi, inter secundam et tertiam pomeridianam horam, superstes in ore Poloniae, auribus que omnium nationum victurus.

Corpus ejus Chotimo Cameneciam, Camenecia post Ostrogium est deductum, atque ibi XIV post obitum mense, a maestissima conjuge Anna Ducissa ab Ostrog, Alexandri Palatini Volhyniae et Annae a Stemberg Kostczanka filia, pompose est humatum.



SPIS RZECZY W TOMIE DRUGIM.

	Stronica.
Łuck, Jego historia. Witold. : : .	1
Wolyn	88
Młynów, Dubno	114
Ostróg, Xiążęta Ostrogskie	141
Dodatek	199

821.162.1
Kroiszewski
Wspomnienia T.1-2

29367